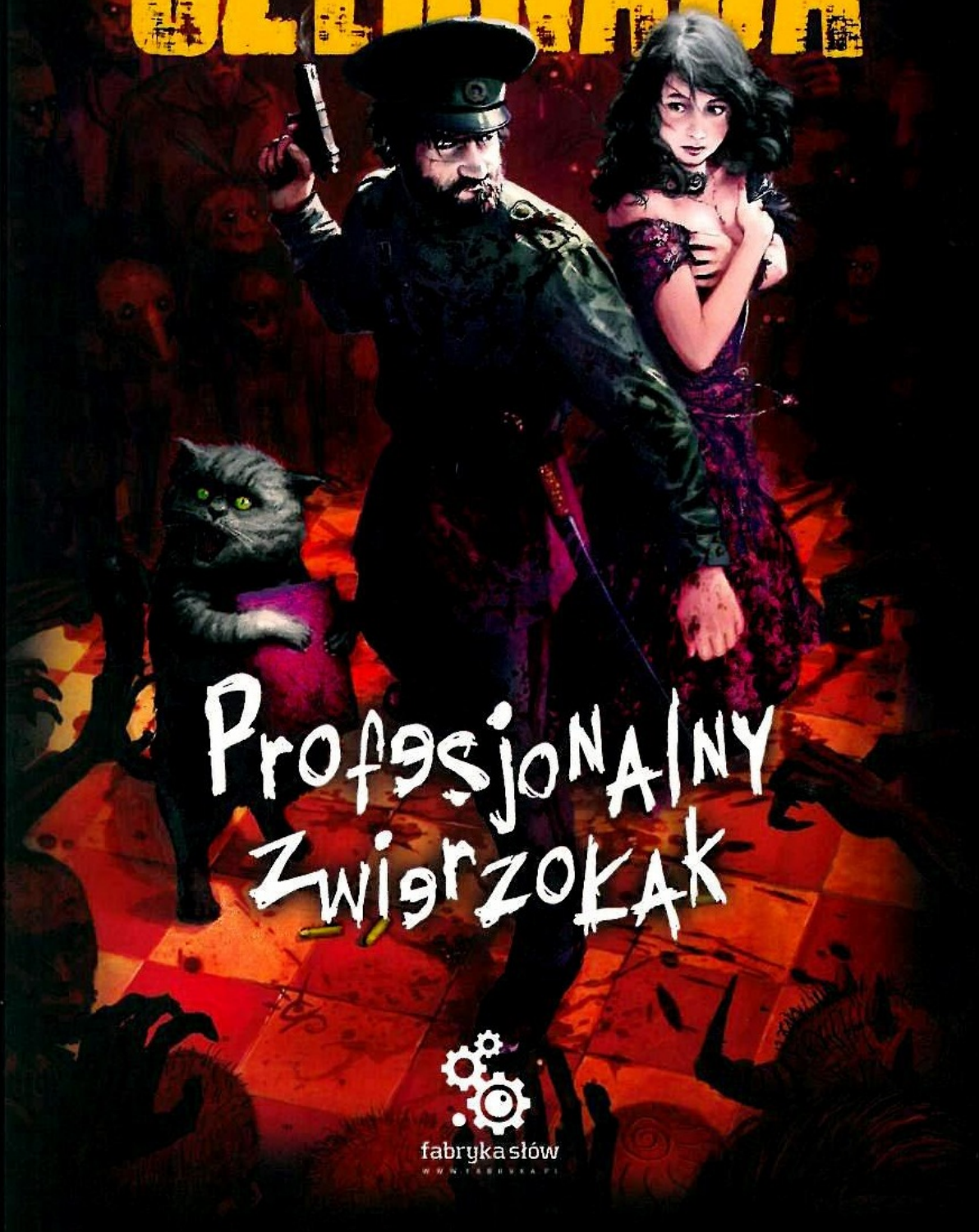


# BIEFLANIN

Andrzej & Galina

# CZERNALIA



Profesjonalny  
Zwierzokak



fabryka słów  
www.fabryka.pl

**BIELANIN**  
ANDRIJ & GALINA  
**CZERNAJA**  
Profesjonalny  
Zwierzokak

przełożyła  
Ewa Białołęcka

fabryka słów

Lublin 2009



# Rozdział pierwszy

*Styczeń 2003*



**W**ieczór był dość zimny. Nic dziwnego – wiadomo, styczeń, wcześniej robiło się ciemno... Pogrążona w rozmyślaniach o mały włos nie wpadłam prościutko na słup latarni, która oczywiście miała rozbity klosz, więc okolica tonęła w mroku.

– Do diabła! Nie mieli już gdzie tego postawić, tylko tutaj?!

Nie wytrzymałam i kopnęłam słup w bezsilnej złości. Już wcześniej byłam w wyjątkowo kiepskim humorze, a teraz jeszcze walnęłam się w palec u nogi. Niech to szlag... Nie dalej jak pół godziny temu na uczelni zawałam kolokwium (to było niesprawiedliwe!), po czym wkurzyłam się i nawrzucałam wykładowcy. Oczywiście przez swoją głupią zapalczywość ucierpiałam przede wszystkim ja sama, ale cóż, nic na to nie mogę poradzić. Mama twierdzi, że to wina genów. Moi przodkowie ze strony ojca byli roslymi Tatarami z Kazania, a ich krew wiecznie się we mnie burzy. Od wczesnego dzieciństwa zawsze chodziłam posiniaczona, a chłopcy z podwórka szanowali mnie, jakbym nie była dziewczynką. Krótko podsumowując obecną sytuację – moje szanse na poprawienie tego kolokwium zmalowały niemalże do zera. Nie chodziło o to, że miałam jakiś wybitny wstręt do nauki. Wykłady, prawdę mówiąc, bywały ciekawe. Nawet w sumie lubiłam się uczyć. Sami wiecie, jak to jest: nadchodzi czas, kiedy człowiek ma już dość, szczególnie podczas sesji. Rzucić to wszystko w cholerę, wyjechać gdziekolwiek, byle dalej od uczelni, wiecznego zakuwania, kolokwiów i zaliczeń. A była to właśnie ta pora – początek sesji zimowej.

Przy uliczce, którą wtedy szłam i gdzie w ów pamiętny wieczór spotkałam tamtego narcystycznego typu, stały stare, zaniedbane domki, najczęściej

parterowe, zbudowane jeszcze w zeszłym tysiącleciu – a dokładniej, pięćdziesiąt lat temu. Było puściutko, żadnych przechodniów, więc natychmiast zwróciłam uwagę na samotnego kota za drzewem. Solidnych rozmiarów kocur, szary w jasne prążki, siedział na przewróconej do góry dnem puszcze po konserwie w pozie „Myśliciela” Rodina. Wyglądało to, jakby na kogoś czekał.

Kiedy indziej pewnie zainteresowałabym się tym oryginalnym egzemplarzem, ale jak już wspomniałam, miałam parszywy nastrój. Dlatego też jedynie przyspieszyłam kroku i nie od razu zauważyłam wyłaniający się zza węgła cień. I nie od razu dostrzegłam, że do cienia doczepiony jest właściciel – dwunożny, poza tym pokryty ciemną lśniącą sierścią, ze spiczastymi uszami i wyszczerzonymi kłami, zwykle stanowiącymi wyposażenie standardowego potwora z horroru klasy C. Wpierw najzwyczajniej w świecie nie uwierzyłam własnym oczom, lecz w następnej chwili stwór uśmiechnął się jeszcze szerzej i chyba przełknął ślinę...

– Pięknie, kurna, pięknie... – wymamrotałam, gorączkowo szukając w torebce pojemniczka z gazem.

W najśmielszych snach nie przypuszczałam, że takie cudactwa mogą spacerować po ulicach mojego rodzinnego miasta. Może dlatego nie tyle się wystraszyłam, ile zdziwiłam. W życiu czegoś takiego nie widziałam. No, może tylko widok mojego sąsiada pijanicy podczas rozpasanej księżycowej pełni mógł konkurować z tym potworem, który zresztą nie pozostawił mi już czasu na gapienie się i zdziwianie. Z krótkiego rozbiegu rzucił się wprost na mnie. Trudno opisać z detalami, co konkretnie wydarzyło się w tej krótkiej chwili.

Pamiętam tylko, że odruchowo zmrużyłam oczy, cofając się, wpadłam na coś – a raczej na kogoś – i runęłam na ziemię razem z nim. Gruchnął strzał! W tym momencie wszystko już zupełnie się pomieszało. Dziki skowyt, wizg... Wrzasnęłam na całe gardło. Zwierza najwyraźniej to nie wystraszyło, bo słyszałam jego ryk tuż nad uchem, a przez moment czułam sunącą po szyi pazurzastą łapę. Nadal darłam się, bohatersko zaciskając powieki, wyciągnęłam przed siebie pojemnik z gazem łzawiącym i prysnęłam z niego prosto w czyjaś mordę. Pojęcia nie mam, skąd to wiem, skoro miałam zamknięte oczy. Musiałam jednak trafić, co łatwo można było wywnioskować z cichego, rzuconego przez zęby, niemniej soczystego przekleństwa.

Potwory nie klną, ale o tym potem... Oczu rozsądnie nadal nie otwierałam, gdyż rozbryzgiwałam wokół siebie całą zawartość pojemnika z gazem. W ciągu minuty zachrypiał żałośnie i zdechł. Mam na myśli pojemnik, nie potwora, oczywiście.

I wtedy usłyszałam już nie ryk, a przeraźliwe wycie, poczułam śmierdzący oddech, coś uderzyło mnie w bok z taką siłą, że odleciałam na parę metrów. Znow się rozległy strzały, słabe skomlenie, potem nastąpiła cisza. Taka cisza jak na froncie, rozumiecie, kiedy w każdej chwili oczekujecie wznowienia kanonady. Leżałam jeszcze kilka sekund, starając się nawet nie drgnąć. Ale nie byłam w stanie opanować rozpalającej się we mnie coraz bardziej ciekawości, więc zaryzykowałam i otworzyłam jedno oko. Niestety, mogłam sobie pooglądać tym okiem tylko brudny śnieg i szary żwir, na którym leżałam. Niczego bardziej interesującego w zasięgu wzroku nie miałam. Otworzyłam drugie oko i w odległości paru metrów zobaczyłam jakiegoś faceta w długim czarnym płaszczu i kapeluszu. W opuszczonej prawej ręce dzierżył coś w rodzaju miniaturowej armaty, w lewej chustkę do nosa. Mój obrońca starannie ocierał łzy, a u jego stóp leżała jakaś ciemna masa.

„Potwora szlag trafił...!” – stwierdziłam radośnie. Kiedy zobaczyłam, że nieznajomy kieruje się w moją stronę, natychmiast zamknęłam oczy.

Mimo hałasu i krzyków zajściem nie zainteresował się, rzecz jasna, nikt. Czasem mi się wydaje, że milicja i różne służby porządkowe pokazują się tylko na uroczystościach ku czci, a poza tym hobbystycznie uprawiają wędkarstwo.

W styczniu zapewne podlodowe. Gardło sobie można zedrzyć, a nawet pies z kulawą nogą się nie zjawi.

Leżałam cicho jak mysz, diabli wiedzą, czego można się spodziewać po nieznajomym mięśniaku, do tego uzbrojonym. Oczywiście nie mogłam pozostać obojętna na to, z jaką łatwością rozprawił się z obcym elementem, obecnie walającym się w charakterze zimnego trupa te parę marnych metrów dalej. W każdym razie bardzo chciałam wierzyć, że faktycznie element został utrupiony. Chociaż, z drugiej strony, może ten gość płakał nad zwłokami? Boże, za co to? Szłam sobie cicho, spokojnie, no i masz... Tu moje duchowe rozterki przerwał tamten typ, szarpiąc mnie dość bezceremonialnie za ramię. Wykazałam zero reakcji, więc postanowił sprawdzić mi tętno na przegubie.

– Słyszysz mnie pani? – spytał troskliwym tonem.

No tak, puls był. Chętnie bym posymulowała jeszcze z pół godzinki, ale facetowi przyszło do głowy, żeby przewrócić mnie na plecy. Odłożywszy broń, zaczął mi podnosić powieki, pewnie żeby sprawdzić reakcję źrenic. Tego było już za wiele.

– Co się stało? – westchnęłam omdlewającym głosem, delikatnie, acz stanowczo odsuwając od twarzy wielkie łapska samozwańczego ratownika. Powoli otworzyłam oczy z nieokreśloną obawą, że znów ujrzę coś strasznego. Całkiem możliwe, że ten typ też nie jest człowiekiem i wesoły horror show jeszcze się nie zakończył. To co zobaczyłam, nie było tak interesujące jak zębata paszcza, choć równie zaskakujące. Nade mną kucał Żyd. Jak mamę kocham, Żyd z pejsami, z czarną bródką, w okularach i w ichnim narodowym kapeluszu. Pod rozpiętym płaszczem widać było kamizelkę na bielutkiej koszuli. Leżałam dokładnie pod jedyną działającą latarnią na tej ulicy, więc dostrzeżenie wszystkich tych szczegółów zajęło mi raptem dwie sekundy.

– Proszę leżeć, dopóki nie opatrzę zadrapania – powiedziało judejskie widziadło, dobywając zza pazuchy jakieś lekarstwa. – No to się wklepałaś, koleżanko...

– Niby jak się wklepałam? – burknęłam, lecz nie doczekałam się odpowiedzi. – I w ogóle co to za protekcyjnalny ton?

Brzęknęło wieczko metalowego pudełka, mętnie zajaśniała igielka jednorazowej strzykawki.

– Nie potrzebuję żadnych zastrzyków! – zaprotestowałam, ale facet już rozłamał zabezpieczenie i sprawdzał podziałkę. Bez wątpienia chciał mnie tym dziabnąć. – Jak to tylko zadrapanie, to obejdę się bez pańskiej dezynfekcji.

– Zdejmuj kurtkę i podwiń rękaw swetra. Szybciej! – zakomenderował typek takim tonem, że wołałam się poddać. Zrobił mi zastrzyk, a potem zasmarował draśnięcie na szyi jakimś okrutnie szczypiącym mazidłem.

– No dobra, formalnościom stało się zadość. Choć wątpię, czy to pomoże – mruknął niezbyt optymistycznie pejsaty komandos, składając swój przybornik. Zacmokał ponuro przez zęby i przyoblekł gębę w minę wyrażającą głęboką żalobę. Efekt był tym lepszy, że nadal trochę łzawił. Widać nawet na oślep umiałam nieźle celować.

– No to mnie pan pocieszył! Jak jasny gwint! – warknęłam. – Może by tak jakieś wyjaśnienia, he? Ten uszaty był zarażony HIV i umrzemy, czy co? O co tu właściwie chodzi? Skąd tu raptem jakieś zębate monstra i Żydzi wojujący z wielgachnymi pistoletami? Co to za idiotyczna maskarada? – wyrzuciłam z siebie potok słów.

Bezimienny zbawca po raz kolejny zignorował mój głód wiedzy i tylko zrobił minę, jakby rozmyślał o czymś niesłychanie ważnym – i wiecie rozumiecie, dlatego nie dosłyszał. Ten gatunek facetów zawsze doprowadzał mnie do białej gorączki.

– Okej, nie chcesz mówić, to nie! Serdeczne pozdrowienia dla narodu żydowskiego, bohatersko walczącego z wszelkim nadnaturalnym złem. Narka... Jakoś przeżyję. No nic, już się zbieram. – Kiedy tak gadałam, typ wstał i w milczeniu spoglądał na mnie z góry, czekając, aż skończę.

– Jakieś drobne sugestie? – nie wytrzymałam, popatrzywszy na niego na odmianę z dołu.

– Możesz wstać? – spytał nadspodziewanie łagodnie. Takim tonem rozmawia się ze śmiertelnie chorymi.

– Spróbuję, ale zdaje się, że skręciłam nogę.

Podał mi rękę i pomógł wstać.

– Wielkie dzięki – mruknęłam szyderczo. Hm, nawet w marnym oświetleniu zauważyłam, że ma całkiem ładne szare oczy... Spojrzał na mnie z namysłem i uśmiechnął się.

– No dobra, na mnie czas – wymamrotałam. Szarooki nie kwapił się do kontynuowania rozmowy. – Pójdę już. Ciemno... Przepraszam za ten gaz.

– Nie szkodzi, mogłem uważać...

– No właśnie...

Nikt mnie niby siłą nie trzymał, ale jakoś przestało mi się spieszyć. Facet znów się zaciął, pokiwałam się na obcasach – nie, jednak nie skręciłam kostki, skaleczenie na szyi także już przestało mi dokuczać. Tusza upolowanego zwierza leżała bez ruchu, lecz na miejscu tego mądrali z pukawką oddałabym strzał kontrolny w łeb. Zresztą może już to zrobił, a nie zauważyłam...?

– No proszę, kogo my tu mamy? Alina Safina, studentka drugiego roku na kierunku kulturoznawstwa, studia zaoczne... – Za moimi plecami rozległ się głos dziwnie mruczący, choć wypowiadający słowa z nienaganną dykcją.



Podskoczyłam niemalże na pół metra i obróciłam się chyba jeszcze w powietrzu. Tak, to stanowczo był wieczór pod znakiem niespodzianek. Na chodniku w pewnym oddaleniu leżała moja torba, a nad nią siedziało to samo tłuste kocisko białoszarej maści, najbezczelniej w świecie kartkując moje dokumenty. Kot trzymał akurat w łapach indeks, a obok poniewierał się dowód osobisty. Już otwierałam usta, by dać wyraz słusznemu oburzeniu, kiedy uprzedził mnie Żyd.

– Agencie 013, ta pani nie jest celem akcji, więc grzebanie w jej torbie jest nieuzasadnione i nieuprzejme. – Po czym zwróciwszy się do mnie, ciągnął: – Przepraszam, Alino, za tę przesadną ciekawość mojego partnera, ale on jest niereformowalny.

Nadal byłam w szoku, słowa uwięzły mi w gardle, kiedy kot z wyraźnie sceptycznym wyrazem pyska odparł ironicznie:

– Teoretycznie masz rację, kolego, natomiast praktycznie muszę zaznaczyć, że...

Tu nareszcie mnie odblokowało.

– Dość!! Starczy! Oddawaj moje dokumenty, grubasie!

Złapawszy swoją torbę, zaczęłam byle jak wciskać do niej moje rzeczy, a zwłaszcza spostonowany przez bezczelnego kocura indeks. Przenosząc wzrok z kota na Żyda i z powrotem, kontynuowałam awanturę.

– Zwalacie mi się na głowę znikąd! Najpierw mnie atakuje ten wasz... to COŚ! Cisza!! – ryknęłam, widząc, że kot chce się wtrącić. – Nie przywidziało mi się. Cała wasza trójka pojawiła się w przeciągu paru minut i nie wzmówicie mi, że to przypadek! Jesteście powiązani!

– No i co w tym dziwnego? – odparł kot. – Razem z agentem Alekssem reprezentujemy oddział specjalny do zwalczania tak zwanych sił nieczystych.

Ha! Czyli pogromca potworów na imię ma Aleks. Może być, Alosza – bardzo ładnie. Albo Loszka – wspaniale! Alosza Salomonowicz? Nosi jarmułkę, jada macę i gefilte fisz, świętuje szabat i nie lubi arabskich terrorystów. Do licha, co mi chodzi po głowie? Jesteś muzulmanką, dziewczyno, co ci do żydowskiego ciacha z jego cholernym kotem, choćby i gadającym?

– Aleks... Jakieś nietypowe imię dla Żyda, nieprawdaż, rebe? – zagaiłam kpiąco.

– Nie jestem Żydem, skąd ci to przyszło do głowy? – parsknął i zadarłszy

dumnie podbródek, odwrócił się do mnie plecami.

– A ten garniturek to co?

– Dla niepoznaki, żeby wtopić się w tłum, skarbeńku – wyjaśnił kot w zastępstwie obrażonego agenta. – Czytałem, że w waszych czasach mnóstwo ludzi tak się ubiera. A w ogóle co to za śledztwo? Aleks, na nas chyba pora? W Bazie już czekają, a panienka niech wraca do domu. Nikt jej nie ruszy. Żadnych bestii już tu nie ma, a to dzięki sprawnie przeprowadzonej akcji, której mózgiem był wasz uniżony sługa. Adios, kruszynko...!

Szary zarozumialec uklonił się demonstracyjnie, stanąwszy na tylnych łapach i kładąc przednią na puchatej piersi. Biła z niego przy tym taka godność i przeświadczenie o osobistych zasługach dla całej biednej ludzkości, że nie wytrzymałam i parsknęłam śmiechem. Teraz z kolei obraził się kot. Wydawał się strasznie zgorzony moim atakiem wesołości, który zakłócił ten jakże uroczysty moment. Nawet Aleks uśmiechnął się ukradkiem, starając się, by jego kosmaty towarzysz tego nie zauważył. Mogłoby to dobić zranione uczucia mądrego zwierzaka. Czy może raczej PRZEMĄDRZAŁEGO.

– Jest pewien problem – odezwał się Aleks. – Cel ją podrapał.

Kot wytrzeszczył ślepią, natychmiast zapominając o urazie, i obdarzył mnie takim samym współczującym spojrzeniem, jakim swego czasu uraczył mnie jego towarzysz. Tymczasem zaś, póki nie zakomunikowali mi jeszcze najgorszego, postanowiłam dać nogę. Jakoś nie przepadam za złymi wiadomościami. Diabli wiedzą, może obudzę się jutro rano i okaże się, że zdarzenia tego zwariowanego wieczora (w które już powolutku zaczynałam wierzyć) były po prostu snem? A ci dwaj coraz bardziej przypominali mi postacie żywcem wyjęte z „Mistrza i Małgorzaty” i pasowali raczej do świata zwidów niż surowej rzeczywistości. Nie, nie, jak najszybciej do domu i spatki...

– Narka, chłopcy. Miło było poznać, dzięki za wszystko, muszę już spadać. – Szybko zarzuciłam torbę na ramię i puściłam się przed siebie niemal kłusem. Usłyszałam coś, jakby obłąkany koci wrzask trochę przypominający moje imię, lecz nie zwolniłam. Miałam ochotę zgarbić się jak pod ostrzałem i zasłonić uszy. W ślad za mną niosły się desperackie krzyki, starałam się ich jednak nie słuchać.

– Chwileczkę! – rozległo się tak głośno za moimi plecami, że stanęłam jak

wryta. Odwróciwszy się, ujrzałam stojących tuż-tuż kota i Aleksa, który z uśmiechem sprzedawcy dywanów zapytał:

– Przepraszam, czy mogłabyś podać nam dokładny adres, pod którym będziemy mogli znaleźć cię za jakiś miesiąc, półtora? – W rękach trzymał notes i pióro. Kot gapił się na mnie z zainteresowaniem, oczekując odpowiedzi.

– A to po co? – nastroszyłam się. – Nie mam zamiaru zapraszać was w gości.

– To by nam bardzo ułatwiło sprawę – wyjaśnił agent wciąż nienagannie uprzejmym tonem. – W naszym zawodzie czas jest bardzo cenny, a za miesiąc, kiedy przetransformujesz się w potwora, będziemy musieli powrócić w ten odcinek czasoprzestrzeni i odnaleźć konkretnie ciebie. Domyślasz się chyba, po co. – Zakończywszy tę tyradę, ironicznie uniósł brew.

Zdaje się, że zaczynałam rozumieć, i to mi się zupełnie nie podobało. W porywie ostatniej nadziei skierowałam wzrok na kota, rozpaczliwie oczekując, że zaprzeczy faktom... lecz kocur, spojrzawszy mi w oczy, nieubłaganie pokiwał łbem i złowrogim gestem pogładził wąsy.

Zrobiło mi się jakoś mdło, chyba na sekundę straciłam świadomość i zaczęłam padać, bo następnie, z czego zdałam sobie sprawę, było to, że ktoś mnie podtrzymuje.

– Przepraszam, nie chcieliśmy cię aż tak wystraszyć, ale fakt jest faktem: zwierz cię zranił i za pięć lub sześć tygodni zmienisz się w dokładnie takiego samego... no, może będziesz trochę ładniejszym potworem, co jednak nie zmienia istoty rzeczy – wyjaśnił łowca potworów.

Obrócił mnie ku sobie i trzymając wciąż za ramiona, srogo popatrzył mi w oczy. Wtedy też zauważyłam, że pozbył się swojego idiotycznego nakrycia głowy i okazało się, że w rzeczywistości jest krótko ostrzyżony. Bez kapelusza i tej głupiej peruki z pejsami wyglądał zupełnie nowocześnie i był sto razy przystojniejszy. Ciekawe, skąd takich biorą do tej agentury?

– Hej, ty mnie słyszysz? – piękny agent przerwał moje dywagacje.

– Słyszę i nie trzeba mną tak potrząsać! – zeżliłam się.

– Przepraszam – pokajał się całkiem szczerze. – Zdawało mi się, że znów zasłabłaś, oczy ci się zrobiły takie mętne...

– Nic podobnego! Nawijaj dalej – zachęciłam go, czekając na ciąg dalszy opowiadki.

– No dobrze. Najważniejsze jednak, że masz jakieś szanse!

– Tak? – pisałam naiwnie. – W jakim sensie?

– Pod pewnym określonym warunkiem możesz pozostać człowiekiem – wtrącił kot, który do tej pory milczał jak grób, co było do niego całkiem niepodobne.

– A kto wam powiedział, że ja chcę pozostać człowiekiem? – odparłam z udawaną przekorą.

To już zaczynało się robić po prostu śmieszne. Z tego wszystkiego zaczynałam mieć fazę jak po paru piwach.

Gdyby w tej chwili pojawił się na niebie wielki smok w wytartych dzinsach i spytał, jak najszybciej dolecieć do klubu disco „Labirynt”, bez wahania wskazałabym mu drogę.

– To będzie przyjemne – ciągnęłam z uroczym uśmiechem, poufale drapiąc kota za uchem. Tłuscioszek odskoczył z widocznym oburzeniem, czym się na razie zadowolłam, kopniak pod ogon zostawiając sobie na później. – Wyobraźcie sobie: biegać po ulicach, prężąc mięśnie i zamiatając potężnym ogonem... O właśnie, ogon! Czy nie o tym właśnie marzy się całe życie, wiedząc, że tak wielkie szczęście nie jest ci pisane? A teraz będę miała swój własny, najwłaśniejszy ogon! Rozumiesz, co mam na myśli, prawda, grubasku? – mrugnęłam porozumiewawczo do kota, który wytrzeszczał na mnie w osłupieniu ślepią. Aleks również wyglądał, jakby go zamurowało ze zdziwienia.

A ja, jakby nigdy nic, zwierzałam się dalej:

– A jaką będę miała paszczkę, no, ja nie mogę, piorunujące wrażenie! I te spiczaste uszka, szczyt mody. Jeśli mi gdzieś powyrasta sierść, to w zasadzie nie mam nic przeciw. Zaoszczędzę na ubraniach. Zawsze marzyłam o takim futrze z futra, prawdziwym, rozumiecie, wytwornym. No i te czerwone oczy! Żadna koleżanka takich nie będzie miała. Chyba że zdarzy mi się którąś ugryźć. A chłopaki będą mi padać do stóp pokotem, jak się w tej postaci pokażę na ulicy. Normalnie super. I w sklepach wszystko za friko. Na pewno nie będę głodować, nie ma obawy. A my się dogadamy, chłopaki. Jesteśmy już w sumie dobrymi znajomymi, więc ja was nie ruszam, ani wy mnie, okej?

„Chłopaki”, sądząc po ich grobowych minach, nie podzielali mojego entuzjazmu. Zasepiony kot drapał się po brzuchu, a Aleks patrzył na mnie

założnie. W końcu wymienili znaczące spojrzenia i przeprosiwszy, oddalili się nieco, widocznie, żeby się naradzić. Zamieniłam się w słuch.

– Rozumiesz, są dwa warianty – mówił zafrasowany kot. – Albo ona dostała regularnego bzika, a sam się zgodzisz, że miała do tego pełne prawo po takim szoku...

Fuknęłam ironicznie, ale żaden nie zwrócił na to uwagi. Kocisko mówiło dalej:

– Jeśli tak, to nic tu po nas. Choroby psychiczne są trudno uleczalne, a my nie mamy żadnego przygotowania w dziedzinie psychiatrii. Z czystym sumieniem możemy ją odfajkować. Wariant drugi: jej faktycznie spodobała się możliwość transformacji w monstrum. Jej prawo! W końcu jest wolnym człowiekiem, do tego pełnoletnim. Według dowodu ma już dwadzieścia jeden lat, czyli w pełni świadomie odpowiada za swoje czyny. Podsumowując: z którąkolwiek z wymienionych wersji mamy do czynienia, możemy tylko pożegnać się i odejść. Nic tu już od nas nie zależy. Nasza misja w tym wypadku jest zakończona. Co ty na to, partnerze? – Kot popatrzył na Aleksa wyczekująco.

Naturalnie również zagapiłam się na niego, nie kryjąc ciekawości. Agent podrapał się w głowę, zastanowił i kiwnął głową na znak zgody.

– Masz rację, idziemy. Sprzątniemy trupa, napiszemy raport i spadamy do wyrka.

Widząc, że faktycznie zbierają się do odejścia, nie wytrzymałam.

– Ej, no co? Chcecie mnie tak zostawić? Hej, hej...! Chłopaki, to był żart! Żartowałam! Nie chcę się w nic zamieniać – spanikowałam i zaczęłam lamentować, patrząc tęsknie za odchodzącym agentem (nawet plecy miał przystojne, drań).

Trzeba przyznać, że obejrzał się natychmiast.

– Dobra, powyglądaliśmy się, a teraz wystarczy. – Podszedł do mnie. – Nie rozdrabniając się, sprawy wyglądają tak, że chcemy czy nie, musimy cię zabrać ze sobą. Oczywiście jeśli się zgodzisz. To twoja jedyna szansa.

Skwapliwie pokiwałam głową.

– Trzeba będzie podać ci parokrotnie surowicę zrobioną z krwi różnych potworów, na które polujemy w wolnych chwilach. W sumie to nasz podstawowy obowiązek. Możliwe, ciebie uda się wyleczyć... Ale ucziwie

uprzedzam, że nie ma stuprocentowej gwarancji!

– Hmm... To znaczy, że muszę rzucić studia, wyprowadzić się i coś naszklić rodzicom? – Zmarszczyłam brwi, zastanawiając się. – Dobra, coś wymyślę.

– To tylko na miesiąc.

– Rozumiem.

– Miałem na myśli, że w ciągu miesiąca okaże się, czy się udało czy nie.

– Jasne, szaleję z radości... Mam czas do jutra? To jest, chciałam spytać, kiedy się zbieramy?

– Myślę, że do jutra mamy wolne, co, agencie 013? – Aleks zerknął na kota.

– Super. W takim razie przenocujecie u mnie, zdążę się spakować i zadzwonić do rodziców. Poproszę ich, żeby skontaktowali się z uczelnią – rozmyślałam na głos dosyć pośpiesznie.

– Zgoda, pod warunkiem, że nas nakarmisz i dasz nam spokój do rana. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie, bo co zrobisz z Alekssem, nie wiem. Mrrrr...

– Kocisko mrugnęło do mnie frywolnie i przeciągnęło się, wyginając w łuk.

„Bezczelny brzuchacz! Co on sobie wyobraża?!”

Agenci zadzwonili gdzieś przez komórkę i nie minęła minuta, a na rozgwieżdżonym niebie pojawiła się ciemna plama jakiejś owalnej formy. Matowy niebieski promień, uderzywszy z wysoka, w mgnieniu oka rozpuścił ciało zabitego potwora. Gdyby nasze sprzątaczkę pracowały tak wydajnie, miasto by lśniło czystością...

– Daleko jeszcze? – zapytał łowca, kiedy przeszliśmy parę kilometrów. Kot spał, ułożywszy się na jego karku na podobieństwo grubego futrzanego kołnierza.

– Skąd, jeszcze jakieś dziesięć minut i jesteśmy na miejscu – zapewniłam.

W czasie kiedy tak sobie dreptaliśmy spacerkiem, zdążyłam zapoznać się z niektórymi ciekawymi aspektami życia agentów specjalnych i usłyszeć kilka historyjek o akcjach, w jakich brali udział Aleks i jego czworonogi konsultant. Była to doskonale niestrawna mieszanka elementów mistyki, horroru, science fiction i fantasy.

Pod koniec jego opowieści nawet mrówki łażące mi po plecach pomdlały z wrażenia. Duch z Canterville jakoś nie dzwonił łańcuchami w pobliżu... Ohydne wampiry, zombi, zwierzołaki ludożercy – wszystko to były realne postacie, z którymi niebawem miałam się spotkać. Od każdego mieliśmy

pobrać próbkę krwi do surowicy, inaczej nie uda się mnie uratować. Tak przynajmniej wynikało ze słów Aleksa, który mnie usiłował przekonać.

– Przesadyzm – osądziłam.

– Jaki sadyzm? – zdziwił się Aleks.

– Mówię, że zalewasz. To wszystko nie może być prawda – odparłam ponuro, patrząc mu w oczy. Bez rezultatu. Była w nich sama niewinność, jak u rozkosznego trzylatka. W końcu do niego dotarło...

– Niby po co miałbym kłamać? – obruszył się. – Sama zobaczysz, że oni wszyscy są żywi i prawdziwi. Czasem bardziej żywi niż niejeden człowiek. Nasze zadanie polega właśnie na tym, żeby...

– Mr-mm... prosiłem, żeby mnie nie budzić. Nie kłóćcie się, ptaszyny – zamruczał kot ugodowo.

3

Moi rodzice mieszkają na drugim końcu miasta, koło stoczni remontowej. Niewygodnie dojeżdżać stamtąd na uczelnię, więc w czasie sesji zwykle korzystam z malutkiego dwupokojowego mieszkania, które zostało po mojej świętej pamięci babci. I bliżej, i nikt nie przeszkadza... Otworzywszy drzwi, weszłam do przedpokoju, zapaliłam światło i zaprosiłam uprzejmie:

– Wejdźcie. Tu są kapcie dla gości. Zaraz coś zrobię na kolację, a wy się rozgoście. Toaleta naprzeciwko, łazienka obok. Tylko sobie nie wyobrażajcie – dodałam surowo, patrząc na kota – że ja zawsze zapraszam tutaj kogoś tak z ulicy. To mi się zdarzyło po raz pierwszy, kapewu?

– Jasne, siostrze, czuję się wyróżniony – odparł kot pojednawczo.

Zeskoczył z ramienia swego towarzysza i powłócząc łapami, skierował się prościutko do bawialni, najwyraźniej szukając kanapy. Wyprawiłam Aleksa do łazienki, żeby umył ręce, a sama zabrałam się do kolacji. Podgrzałam makaron, chlupnęłam do niego resztkę adżyki<sup>[1]</sup>, w lodówce znalazłam kawałek obeschniętego sera (skwapliwie przemyciłam go do makaronu) i fartownie dla mych drogich gości, trzy garmażeryjne kotlety, które wystarczyło tylko podsmażyć. W zasadzie potrafiłam nawet przez tydzień nie robić zakupów, raz na jakiś czas zaopatrzywszy się na rynku. Nigdy nie byłam wybredna w zakresie jedzenia – często zadowalałam się kanapkami, nie zawracając sobie głowy pitraszeniem. Ale goście to zupełnie inna para

kaloszy! Goście to rzecz święta u nas, na Wschodzie. Kotlety przypaliły się tylko troszeczkę, miałam więc nadzieję, że głodni agenci będą zadowoleni z mojego kucharzenia i nie zwrócą uwagi na drobne usterki. W czajniku zaczęło wrzeć, zanurkowałam do kredensu w poszukiwaniu filiżanek.

Woda w łazience przestała szumieć, a po chwili do kuchni zajrzał agent Aleks z mokrymi włosami i dziwną miną. Jego wąsy i broda znikły – widać były przyklejone.

– Coś się stało?

– Nie, chciałem tylko zapytać... to znaczy... – zająknął się. – W sumie jestem okropnie głodny. O, kotlety, ze sto lat takich nie jadłem! – rzucił okiem na patelnię, oblizując się.

– Tak? To ile masz lat w takim razie? – spytałam z ciekawością, odsuwając go od kuchenki. – Na oko nie więcej niż trzydzieści, ale kto wie, czy nie dwieście, co?

Popatrzył na mnie ze zdumieniem, ewidentnie nie pojmując, o co mi chodzi.

– No, myślałam, że może u was, w tej przyszłości, wymyślili jakąś szczepionkę przeciwko starzeniu.

– A... nie, nie. Ja tylko tak metaforycznie, po prostu dawno nie jadłem mielonych kotletów – wykręcił się.

Może powinnam mu dać po prysznicu coś do przebrania zamiast żydowskiego kostiumu, lecz nie miałam sarafanu w jego rozmiarze. Zdawało się, że i tak jest zadowolony. Nie włożył kamizelki ani płaszcza i od razu zrobił się podobny do człowieka – to znaczy do współczesnego człowieka. Aura tajemniczości zeszła z niego razem z ulicznym kurzem. Poczułam się nieco rozczarowana, choć agent nadal wyglądał sympatycznie.

Szybko nakryłam do stołu w kuchni. Doszłam do wniosku, że dwóch przybłąkanych agentów z przyszłości nie ma rangi gości honorowych, więc kolacja w kuchni wystarczy. Usiedliśmy z Alekssem do kolacji, nie zapomniałam też o drugim z bohaterów.

– Zawołamy kota? Co prawda zabronił sobie przeszkadzać, ale przecież będzie głodny. Wolalabym się nie narażać na jego gniew straszliwy. Ty go obudź, jak chcesz – rzekłam.

– Wytrzyma do jutra – odpowiedział Aleks, zagryzając kotlet wielką ilością



chleba. Widocznie jednak za mocno się przypalił. Nie ruszyłam swojego, proponując go gościowi. Energicznie pokręcił głową, zapewniając, że już się najadł, a kolacja była bardzo smaczna.

– Jeśli smaczna – odparłam ze słodkim uśmiechem – po co się certolić? Przecież widzę, że naprawdę zjadłbyś jeszcze. Na zdrowie!

I zmusiłam go do zjedzenia także mojej porcji. Z początku bawiło mnie obserwowanie, jak się chłopak męczy, ale wkrótce poczułam wyrzuty sumienia, które musiałam ukoić, serwując memu obrońcy morze kawy i herbaty.

Kiedy Aleks trochę doszedł do siebie, naszła mnie ochota na pogaduszki.

– Właściwie dlaczego nazywasz swojego partnera „agent 013”? Czy on nie ma własnego imienia?

– Przeciwnie, imion ma aż za wiele – odpowiedział Aleks, próbując utrzymać oczy otwarte. Widać morzył go sen.

– Co masz na myśli? Co to za imiona i czemu nie możesz wybrać z nich jakiegoś jednego przyzwoitego? Agent 013... to brzmi jak numer maszyny. Doskonale bezosobowo.

– To nie tak, że ja go nie szanuję. Po prostu kiedy zobaczysz, JAKIE on ma imiona, sama uznasz, że już lepiej nazywać go w ten sposób. Na pewno z wielkim zadowoleniem podyktuje ci całą listę...

– A jak to się stało, że został twoim partnerem? – nie przestawałam się dopytywać. – Czy u was wszystkie zwierzęta są takie wykształcone?

– Nie, na razie tylko ten kot jest jedyny w swoim rodzaju. – Aleks uśmiechnął się. – Na pewno chętnie opowie ci całą swoją biografię. Nie pozbawiajmy go tej przyjemności.

– No dobrze – zgodziłam się, a widząc, że Aleks coraz częściej ziewa, zadałam ostatnie tego wieczora pytanie: – A jak masz na nazwisko?

– Orłów. – Nie wiadomo czemu bardzo się zmieszał.

– Aleks Orłów? – powtórzyłam niepewnie. – Brzmi bardzo swojsko...

– No, niestety, rodzice mnie tak urządzili. – Sądząc z czerwonej łuny na jego obliczu, nie powinnam się spodziewać od Aleksa Orłowa dalszych wyjaśnień. Pozostało mi tylko wstać od stołu i zastanowić się, gdzie go położyć spać.

Kotek spokojnie posapywał w fotelu. Super. Bałam się, że zasnął na

kanapie, a tylko tam mogłam przemocować Aleksa. Agent 013 jak na kota był całkiem sporych rozmiarów, do tego lubił spać „rozłożysto”. Raczej by się nie zmieścili we dwójkę na kanapie. Trzeba by przenosić puchatego agenta na rękach, co jego miłość własna pewnie by ciężko odchorowała. Kiedy pan Orłów nareszcie mógł położyć się spać, zgasłam światło w bawialni i wyniosłam telefon do przedpokoju, żeby zadzwonić do rodziców.

Jak można było przewidzieć, niezbyt się ucieszyli, skoro była już druga w nocy. Naprędce zmyśliłam opowiadkę o tym, że trafiło mi się miejsce na kursie, z asystenturą w perspektywie. Musiałabym wyjechać do innego miasta, za to kursy prestiżowe, z przyzwoitym stypendium, a do tego koszty biorą na siebie zapraszający, więc decydować się muszę szybko, inaczej ktoś wskoczy na to miejsce i po ptokach. Historyjka miała wszelkie pozory prawdopodobieństwa.

Studia przyjdzie mi zwyczajnie rzucić. W sumie gdyby nie ta przeklęta sesja, na uczelni pewnie nawet by nie zauważyli mojej nieobecności. No nic, jakoś to się potem załatwi.

Trochę się obawiałam następnego dnia. Prawdę mówiąc, nawet bardzo, choć w głębi duszy byłam przekonana, że tysiące moich rówieśnic sprzedałoby duszę czartu, żeby się dostać do specgrupy likwidującej rozmaite potwory. Na dodatek w towarzystwie takiego męskiego przystojniaka. Aleks Orłów... Ciekawe, dlaczego on tak nie lubi swojego nazwiska? Nie bardzo chciało mi się wierzyć, że mam we krwi śmiertelny wirus. Wołałabym myśleć, że zwyczajnie spodobałam się temu szarookiemu „Żydowi”. Boże, komu przyszło do głowy przekonywać go, że w naszych czasach ludzie TAK się powszechnie ubierają? No dobra, będziemy razem pracować, osobiście wyśledzę, gdzie i jak on się ubiera – takich spraw nie powinno się powierzać kotu. Mimo wszystko nie czułam szczególnych obaw. Nie płakałam, nie jęczałam i nie wołałam mamy na pomoc...

Oczywiście rozumiałam, że walka z chaosem nie jest jednostronna. Przedstawiciele Mroku nie będą pokornie czekać na swój los, a wręcz przeciwnie, podejmą wszelkie kroki, by przeżyć (oraz być może zlikwidować łowców). Nikt nie może mieć do nich o to pretensji.

Takie to moje zakichane szczęście! Dlaczego nie poszłam tego wieczora do domu inną drogą? Dookoła, zachodząc do koleżanki, do sklepu albo zupełnie

inną trasą? Zresztą po co przegrzewać szare komórki, kiedy już niczego nie można zmienić? Ech, pora spać. Jest, jak jest.



Wczesnym rankiem obudziły mnie odgłosy kłótni dobiegające z sąsiedniego pokoju. Co prawda agenci starali się mówić cicho, lecz podenerwowany kot chwilami raptownie wpadał w wysokie tony.

– Mówię ci, że dowództwu to się nie spodoba – naciskał.

– Wiem, ale co robić? – odpowiedział Aleks.

– Proponuję na razie zostawić ją tu, gdzie jest. Zdamy raport, poradzimy się, pokonsultujemy, dostaniemy nowe zadanie, a po drodze tu wrócimy.

– Jak zdążymy...

Kiedy nareszcie dotarło do mnie, w czym rzecz, wyskoczyłam z łóżka jak na sprężynie. Wleciałam do bawialni jak pocisk. Kot na mój widok wygiął grzbiet w podkowę i zasyczał, a Aleks spadł z kanapy, wytrzeszczając oczy.

– Co jest? – rzuciłam, na poły zdziwiona, na poły rozgniewana. I wtenczas ujrzałam swoje odbicie w lustrze na drzwiach szafy. Czarne włosy w cztery strony świata, jakby piorun strzelił w miotłę, brwi zmarszczone, oczy gorejące... Zero makijażu na bladym obliczu, a całość upchnięta w pomiętej męskiej flanelowej koszuli i getrach. Po prostu młoda baba jaga na kacu! W normalnych warunkach jestem znacznie ładniejsza...

– Wszystko w porządku, to ja – uspokoiliam chłopców, przyglądając włosy.

– Dzień dobry. Jak się spało?

– Wspaniale. – Agent specjalny odkaslnął nerwowo, podnosząc się z podłogi. – Ja nie... po prostu tak szybko... weszłaś.

Tak, nie powinnam się z nimi patyczkować.

– Przypadkiem was usłyszałam. I dlatego oficjalnie oświadczam: żadnych „zostawimy ją tutaj” ani „wrócimy potem”! – Zabrzmiało to stanowczo i bezkompromisowo jak orędzie prezydenta. – Nie mam zamiaru ryzykować. Będziecie gdzieś się pałętać w swoich sprawach, zagapicie się i wrócicie po mnie za miesiąc, kiedy już będzie za późno na terapię. Co to, to nie! Mam jeszcze sporo do zrobienia na tym świecie i zobowiązania wobec rodziny. Ruszamy razem i teraz!

Tu wtrącił się kot.

– Nie znasz naszego szefostwa, mała – zauważył. – Nie pogłaszczcie nas za to, że wmieszaliśmy w agenturalne sprawy postronną osobę, którą w dodatku mielibyśmy taszczyć ze sobą na wszystkie tajne operacje. Nie powinniśmy brać sobie z Alekssem na kark narwanej dziewczyny. Szybkie decyzje często się mszczą, lepiej się zastanowić...

– I co, będę wysłuchiwać takich kazań przez cały ten czas, kiedy będę się z wami szlajać nie wiadomo gdzie, narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwa? – spytałam głośno i wyraźnie, zwracając się wprost do Aleksa. – Całkiem możliwe, że i tak nie zdążę się wyleczyć, zginę bohaterską śmiercią znacznie wcześniej i będę miała pogrzeb z wszelkimi honorami. Aż do mogiły ciemnej mam znosić przytyki tego ogoniastego nadgorliwca? Piękne dzięki, lepiej rzeczywiście zostać w domu.

– Prawda – zgodził się Aleks z przymusem, a spojrzawszy na obrażonego kota, dodał: – Alina ma rację, brachu. Przecież nie jest winna temu, co się zdarzyło, więc pozostaje nam tylko przyjąć ją na członka drużyny. Tymczasowego! Koniec końców, jeśli ją uratujemy, to będzie również swego rodzaju zwycięstwo nad siłami Ciemności.

– W porządku. W takim razie nie stawiam przeszkód. Ale ty jeszcze wspomnisz moje słowa. Jeszcze będziemy mieć z nią niezłe urwanie głowy. Jak to mówią: kobieta na pokładzie... – odparł złowróźbnym tonem gruby nudziarz i wyciągnął ku mnie łapę. – Daj piątkę, młoda! Teraz jedziemy na jednym wózku. Przepraszam, jeśli wydaję się za bardzo czepialski i pedantyczny, ale w naszym zawodzie inaczej się nie przeżyje. A i lata profesury oraz wykładów na uniwersytecie dają o sobie znać... – zakończył z powagą.

Klepnęłam dłonią kocią łapę.

– Jak to? Na dodatek jeszcze profesor? – spytałam przymilnie. – Nie do wiary. Kiedy zdążyłeś? Przecież o ile wiem...

Już miałam palnąć, że wszak koty średnio dożywają ledwie dwunastu lat, lecz w porę ugryzłam się w język. Choć raz.

Kot rzucił mi chmurne spojrzenie, słusznie podejrzewając, że chciałam mu wetknąć szpilę. Tym razem postanowiłam jednak nie przyjmować postawy konfrontacyjnej.

– Do tego trzeba mieć gruntowną wiedzę, poświęcić całe lata na pisanie

dysertacji i tym podobnych dzieł naukowych. Miło znaleźć się w towarzystwie tak inteligentnego i wykształconego dżentelmena – podlizywałam się i sądząc po rozlewającym się po fizjonomii wąsatego agenta wyrazie błogości, trafiłam w dziesiątkę. – Będę się starała jak najrzadziej z tobą kłócić – dodałam solennie.

– Miło usłyszeć takie mądre słowa, zwłaszcza od osoby, od której kompletnie ich nie oczekiwałam – zamruczał ten narcystyczny typek i jeszcze raz podał mi łapę.

Orłów bezceremonialnie przerwał tę idyllę:

– Cieszę się waszym szczęściem, ale zostało nam jakieś pięć minut, żeby się pozbierać. I tak jesteśmy już mocno spóźnieni. Skakać będziemy bezpośrednio stąd, więc Alina, zamknij drzwi od wewnątrz i nie zapomnij wziąć kluczy. A z rzeczy osobistych bierz tylko najbardziej niezbędne. W Bazie dostaniesz kompletne wyposażenie.

– Tak jest! – warknęłam. Nie przywykłam, żeby ktoś mi rozkazywał, choćby nawet takim przyjazno-troskliwym tonem.

Kot tymczasem podniósł łapę.

– Daj spokój, Aleks. Umieram z głodu, a dziewczuszka, jak pamiętam, obiecała podać na stół coś jadalnego.

– Niczego jadalnego nie ma – ostrzegł Aleks kota dramatycznym szeptem, na próżno sądząc, że nie dosłyszę.

– Jak to nie? Po prostu nie chcieliśmy cię budzić wieczorem, ale zostawiliśmy ci kotlet na patelni – oznajmiłam radośnie. Z uciechą zobaczyłam, jak kot co sił w łapach wyrwał do kuchni, ignorując ostrzegawcze znaki partnera. To był jego pierwszy krok w stronę kataru żołądka.

Kiedy wrócił, byłam już gotowa – umyta, uczesana, spakowana na dłuższą podróż, z paszportem w ręku i niewielkim plecakiem na ramieniu. Aleks ponownie wyciągnął komórkę i wybrał jakiś numer. Niejasno spodziewałam się, że nasz superman zacznie się teraz wykręcać, że niby zapomniał wehikułu czasu w pracy, że teleportujemy się jutro i... oj!

ξ

– Nieźle! Jak to zrobiłeś? – wykrzyknęłam, nie kryjąc zachwytu. Znajdowaliśmy się diabli wiedzą gdzie, choć jeszcze przed sekundą staliśmy

w moim przedpokoju. „Diabli wiedzą gdzie” było całkiem adekwatnym określeniem, gdyż podejrzewałam, że samodzielnie nie trafiłabym tutaj, choćbym nawet przejechała całą kulę ziemską wzdłuż i wszerz.

Ze słów mych towarzyszy wynikało, że owo miejsce nosi enigmatyczną nazwę „Baza”. Według mnie był to zwykły hol w biurowcu, a w każdym razie coś bardzo do niego podobnego. Co prawda bez okien, bez tabliczek z informacjami, z gładkimi stalowoszarymi ścianami, w których co pięć kroków tkwiły czarne drzwi. Stało tu kilka prostych krzeseł i nic więcej. Tu i tam przemykali jacyś ludzie w uniformach militarnego kroju, w tym samym szlachetnym odcieniu szarości, z żółtymi emblematami. Mijając Aleksa i agenta 013, witali się krótko i zaraz lecieli dalej, widać nie mając czasu na żadne pogawędki.

Dostałam krótkie instrukcje:

– Słuchaj, Alina, siadaj tutaj i nie ruszaj się nawet na krok, póki po ciebie nie wrócimy. My się musimy przebrać i stanąć do raportu. Zameldujemy o tobie, wyjaśnimy sprawę, a potem razem wyskoczmy na obiad. Jak dobrze pójdzie, dostaniemy nowe zadanie i zmyjemy się stąd.

– A długo to potrwa? – spytałam bez cienia entuzjazmu, nie kwapiąc się siadać na niewygodnym krzesełku. – Ile tu będę kwitła?

– Jakies czterdzieści minut, ale nie sądzę, żebyś się nudziła – rzekł kot, krzywiąc się, gdyż bolał go brzuch. Tę mglistą aluzję zrozumiałam dopiero wtedy, gdy obaj z Alekssem zniknęli w głębi korytarza.

W drugim końcu holu zza rogu wyszedł groźnie wyglądający drab, rażąco wyróżniający się spośród nielicznych mężczyzn, jakich tu widziałam. Przede wszystkim kojarzył mi się z samobieżną reklamą wielofunkcyjnej zbroi rycerskiej. Coś w rodzaju góry połączonych ze sobą różnorodnych blach: nagolenniki, nałokietniki... jakies kolce, ostrogi, a wszystko to obwieszane całym kosmicznym arsenałem. Facet wyglądał jak bojownik z „Gwiezdných wojen”. Wśród dyndającej na nim rozmaitej broni z przyjemnością rozpoznałam znajomy kształt dwupoziomowego blastera. Zachwyciłam się własną inteligencją, że potrafię odróżnić blaster od... od czegoś tam. U boku „rycerza” wisiał duży stalowy miecz. No jasne, niezbędne wyposażenie podczas kosmicznych bitew. Nie sposób się bez niego obejść! Pod pachą typ niósł plastikowy hełm. „Pewnie się boi, żeby mu kto uszu nie odrąbał” –

pomyślałam.





Wojownik zbliżał się, jaśniejąc zyczliwym uśmiechem – niewątpliwie skierowanym do mnie. No, dziewczyno, jest nieźle! Po pierwsze, jeśli zechce się przywitać, pewnie będę mogła zaspokoić ciekawość, wypytując o to całe wyposażenie, gdzie i z kim wojował, i do czego służą te wszystkie dynksy, którymi się obwiesił. Po drugie, skoro jest przyjaźnie nastawiony, nie będę musiała chować się pod krzesło, co miałam zamiar zrobić w pierwszym odruchu. Tak więc jak tylko dryblas podszedł i zaczął bajdurzyć coś o ładnej pogodzie, ochoczo zaczęłam podtrzymywać konwersację.

Raptem jak spod ziemi wyrósł Aleks.

– Co tak szybko? – zdziwiłam się, kryjąc rozczarowanie. – Już zdążyłeś wszystko załatwić?

– Nie, tylko się o ciebie niepokoiłem. Cześć, Steve, znów cię nosi tam, gdzie kosmos drży w posadach? – rzekł Aleks sucho.

– Orłów, cześć! Tak, jak zwykle. Wielkie czyny dla dobra ludzkości to moja specjalność – odrzekł Steve wesóło, ale uśmiech wnet spęzł mu z twarzy. Widać mina Aleksa zasugerowała mu, że powinien czym prędzej się pożegnać, co też uczynił.

– A to co znowu? – spytałam stanowczo. – Żądam odpowiedzi. Ledwo zaczęłam nawiązywać interesującą znajomość, zjawiasz się i wszystko psujesz.

– Noo... pomyślałem, że lepiej jak usiądziesz w poczekalni, a nie tak na widoku. Przynajmniej będę mógł cię przypilnować. A po drugie...

– Nie potrzebuję niańki! – Aż tupnęłam nogą. – A w ogóle jestem pełnoletnia i o ile sobie przypominam, miałam być pełnoprawną partnerką, tak czy nie?

Szarooki grubianin bez zbędnych słów złapał mnie za rękę i powlókł za sobą. Z początku próbowałam się wszelkimi siłami wrywać, przysiadłam, zapierając się o podłogę obcasami, a nawet gryzłam. Bez skutku. Przechodnie zaczęli się za nami oglądać, lecz agent ani myślał mnie puścić, więc ostatecznie musiałam zaprzestać prób odzyskania wolności. Tym bardziej że nikt ani myślał ratować „ofiary męskiego szowinizmu”. Pozwoliłam się prowadzić nadaśana i ze spuszczoną głową. Aleks zerkał na mnie spod oka kilka razy, aż w końcu nie wytrzymał:

– No dobrze, nie miałem racji. Przepraszam, że byłem szorstki. Po prostu

teraz za ciebie odpowiadam i nie chcę zostawić cię samej. Rozumiesz, odpowiedzialność... W zasadzie się nie znamy, ale odnoszę wrażenie, że często się pakujesz w jakieś nieprzyjemne historie. Zwłaszcza kiedy pomyśleć o okolicznościach, w jakich się spotkaliśmy.

– Moją największą nieprzyjemnością jesteś ty! Generalnie jestem czysta jak świeży śnieg! – wycodziłam wciąż urażona. – Nie próbuj odwracać mojej uwagi. Jakież to niebezpieczeństwo mogło mi grozić ze strony Steve’a?

Aleks zmieszał się jakby.

– W sumie Steve to swój chłopak – odpowiedział w końcu – ale ten model jest już trochę przestarzały i często się zaciera.

– Że co?!

– Steve to biorobot – tłumaczył Aleks dalej. – A zaciera się najczęściej przy ładnych dziewczynach. Za bardzo się daje ponieść emocjom i trzaskają mu bezpieczniki. Technicy ledwo nadążają wymieniać.

Z trudem przełknęłam ślinę, wspomniawszy, że gość, o którym mowa, był ode mnie wyższy o dwie głowy i pewnie ze dwa razy cięższy. Podnieconych robotów maniaków o gabarytach ciężarówki dotąd w życiorysie nie miałam.

Widząc moją minę i śmierć w oczach, Aleks parsknął stłumionym śmiechem i dodał:

– Tak, a wtedy już mu nie ujdiesz. Jeszcze nikt nie zdołał uciec, kiedy Steve zacznie głądzić o swoich przygodach podczas walk ze straszliwymi potworami z innych planet. Potrafi tak nudzić trzy godziny non stop.

Oślupiałam. On się normalnie ze mnie nabija! Odwróciłam się do niego purpurowa, nie mogąc powiedzieć ni słowa ze złości, a ten kretyn tylko się roześmiał.

– Żartowałem! Uspokój się, proszę – powiedział szybko, widząc, że sekundy dzielą mnie od wybuchu. – Owszem, to był faktycznie robot, z wyglądu i charakteru całkiem jak człowiek. Dla nas to codzienność. Nie myślałam, że tak sobie weźmiesz do serca problemy Steve’a. A poza tym powinnaś przejść badania.

Akurat stanęliśmy na progu wspomnianej przez Aleksa poczekalni.

– Co to za badania? – Uczepiłam się jego ręki, zapomniawszy o urazie. – Będzie bolało?

– Nie, skąd znowu? To głównie testy. Nie chodzi tylko o zdrowie, ale też o

profil psychologiczny. Rozumiesz, nie każdy jest w stanie wycelować i pociągnąć za spust, nawet jeśli po drugiej stronie lufy znajduje się wróg ludzkości. To niezbędne, żeby cię przyjąć do oddziału. Mam nadzieję, że nie cierpisz na epilepsję? – spytał z nieskrywanym zainteresowaniem, a nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał pod nosem jakby do siebie: – Mam nadzieję, bo jak tak na ciebie patrzę, to czasem wątpię w twoje zdrowie psychiczne...

Z niewysłowioną rozkoszą kopnęłam go w goleń, lecz okiełznałam tę ochotę wielkim wysiłkiem woli. By do reszty ochłonać, zaczęłam się rozglądać po pokoju, do którego weszliśmy. Obok drzwi stało biurczko, zapewne należące do sekretarki. Na nim komputer, kwiatki w wazoniku i stosiki dokumentów. Na ścianie wisiał obraz z marsjańskim krajobrazem. Zresztą może i nie był to żaden marsjański landszaft, ale zawsze tak nazywam malunki, które nie wiadomo co przedstawiają i wszystko jedno, czy się je powiesi normalnie czy do góry nogami.

Orłów tymczasem gdzieś wyparował. A zamiast niego w owalnych, rozsuwających się w obie strony drzwiach pojawiło się szokujące zjawisko: ogromne zielone stworzenie o ramionach szerokich jak sztanga, a sądząc po jaskrawej szmince na wargach, była to istota płci żeńskiej. Odziana w służbową garsonkę, na guzowatych nogach miała cienkie pończochy. Jej doskonale okrągłą głowę ze spiczastymi uszami zdobiły długie blond loki – mogłabym przysiąc, że to była peruka. Istota obdarzyła mnie łaskawym spojrzeniem świńskich oczek i ukazała szczerbate zęby w rozbrajającym uśmiechu. Nogi mi zmiękły w kolanach, inaczej chyba uciekłabym stamtąd z szybkością charta.

– Dzień dobry, czy pani... – zerknęła na dokument trzymany w ręku – Alina Safina? Ma pani skierowanie do grupy specjalnej uprawnionej do chwytania i unieszkodliwiania potworów oraz zwierzołaków we wszystkich strefach czasowych, wymiarach i rejonach geograficznych planety Ziemia. Ze względu na nadzwyczajne okoliczności, że tak powiem...

– Yek... – wykrztusiłam w odpowiedzi. Jeszcze nie byłam w stanie wydobyć z siebie dźwięków artykułowanych. „Kobieta”, według wszelkich oznak zatrudniona tu na stanowisku sekretarki, uznała to za odpowiedź twierdzącą.

– W takim razie proszę za mną. Zadamy pani kilka pytań.

W gruncie rzeczy nie było się czego bać. Położyłam rękę na jakimś szklanym ekraniku, pojawiły się na nim cyferki, zatańczyły światełka, zamrowiły mnie końce palców i było po wszystkim. Ze szczeliny drukarki wypełził papierowy wydruk z oceną stanu mego zdrowia. Grupa krwi, ciśnienie, tętno i tym. podobne aż do współczynnika rozwoju fizycznego i umysłowego. Potworzyca za biurkiem porównała moje dane ze schematem i dziwnie się uśmiechając, pogratulowała mi z okazji przyjęcia na okres próbny. Widocznie, chwala Allahowi, pasowałam do ich standardów. O tym, że w mojej krwi pływa sobie potworny wirus, taktownie nie wspomniano. A może nikogo to nie obchodziło? Zdaje się, że tutaj wszyscy są trochę... Po upływie pół godziny, skończywszy ze wszystkimi obrazkami i papierkami, siedziałam przy stoliku w jadalni pod ogromną półprzezroczystą kopułą i popijałam herbatę z plastikowego kubeczka. Naprzeciwko usadowił się agent 013. Kotasek grubasek, jak go nazywałam na własny użytek, z pietyzmem kroił i spożywał befsztyk, posługując się nożem i widelcem. Pierwszy raz widziałam kota, który tak perfekcyjnie manipulował sztucami. Ba, w ogóle nigdy nie widziałam kota, który miałby jakiekolwiek maniery przy stole.

– Słuchaj, dziewczyno, jak będziesz tak siedzieć i gapić się na mnie, kurczak ci całkiem wystygnie – zauważył mój nowy współpracownik i delikatnie otarł wąsy serwetką.

Wyglądał niesłuchanie poważnie. Może dlatego, że miał na sobie służbowy uniform – czyli kamizelkę z takiej samej tkaniny jak mundur Aleksa z tajemniczym żółtym emblematem na piersi. W podobnych strojach chodziło tu bardzo wiele osób. Udając posłuszeństwo (wiedziałam, że kocisku sprawi to przyjemność), spróbowałam kurczaka, a wtedy zdałam sobie sprawę, jak bardzo zgłodniałam. Widząc mój zdrowy apetyt, grubasek łaskawie pokiwał głową.

– No i jak ci się podoba u nas w Bazie? – zapytał dumnie, przełknąwszy łyk wody mineralnej.

– W porządku, tylko trochę mnie niepokoją różne dziwne stworzenia, które kręcą się dokoła. – Zniżyłam głos, nachylając się do puszystego ucha. – Na przykład ten dziwak bez głowy, co sprząta naczynia. Przecież on to robi na oślep, a tak zręcznie mu idzie... Albo ten z siną twarzą i pętlą na szyi, co stoi za ladą, wydając dokładki.

– A, to nasze miejscowe potwory. Nie zwracaj uwagi. Rozumiesz, oni mieli wybór: albo bezpowrotnie do grobu, albo zostać w Bazie i robić coś pożytecznego dla społeczeństwa. Ci dwaj akurat wybrali wariant drugi. Służyć ludzkości to oczywiście znacznie ciekawsze niż dokarmianie robaków. A ten siny z wywalonym językiem to nasza, moja i Aleksa robota – oznajmił kocur dumnie, mrugając porozumiewawczo.

– Yek... – wyrwało mi się znowu. Ostrożnie odsunęłam się od emanującej samozadowoleniem mordy przedstawiciela kotowatych. Od samego początku nie podobał mi się dziwny błysk w tych zielonych ślepiach. – Czyli co, powiesiliście tego biedaka, nieważne kim był i co zrobił, a teraz jeszcze cynicznie się tym przechwalasz?!

Koci profesor zdumiał się i oburzył.

– Jak możesz mnie podejrzewać o takie okropności? Wręcz przeciwnie, zdjęliśmy z niego klątwę. Parę wieków temu ten młodzieniec popełnił samobójstwo. Od tamtej pory jego duch nie mógł znaleźć spokoju. Jako nadgniły trup miotał się po świecie i dusił tych, co byli winni jego śmierci, jak sądził. A potem ich potomków, krewnych, przyjaciół i nawet zwykłych znajomych...

Z litością popatrzyłam na sinego stołówkowego, który w tym momencie akurat tłukł ścierką po łapach jakiegoś niecierpliwca, próbującego się wepchnąć poza kolejkę. Zobaczywszy, że patrzymy w jego stronę, uśmiechnął się przyjaźnie, pokazując dwa idealnie równe rzędy długich poczerniałych zębów. I pomachał nam ręką. Agent 013 w odpowiedzi pomachał mu łapą.

– Ale dlaczego? Czemu ten nieszczęśnik zdecydował się na taki desperacki krok? – spytałam, czując nagły przyływ współczucia, i otarłam ukradkiem łzę.

– Ach, banał. Długi karciane – westchnął kot. – Wierzyście naciskali, a kiedy nie miał już gdzie się schronić, spróbował uciec w zaświaty.

Tymczasem wisielec wojował z jakimś skrzatem, który usiłował mu gwizdnąć sprzed nosa kawałek keksu. Nie bacząc na groźną ścierkę, przestępca umknął jednak z łupem, tylko mignęły jego brudne pięty.

– Nigdy nie mogłem pojąć, dlaczego hobbici nie noszą butów – mruknął kot w zadumie, dłubiąc w zębach wykałaczką.

– Ty też nie nosisz – zauważyłam, mierząc go wzrokiem od stóp do głów. Właściwie i mnie od dawna to interesowało: dlaczego hobbici zawsze chodzą

na bosaka? Latem i zimą, przy czym potrafią przemierzyć tak ogromne odległości, jak choćby w tej słynnej historii o Pierścieniu. Do tego nigdy nie dostają kataru ani nie wbijają im się drzazgi. Mogliby aż tak nie oszczędzać na łapciach...

– Ja mam na łapach poduszcзки – odparło kocisko z godnością, oglądając sobie pazury. A widząc w moich oczach nieme pytanie, spokojnie wyjaśniło: – Owszem, to jeden z narażonych na kontakt z Pierścieniem. Kiedy go pod groźbą odbierają, nie przechodzi to bez śladu w psychice. Pierścień oczywiście jest fałszywy, jak zapewnia lekarz. A ty pewnie chciałybyś się dowiedzieć, co tu porabia hobbit? Otóż właśnie przechodzi rehabilitację w naszej klinice.

– To wy macie tutaj klinikę dla hobbitów? – wytrzeszczyłam oczy.

– Nie tylko, chociaż hobbitów bez piątej klepki tam pełno. Oczywiście nie wszystkie są byłymi „szczęśliwymi właścicielami” Jedyne Pierścienia. Zastanawiasz się, jakie mogą mieć problemy? Jak by ci to wytłumaczyć...?

W waszych czasach istnieją takie terminy, jak „syndrom czeczeński” albo „syndrom Zatoki Perskiej”, a oni mają „syndrom Mordoru”, rozumiesz?

– Aha...

Jakoś nie miałam ochoty zgłębiać tematu nieszczęsnych mieszkańców Hobbitonu. O elfach, proszę bardzo, lecz kot nie był w nastroju.

Dojadłam kurczaka i dopiłam herbatę. Wolałabym kompot – wiedziałam, że jest, bo Mruczek przyniósł go sobie i sam cały wypił, bałam się jednak podchodzić wisielcowi pod karzącą rękę. Nie dowierzałam zapewnieniom tłuściocha, że teraz, kiedy siny stołówkowy widział nas razem, zawsze mam zagwarantowaną dokładkę i kompocik gratis. Poprosiłam kota, żeby mi przyniósł szklanekę, ale ten leniuch wykręcał się tak długo, aż straciłam cierpliwość i pociągnęłam go za ogon. Tak go obraziła ta poufałość, że zaczął udawać głuchego i niemego.

Akurat zjawił się Aleks, obejrzał sobie nabzdyczonego towarzysza, dowiedział się o moim pragnieniu i poszedł po kompot. No i dobrze, gdyby odmówił, następstwa mogłyby być groźne. Potem wystąpił jako rozjemca między mną a miauczuchem i doprowadził do zawieszenia broni. Kiwnęliśmy sobie głowami, lecz ręki podać kotu nie chciałam. Splotłam demonstracyjnie ramiona na piersi, a on zrobił dokładnie to samo.

– Jeśli tak się będziecie zachowywać, nie będziemy mogli być w jednej

ekipie – orzekł Aleks, usiłując być surowym, ale w końcu machnął ręką. – A czort z wami! Słuchajcie. Dali nam nowe zadanie. Wyprawimy się do

Japonii. Wiek XVI, miejsce: lasy na wyspie Hokkaido, obiekt: upiory rokurokubi.

– Ble...? To znaczy: że jak? – nie wytrzymałam.

– Rokuro-kubi czyli Bezgłowe Upiory Mroku! To człekokształtne kreatury terroryzujące tamtejszą wieś. Za dnia zachowują się jak całkiem zwyczajni ludzie, a po zmroku przekształcają się w bezgłowe potwory. Jak sądzę, będziemy mieli z nimi do czynienia nocą, bo wtedy właśnie ich głowy wylatują na polowanie, a ciała leżą bez ruchu w położeniu horyzontalnym. Żywią się ludzkim mięsem. Szczegóły są w tym dossier. – Aleks klepnął dłonią przyniesioną teczkę i rzucił ją na stół. – Przejrzymy po drodze. Teraz zjem obiad, potem wybierzemy się do magazynu po odpowiedni sprzęt i ciuchy dopasowane do tamtych czasów. Ale najważniejsze... – zatarł ręce z błyskiem w oku – podwójne racje żywnościowe!

– A potem? – spytałam niecierpliwie.

– Akcja. Po przydziale gratów zawsze akcja – zakomunikował mi kot, robiąc pierwszy krok ku pojednaniu. – Uwierz memu doświadczeniu, gdzie żarcie, tam i zadanie, a jak przydział podwójny, to znaczy, że i akcja będzie wyjątkowo trudna. Będziem proch wąchać, pod ostrzałem będziem pętać, pod bombami zygzakiem biegać... Ech, czegożeśmy już nie przeszli...!

– Mógłbyś oszczędzić sobie i nam tego patosu? – spytał Aleks ironicznie. (W szarym mundurze było mu bardzo do twarzy – to tylko moje osobiste spostrzeżenie, bez związku ze sprawą). – Lepiej powiedz: jak dobrze władasz samurajskim mieczem?

– Yekk... – Sama już nie wiem, czy to byłam ja czy może nasz ogoniasty łakomczuch.



– Och, jak tu... to miejsce... Kraj Wschodzącego Słońca! Czy wy wiecie, chłopaki, że wycieczki do Japonii są najdroższe? I pomyśleć, że jeszcze wczoraj nie marzyłam nawet o Egipcie last minutę!

Kot w zadumie przyglądał wąsy i zdawało się, że się uśmiecha, patrząc na mnie. Aleks, mrużąc oczy w słońcu, też się uśmiechał. Miałam nadzieję, że

cieszy się moim szczęściem, a nie podśmiewa ze mnie. To drugie mogło być całkiem prawdopodobne, gdyż kostium, który wyfasowałam w magazynie, niezbyt dobrze leżał. Elementarne poczucie niewygody podpowiadało, że gejsze chyba się tak mocno nie ścisnęły, a na nogach raczej nosiły coś bardziej przyzwoitego od morderczych drewnianych kłapaczy.

Natychmiast o tym wszystkim zapomniałam, kiedy przed moimi oczami rozpostarł się cudowny pejzaż, przy którym bladły wszystkie widoki, jakie do tej pory oglądałam.

Z prawej strony, nieco wyżej, burzył się wodospad, a za wysokimi drzewami prawdopodobnie krył się kamienisty górski potok. Same góry były doskonale widoczne, a ich łagodne stoki pokryte zielenią były jak mistrzowskie pociągnięcia pędzla magicznie przeniesione tutaj z arcydzieła Hokusai.

– Cieszymy się, że ci się podoba. – Kot ukłonił się dwornie. Był ucharakteryzowany na zwykłego kota, czyli „ubranego” we własną przegowaną skórę. Tylko ślepia mu chyba przerobili, bo miał teraz „japońskie” wąskie szparki.

Aleks natomiast przeistoczył się w wędrownego samuraja. Nie mogłam przyzwyczaić się do jego świeżo wygolonej łysiny i przyklejonych do piersi włosów. U Japończyków podobno jest to oznaką męskości! Według „legendy” Orłów był samurajem wysokiej rangi, może nawet prawie szogunem ze strasznie starego rodu, i właśnie w podróży wypełniał przysięgę daną swojemu dziadowi. To tak pokrótce. A ja byłam jego dawną znajomą, którą spotkał po drodze. No, rozumiecie, idzie sobie samuraj borem, lasem, a tu bach! zasuwa młoda gejsza. A że idą w tym samym kierunku... Taki miły przypadek. Co za dęte dyrdymały... Mruczek miał być moim ukochanym kotkiem, a w bonusie dostałam głuchotę i niemotę od urodzenia, bo japońskiego nie znam ni w ząb. Głuchoniema gejsza! Wyobraźcie sobie, jak mogłabym w takich warunkach „bawić gości śpiewem i konwersacją w czasie ceremonii herbacianej”?! Doprawdy, to mógł wymyślić tylko kot z wyższym wykształceniem. Co mnie zaskoczyło, kocur władał japońskim doskonale, a i Aleks mówił w tym języku bez śladu obcego akcentu. Jasne, że moje nieuctwo ich bawiło. Już się chciałam obrazić, kiedy „dzielny samuraj” powiedział:

– Agenci specjalni przechodzą przyspieszone kursy językowe. Oczywiście nie waszą prymitywną metodą wkuwania na pamięć. Po prostu wprowadza się



wiedzę bezpośrednio w podświadomość. Postanowiliśmy nie poddawać cię tej procedurze. Po co obciążać mózg niepotrzebną informacją? Nie przypuszczam, żeby kiedykolwiek przydała ci się znajomość starożytnego dialektu, jakim się posługiwali Ajnowie na Hokkaido. Wystarczy, że my z agentem 013 rozumiemy tubylców.

– Jasne, przyjęłam... Na drugi raz bądź tak uprzejmy i pozwól, że sama zdecyduję, czy powinnam znać język szesnastowiecznych Ajnów czy też nie. Choćby dla odmiany zainteresuj się, jakie mam zdanie – oświadczyłam jadowicie.

– Wspaniale. A może jeszcze sama przeprowadzisz tę operację? Zrób mi tę łaskę, sama ułóż plan pozbycia się upiorów, uwolnij od nich okolicę, pobierz krew na szczepionkę... Wtedy my, niedoświadczeni i niedouczeni, nie będziemy ci przeszkadzać w zbożnym dziele. – Agent ukłonił się demonstracyjnie, obdarzywszy mnie tak chłodnym spojrzeniem, że się nawet troszkę przelękałam, ale zaraz się opanowałam i Wzięłam w garść.

– Ależ skąd, dowódco. Jestem na twoje rozkazy, ja – twój ostatni kamikadze. Tylko nie pęknij z pychy, bo umrę tu na miejscu ze śmiechu, o wielki strategu!

– Tak, dziewczyno, strateg z niego żaden – wtrącił się kot wyraźnie zadowolony z naszego sporu. – Na ogół wszystko planuję ja. Zawsze byłem mózgiem każdej operacji, co znaczy, że najważniejsza robota spadała na mnie. Prawda, partnerze?

– Możesz nadal w to wierzyć, jeśli cię to uszczęśliwia – burknął Aleks.

Pomyślałam, że będę miała twardy orzech do zgryzienia ze swoimi dziecinnie chępliwymi kolegami. Sprzecząc się głośno po drodze, zaczęliśmy schodzić ze wzgórza. Nie mieliśmy mapy, ale kot twierdził, że ma wrodzone wyczucie kierunku. W dole na skraju lasu stała maleńka krzywa chatynka kryta słomianą szerniałą strzechą. Kot oświadczył, że upiory żyją właśnie w tym zielonym lesie, żeby jednak dowiedzieć się o nich czegoś więcej, należałoby rozpytać okolicznych mieszkańców. Może powiedzą coś nowego i pożytecznego, uzupełniając to, co już się znajduje w służbowym dossier. Nie bardzo się paliłam do znajomości z tymi „głowaczami”, lecz nie chciałam, żeby moi towarzysze uznali mnie za tchórza. Tak więc ani pisnęłam nic w rodzaju „nie chcę, nie mogę, nie będę”, choć zasadniczo mogłabym.

Kiedy już podeszliśmy do chatki, Aleks zastukał do drzwi. Głucha cisza i

„trzy głowy Lenina znad pianina”, jak to w piosence śpiewali.

Oczywiście żadnych głów nie było, z pianinem czy bez. Wokoło nie widziałam również żadnych oznak życia – nawet samotnej kury, kaczki albo gęsi ani hałaśliwego kundla przy budzie, stałego elementu każdego wiejskiego podwórka. Bohaterski agent zaczął mocniej dobijać się do drzwi, a ja kopnęłam w nie parę razy swoimi drewnianymi geta. W sensie obuwniczym były okropnie niewygodne, lecz nieoczekiwanie pomogły przy nawiązaniu kontaktu z gospodarzami.

– Czego? – usłyszeliśmy niechętny głos z wnętrza chaty. Oczywiście jego właściciel mówił w swoim narzeczu, ale łatwo mogłam się domyślić, o co chodzi.

– Powszechny spis ludności! – obwieściłam gromkim głosem, zapomniawszy, że jestem oficjalnie głuchoniema i do tego nie znam miejscowego języka. O dziwo, drzwi się otworzyły. Intonacja moich słów musiała jakoś przekonać Japończyka, że ma do czynienia z ważną personą. Spojrzałam na Aleksa z tryumfem.



Nadeszło już południe, a przybyliśmy z rana, więc wychodziło na to, że będziemy jeść obiad u gościnnego myśliwego. Domek w środku był przestronniejszy, niż wydawało się z zewnątrz. I w sumie dość czysty. Tylko po kątach dojrzałam parę pajęczyn. Na podłodze leżały żółte maty ze słomy, a przy drzwiach nawet szmata do wytarcia butów. Umeblowanie typu minimum: kilka futer na ścianach, duży dzban z wodą, malutkie palenisko i niziutki stół – nie wiadomo czemu zakurzony. Gdy weszliśmy, zdjęliśmy obuwie, jak nakazywał obyczaj. Gospodarz, mężczyzna mniej więcej trzydziestoletni o przyjemnej powierzchowności, kłaniał się co chwila jak tresowana papuga, starając się nam we wszystkim usłużyć. Nie bez znaczenia było to, że Aleks wyglądał jak samuraj – człowiek wysokiej rangi! „Kwiat to pąk sakura, mężczyzna to samuraj” – czy jakoś tak. Arystokratyczne pochodzenie, przynależność do szlacheckiego rodu, prawo do „próby miecza”... W oczach prostych ludzi to wszystko dodawało mu znaczenia, w moich – seksowności.

Jak się okazało, myśliwy, którego zwano Fudzuma, nie mieszkał tu sam, ale z całą watahą chojraków – krewnych i przyjaciół – którzy w tej chwili

przebywali poza domem, załatwiając swoje sprawy. Mieli wrócić pod wieczór. O tym wszystkim dowiedziałam się od kota, kiedy nasz gospodarz oddalił się, by ugotować soję na obiad.

My mieliśmy ze sobą worek z sucharami i suszoną rybą, było w nim też krzesiwo, papierowy parasol na wypadek deszczu, płaszcze z tkaniny konopnej i różne drobiazgi w rodzaju igieł, nici lub drewnianych miseczek do ryżu. Jeszcze w czasie przygotowań spytałam Aleksa, dlaczego nie bierze ze sobą broni ze swojej epoki – byłaby przecież o wiele skuteczniejsza. Okazało się, że nie jest to takie proste. „Powinniśmy działać w realiach konkretnej epoki i nie możemy brać ze sobą na akcje przedmiotów nieistniejących w danym czasie i miejscu. A tym bardziej używać ich w celu wykonania zadania, narażając się na dekonspirację i zakłócenie ogólnej równowagi świata. Wolno posługiwać się tylko bronią miejscowej ludności” – oświadczył wtedy agent.

„Popisuje się – dodał kot pod nosem. – Polowanie na latające głowy z bronią laserową jest dla niego za proste. Och, Alinko, jakichże komplikacji byśmy uniknęli, gdyby on tylko chciał słuchać rad specjalisty”.

Niebawem gospodarz zawołał nas do stołu. Przysiedliśmy na matach z podwiniętymi nogami, jak najprawdziwsi Japończycy. Wyciągnęliśmy z zapasów suchary i z zadowoleniem zaczęliśmy pałaszować sojową potrawkę z garnuszków, które myśliwy postawił na stole. Były tam też nakrojone warzywa, niezbyt świeże, ale nasze wygłodzone żołądki przyjęły je bezkrytycznie. Ostatecznie śniadanie jedliśmy ładne kilka godzin temu.

– Słuchaj, kiedy ty go zapytasz o upiory? – wyszeptałam do Aleksa i zaraz zakaszlałam, bo ziarna soi już mi poczęły stawać w gardle.

Pseudosamuraj spiorunował mnie wzrokiem.

– Zapomniałaś, że masz udawać głuchoniemą?! – wysyczał.

– Nikt mnie nie pytał o zdanie! A ten tu i tak po rosyjsku nie kuma – odparowałam. – Już ze dwie godziny milczę jak głupia. Przez ten czas każdy mógłby uwierzyć, że jestem niema, dlatego teraz mam prawo mówić, ile chcę!

– Ej, wy tam! Przepraszam, że przerywam, ale napychacie sobie brzuchy jak ostatni egoiści, a żeby mnie nakarmić, żadne nie pomyśli, choć patrzę i łykam ślinę! – wypalił w tym samym momencie kot i walnął łapą w stół.

Gospodarz w osłupieniu tylko wodził po nas okrągłymi z szoku oczami. Wreszcie ocknął się, zerwał z podłogi (wszyscy siedzieliśmy na podłodze,

zadnego krzesła dla gości, skandal) i z krzykiem wypadł z chaty.

– No i proszę, wszystko zepsułaś! – wycedził Aleks tonem nie wróżącym niczego dobrego.

– Dlaczego zaraz ja?! Biednej gejszy pod wpływem smaku soi cudownym sposobem przeszła stuletnia wrodzona niemota i oto przemówiła w nieznanym obcym języku. Takich rzeczy w „Encyklopedii tajemnic i zagadek” jest od metra! Ale gadający kot... Winny jest ten żarłok i kropka!

Agent 013 na takie dictum zastygł jak wypchana figurka z łapą wyciągniętą ku miseczce z gotowaną soją i z zupełnie nieprofesorskim, tępym wyrazem mordy.

– No i dobrze... Gospodarz jakoś nie wraca, znaczy, że możemy zatrzymać lokal. Zawsze marzyłam o takim domku pod lasem.

– Marzyłaś! Zaczeka na swoich kamratów i razem nas stąd wykurzą, wzięwszy za demony. A co tu robisz z demonami, możesz się domyślić sama. Oczywiście będę cię bronić do ostatka, ale ten ostatek może nadejść całkiem szybko. Tutejsi ludzie są bardzo przesądni. Oho, zdaje się, że już idą...

Na zewnątrz rozległy się okrzyki ludzi i tupot wielu stóp. To było niepokojące, lecz nie ma sytuacji bez wyjścia... raczej nie ma.

– A może oddamy im kota? – błysnęłam conceptem, udając, że nie widzę, jak agentowi 013 powoli opada szczeka. – Gadający kot powinien być głównym demonem, wtedy nas wypuszczą. W końcu my jesteśmy ludźmi, zwykłymi podróżnymi. A grubasa, jak myślę, będą torturować, potem powieszą, a na koniec spalą. Przykra sprawa, ale lepiej poświęcić jednostkę dla dobra ogółu.

– Całkiem logiczne – zgodził się Aleks po krótkiej chwili namysłu. – Na razie jednak nie będziemy nikogo oddawać. Poczekamy, niech pierwszy krok zrobią tamci.

Kot przysiadł się bliżej niego, gapiąc się na mnie w ponurym milczeniu. Krzyki dobiegające z lasu ucichły, mimo to jakoś nie chciało się wierzyć, że zostawiono nas w spokoju.

– Aleks, może wyjrzysz i sprawdzisz, czy naprawdę sobie poszli? – odezwałam się. – Może robią jakąś pułapkę? – Ta cisza mnie denerwowała.

Wzruszył ramionami, wstał i skierował się do wyjścia.

– Stój! – wrzasnęłam nagle, aż agent stanął jak wryty. Rzuciłam się ku niemu niczym bohaterka romansu, roniąc należycie łzy. – Jeśli nie wrócisz... –

zaszlochałam dramatycznie i w tejże chwili moją uwagę przyciągnął osobliwy medalion wiszący na szyi Aleksa. Zauważyłam go już wcześniej, lecz jakoś nie było okazji zapytać, a mnie męczyła okrutnie ciekawość: co to takiego? Wszelkie romantyczne porywy natychmiast wywietrzały mi z głowy. – Słuchaj, a po co ci ten wisiołek?

– Eee... – Aleks zacukał się. – To... eee... translator. Pozwala rozumieć język rozmówcy i odwrotnie, mówić nim.

– A-ha, to tak wygląda „ekspresowa metoda nauki japońskiego”?! Kot pewnie ma taki sam?

Tu kocur nie wytrzymał.

– Nic podobnego! Jestem lingwistą i od dziesięciu lat biegle władam językiem japońskim, łącznie ze starożytnymi dialektami. No, ale wiadomo, nie wszyscy mają zdolności językowe!

Nasz samuraj wyraźnie się spieszył.

– Ta operacja nie wymagała specjalnego kursu językowego, bo jest bardzo krótka, w założeniu ma zająć nie więcej niż dwie doby. Nie przewidziano ścisłego kontaktu z tutejszymi mieszkańcami. No dobra, idę. – Obrócił się ku drzwiom.

– Idę z tobą! – powiedziałam szybko, zagradzając mu drogę. – Nie zostawiaj mnie tu samej!

– Nie będziesz sama, tylko z agentem 013. On się o ciebie zatroszczy – zapewnił Aleks.

Zza ścian nie dobiegał żaden dźwięk. Gdzie podziali się ci wszyscy ludzie? Słyszeliśmy ich dopiero co. Na sto procent czaili się gdzieś w pobliżu – pewnie za tą górą, którą pokonaliśmy na ostatnim etapie wędrówki. Twardo postanowiłam iść z Alekssem, mając nadzieję, że uda nam się dogadać z wieśniakami i przedstawić argumenty na to, że nasz kot nie jest demonem. Czy może owszem: demonem, ale demonem dobrym! Przedstawiłam zarys historyjki kolegom, a oni po namyśle uznali pomysł za niezły. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy iść we trójkę, jako że koci profesor miał konkretną wizję:

– Powiem im, że jestem kotem, który doznał oświecenia i dzięki łasce niebios nauczył się mówić! Ten cudowny dar otrzymałem całkiem niedawno, żyjąc w tym samym klasztorze, w którym do niedawna mieszkała też nasza

niema gejsza. Spędzałem tam czas na nieustannych modlitwach i postach, by uwolnić się od płochych pokus ziemskiej egzystencji, aż nareszcie osiągnąłem nirwanę i otrzymałem dar ludzkiej mowy. Najwidoczniej niebiosy podarowały mi go po to, bym niósł świętą wiedzę ludziom.

Kot wpadł w taki zapał, że chyba sam uwierzył w tę bajeczkę – lecz tym łatwiej mu będzie przekonać innych. Dowódca kazał nam stanąć po bokach drzwi, sam zrobił straszliwą minę, obnażywszy swój samurajski miecz. Ja uzbroiłam się w nóż (na wszelki wypadek, choć jako żywo jeszcze nigdy nikogo nie zarzynałam), a potem Aleks kopniakiem otworzył drzwi.

Nic. Spodziewaliśmy się kamieni, strzał, kawałków gałęzi...

– Nie ma nikogo w pobliżu, za to za tym pagórkiem wyraźnie coś się rusza. Na bank ktoś tam siedzi, a sądząc z ilości rohatyn sterczących nad krzakami, siedmiu albo ośmiu ludzi – zakomunikował.

Wyjrzelśmy z kotem na zewnątrz i przyznaliśmy mu rację. Wyszliśmy całą trójką na dwór i Aleks podjął rozmowy dyplomatyczne. Oczywiście nie rozumiałam z tego ni słowa, lecz kiwające się nad górką rohatyny zamarły bez ruchu, jakby siedzący w zasadzce tubylcy słuchali przemowy z ogromną uwagą. Nie upłynęła nawet minuta, gdy nad krzakami pojawiło się nie mniej niż dziesięć japońskich głów, a w naszą stronę poleciał grad kamieni. Jak pragnę zdrowia, gdybyśmy się w porę nie wycofali, wybiliby nas jak kaczki! Lubię to słówko „gdyby” – zwykle oznacza wywiniecie się z trudnej sytuacji.

Ledwo zatrzasnęliśmy za sobą drzwi, zorientowaliśmy się, że na zewnątrz został kot. Z racji niewielkiego rozmiaru trudniej było go trafić i nie oberwał po głowie. Poza tym święcie wierzył w moc swoich talentów oratorskich. Na próżno wołaliśmy, aby wrócił. Kiedy usiłowaliśmy mu przemówić do rozsądku, prychnął tylko, że mamy siedzieć spokojnie i nie wychylać się. Po czym kocisko wzięło się do rzeczy.. Jak i poprzednio, siedziałam jak na tureckim kazaniu, podsłuchując przez drzwi i nie rozumiejąc kompletnie nic, ale... najwidoczniej miał taką siłę przekonywania, że napastnicy przestali nas bombardować – i tylko głos złotoustego agenta 013 płynął w błogosławionej ciszy.

– Ten to i umarłego nawróci, a ci tam przecież żywi – odezwał się Aleks beztrąsko, wydobywając suchar z worka, kiedy ja podglądałam przez szparę w drzwiach. – Chcesz? Zostało też trochę soi.

– Dzięki, nie chcę się rozpęknąć w kwiecie wieku – odrzekłam. – Długo on tak będzie głądzić? Po obiedzie zawsze chce mi się spać...

Ziewnęłam. Oczy mi się kleiły już od dobrych trzydziestu minut, a kocur nadal natchnionym tonem wygłaszał swoje kazanie – nijak inaczej nie mogłam tego nazwać.

– Aż tamci przyjmą jego punkt widzenia na Boga, filozofię, religię, pochodzenie rzeczy i sens bytu – odpowiedział Aleks spokojnie i zachrzącił sucharem.

Kiedy wyjrzałam ostrożnie, zobaczyłam, że Japończycy w liczbie dziesięciu, porzuciwszy broń, siedzą naprzeciw wąsatego apostoła w półokręgu i słuchają go jak zaczarowani. Byli to mężczyźni w wieku od lat kilkunastu do mniej więcej sześćdziesięciu, w wyblakłych ubraniach o różnym stopniu zabrudzenia – zapewne tutejsi drwale i myśliwi. Fudzuma siedział pomiędzy nimi i tak samo jak reszta wytrzeszczał oczy, pełen podziwu dla krasomówstwa naszego uczonego kota.

Znudziwszy się, wyszliśmy razem z Alekssem i przysiedliśmy cicho na skraju audytorium. Wreszcie dowódca, śmiertelnie już widać zanudzony – choć miał translator i mógł śledzić tok myśli oratora (a może właśnie dlatego) – nie wytrzymał i wtrącił się:

– Kończ to przedstawienie. Mamy mało czasu. Już ich dostatecznie urobiłeś, a przed nocą musimy znaleźć trochę skośnookich upiornych główek rokuro-kubi, pamiętasz?

Przy tych słowach „urobieni” ocknęli się i zaczęli kręcić, z widocznym lękiem spoglądając na naszego samuraja. Nie rozumieli oczywiście po rosyjsku, lecz z pewnością dosłyszeli „rokuro-kubi”. Kot umilkł, całą swoją postawą wyrażając oburzenie, że mu przerwano. Już zabierał się do udzielenia jakiejś gniewnej odpowiedzi, kiedy Aleks uniósł dłoń stanowczym gestem.

– Powtarzam, dzięki twojej lekcji na pewno już zostali trochę oświeceni i pokrzepieni na duszy, ale sam wiesz – mamy zadanie do wykonania.

– Racja, Aleks. Ja ich tylko uspokoję w kwestii upiorów. Powiem, że przybyliśmy wybawić świat od tej zarazy.

Potem jeszcze długo gadali, tym razem po japońsku, żebym nie zrozumiała. Cholerny świat... Siedziałam i snuło mi się po głowie: „Dziwne, dziesięciu chłopów w domu i ani jednej kobiety? Co oni tu tak sami porabiają?” Myśli

miałam dziwnie ponure i nie wiedzieć czemu dotyczyły głównie lubiących chłopców gwiazdorów: Borysa Mojsiejewa i Eltona Johna. Pewnie z winy telewizji, choć kto ich tam wie...

– Będziemy teraz po nocy łązić po lesie? – spytałam bez cienia entuzjazmu, zabijając kolejnego komara. Krwio pijcy zaczęli nam się naprzykrzać, kiedy tylko słońce pochyliło się ku zachodowi.

– A jakże, poleziemy. Noktowizory wzięliśmy – potwierdził Aleks, również drapiąc się zajadle.

– A mówiliście, że niby posługujemy się tylko techniką odpowiednią dla danego przedziału czasowego! Łgarze!

– To ja przeforsowałem! – pochwalił się kot.

Nasz samuraj z ponurą miną wydobyl z za pazuchy coś w rodzaju maski do nurkowania. Zrobiło mi się go odrobinę żal.

– No dobrze, ale jak już mam się narażać na takie niewygody i spędzić noc w lesie pełnym rozbestwionych komarów, czyli praktycznie dobrowolnie dać się zjeść, to mam do ciebie małą prośbę.

I wycygałam od Aleksa medalion z translatoem. Pożyczył mi go bez oporów, nie przewidując, że spotkamy w lesie jakichś ludzi, z którymi musiałby rozmawiać. A potem poszedł do chatki po nasz worek podróżny. Ja natomiast skupiłam uwagę na Japończykach.

Kot przez ten czas zdążył wygłosić przemówienie na temat zbawczej misji, lecz myśliwi chyba nie bardzo wierzyli w nasze możliwości. Podeszło do mnie dwóch zaciekawionych chłopaków.

– Chcecie zwyciężyć rokuro-kubi? Nie wiecie, że oni są nieśmiertelni? – spytał któryś z kpiącym uśmiechem.

– Nam wiadomo co innego – odparłam tajemniczo, zmierzwszy obu wyniosłym spojrzeniem. Zaintrygowałam ich jeszcze bardziej, ale nie miałam zamiaru odkrywać kart. Tym bardziej że sama prawie nic nie wiedziałam. Kiedy moi koledzy czytali dossier, ja walczyłam w magazynie o sukienkę. Byli tam specjaliści, którzy mieli za zadanie zdobywać i dobierać kostiumy do konkretnej epoki, czasu i miejsca akcji. Ujrawszy prześliczne jedwabne kimono, za nic nie chciałam się z nim rozstać. Musieli mnie długo przekonywać, że – choć kimono leży znakomicie i wyglądam w nim bardzo szykownie – wśród myśliwych i rybaków, stanowiących znaczny procent



ludności Hokkaido, wzbudzę powszechne zdumienie. Nawet we śnie nie widywali ekskluzywnej gejszy w imperialnym kimonie, które będzie modne za dwieście lat. Wielkie rzeczy... Jakoś by przeżyli.

Aleks z naszym bagażem na ramieniu pomachał ku mnie przyzywając ręką – obaj z kotem szli już w kierunku lasu. Kocur zdążył wypytać miejscowych, gdzie jest najbliższa wieś, i głośno powiadomił, że chcemy zdążyć tam przed zapadnięciem zmroku.

Zagłębiliśmy się w las. Już po dziesięciu minutach marszu dowódca dał sygnał postoju. Przysiadłam na pniu zwalonego drzewa. Było dość chłodno. Aleks zrzucił worek na ziemię. Kot przysiadł na tym samym co ja pniu, w pewnym oddaleniu. Znów się zaczął boczyć i nie rozmawialiśmy ze sobą.

– No to pora na naradę – oznajmił Aleks, patrząc, jak zdjąwszy geta, z rozkoszą masuje obolałe stopy. Widocznie za wysoko podkasałam kimono. – Jak myślisz, agencie 013, gdzie oni chowają ciała?

– Najprawdopodobniej schowek w chacie. Kiedy zajmowałeś gospodarza gadką, zdążyłem dokładnie sprawdzić podłogę. Pod jedną z mat na pewno jest kłapa od wejścia gdzieś na dół. W tym miejscu dość mocno wiało. A potem, kiedy ten Japonec przeszedł po macie, ugięła się i zaskrzypiała. W innych miejscach podłoga była równa.

– No dobrze, a jak głowy wyfruwają stamtąd na polowanie? Przecież zamykają kłapę za sobą i zostawiają matę tak, żeby leżała na wierzchu, kiedy schodzą tam wieczorami.

– Na pewno gdzieś z tyłu domu jest okienko... dajmy na to, zamaskowane rosnącym tam zielskiem.

Nie rozumiałam za bardzo, o czym ci dwaj mówią, więc słuchałam tylko jednym uchem. Wyciągnęłam z worka płaszcz, okutałam się dokładnie – od razu zrobiło się cieplej i komary mniej dokuczały. Wydobyłam jeszcze solidny suchar i zaczęłam go chrupać z nieskrywanym zadowoleniem. Przez ten czas chłopcy doszli do wniosku, że najlepiej nie ruszać się stąd aż do zapadnięcia nocy.

– Hej, panowie, chciałam spytać: nie idziemy dziś do tej wsi? Po licha ten grubas dowiadywał się, jak tam dojść? Przepraszam, ale tak mi się chce spać, że już nie kontaktuję.

Agenci popatrzyli na mnie jak na kompletną idiotkę.

– Dziecino, jak by ci to wyjaśnić, żeby dotarło? – zatroskał się kot z fałszywym uśmiechem na bezczelnej mordzie. – Po prostu nie powinniśmy się oddalać za bardzo, a wieś, jak rozumiesz, jest daleko i powrót zajęłoby nam za dużo czasu. A im dłużej przebywamy w lesie, nie podejmując działań przeciw latającym łbom, tym prędzej nas znajdą. A gryzą mocniej od komarów...

– Dzięki za wyjaśnienia – warknęłam, rozumiejąc tyle samo co i przedtem. Oczy mi się same zamykały. – Aleks, mogę sobie rozłożyć twój płaszcz i chwilkę się przespać?

Dowódca akurat go wkładał, ale łagodnie, choć stanowczo odebrałam mu okrycie. Nie protestował. Następnie wygodnie się umościłam na szorstkim drewnie, delikatnie przenosząc kota kawałek dalej. Miauczuch obrażony, że go wzięłam w ręce, zeskoczył na ziemię. Tego mi było trzeba. Wyciągnęłam się wygodnie i natychmiast zaczęłam zasypiać.

– Nie zapomnijcie... mnie obudzić... jak te wasze głowy przylecą. Mmmm...



Kiedy mnie obudzili, było już całkiem ciemno. Aleks włożył maskę i dopiero wtedy przypomniałam sobie, że to noktowizor. O czymś poszeptał z kotem, a potem zwrócił się ku mnie.

– O, widzę, że odpoczęłaś i jesteś pełna entuzjazmu. Najwyższy czas ruszać. Według moich obliczeń upiory już wyleciały na łowy i powinny rzucić się za nami w pogoń. W stronę wsi, naturalnie. Żaden raczej nie zostanie w domu, bo tam nie ma się czym pożywić. Czyli mamy wolną drogę.

Usiadłam, przecierając oczy, i rzuciłam spojrzenie na swoje geta poniewierające się w trawie.

– Dobra, idziemy. Ale nie spodziewajcie się, że znowu włożę te dyby. Nawet w kajdanach byłoby wygodniej.

– To osobiste doświadczenie? – zainteresował się kot.

Powstrzymałam się, nie kopnęłam go. Zamiast tego podreptałam za Orłowem. Trzymał miecz w pogotowiu. Zauważył, że nie włożyłam noktowizyjnej maski.

– Po co? Żeby widzieć świat na zielono? Księżyc świeci, nie jest wcale tak ciemno, a o własne nogi się nie potknę. No, chyba że o kota, wtedy nawet z

przyjemnością...

Aleks przestał mnie słuchać, po prostu wsadził mi drugie urządzonek na głowę i przykazał:

– Patrz uważnie! Jak zauważysz cokolwiek podejrzanego, melduj. Jasne?

– Jasne.

– Mogą się na nas rzucić w dowolnym momencie. Zaskoczenie to ich atut!

– Mówisz o komarach? – próbowałam zajązartować, ale jakoś nie zabrzmiało to śmiesznie.

Po ostrzeżeniu Aleksa w lesie zrobiło się nieprzyjemnie, a po plecach przeszedł mi przykry chłodek. Z początku iść było lekko, lecz wkrótce poczułam wszystkie niewygody chodzenia w samych skarpetkach, kiedy musiałam stąpać nie tylko po miękkiej trawie – suche gałązki i kamyki strasznie urażały mnie w stopy. Po dwudziestu minutach już tak użalałam się nad sobą, że byłam gotowa się rozplakać.

„Co ja tu robię z tymi dwoma nieczułymimi bałwanami, co idą sobie spokojnie i nawet o mnie nie pomyślą? A zaraz jeszcze nadlecą te mityczne latające głowy, zaczną kasać, wgryzać się w ręce, szyję i moje biedne nóżki... Najważniejsze, chronić twarz! Zostaną mi blizny, a moje oszczędności nie wystarczą na operację plastyczną. Boże, za co to wszystko?! Dlaczego wybrałam akurat tę uliczkę na powrót? Czemu zdawałam zaliczenie akurat tego dnia? Dlaczego wykładowca, bydlak cholerny, wyznaczył akurat taką późną godzinę? I w ogóle po co zapisywałam się na te głupie studia?”

– Alina, nie zostawaj z tyłu – rzucił Aleks, obejrzawszy się.

– Aha, bo jeszcze jakaś uszata głowa ugryzie cię w piętę – zachichotał kot.

Uuuch... nienawidzę go!

– Aleks, gdzie my się wlecziemy? – Łatwiej cierpieć, kiedy widać w tym sens.

– Wracamy do chaty Fudzumy. Odnajdziemy ciała upiorów, najprawdopodobniej pod podłogą, jak sądzi agent 013. Jeśli tam będą, poszukamy otworu, przez który wylatują głowy. Powinien być dość duży, może nawet są dwa. Zawalimy je kamieniami. Na szczęście koło chaty jest sporo kamieni i całych głazów. Najważniejsze, to nie zostawić żadnej szczeliny, żeby upiory nie mogły wślizgnąć się z powrotem pod chatę. W izbie zamkniemy kłapę, zwalimy na nią stół, kamienie... im cięższe, tym lepiej. Same głowy nie mają czym ich odwalić, najwyżej zębami. Nie możemy

dopuszczyć, żeby dostały się do swoich ciał przed świtem. Kiedy pojawi się słońce, biedactwa zaczną usychać, marszczyć się, aż zdechną – gładko wyjaśnił mi Aleks.

– Czyli co? Ich ciała bez głów leżą sobie rządkiem do świtania? – rzekłam powoli, myśląc równocześnie: „O nieba, co za brednie! Czy coś takiego może w ogóle istnieć realnie?”. Zarazem uświadomiłam sobie, że samo istnienie latających czerepów do tej pory jakoś mnie nie dziwiło. Stopniowo dotarło do mnie to, o czym moi koledzy wiedzieli od początku, a mianowicie, że nasz gospodarz i jego towarzysze, choć wyglądali całkiem zwyczajnie i wcale nie podejrzanie, w rzeczywistości są upiorami, którym po zmroku głowy oddzielają się od szyi i napadają na ludzi. No świetnie! Czułam się tym bardziej zszokowana.

– Mam nadzieję, że tak jest i wszystkie korpusy znajdują się w jednym miejscu. To by nam oszczędziło dodatkowej fatygi.

– Fuj... A czemu się im przyznałeś, że polujesz na upiory? – wyszeptałam ze zdziwieniem, przypomniawszy sobie wydarzenia z dnia. – Przecież oni teraz na pewno będą czujniejsi, podejmą jakieś środki ostrożności, przygotują się i ostatecznie ukryją gdzie indziej.

– Wątpię – wtrącił się nasz kot mądrała. – W rzeczy samej chcieliśmy ich utwierdzić w przekonaniu, że nam w głowie nie powstało, że oni mogą być właśnie tymi upiorami. Te latające łby już od dawna terroryzują całą prowincję i wszyscy na wyspie o nich wiedzą. A łowców się nie obawiają, nawet cieszą się ze spotkania, jak z darmowej kolacji, bo jeszcze nigdy nie ponieśli porażki. Od samego początku wiedzieli, kogo szukamy, dlatego trzeba było uspić ich czujność, że niby niczego nie podejrzewamy i nie ma co się nas obawiać. A do tego, o ile nam uwierzyli, liczą na to, że my w tej chwili jesteśmy już daleko w lesie, gdzieś w pobliżu sąsiedniej wioski. Polecą w tamtą stronę, a węch mają dość słaby.

– Coś mówiłeś o naszych poprzednikach. Nie my pierwsi polujemy na to stado ludojadów, prawda? Co się stało z innymi?

Skrzywiłam się – akurat szliśmy po kłującym dywanie z uschłych szpilek sosnowych i cedrowych. Las iglasty był piękny, ale wołałabym go podziwiać w odpowiednim obuwiu, najlepiej w wygodnych adidasach na grubej podeszwie. Pożałowałam, że zostawiłam tam te geta.

– Dobra, dobra, możesz nie mówić, i tak się domyślam – mruknęłam.

Kot jednak już otworzył pysk, zapewne by roztoczyć przede mną malowniczy opis męczeńskiej śmierci poprzednich śmiałków, kiedy Orłów położył palec na ustach, marszcząc brwi. Miał rację, za dużo gadaliśmy, a wróg nie śpi. Drzewa zaczęły się przerzedzać, a gdy już dotarliśmy do skraju lasu, gdzie stała chata, począł kapać deszcz. To znaczy kapał może z dziesięć sekund, po czym zwyczajnie lunął. Miałam płaszcz i nie przemoczyłam niczego prócz nóg, ale poczułam się jeszcze bardziej parszywie. W końcu dotarliśmy do chałupy. Drzwi były zamknięte, w środku nikogo. Wpadłam tam pierwsza, przycupnęłam pod ścianą i stanowczo oświadczyłam:

– Mam dość! Tu zostaję i nie wystawię nogi za próg! Jak już skończycie zwiedzać Japonię, nie zapomnijcie mnie stąd zabrać.

Aleks przez moment patrzył na mnie z zaskoczeniem, potem bez słowa zrzucił swój płaszcz na podłogę i odsunął matę.

– No, tak jak mówiłem – stwierdził kot, starannie otrzepując mokre łapy (on także miał na sobie płaszczyk szyty widać na miarę). Pod matą rzeczywiście ukazała się kłapa włazu wiodącego gdzieś pod podłogę. – Trzeba działać szybko, nim głowy rokuro-kubi nadlecą.

– A jak już o nich mowa, to jeszcześmy żadnej nie widzieli. Może coś jak zwykle poplątałeś? – zauważyłam sceptycznie. Nie zwrócili na moje słowa najmniejszej uwagi. Normalka.

– A tobie się nie wydaje dziwne, że na dworze noc, deszcz, a gospodarzy nie ma? – odezwał się kot, z którego mordy wyraźnie można było wyczytać: „Wzięliśmy sobie na łeb głupią dziewczuchę. Pożytek z niej żaden, a jeszcze przeszkadza swoimi durnymi pytaniami”. Wielkim tłustym drukiem, słowo honoru.

Aleks podniósł kłapę, zapalił świecę i rzekł spokojnie:

– Co racja, to racja, Alina, wszystko trzeba sprawdzić. My zejdziemy na dół, a ty siedź tutaj, będziesz trzymać straż. – I po tych słowach zeskoczył w ciemny otwór.

To mnie dotknęło do żywego. Czy ja jestem służącą?

– Do diabła! Niby dlaczego?! A właśnie nie będę stać na warcie, wam na złość! Za kogo w ogóle mnie uważacie?

Kot pokiwał głową, co na pewno znaczyło: „Przed nami jeszcze długie

męki...”. Już miał skakać w ślad za Alekssem, ale zawahał się. Wetknął łeb w otwór i zapytał:

– Mrrrr, co tam?

Usłyszawszy niewyraźne mamrotanie, profesorek przestąpił z łapy na łapę jeszcze bardziej niezdecydowany. Uchwycił moje mordercze spojrzenie i już miał skoczyć, lecz szybko złapałam go za skórę na karku.

– Czekaj! Zamieńmy się, ja do piwnicy, a ty tu pilnuj. Dobra?

I nie czekając na jego zgodę, spuściłam nogi w dziurę i zeskoczyłam, zaciskając powieki, prosto w ciemność. Ryms! Nie będę tu cytować wszystkich soczystych i gromkich przekleństw, jakie posypały się z ust moich i Aleksa, kiedy zleciałam prosto na jego plecy (zdaje się, że akurat przykucnął). Naturalnie zgasiałam mu świecę.

– Patrz, gdzie skaczesz!

– Wyraźnie mówiłam, że idę na dół! Jak masz zatkane uszy albo atak japońskiej głuchoty, to już nie moja wina!

Nie było co płakać nad rozlanym mlekiem. Agent ukląkł, macając dokoła w poszukiwaniu upuszczonej świeczki.

– Stój w miejscu! – przykazał. – Póki nie zapalę światła, nawet nie oddychaj. Widać już znalazł, bo zaczął trzaskać krzesiwem.

– Ani myślę! – odparłam krnąbrnie. Zawsze wszystko robię na odwrót, kiedy ktoś zwraca się do mnie takim tonem. Wyciągnąwszy ramiona, zrobiłam dwa kroki na oślep i oczywiście mało nie upadłam, gdy potknęłam się o coś.

– Diabli nadali! Rozrzucają co popadnie, żeby człowiek sobie nogi połamał, chamy niemyte. Zabić to mało!

Rozzłoszczona kopnęłam coś miękkiego.

– Ludzie tu raczej nie spacerują! – parsknął Aleks.

W końcu zapalił świecę i z drwiącym uśmieszkiem oświetlił pomieszczenie, obserwując moją reakcję. Otworzyłam usta...

– Według ankiety w twojej rodzinie nie było zawałów serca, prawda? – zauważył zjadliwie specjalista do walki z potworami. Ten jego sarkazm nie od razu do mnie dotarł, gdyż w tym momencie akurat na oślep macałam za sobą, szukając ściany, o którą mogłabym się oprzeć. Wszędzie była pustka, więc pozostało mi tylko jakoś utrzymać się na nogach, co było dość trudne z powodu waty w kolanach.

Zobaczyłam to, co kopnęłam po ciemku. Na klepisku tuż przede mną leżały rzędem ciała znajomych „drwali i myśliwych” z Fudzumą na czele. Rozpoznałam go po ubraniu. Ale nie to było aż tak szokujące. W sumie można by pomyśleć, że oto paru facetów postanowiło sobie zanoć w piwniczce – może akurat mają taki gust: zimna polepa i ten zachwycający zapach pleśni... Nic poza normą, poza jednym jedynym szczegółem, mianowicie takim, że „śpiącym” brakowało tak ważnej części ciała, jaką jest głowa. Można by zapytać: o co w ogóle chodzi? Przecież właśnie o to nam chodziło – o odkrycie bezgłowych demonów pod podłogą. Sama traktowałam całą sprawę lekko, słuchając kocurzych wykładów, póki nie zobaczyłam tego na własne oczy, brutalnie zderzając się z rzeczywistością. A podobne zderzenia są zgubne dla nastrojonych romantycznie pańienek. No pewnie! Dziesięciu średniowiecznych truposzy z posiniałą skórą i gładko ciachniętymi szyjami, które jednak w ogóle nie krwawiły.

– Normalnie bomba... Hollywood wysiada. I co teraz? – wykrztusiłam, przełknąwszy ślinę, i popatrzyłam na Aleksa pytająco.

Podał mi świecę, pewnie po to, żebym mogła do woli się napawać wspaniałym widokiem.

– Nie traćmy więcej czasu. Będziemy szukać w ścianie dziury, przez którą wylatują na zewnątrz. Weź ode mnie jeszcze cztery świece.

Pozapalałam je drżącymi rękami, połowę oddałam Aleksowi i sama niosąc trzy, świeciłam po ścianach, szukając dziury. Było mi już obojętne, czy Aleks ma prawo mi rozkazywać czy też nie.

– No i co tam? Znaleźliście? – usłyszałam dobiegający z góry lekko jakby drżący, choć wciąż napuszczony głos przegowanego grubasa.

– Tak, leżą tu ładnie ułożeni rządkiem – rzeczowo odparł dowódca i splunął.  
– Cała dziesiątka.

– Wspaniale! Na razie dobrze nam idzie. Obejdę chatę dokoła, poszukam wylotów z wierzchu – odparł kot.

– No to powodzenia!

Aleks oglądał przeciwległą ścianę. W sumie niczego w tym miejscu nie było poza zmarłymi (nie jestem pewna, czy można ich tak nazywać, skoro nie są tak do końca martwi) – tylko ubite z ziemi klepisko, nierówne ziemne ściany, a u góry niedbale ociosane belki. W końcu dostrzegłam małą dziurę podobną

do wejścia do psiej budy. Uniosłam świecę, by sprawdzić, czy tunel faktycznie wiedzie na zewnątrz – silny podmuch mało nie zgasił płomienia. Bębnienie kropli deszczu było słychać wszędzie. Ściany chaty, zbite z desek, były chyba dość cienkie.

– Znalazłam!

– Tu też jest jedno wyjście! – odpowiedział Orłów.

W tejże chwili dojrzałam następny, mniejszy otwór.

Ile ich tu było? Jak się okazało, w każdej ścianie znajdował się jeden. Deszczówka nie lała się do piwnicy dlatego, że wyloty umieszczono powyżej poziomu gruntu i każdy zabezpieczony był daszkiem. Ot, zmyślne upiorki! Uniosłam się na palcach, włożyłam dłoń do dziury i niespodziewanie dotknęłam czegoś miękkiego i puszystego.

– Aaa!! Tu jest głowa!! – wrzasnęłam, błyskawicznie cofając rękę.

Wtedy obok mnie skoczyło coś krągłego i parsknęło z oburzeniem:

– Kobieto, co się tak drzesz? Słuchać cię chyba aż w lesie.

– O! Przepraszam – wymamrotałam z zakłopotaniem, dodając ciszej: – To ty, zarazo...

– Ale plucha! Deszcz leje jak z cebra. Zupełnie niekocia pogoda – komentował agent 013, na szczęście nie dosłyszawszy moich słów.

Dobrze, że Baza przewidziała wyposażenie w płaszcz również kotów, inaczej, jak sądzę, myszołap znalazłby się w ciężkim szoku li tylko z powodu odrobiny deszczu, jak to bywa w przypadkach domowych pieszcuchów, i na nic by się nam nie przydał. Wyleźliśmy z podziemia – na dole nie było niczego, czym moglibyśmy zatarasować dziury. Zamknęliśmy klapę, przycisnęliśmy ją stołem (miał dość ciężki blat).

Zdmuchnęliśmy świece, włożyliśmy płaszcz i poszliśmy zbierać kamienie. Przed wyjściem znalazłam pod matą parę zdeptanych łapci na sznurkach. Były o dwa numery za duże, ale i tak byłam niebotycznie uszczęśliwiona. Pełna entuzjazmu zbierałam w połę płaszcz kamienie walające się dokoła chaty, taszczyłam je do dziury i za jednym zamachem wsypywałam do środka. Potem znów gnałam po kamienie i nie tracąc rozpędu, powtarzałam całą procedurę. Płótno trzeszczało od tego ciężaru, paznokcie miałam czarne od brudu, pot się ze mnie lał strumieniami, a ja latałam w tę i nazad jak wyścigówka.



W końcu Aleks złapał mnie za rękaw i siłą odciągnął od zawалу.

– Czy ty masz zamiar zasypać w ten sposób całą piwnicę? Podziwiam twoją fenomenalną pracowitość, ale to ci zajmie z dobę. A kamienie będziesz musiała teraz nosić od tamtej skały – pouczył mnie.

Zatrzymałam się, oglądając rezultaty swojej pracy – dokoła leżało już tylko trochę drobnych kamyczków. Samuraj przydźwigał parę ciężkich odłamków, którymi od razu zatkał tunel, z wierzchu przywalił większym głazem, a ja dla porządku posypałam całość swoimi kamyczkami. Ciekawe, w jaki sposób głowy będą próbowały to odwalić? Uszami? I kiedy się pojawią? Ciekawość zaczęła mnie zjadać. Kot patrolował okolicę wokół chaty. Zabezpieczaliśmy już ostatnią dziurę, kiedy usłyszeliśmy jego wrzask:

– Lotnik, kryj się!! Wszyscy na miejsca! Lecą tu! Ffffff!!! Miau!!!

Natychmiast zmiękły mi nogi i padłam w błoto pod ścianą. Atak ciekawości skończył mi się jak ręką odjął.

– Znalazła sobie porę na odpoczynek – mruknął Aleks. – Może się zdrzemniesz? Tak czy siak, rano wszystko się skończy. – Szarpnięciem postawił mnie na nogi. – Znajdź sobie jakiś drąg i oganiaj się, jakby cię opadły. Ja teraz nie mam czasu.

Dobycywszy swego samurajskiego miecza, ruszył w stronę, z której dobiegał głos kota. A tam w powietrzu majaczyło coś bladego i okrągłego. Zaczęłam się rozglądać za jakąś podręczną bronią. Powinnam bimbać na te ich całe temporalne przepisy i wycyganić od Steve a blaster! Ale już za późno. Zeszłam ostrożnie do parowu parę metrów od chałupy. Na ziemi leżało tam sporo gałęzi – niektóre grube jak pałki bejsbolowe. Złapałam pospiesznie dwa drągi, poobrywałam z nich drobne gałązki i przygotowałam się do ataku. Przeszło parę chwil. Nic się nie działo.

– No, ja się tak nie bawię – wymamrotałam z rozczarowaniem. – Ochota do walki może mi szybko przejść i więcej nie wrócić, a te przekłete łebki mają gdzieś moje bohaterские porywy.

Dochodziły do mnie niewyraźne odgłosy uderzeń, świst miecza i bojowe okrzyki. (Kubek w kubek takie same słyszy się w marcu, kiedy dwaj wężacy rywale walczą o względy kotki, która w tym samym czasie już zdążyła obu puścić kantem z trzecim). W tle słyszałam też wycie i osobliwe kłapiące dźwięki, ale w mroku nic nie było widać, a noktowizor zostawiłam w worku

podróżnym. No co? Wyglądałam w tym czymś jak pizmoszczur! Ruszyłam z powrotem do chaty, gdzie moja pomoc mogła się przydać. Widziałam już parę jasnych plam fruujących dookoła Aleksa. Potwory rzucały się na niego to oddzielnie, to całą grupą. Biedak ostro machał mieczem, a obok walczył kot, puściwszy w ruch zęby i pazury.

Upuściłam jedną pałkę, drugą chwytając obiema rękami. Jasne plamy nabrały wyraźniejszych konturów, dostrzegłam przerażające zębate paszcze wydające ohydne mlaskanie, z oczu upiorów lał się zielony fosforyzujący blask. Na razie mnie nie zauważyły, więc czując lodowate dreszcze na karku, doszłam błyskawicznie do logicznego wniosku, że jestem tam raczej niepotrzebna, i wycofałam się. „Najmądrzej będzie przeczekać i potem przyłączyć się do zwycięzcy” – pomyślałam, chroniąc się za węgiel.

– Witaj, ślicznotko! Pójdziemy razem na sake? – rozległ się tuż obok wesoly głos.

Uniosłam rozszerzone w szoku oczy – wprost przede mną unosiła się głowa o całkiem sympatycznym wyglądzie i przyjemnym uśmiechu. Wrażenie psuły tylko wielkie odstające uszy, którymi głowa machała w powietrzu. Najwyraźniej służyły jako środek lokomocji, coś w rodzaju skrzydeł. Głowa zaczęła się ślinić, co nareszcie wyrwało mnie ze stuporu. Zamachnęłam się pałką i zajechałam gościa prosto w tę przyjemną buźkę, mówiąc:

– Sportowcy nie piją! Ja gram w rejonowej żeńskiej drużynie bejsbolowej!

Łgałam bezwstydnie. Od kiedy w moim mieście stworzono takie drużyny, nie zapoznałam się nawet z zasadami bejsbola. Ale jestem patriotką, ot co!

Cios był na tyle silny, że łeb rokuro-kubi z dzikim skowytem i wyzwiskami odleciał aż na dziesięć metrów. Za to w moją stronę rzuciły się trzy następne. Na ich mordach nie było cienia życzliwości i patrząc na nie, mogłam się spodziewać wszystkiego najgorszego. Mlaskając i wydając okrzyki typu: „Zakąska! Mniam-mniam!”, „Kobiety mają soczyste mięsko!”, „Nie baw się pałką, kruszyno! Oddaj mi ją na wykałaczkę!” – leciały prosto na mnie z rozwartymi paszczami.

– Aaaa! Bestie! Puszczajcie! Zabieraj swoje brudne zęby, Japońcu! – darłam się, bezskutecznie próbując się opędzić od trzech napastników równocześnie.

Jedna głowa wczepiła mi się w nogę, druga próbowała ugryźć w szyję. Zdażyłam złapać ją za długie zmierzwiowane włosy, które owinęłam wokół

nadgarstka, i wymachiwałam, aż zaczęła pisać. Trzecia wgrzyła się w moją prawą rękę, w której trzymałam pałkę – oczywiście upuściłam ją natychmiast. Instynkt samozachowawczy dodał mi sił. O niczym już nie myśląc, nie czując bólu, tylko zalewającą mnie lodowatą zgrozę, zaczęłam walić tą głową w ścianę chaty.

– Ach, ty śmieciu zapluty! Spróbuj mnie zjeść, w gardle ci stanę, żarłoku!

Głowa, którą trzymałam za włosy, oburzyła się:

– Szanowna gejszo, zostaw mego przyjaciela w spokoju. On już ma, biedak, wstrząśnienie mózgu. Jeszcze trochę, a wyzionie ducha.

– Co?! Żeby mi rękę do reszty odgryzł?! – Nie przestawałam bić w deski paskudnym łbem, który faktycznie wywrócił ślepiec białkami na wierzch.

– A bo co? – odparł „obrońca”. – Wkraczacie na prywatny teren w środku nocy, kombinujecie coś ewidentnie wbrew prawu, a my, gospodarze, możemy przecież dochodzić swego! Mój brat chciał tylko spytać tego samuraja, o co właściwie chodzi, i nim usta otworzył, już był rozsiekany na pół. I gdzie tu sprawiedliwość? – Głowa zrobiła cierpiętniczą minę, demonstrując swój „szczyry smutek z powodu ludzkiego okrucieństwa i niesprawiedliwości”.



Mimowolnie straciłam czujność, słuchając tego „bojownika o wolność, równość i braterstwo”, i zapłacałam za to nowym ugryzieniem.

– Au! Ty łajdaku! – Paskud wczepił mi się zębami w nadgarstek, próbując przegryźć żyły, ale w porę trzasnęłam nim o ścianę.

Nadbiegł kot na pomoc, usłyszawszy moje krzyki. Wzruszające! Dobry kotek... Wytrzeszczył błyszczące zielone oczy.

– Tylko trzy? My z Alekssem załatwiliśmy pięć. Nie ma co czekać z nimi do świtu. Trzymaj te tutaj i nie puszczaj. Zaraz zawołam pomoc. Aleks!! Tu są jeszcze trzy! Pospiesz się!

Usłyszawszy to, moje głowy próbowały się ulotnić – nawet ta zemdlona się ocknęła, ale w samą porę ucapiłam ją za włosy. Tak więc dwójkę zatrzymałam, lecz trzeci łeb, ten, który gryzł mnie w nogę przez bawełniane dzinsy (w tajemnicy zostawiłam je sobie pod kimonem), niestety odleciał. Zjawił się Aleks w poszarpanym samurajskim kostiumie, brudny jak nieszczęście, z posiniaczoną twarzą.

– Coś marnie wyglądasz – zakpiłam. – Jakiś taki blady, nieogolony... Co z tobą? Nie wyspałeś się?

Agent otarł pot z czoła brudną ręką i rzucił z rozdrażnieniem:

– Popatrz na siebie! Masz zagwarantowaną nominację w konkursie „Wiedźma Roku”. I nie łudź się, mówię o twoim wyglądzie, nie zdolnościach. No dawaj, rzucaj mi te głowy, spróbuję je załatwić mieczem.

Rokuro-kubi gryzły i szarpały się wściekle. Wiedziałam, że tu, pod ścianą, Aleks nie może ich wykończyć, nie odrąbując mi przy tym wszystkich palców. Z trudem – bo potworek dziwnie się do mnie przywiązał i nie chciał rozstawać – odrzuciłam pierwszą głowę. Nim zdążyła zatrzepotać uszami i umknąć w przeciwną stronę, Aleks jednym ciosem rozrąbał jej ciemię. Pociękt odrażający szary płyn, a ja mało nie pojechałam do Rygi.

– Trzymaj drugą! – zamachnęłam się.

– Czeka! – powstrzymał mnie niespodziewanie.

– Ona gryzie! – Upiorna głowa, zebrawszy wszystkie siły, wzbija się w powietrze, próbując ukąsić mnie w nos. – Nie utrzymam jej dłużej! Zrób coś!

– Złap drania za uszy. Nie lubią tego, tylko uważaj i nie puszczaj – rzucił z roztargnieniem, nawet na mnie nie patrząc.

Widziałam, jak szuka czegoś bezskutecznie za pazuchą. Kot gdzieś

przepadł. Posłuchałam rady – i kiedy tylko złapałam upiora za ucho, ten nagle zaskomlał:

– Neeee!! Tylko nie uszy! Na wszelkie świętości, tylko nie to! Zostawcie moje uszy, wyrwijcie zęby, wybijcie oczy, nos urznijcie, tylko nie ruszajcie uszu!!

Byłam naprawdę zdumiona. Głowa wciąż szlochała, nie przerywając błagań. To dopiero niezła bestyjka! Z przewrotną przyjemnością i złośliwym uśmieszkiem jeszcze mocniej ścisnęłam upiorne uszy. Nieborak mało nie umarł. W tym czasie Aleks wreszcie znalazł to, czego szukał – okazało się, że to strzykawka. Nie wierzyłam własnym oczom.

– No co ty? Będziesz robił mi zastrzyk przeciw wściekliwości?

Słyszając to, rokuro-kubi zawył jeszcze głośniej:

– Nie trzeba! Ja więcej nie będę!

– Jego już nic nie uratuje – odparł Aleks. – To do surowicy, która ma cię wyleczyć. Musimy od każdego napotkanego potwora pobierać próbki. Obojętne, czy krew, śluz, żółć czy jad. Władze obiecały dawać nam odpowiednie do tego zadania, za radą laboratorium oczywiście. Więc trzymaj mocno.

Głowa szarpnęła się w ostatniej próbie ucieczki, ale zdołałam ją utrzymać. Zmrużyłam oczy i lekko odwróciłam twarz, kiedy Aleks z lodowatym spokojem z wyjącej głowy wciągał do strzykawki szary płyn, który widać miała zamiast krwi. Potem schował strzykawkę z powrotem w zanadrze.

– Ty jesteś po prostu sadysta amator! Nie mogłeś mi dać czegoś na znieczulenie? Przecież to niehumanitarne! – wybuchnęłam. Zrobiło mi się żal biednego, popiskującego rokuro-kubi.

– Jak tłukłaś nim o ścianę, jakoś nie myślałaś, żeby mu włożyć kask, prawda? – odgryzł się Aleks. – Nic mu nie będzie. I bólu też nie czują. Wrzeszczą i klną tylko ze złości.

Głowa raptownie szarpnęła się i uleciała mi z rąk, od razu wzbijając się na wysokość trzech metrów, gdzie nie mogliśmy jej dosięgnąć. A stamtąd przemówiła z wyrzutem:

– Dziwny z ciebie samuraj. Zamiast chronić unikalne zabytki Japonii, jakimi i my jesteśmy, niszczyte rzadki, unikalny gatunek rokuro-kubi! Nasza krew spadnie na wasze głowy! Zapowiadam, że ta obłąkana gejsza jeszcze tak cię wyszarpie za uszy, że świata nie będziesz widział. Chciałbym wtedy słyszeć

twoje krzyki...!

Zakończywszy tę tyradę, urazona głowa wzleciała jeszcze wyżej, a potem skryła się w lesie. Aleks i tak niczego nie zrozumiał, bo przecież tłumaczący medalion miałam ja. Nie powtórzyłam mu przemówienia, chociaż... myśl o uszach przypadła mi do gustu.

– Szkoda, że go wypuściłaś. Trzeba było od razu bestię wykończyć, byłoby mniej problemów – poskarżył się agent. – Teraz ich zostało tylko cztery i nie warto się za nimi uganiać, ale jak połączą siły, z łatwością zagryzą każdego z nas, jeśli dopadną nas osobno.

Wtem zamilkł. Popatrzyliśmy na siebie jednakowo rozszerzonymi oczami – ta sama myśl przyszła nam równocześnie do głowy.

– Gdzie agent 013?!

Kto to powiedział, już nie pamiętam. Zaczęliśmy wołać kocura, wokół wszakże panowała złowroga cisza. Nie doczekawszy się w odpowiedzi ni miauknięcia, z mocno bijącymi sercami ruszyliśmy na poszukiwania. Obeszliśmy dokoła chatę, wypatrując śladów. Chciało mi się płakać.

„Dlaczego się z nim kłóciłam? Przezywałam go miauczuchem i Mruczkiem... Jeśli jeszcze żyje mój kochany grubasek, już nigdy nie podniosę na niego głosu! A jaki był odważny! Choć taki mały, dzielnie stawiał czoło tym strasliwym upiorom, ile potworów pokonał przedtem...! Mały bohater... nie dożył wielkiego zwycięstwa!” – Od tych rozmyślań rozkleiłam się na amen i ostatecznie zalałam łzami.

Widząc to, Aleks zatrzymał się.

– Ej, czy tobie czasem jakiś łeb w oczy nie napluł? Bo ich ślina jest jadowita i teraz możesz jeszcze długo łzawić – powiadomił mnie rzeczowo.

– Nie, cebulę kroiliśmy! – odburknęłam.

Aleksa to wyjaśnienie w pełni zadowoliło. No, naprawdę, wrażliwość na poziomie cegły...

A mnie znów opadły niewesołe myśli.

„Nasz odważny wąsaty agent bohatersko zginął podczas akcji! Postaram się, żeby wystawili ci pomnik, nakręcili film dokumentalny i żeby dzieci w szkołach uczyły się o twoim życiu – krótkim, ale jakże obfitym w wielkie czyny!”

– Do diabła! Mogłem o tym od razu pomyśleć! Głupi baran! – Aleks klepnął

się z rozmachem w czoło.

„Ciekawe. Czy gdybym ja nazwała go teraz głupim baranem, też by się z tym zgodził? – pomyślałam, na sekundę odrywając się od patetycznych rozmyślań. – Akurat... Mężczyźni są niekonsekwentni”.

– No co?

– Gdzie indziej miałby być, jak nie w chacie?! Przecież tam jest jedyne w całej okolicy suche miejsce, gdzie można się przespać!

Czym prędzej runęliśmy do siedziby Fudzumy. Wyprzedziłam Aleksa ledwo o krok. Rzeczywiście, koteczek ułożył się na słomianej macie w kącie i urządził prawdziwy mruczankowy koncert.

– Nie będziemy mu przeszkadzać – postanowił Aleks, zatrzymując się tuż za progiem. Jednak pod nogą zaskrzypiała mi deska i agent 013 gwałtownie uniósł łebek.

– Aa, to wy. Ile jeszcze do świtu? Przymknąłem drzwi, więc uszaci tu nie wlecieli. Teraz pewnie czmychnęli do lasu pożywić się robakami i poczwarkami.

– Do świtu jeszcze godzina, jak myślę – odpowiedział Aleks. – Sądząc po księżycu.

Deszcz ustał, chmury powoli się rozproszyły i w małym okienku można było zobaczyć blednącą nad lasem księżycową tarczę.

– Na co im robaki? – zainteresowałam się.

– Stracili na nas mnóstwo czasu. Gdyby im się powiodło, starczyłoby im jedzenia na cały tydzień. A teraz muszą nabrać sił do rozstrzygającej walki. Zapewne nie jedli niczego od zeszłej nocy – wyjaśnił za „zmartwychwstałego” profesora jego partner.

Tkliwie popatrzyłam na kota, ciesząc się w duchu, że ocalał. Z całych sił powstrzymywałam się, żeby nie zadusić go z tego szczęścia. Biedulek, nie wiedział, co się ze mną dzieje, toteż odwrócił wzrok zmieszany.

– Masz wszystko, czego trzeba do surowicy? – zapytał Aleksa.

– Jasne. Nie mamy tu już czego łowić. Może sprawdzimy, czy tamci nie odwalili kamieni? Ostrożność nie zawadzi. Jak ocaleje choć jeden, będziemy musieli tu zostać kolejną noc i oberwiemy od zarządu po uszach.

Wyszliśmy cichutko całą trójką i jakież to obraz ukazał się naszym oczom tuż za węglem? Cztery łebki, dysząc i parskając, próbowały odciągnąć kamienie



zakrywające jedną z dziur. Szybko odnalazłam swoją wypróbowaną pałkę. Aleks już wywijał mieczem, z którym się nie rozstawał.

Głowy na nasz widok zasyczały ze złością. No tak, nasze potworki nie dały rady odkopać wejścia zębami, zasapały się i wariowały teraz z wściekłości. Migiem pofrunęły w powietrze i opadły nas z Alekssem – po dwie na każdego. Kot nie obraził się za takie lekceważenie – po prostu podskoczył wysoko i capnął największą. Dzięki, dla mnie została tylko jedna. Dalej wszystko szło jak za pierwszym razem. Głowy gryzły. Myśmy się opędzali. Wrzaski i wycie niosły się jak las długi i szeroki. Nie będę się wdawać w szczegóły, ale nie było tak łatwo. Jedna z głów ukąsiła mnie w palec do krwi! Kwiknęłam dziko z bólu, a napastnik niespodzianie zaczął pluć i narzekać, że jestem dziwnie słona. Mało się nie zatchnęłam z urazy: jakiś parszywy latający łeb będzie mnie tu gryzł i jeszcze wypowiadał się niepochlebnie o moich walorach smakowych?! Niedoczekanie!

Dowódca zdołał unieszkodliwić następnego upiora. Pierwsze promienie słońca rozświetliły wierzchołki drzew i pozostałe trzy natychmiast zostawiły nas w spokoju. Trzepocąc się i jęcząc, biły czołami o kamienie, desperacko próbując w ostatniej chwili przeniknąć do piwnicy, by połączyć się ze swoimi ciałami. Na próżno. Obserwując ich nieskuteczne usiłowania, pomyślałam ze znużeniem: „Całą noc opędzaliśmy się od latających głów. Teraz pozostały trzy i wszystkie mam przed sobą. Fruwają, żywią się ludzkim mięsem, a nad ranem łączą się z ciałami. One istnieją! Czy to możliwe? A może po prostu zwariowałam? Albo wszyscy są tutaj obłąkani...? Oj, nieprędko pozbędę się tych wątpliwości. Chociaż właściwie czy warto? W gruncie rzeczy to nawet fascynujące...”

Rokuro-kubi poruszały się coraz wolniej, w końcu padły na ziemię i mogłam zobaczyć, jak w bladym jeszcze świetle dnia marszczy im się skóra. Wystarczyło kilka minut i nieszczęśnicy zakończyli ostatecznie żywot. Podniosłam oczy na ciężko dyszącego obok dowódcę.

– Co teraz?

– Do domu. Czyli do Bazy, bo do domu, niestety, masz jeszcze daleko – odparł.

Nareszcie będzie można się wyspać... i umyć. Och! Brudna, spocona, pogryziona, zmęczona jak pies – zrozumiałam, jak ciężki jest chleb

specagentów. Powoli usiadłam prosto w błoto – żegnaj, jedwabne kimono... Cytrynowo-różowe słońce załało błogostawionym blaskiem skromnych bohaterów z wyspy Hokkaido. W sercu zakwitła mi zasłużona duma...

I wtedy daleko, przy brzegu lasu, pojawiło się coś bardzo podobnego do naszych rokuro-kubi. Mignęło i skryło się za pagórkiem. Szczęka mi opadła – nie, nie przywidziało mi się, ta głowa mrugnęła do mnie!

– Co tam zobaczyłaś? – zainteresował się Aleks, siadając obok.

– N-nic, zupełnie nic. A co?

– Tak mi się wydawało.

– Szczerze mówiąc... – zacięłam się. Jeszcze jeden dzień pogoni za latającymi czerepami i poryczę się jak smarkata pierwszoklasistka. Czy cały ten wysiłek poszedł na marne?

– Rozumiem. – Agent uśmiechnął się domyślnie, a ja znów utonęłam w jego ciepłych szarych oczach. – To dzienne rokuro-kubi. Nie mieliśmy na nie zlecenia. Swoich załatwiliśmy, a te to już problem Steve'a. Dostał zadanie zaraz po mnie, nie będziemy mu psuć polowania. Przy okazji... gratulacje z okazji przejścia chrztu bojowego.

Byłam gotowa go ucałować! Ale oczywiście akurat wstał, nie zwracając na mnie kompletnie uwagi, i zaczął pakować rzeczy. Kiedyś go... uduszę!

Baleron (nowe pseudo agenta 013) mył pyszczek, o dziwo, całkiem po kociemu. A ja już myślałam, że używa umywalki, mydła i zęby szczoteczką czyści dwa razy dziennie. Przyglądałam się, jak pan profesor starannie myje się łapą za uszami, i przemknęła mi bluźniercza myśl: a może on i myszy łapie?

Na wszelki wypadek jeszcze zajrzeliśmy do piwnicy – przez tego asekuranta Aleksa – zamiast czym prędzej wracać do domu. Przeliczyliśmy ciała, które już zaczynały się rozkładać, zamknęliśmy klapę i Aleks na powrót przywalił ją stołem. Wyschnięte głowy rozsypały się w proch. Całe szczęście, inaczej nasz dowódca byłby pewnie gotowy rozpalić ognisko na polanie i urządzić makabrycznego grilla.

Bez skrępowania zdjęłam upaprane kimono, pozostając w modnej koszulce i dżinsach. Do domu! Do Bazy!

I witaj swobodo – obowiązek uczciwie wypełniony! Wyszliśmy na polankę, niosąc swoje worki. Kot lekko kulał. W sierści nadal miał pełno suchych źdźbeł

i kolców. Wyglądał jak brudny, zmęczony i zakurzony weteran. Aleks był pięć razy brudniejszy (jeśli liczyć według wzrostu), a zadrapania i sińce na twarzy opromieniały go nimbem bohatera. Wszyscy troje byliśmy głodni i zmęczeni, lecz zadowoleni z wygranej.

– Ech, po powrocie, chcesz czy nie chcesz, trzeba się będzie wymyć w gorącej wodzie – stwierdził kot tępo. To była jedyna chmurka na niebie jego doskonałego szczęścia.

Aleks wyciągnął „teleporter”.

– No cóż... Zadanie wykonane, teraz jesteśmy faktycznie drużyną. Gratuluję pomyślnie zakończonej operacji, przyjaciele, a teraz do domu. – I nacisnął odpowiedni guzik.

W mgnieniu oka przenieśliśmy się do tego samego holu Bazy, gdzie trafiłam po raz pierwszy z mojego przytulnego mieszkanka. Aleks jednak nie widział tego, co działo się za jego plecami, a kot patrzył wtedy w inną stronę. Tuż przed skokiem zobaczyłam, jak nad urwiskiem, nie zwracając najmniejszej uwagi na jaskrawe słońce, w tempie spacerowym frunęły sobie trzy głowy, a za nimi leciał na aluminiowych skrzydłach nasz znajomy biorobot z błyszczącym dwuręcznym mieczem. Powodzenia, Steve...



W Bazie przywitał nas chaos. Zastygliśmy ze zdumienia, obserwując, jak obok w panice przewalają się wszystkie zamieszkujące ją istoty. Nie podejrzewałam, że może być ich aż tak dużo. Panował taki zgiełk, że nikt nie słyszał naszych pytań. Co tu się stało, u licha? Wybuch jądrowy? Powszechny spis ludności, kino za darmo czy może dzień wypłaty? W końcu Aleks wyłowił z tłumu za kołnierz jakiegoś karzelka, który zamajtał nogami i kwiknął z urazą:

– No co?! No co jest? Domagam się poszanowania praw gnomów!

– Słuchaj no, pyskaczu, co tu się dzieje? – zapytałam ciekawie.

Skrzat popatrzył na mnie jak na idiotkę, zmierzył pogardliwym spojrzeniem moich towarzyszy i powiedział:

– No co wy, faktycznie nie kapujecie? Przecież dziś w Bazie jest Dzień Sportu! Pompki i podnoszenie ciężarów już było, a teraz minimaraton! Puszczaj, głupku, muszę zdobyć nagrodę!

Agent puścił kołnierz karzelka, ten migiem zanurkował w masie zawodników, z miejsca wziął szybkie tempo i wykorzystując niski wzrost, przemykał między nogami wysokich biegaczy, a niższych od siebie po prostu przeskakiwał.

– Rzeczywiście! Dzień Kultury Fizycznej! – przypomniał sobie Aleks. – Tak mi się zdawało, że to wszystko wygląda jakoś znajomo.

– No pewnie. Trzy lata temu, jak wracaliśmy z akcji, też trafiliśmy akurat na tę imprezkę. Potem było jeszcze pływanie i zmusili nas obu do nurkowania, brrr...! Pamiętasz? – odezwał się kot.

– Trudno zapomnieć. Zarząd wykazuje duży entuzjazm do takich pomysłów. Boją się, że pracownikom się nudzi, czy co?

W ten sposób, ryzykując rozdeptanie, zrywami przedzieraliśmy się do tegoż pomysłowego zarządu, by zameldować o zakończeniu operacji. Profesor musiał wdrapać się Aleksowi na ramię. Wpierw jednak zaszliśmy do „kostiumowni”, zostawiliśmy tam swoje konspiracyjne łachy, wzięliśmy prysznic i przebraliśmy się. O dziwo, również dostałam uniform. Aleksowi zeszło dłużej, gdyż nie mógł się pozbyć przyklejonych na piersi włosów i musiał je zdzierać siłą – dziwne zwyczaje mieli ci samuraje, naprawdę... Po drodze do biura podśmiewałam się z naszego superbohatera. Oczywiście nie aż tak, żeby się mocno obraził. Dotarliśmy w końcu do trollopodobnej sekretarki, której jeszcze się odrobinę bałam. Kiedy nas rejestrowała, ukradkiem podziwiałam swój nowy mundurek – szarą marynarkę wojskowego kroju i spódnicę, jak u bohaterki „Starship troopers”. Wszystko leżało jak ulał, bez jednej fałdki. Kiedy brali ze mnie miarę przed wyprawą, myślałam, że raczej chcą wiedzieć, jakiego rozmiaru trumnę powinni mi przygotować.

– O czym tak dumasz? Idziemy – przywrócił mnie do rzeczywistości Aleks.

– Gdzie? Do waszego zarządu?! – To słowo zawsze źle mi się kojarzyło i zanosłam modły, żeby jeszcze udało mi się wykręcić. – Ale co ze mnie za agent? Niby po co mam tam do gabinetu...? Idźcie sami, ja...

– Tak trzeba. A nawet trzeba koniecznie! Brałaś udział w akcji, czyli i raport trzeba zdawać razem – odparł dowódca szorstko i bez zbędnych słów tak mnie popchnął w plecy, że niechcący otworzyłam drzwi głową i znalazłam się w przestronnym gabinecie. Aleks i kot weszli za mną.

W głębi pokoju stało masywne biurko, wzdłuż ścian ciągnęły się solidne

regaly. Po kątach krzewiły się bujnie rośliny w donicach, a pod palmą stało owalne akwarium. Na pierwszy rzut oka w gabinecie nijakiego zarządu nie było, tylko obok jednej z donic dostrzegłam rozczulająco klasycznego krasnoludka ze spiczastymi uszami i bujną brodą. Skrzat podlewał dużą konewką coś, co wyglądało mi na małe drzewko cytrynowe. Miał na sobie kierzowe<sup>[2]</sup> buty z cholewami, kuse spodnie, białą koszulę i kamizelkę w kolorze musztardy. Ogólnie wyglądał jak sielankowe wyobrażenie środkowoeuropejskiego wieśniaka, pomijając czerwoną czapczkę na głowie.

– Eee... dzień dobry – bąknęłam.

Skrzat uśmiechnął się przyjaźnie, odstawiając konewkę. Wziął mnie za rękę i dłuższą chwilę jej nie wypuszczał.

– Bardzo mi miło poznać panienkę. Jacy interesujący pracownicy u nas się pojawiają...

Natychmiast poczułam się jak Królowna Śnieżka i mimowolnie zrobiłam dyg. I to ma być ten straszny wszechmocny zarząd?! Kiedy tylko skrzat mnie puścił, dyskretnie wsunęłam rękę za plecy i wytarłam ją o zakiet. Krasnoludek wdrapał się na wysokie krzesło za biurkiem, nagle spowaźniał i zaczął słuchać raportu agenta Orłowa.

Jakiś czas później moja opinia o szefie zmieniła się niemal o sto osiemdziesiąt stopni, kiedy się dowiedziałam, że nie tylko umie grać na harmonii i w wolnych chwilach wyszywa krzyżykami. W młodości szef był zatwardziałym kryminalistą i jako członek cieszącej się złą sławą szkockiej bandy Czerwonych Kapturków<sup>[3]</sup> nieraz narobił szumu w całym okręgu. Na pewnym etapie życia, pełne rozlewu krwi oraz grabieży, wydało mu się zanedo niegodziwe i został mnichem. Przeszedł długą i ciernistą drogę od skromnego nowicjusza aż do naczelnika potężnej organizacji; potrafił przy tym zachować poczucie humoru, współczucie dla bliźnich i nauczył się chronić swoich podwładnych. Mówiono, że za jego kadencji śmiertelność wśród agentów zmniejszyła się trzykrotnie.

Od krasnoludka otrzymaliśmy ustną pochwałę za dobrze wykonane zadanie oraz osobiste powinszowania z powodu wdzięku i urody... Potem zostaliśmy skierowani do kancelarii, gdzie urzędniczka wręczyła nam kopertę z nowym zadaniem i grubą teczkę, na której widniała nazwa kodowa: „Sprawa szczura

wegetarianina”. W rzeczywistości sprawa dotyczyła pojmania i unieszkodliwienia wielkiego wilka ludojada, co było główną rozrywką Francuzów w latach sześćdziesiątych XVIII wieku. Zwierz wszedł do historii jako „Bestia z Gevaudan”, gdyż istotnie grasował w górach Gevaudan, w regionie Owernii, jak po dziś dzień nazywa się obszar w centralnej części Francji.

– Przesądni mieszkańcy wsi, dokoła których krąży to zwierzę, nazywają je diabłem – opowiadał profesor. – Niektórzy uważają, że to wilkołak, zmiennokształtny człekowilk, czarownik. Zaszły swą niesłychaną krwiożerczością i nieuchwytnością. Był wielokrotnie zabijany, obdzierany ze skóry i dostarczany na dwór królewski. W Luwrze do tej pory można obejrzeć jego futro z pięćdziesięcioma sześcioma dziurami po kulach. Niemniej wilkołak atakuje wciąż od nowa. Nawet naukowci konsultanci w Bazie nie wiedzą, kim on jest naprawdę.

– A dlaczego oni uważają, że to jest wciąż jeden i ten sam wilk? – spytałam z niejakim roztargnieniem, zaczynając jeść gulasz. Przede mną stały aż dwie szklanki z kompotem, ale teraz jak na złość zachciało mi się kisielu. Sinoskóry za ladą rozlewał go właśnie do szklanek, lecz nadal nie miałam śmiałości do niego podejść.

– Dlatego, moja droga, że ludzie go widywali, i to nieraz. – Między mną i kotem nastął już całkowity pokój; niebezpieczeństwa wspólnej akcji nas zbliżyły. – Poza tym odznacza się wielkimi rozmiarami, ma też znaki szczególne: czarny pas sierści wzdłuż grzbietu i czerwone ślepia. Jest diabelnie sprytny, nigdy nie ryzykuje: napada tylko na kobiety i dzieci. Musisz się zgodzić, że w jednej miejscowości nie może być kilku wilków o identycznych cechach.

– Taa, miłe zwierzątko... – Wzdrygnęłam się. Co prawda nie z powodu kociego opowiadania. Już od dwóch minut udawałam, że nie dostrzegam, jak siedzący przy sąsiednim stoliku chłopak puszcza do mnie oko. Najbardziej ze wszystkiego przypominał mitycznego gryfona: jastrzębia głowa i lwie ciało wciśnięte w sportowy dres. Mrugał z zapalem, nie tracąc nadziei, że przyciągnie moją uwagę, robił małpie miny, aż się zaczęłam obawiać, czy nie dostanie skurczu mięśni na swoim ptasim obliczu.

Zdenerwowana zaczęłam się kręcić na krześle. Aleks, który zorientował się

w sytuacji, uśmiechnął się pobłaźliwie.

– A, to tylko Rudik. Zupełnie nieszkodliwy. Nie próbuj mu dokuczać, po prostu nie zwracaj na niego uwagi przez najbliższe parę godzin, to sam się odzepi.

Parę godzin?! No i kto tu komu dokucza...

## Rozdział drugi



Wylądowaliśmy na zarośniętym chwastami pagórku. Było południe, upał, sam środek lata. W dole, na łąkach, pasło się stado krów z cielętami. Za pastwiskiem, nieco po prawej, oddalona o mniej więcej kwadrans marszu, rozciągała się spora wieś z kościołem w samym centrum. Domy w większości wyglądały biednie – pochylone chłopskie chaty. Jak wysepki na jeziorze biedy wyróżniały się pomiędzy nimi bogatsze posesje. Za wsią złociły się pola pszenicy, ciągnące się aż po horyzont, gdzie majaczyło pasmo gór. Tu i ówdzie na polach widać było malutkie figurki ludzi.

– Czyli tak: wtapiamy się w miejscową ludność. Zgodnie z legendą, ja jestem królewskim nadłowczym, a ty moją siostrą – po raz kolejny powtórzył Aleks.

– A ja jestem po prostu kotem, osobą postronną – dodał agent 013.

– Ja jestem Jeanette, a ty Gustaw Courbet – podsumowałam.

Dowódca kiwnął głową z zadowoleniem.

Na moje oko był za elegancki jak na nadłowczego, który po długiej podróży nie powinien być aż tak wymuskany. Nie wiem, na ile jego kostium był zgodny z faktycznym strojem łowczych Ludwika XV, ale w magazynie Aleks uparł się przy właśnie tym fasonie. Kamizela z materiału podobnego do aksamitu, na wierzch ciemnozielony kaftan z szerokimi rękawami i mankietami oraz dwiema dużymi praktycznymi kieszeniami, do tego spodnie typu *culotte*, zapinane na guziki pod kolanami, a na nogi białe pończochy i brązowe trzewiki. Plus trójgraniasty kapelusz. Włosy Aleks miał gładko zaczesane do tyłu i związane czarną wstążką. Samurajska łysina należała do przeszłości zlikwidowana najnowszym środkiem na porost włosów. (To nie reklama!). Na ramieniu dźwigał skalkową strzelbę o długiej lufie nabitą srebrną kulą.

– Niezły bajer – westchnęłam z cichym zachwytem. – Tylko nie wierzę, że



nadłowczy tak się ubierają. Tak czy siak, wyglądasz wstrząsająco!

– Dzięki – odrzekł Aleks. – Szkoda tylko, że nie mogę powiedzieć tego samego o tobie.

Spurpurowiałam i przygryzłam wargę ze złości. Co za zapatrzony w siebie baran! Najgorsze ze wszystkiego było to, że miał rację. Ubrana byłam raczej dość prosto: w szeroką płócienną spódnicę z falbanami (trzeba toto krochmalić), bluzkę z długim rękawem, sznurowany gorsecik, fartuch i zupełnie niedorzeczny czepek. Na nogach miałam drewniane saboty. Wszystko czyściutkie i odprasowane, ale poza tym... uuuch!

– A co ja jestem winna, że mnie ubrali jak kretynkę?! – burknęłam. – Znajdę tego wilka i skopię mu tyłek!

– Za co? – zaciekawił się kot. – Za pogryzione dzieci?

– Za to, że on nie mieszka w Paryżu, a wybrał sobie jakieś zadupie, gdzieś w górach, gdzie mieszkają dzikusy, które ubierają się w takie łachy. – Szarpnęłam zniechęconą spódnicę. – W Paryżu mogłabym się stroić jak markiza de Pompadour.

– No, to dopiero głupi pomysł! – skomentował Mruczek, parszcząc pogardliwie. – Nie cierpię nadmiaru kokardek i koronek.

– To nie wszystko! – tupnęłam nogą. – Jakimś cudem udało nam się dostać do tej epoki. Jedna szansa na milion, że nas powtórnie wyślą do Francji za panowania Ludwika XV, i co?! Jestem zmuszona wegetować w tej dziurze, zamiast bawić się w stolicy i romansować z wicehrabią Valmontem. Każda dziewczyna o tym marzy, kiedy przeczyta

„Niebezpieczne związki”!

– My tu służbowo...

– Ale może i w Paryżu są jeszcze jakieś niedobite potwory. Upiór Opery na przykład albo Belfegor, upiór Luwru? – próbowałam się usprawiedliwić, dostrzegłszy ciężkie spojrzenie kota.

Teraz i Aleks patrzył na mnie nieprzychylnie.

– Ech, akurat zrozumiecie biedną kobietę! Idziemy, wy obrońcy moralności. – I energicznie ruszyłam w dół z bocza.

Moi towarzysze spieszenie podreptali za mną, pojąwszy, że jestem w złym humorze i lepiej mnie nie drażnić próżną gadaniną. Po upływie paru minut Aleks ostrożnie położył mi rękę na ramieniu. Odwróciłam głowę z

niezadowolaniem, by napotkać pełne współczucia oczy kolegi.

– Obiecuję – oświadczył uroczyście – że jeśli ten łobuz Valmont będzie przejeżdżał obok albo przypadkiem zatrzyma się w zajeździe gdzieś w sąsiedniej wsi, ja ci go dostarczę! Niech się nawet piekli jak sto diabłów w beczce, a dostaniesz go. I biada mu, jeśli się ośmieli od ciebie odwrócić...

– Dziękuję, jesteś prawdziwym przyjacielem – rzekłam ze wzruszeniem, próbując powstrzymać łzy wdzięczności.

Wieś okazała się większa, niż sugerował widok z góry. Domy na głównej ulicy były kamienne lub stawiane z pruskiego muru na drewnianym fundamencie, otynkowane po wierzchu. W jednym z nich mieściła się gospoda, której parter zajmował szynk pod nazwą „Cielę i Wrota”.

Zakwaterowaliśmy się na piętrze. Wydane nam w Bazie złote monety z profilem Ludwika XV starczyły, byśmy nie musieli nocować w lesie. Pokoje były skromne, ale całkiem znośne – pobielone ściany, dwa krzesła, miednica do mycia, szerokie łóżko zarzucone poduszkami, a nad wezglowiem pomalowany ciemnym lakierem krucyfiks.

„A jednak jest romantycznie” – stwierdziłam, kiedy tylko zostałam sama, i nie mogąc powstrzymać emocji, rzuciłam się z rozmachem na zaścielone białymi prześcieradłami łożo. No proszę! Francja, wiek XVIII. Niekończące się wojny z Austrią, luksusowe życie królewskiego dworu, bale, wspaniałe przyjęcia z fajerwerkami, szampan, damy w krynolinach, szarmanccy kawalerowie, intrygi, plotki, muszki – słowem, odlot! „Po nas choćby jakobini”. Bajkowe życie pociągało, wirowało, otaczało mnie gęstym różowym obłokiem...

Ocknęłam się, słysząc natarczywe skrobanie do drzwi – zwykle tak oznajmiał o swoim przybyciu profesor. Boże, czyżbym zasnęła?

– Cześć, nie wiesz może, która godzina? – spytałam, wpuściwszy kota do pokoju.

– Wieczór – odparł lakonicznie. – Aleks zdążył się zapoznać z mieszkańcami wsi, a dzięki jego lipnym dokumentom wszyscy wierzą, że jest królewskim nadłowczym. Okazuje się, że myśliwych polujących na wilka jest tu więcej niż pcheł. W naszym hotelu aż od nich rojno. Ściągają ze wszystkich zakątków Francji, pozostawiając rodziny i wszystkie swoje sprawy, w nadziei, że uda im się upolować to wilczysko.

- Skąd taki entuzjazm? – ziewnęłam, siadając na łóżku.
- Król i biskup Mende obiecali za jego głowę dziesięć tysięcy liwrow.
- O! A ile to będzie w dolarach? – ożywiłam się.
- Hmm... jeśli wypłacą w porządnym złotych ludwikach, to po przybliżonym kursie z twoich czasów... – kalkulował kot.
- Mam nadzieję, że nie wyjedziemy, nie biorąc wynagrodzenia?!
- To by było głupie – przyznał kocur i wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia.

W tym momencie nadszedł Aleks (trochę zawiany). Do tej pory siedział w gospodzie i teraz miał lekkie problemy z grawitacją. Z dołu dolatywał niezborny śpiew. Melodia była skądś znajoma.

– Chłopcy przedterminowo nauczyli się „Marsylianki”... hik! – wyjaśnił agent, widząc, że przysłuchuję się z zainteresowaniem. – Co prawda... sam nie pamiętałem do końca słów i trzeba było w trakcie wymyślać. M-może tu przysiadę, coś mi nogi nie działają...

Odsunął mnie bezceremonialnie z drogi, przewrócił się na moje łóżko i nawet nie zdejmując butów, zachrapał.

– Uch! Brak mi słów, a te co mam, nie nadają się do publicznej prezentacji, zwłaszcza we Francji – wycodziłam. – On tak często?

– Skąd, agenci zwykle nie nadużywają – zapewnił kot. – Nic strasznego się nie stało. Dziś wieczorem i tak mieliśmy tylko podpytywać tubylców. Póki wilk się nie pojawi, nie ma sensu podejmować żadnych intensywnych działań. Jest wpół do siódmej, możemy razem pospacerować po wsi, a Aleks niech się prześpi.

Zamknawszy nieprzytomnego „zbawcę ludzkości” w numerze, zeszliśmy z profesorem na dół. Podchmieleni goście jeszcze nie opadli z sił, choć „Marsylianka” w wersji Aleksa brzmiała już dość bezmyślnie. Tylko jeden człowiek w szynku (poza właścicielem) nie śpiewał. Siedzący przy bocznym stole chuderlawy typ w czarnym kabacie świdrował wzrokiem wszystko dokoła i od czasu do czasu bazgrał coś w leżącym przed nim kajecie.

- A to kto? – spytałam gospodarza, poprawiając medalion z tłumaczem.
- Ten w czarnym? Agent tajnej policji Merisault, pseudonim Dziurka od Klucza – pełną pierśią wygłosił szynkarz, wycierając palce o fartuch. Słyszając to, Merisault wcisnął głowę w ramiona, jakby próbował się skurczyć, a że nikt

na niego nie zwracał najmniejszej uwagi, wyprostował się i znów coś naskrobał w kajeciku.

Znalazłam wolny stół w kącie. Kot usadowił się obok mnie, zezując na zamazane menu.

– *Mademoiselle*, polecam specjalność naszej gospody, bitki cielęce. Po prostu paluszki lizać! – Gospodarz zgiął się w usłużnym ukłonie.

– Zastanowimy się – odrzekłam sucho.

– Czy to znaczy, że ktoś jeszcze przyjdzie?

– Nie, my z Mruczusiem się zastanowimy. – Wskazując palcem na kota, zmierzyłam szynkarza surowym spojrzeniem, aż się wycofał.

Kot był obrażony.

– Co?! Ja – Mruczuś?! Żeby tak nazwać profesora uniwersytetu, tajnego agenta do walki z potworami...? – zasyczał, starając się wyglądać jak najgroźniej.

– Przepraszam, Mruczusiu, ale to imię naprawdę bardzo do ciebie pasuje – zauważyłam z uciechą i pozwoliłam sobie wręcz na świętokradztwo: podrapałam go za uchem. – Nie dąsaj się, lepiej obejrzyjmy jadłospis. Co byś chciał? Jest kaczka po meksykańsku, zupa cebulowa z serem, kotlety, ragoût cielęce, panierowany pstrąg...

W miarę jak wymieniałam dania, kot stopniowo się uspokajał, a pod koniec nawet cichutko zamruczał – spis liczył około dwudziestu potraw.

– W takim razie poproszę...

– Słuchaj, to po prostu oburzające! – przerwałam mu. – Gdzie żabie udka, proszę ja ciebie?! To w końcu Francja czy nie?

– Żaby to danie delikatesowe, tak samo jak ostrygi. Nie ma przepisów, że mają być w każdej oberży w zabitej deskami dziurze, jak to nazwałaś – parsknął Mruczek z wyrzutem. – Poza tym one tuczą.

– To mnie pocieszyleś.

Zjedliśmy obfity i smaczny obiad (mieli tu niezłą kuchnię) i poszliśmy zaznajamiać się z mieszkańcami Gevaudan. W drodze do drzwi specjalnie zatrzymaliśmy się obok agenta Merisaulta, który z przestachem zakrył swoje notatki ręką i odprowadził nas nieprzyjaznym spojrzeniem.

We wsi spotkaliśmy podpitych żołnierzy śpiewających na całe gardło „Marsylianę”. Widać piosenka szybko się rozpowszechniała.

– Cudownie! Wspaniale! Czarownie! Jaka egzotyka – królewscy żołnierze! – najgłośniejsz jak mogłam zwróciłam się do kota, oglądając czterech wojaków jak muzealne eksponaty. Chłopcy pospiesznie zeszli mi z drogi i usłyszałam, jak ich przywódca ostrzega: „Wariatka... pewnie z Paryża, lepiej się z nią nie zadawać”.

– Żołnierze są tu z tego samego powodu, co my: szukają wilka – wyjaśnił profesor, kiedy oddaliliśmy się kilka kroków.

Obejrzałam się. Jeden nietrzeźwy żołdak, stojąc przed dwoma budynkami, akurat mówił do drugiego:

– To nasz...

– Nie, ty ośle, tu kwateruje oddział Labourea, a my nocujemy tutaj.

– A ja wam mówię, że trafiliśmy nie do tej wsi – wtrącił się trzeci.

– Chyba zabłądzili – uśmiechnęłam się. – Już sobie wyobrażam, jaką stanowią dla nas konkurencję w polowaniu.

Poszliśmy dalej. Widząc przy studni gromadkę kobiet gadających na wypródki, postanowiłam do nich dołączyć w nadziei, że podsłucham coś ciekawego.

– Marie Anne znów kręciła się koło męża Sophie i ta dziś idzie powydzierać jej włosy – szczebiotała jedna, czekając na swoją kolej.

– Coś takiego! – wykrzyknęła jej sąsiadka z zachwytem, szeroko otwierając oczy. – To znaczy, chciałam powiedzieć: jakie nieszczęście!

– Powiem ci coś w tajemnicy, droga Marie. W końcu postanowiliśmy się pobrać z Jeanem-Pierre'em! – wyszeptała głośno do swojej przyjaciółki dziewczyna stojąca koło mnie. To z pozoru niewinne zdanie spowodowało, że po całej wsi rozniósł się pisk i krzyki.

– Co?! Co powiedziałaś, ty szmato? Jean-Pierre żeni się ze mną, rozmawialiśmy o tym nie dalej jak wczoraj wieczorem! – Z drugiej strony studni przyskoczyła rudowłosa dziewczuszka i z groźną miną zamachnęła się drewnianym wiadrem. Przezornie cofnęłam się o krok.

– O, wy więdźmy kostropate, kłamczuchy parszywe! Gapić się na cudze szczęście i pleciecie, co ślina na język przyniesie, a wszystko dlatego, że was zazdrość żre! Toż Jean-Pierre kocha mnie już od dwóch tygodni i właśnie dziś rano się oświadczył – wmieszała się trzecia ślicznotka.

Dwie „pretendentki”, do tej pory zażarcie drapiące jedna drugą, zgodnie

zwróciły się przeciwko nowej rywalce.

Oboje z Mruczkiem, podobnie jak reszta, przyglądaliśmy się z zainteresowaniem bójce i robiliśmy zakłady. Jakaś kobieta sprawnie zbierała pieniądze i ołówkiem robiła notki na skrawku papieru.

Postawiłam na tę rudą. Tymczasem odezwała się stojąca obok mnie dziewczuszka o niczym niewyróżniającej się powierzchowności:

– Witaj, na imię mi Jocelyne.

– A mnie Jeanette.

– Wiesz, to nie ma sensu. Przecież Jean-Pierre dopiero co, przed półgodziną, wyznał mi miłość, a już jutro mamy brać ślub.

Poczułam nieprzewartą ochotę na własne oczy zobaczyć owego legendarnego Jeana-Pierre'a! Walka się zakończyła, zwycięzczyń nie wyłoniono, gdyż wszystkie trzy dziewczyny były jednakowo potargane. Wieśniaczki za pomocą kopniaków i kuksańców odzyskały swoje pieniądze od bukmacherki, która próbowała dać nogę, korzystając z zamieszania. Ja także dostałam z powrotem swoje drobniaki. Kobiety zaczęły się rozchodzić, a ja postanowiłam zaczepić swoją nową znajomą.

– A co teraz słyhać o wilkołaku z Gevaudan? Podobno już dawno się nie pojawiał?

– Ostatnio ktoś go widział tydzień temu. Jakiś chłopak taszczył go z szynku pijanego w drzazgi. Obaj wyrzaskiwali jakieś piosenki i poszli do lasu. A co?

– A... nic – zająknęłam się, słysząc te rewelacje. – To na niego nie polują?

– Polują, polują... Przecież pożarł już ponad dwustu ludzi, tak gadają. Za jednym posiedzeniem podobno zjada po dwa ciała – spokojnie wyjaśniła dziewczyna.

– Czyje?! – wytrzeszczyłam oczy. – A, rozumiem. Po prostu... wybacz, to tak okropnie brzmi. Czyli on tu sobie siedzi w kawiarni, to jest w wiejskim szynku, i jeszcze nikt go nie złapał? Jak to możliwe?

– No wiesz, myśliwi też byli zalani w pestkę, pili razem – chętnie i prostodusznie tłumaczyła wieśniaczka.

– Cudownie! I wam pasuje, że on chce was wszystkich zjeść?!

– Przecież nie wszystkich! To znaczy, oczywiście, mógłby zjeść każdego, ale ty sobie nawet nie wyobrażasz, jaka tu była nuda. A kiedy pojawił się wilk, do naszej wsi zaczęli zjeżdżać ludzie. Wielu się tu nawet osiedla na stałe. A jak

idzie handel pamiątkami...!

– Uj! – wyrwało mi się. – Opowiedz dokładniej, może ja też zainwestuję w biznes hotelarski?

– Jak to, ty całkiem nic nie wiesz? – powiedziała moja rozmówczyni z niedowierzaniem, patrząc na mnie podejrzliwie jak na stołeczną dziennikarkę.

– Tylko chcę odświeżyć pamięć – odparłam beztróska.

Jocelyne pisnęła z zachwytu i bez dalszej zachęty zaczęła zasypywać mnie wszystkim, co kiedykolwiek słyszała na temat Bestii.

– Powiadają, że Bestia to w samej rzeczy nie żaden wilk, a wilkołak. Za dnia człowiek, a nocą, kiedy nałoży wilczą skórę, przemienia się w zwierza. Nie można go zabić nawet srebrnymi kulami i potrafi uwieść każdą dziewczynę. A dzięki temu, że rozślawił Gevaudan, nikt z miejscowych nigdy nie będzie pomagał przyjezdnym myśliwym. Podejrzewają... – tu dziewczuszka zachęciła mnie gestem, żebym się do niej nachyliła i wyszeptala mi na ucho – ...że to nasz sołtys, Jacques Karzełek.

– Taaak? – Że też musiałam trafić akurat na taką idiotkę...

– To na pewno on. – Dziewczyna pokiwała głową z przekonaniem. – Po pierwsze, nikt więcej do tego nie pasuje, po drugie, on ma obowiązek dbać o wieś, i jeszcze... O, akurat tu idzie.

W oddali pojawił się niewysoki staruszek kulejący na obie nogi. Po dokładniejszej obserwacji okazało się, że nie jest chromy, a po prostu ma kabłąkowate kończyny dolne. Zobaczywszy nas (chyba raczej moją towarzyszkę), staruszek stanął jak wryty, potem okręcił się na pięcie i umknął z zadziwiającą w jego wieku żwawością.

– Macie dziwnego sołtysa.

– Rzeczywiście, dopiero teraz to zauważyłam. – Jocelyne w zamyśleniu przechyliła głowę. – Nie dalej jak wczoraj wieczorem bite trzy godziny z dobroci serca mu wyjaśniałam, dlaczego Jean-Pierre nigdy się nie ożeni z jego paskudną córką, a on dziś przede mną ucieka... Aha, a o wilku jeszcze opowiadają, że on prócz ludziny lubi też bardzo kaczkę po meksykańsku. Dlatego w naszej wsi podają ją jako „ulubione danie Wilkołaka z Gevaudan”. Szynkarz nawet planuje zmienić nazwę gospody na „Wilk i Babcia”.

– Dlaczego „Wilk i Babcia”? – Albo tu wszyscy zwariowali, albo to mnie

powoli obluźwiają się klepki.

– Dlatego, że „Wilk i Kapturek” jest już w sąsiedniej wsi – wyjaśniła Jocelyne, dziwiąc się mojej tępotcie. – Przecież Czerwony Kapturek, była ukochana Wilka, mieszkała właśnie tam.

– Wstrząsające! Do tego jeszcze ma cały pęczek kochanek... No dobrze, pójdę już. – Próbowалам zwiąć.

– Zaczekaj, to jeszcze nie wszystko! – trzepała Jocelyne, łapiąc mnie za rękę. – Mówią, że...

W tym momencie zauważyłam, że nie ma koło mnie profesora.

– Słuchaj, nie widziałaś mojego kota? – spytałam z lekkim niepokojem.

– Tego szarego tłuscioszka? Nie wiedziałam, że to twój kot. Poszedł sobie już dosyć dawno, o, w tamtą stronę – wskazała kierunek.

– Dzięki. A mój kot nie jest żadnym tłuscioszkiem, tylko stuprocentowym mężczyzną! – powiedziałam głośno i wyraźnie, urażona pogardliwą opinią o moim bojowym koledze.

Po czym, dumnie unosząc podbródek i stukając drewniakami, poszłam we wskazanym kierunku. Jocelyne została, przygnębiona moim brakiem zainteresowania.

Nie spieszyło mi się znaleźć agenta 013 – mogłam spacerować nawet cały wieczór samotnie. Tylko ten strój... Musiałam cały czas przytrzymywać długą spódnicę, żeby się nie potknąć. Czepek zjeżdżał mi z głowy i rozmyślałam o... różnościach, zasadniczo o Aleksie.

Niespodzianie drogę zastąpił mi wąsaty młodzieniec w mundurze i przedstawił się jako Leon, kapitan dragonów.

– No i co? – burknęłam tonem niezachęcającym do kontaktów, próbując go wyminąć.

Jednak natarczywy Francuz nie miał zamiaru odpuścić – odwrotnie, płonął chęcią zacieśnienia znajomości. Uśmiechał się czarująco i nie lazył z łapami, więc okazałam cię przychylności i wyjawiałam mu swoje imię. No cóż, nie udało się niczego sensownego dowiedzieć od przygłupiej Jocelyne, więc może kapitan dragonów okaże się pożyteczniejszy, jeśli zgodzę się na krótki spacer. Szliśmy sobie wiejską uliczką, kapitan podrygiwał z podniecenia, puszył się, opowiadał anegdotki, przechwalał się i obsypywał mnie komplementami. Plótl, że pochodzi z Normandii, gdzie rzecz jasna żyją



najwspanialszy w całej Francji mężczyźni; zrywał przydrożne kwiatki i wpychał mi je do rąk (a ja je ukradkiem wyrzucałam, bo były bardzo zakurzone). Generalnie kapitan robił wszystko, co w jego pojęciu było niezbędne, żeby zdobyć serce kobiety. Słuchając go z roztargnieniem, markotnie wypatrywałam kota.

– *Mademoiselle*, czy pani kogoś szuka? – spytał zazdrośnie mój adorator.

– Szukam swojego kota, Mruczusia – odparłam sucho. – Ale to nic takiego, myślę, że nie zginie. Proszę lepiej powiedzieć, jeśli to nie tajemnica, jak panowie mają zamiar unieszkodliwić wilkołaka? Wydaje mi się, sądząc po waszych wojakach, że sprawa jest dość beznadziejna...

– Na razie czekamy, aż znów się pojawi. – Kapitan spochmurniał. – Ostatnio napadł na mleczarkę parę mil stąd, koło urwiska. Zorganizowaliśmy obławę – i wszystko na próżno, w zasadzkę wpadł niedźwiedź, a kiedyśmy go dopadli, rozdał parę klapsów i uciekł. Grubemu Jeanowi prawie urwał ucho. Lewe!

– Oo, co za tragedia...

Leon potarł kark, pewnie wspominając ciężką niedźwiedzią łapę, lecz już po sekundzie znów się beztrząsco uśmiechał. W sumie był z niego całkiem miły facet, dobroduszny brunet o wydatnych kościach policzkowych. No ale cóż, rozmawiać z nim dłużej nie było sensu. Pospiesznie zmyśliłam historyjkę o beznadziejnie chorej babci, która siedzi samiuteńka w domu, i próbowałam się pożegnać, młodzian jednak okazał się irytująco przylepny. Dopiero widok znajomych dziewcząt, z chichotaniem machających do niego z końca ulicy, spowodował, że się wreszcie ode mnie odkleił. Biedaczysko, odmeldował się i popędził do swoich pańienek.

A ja, odetchnąwszy z ulgą, poczułam okropne zmęczenie. Następnie stwierdziłam, że kot na pewno nie zginie i sam trafi z powrotem do domu. A do zajazdu dostanę się i bez jego pomocy. Żeby nie zabłądzić, wracałam tą samą drogą. Idąc wzdłuż wiejskich lepierek, ginących w zielonej powodzi drzew owocowych i krzewów, nagle usłyszałam kocie nawoływania i zapraszające miaukanie. Wyglądało to na ogólny zjazd z bogatym programem rozrywkowym – bójką, piciem zalewy śledziowej, która jak wiadomo, jest kocim odpowiednikiem alkoholu, i natarczywymi zalotami do miejscowych kotek. Wrzaski dochodziły z czyjś ogrodu zarośniętego czarnym bzem.

Pomaszerowałam prosto tam i zakląłam na cały głos! Koty rozprysły się we wszystkie strony, ale zdążyłam dostrzec między krzewami i złapać za skórę na karku brudnego szarego kocura, tylko w niewielkim stopniu przypominającego dawnego statecznego pana profesora.

– O, przepraszam, agencie 013, nie przeszkadzam? – odezwałam się zwodniczo uprzejmym tonem, stawiając kota na ziemi.

Podniósł na mnie lekko oszołomione zielone ślepia, . zachwiał się na tylnych łapach i wygłosił oburzonym tonem całą tyradę:

– No co, czy ja nie mam prawa do prywatnego życia?! Jakże tu są kotki...

*Cherchez la femme!*<sup>[4]</sup> Prawdziwe Francuzeczki! Kiedyż to uda nam się jeszcze raz przybyć do tego kraju miłości? Idź spać, kicia, tfu... dziewczyno, i nie pouczaj starszych. O, *ma chérie... mon amour, mon amour; miaumour!*

Zamraukał, demonstracyjnie zadarł ogon i dał susa w krzaki. Kiedy wyszłam z powrotem na drogę, znów usłyszałam kocie serenady, jeszcze bardziej szalone i głośniejsze.

„Poczekajcie, jeszcze wam to przypomnę – piekliłam się, szybkim krokiem zmierzając w kierunku gospody. – Sami się zabawiają, jak tylko chcą, nawet ten hipokryta pokazał wreszcie swoją prawdziwą naturę, a mnie porzucili. Jeden chleje na umór, drugi za babami... tfu! za kocicami się uganiam! Kicham na tego waszego durnego wilka. Pojadę do Paryża i zobaczycie wtedy! Jestem teraz agentką, a wy za mnie odpowiadacie. Będziecie mnie szukać, kochaniutcy, póki nie znajdziecie. A i wtedy nie wiadomo, czy wrócę. Będziecie prosić, błagać, a ja może i tak zostanę w Paryżu i w tych czasach. Po co mam wracać do domu? Daleko wprowadzie od mamy, za to zobaczę rewolucję francuską. Chociaż wtedy już będę miała jakieś pięćdziesiąt lat i milion pięćset chorób. Trochę nie bardzo... Albo jeszcze gorzej, stracę głowę na gilotynie! Lepiej żyć dniem dzisiejszym. Odnajdę Valmonta i zdobędę go! Jak markiza de Merteuil, kupię sobie zamek za pieniądze z nagrody. A jak sama złapię wilka, co mi tam! Potem urządzę sobie salon literacki, zaprzyjaźnię się z Rousseau i Wolterem, a Watteau i Boucherowi będę pozować do portretów Colombiny. Chociaż nie, ci dwaj już chyba nie żyją. Nie szkodzi, zawsze mogę znaleźć w zamian jakiegoś Delacroix”...

Burcząc pod nosem i patrząc tylko pod nogi, nawet nie zauważyłam, jak dotarłam na podwórko na tyłach zajazdu i już zaczęłam schodzić na

nieużytek, gdzie zwalano śmieci z całej wsi. Zapadał zmierzch.

– Doskonale wyglądasz, kruszyno! – rozległo się tuż obok. Niech to lichy, znów Leon! Pewnie ten nieszczęsny wsiowy donżuan wrócił, bo mu z tamtymi dziewczynami nie wypaliło.

– Posłuchaj, Leon... – zasyczałam, unosząc wzrok. Ale to nie był dragon... O mamusiu! Przede mną, oparty łokciem o parapet zamurowanego okna, stał na tylnych łapach nie kto inny, jak ogromny bury Wilk. Kiedy tak stałam z otwartymi ustami, Wilk, widać zadowolony z wywartego wrażenia, przeczesał sobie łapą sierść na karku i znów popatrzył na mnie wyczekująco.

– Dz-dzień dobry, w-wilczurku – wykrztusiłam drżącym głosem, niemniej próbując okazać wilkowi pewną dozę lekceważenia. Od razu było widać, że ten typ odznacza się zarozumiałstwem. Nie cierpię takich facetów... Musiałam przynajmniej spróbować pokazać mu jego miejsce. Przed śmiercią można sobie na to i owo pozwolić.

– Ha! Wilczurek?! – ucieszył się Wilk nie wiedząc czemu. – Hm, pikantne, jeszcze żadna dziewczyna mnie tak nie nazwała, brzmi jak łagodne gruchanie gołąbka... Podoba mi się.

W jego wielkich, po zwierzęcemu wyrazistych oczach pojawiło się niekłamane zainteresowanie.

– A może pospacerujemy? – zaproponował z uśmiechem. Owszem, możliwe, że zwyczajne wilki się nie uśmiechają, ale ten akurat umiał, i to wieloznacznie, nawet lepiej od dowolnego filmowego Valmonta. Szarmanckim ruchem podał mi łapę.

– Pan ma zamiar spacerować po tym ugorze? – upewniłam się, nabrawszy odwagi i patrząc na Wilka z dołu.

– Owszem, lecz jeśli pani cokolwiek przeszkadza, proszę powiedzieć – rzekł troskliwie bury kawaler, nakrywając moją rękę prawą łapą.

– A... ee... Może będzie lepiej, jeśli pan mnie zaprosi na filiżankę kawy? Szynk jest tuż obok, a do tego robi się chłodno – wypaliłam, starając się wypaść wiarygodnie.

Wilk spochmurniał (zadrżałam), po czym spokojnie, choć lodowato oznajmił:

– Proszę mnie nie traktować jak kompletnego idioty, *mademoiselle*. W szynku dzisiaj absolutnie nie powinienem się pojawiać, jutro zapewne też nie.

Przecież w gospodzie zatrzymał się mój najbardziej zawzięty wróg, Gustaw Courbet!

Aż mnie wryło w ziemię.

– Przecież on śpi – wyrwało mi się i zaraz zaczęłam się ochrzaniać w myśli oraz posypywać głowę popiołem skruchy.

– Tak?! Jest pani pewna? – Zdawało mi się, że wilczyśko nad czymś się zastanawia, a w jego oczach błysnęła iskierka złości, choć tylko na chwilę, ustępując miejsca zaniepokojeniu. – Oczywiście można by wykorzystać sytuację i rozprawić się z nim raz na zawsze, ale zawsze to ryzyko. Lepiej się wstrzymać. – I na nowo zwrócił się do mnie: – Ma pani jeszcze jakieś propozycje?

– No to może przejdziemy się po wsi? Przyjechałam dzisiaj i nie zdążyłam obejrzeć wszystkiego. Już się ściemniło, więc nikogo pan nie wystraszy i dadzą nam spokojnie porozmawiać.

Wilk zastanowił się głośno:

– W sumie znam tę wieś wzdłuż i w poprzek, naprawdę nie ma tu nic do oglądania. Rzeczą godną uwagi są może jedynie miejscowe panny, ale dziś wieczorem należę tylko do pani. – Ukłonił się z galanterią. – O! Mam pomysł, siądziesz mi na grzbiecie, a ja migiem pobiegnę do najbliższego miasteczka. Znam tam miejsca, gdzie można się bezpiecznie bawić nawet całą noc.

– A kiedy to zdążyliśmy przejść na ty?

– Oj, nie bądź taka nieprzystępna, dziecino. Ruszajmy!

– Raczej nie, to już przesada. Ja i tak dzisiaj złamałam mnóstwo zasad – starannie udałam zmieszanie. – Zwykle nie mam w zwyczaju spacerować z nieznanymi wilkami.



– Ja wszak nie jestem zwyczajnym wilkiem! – Natręt wypiął dumnie pierś. – Przecież mnie znasz, po co udawać? Jestem u szczytu popularności. O Wilkołaku z Gevaudan mówi się niemalże w całej Francji, od Garonny do Sekwany, nie wspominając o tym, że cały paryski dwór rozprawia tylko o mnie. Wiesz, jaką miewam czkawkę?

– Nie może być?

– Aha! Nawet myśliwi od czasu do czasu czkawki dostają. Brzemie popularności – powiedział, skromnie spuściwszy oczęta. – Ale ty nie musisz grać niewiniątka, od razu poznałem, że z ciebie jest ziółko. Che, che... – zarechotał. – Tak czy owak jesteś milutka...

„Oż ty bandyto kudłaty! Jakbym ci dała z kopa...” – pomyślałam mściwie, nadal wolno idąc z nim pod rękę po wertepach, w tę i z powrotem. Jak tu jednak uciec? On mnie po prostu powlecze ze sobą...

– Słuchaj, wilczurku, skąd znasz Gustawa Courbeta? Nie znamy się z nim dobrze, ale parę razy rozmawialiśmy i nigdy nie mówił, żeście się spotkali.

– Oo, ten typ jeszcze mi zajdzie za skórę, czuję to! Osobiście nigdy go nie widziałem, ale mam swoje kontakty i wiem, że to groźny wróg. Wiadomo, jak każdy z wielkich tego świata mam wielu wrogów, głównie zawistników, którzy chcieliby wyszarpać dla siebie choćby strzępek mojej sławy. Są jak wszy albo szczury. Myślisz, że im zależy na tych dziesięciu tysiącach liwrów, jakie mogą dostać za moje futro? Skądże! Oni wiedzą, że tych pieniędzy i tak nie starczy dla wszystkich. Chcą się przynajmniej ogrzać w ciepłe mej popularności. A Gustaw Courbet... on nie z tych. I nawet nie jest tym, za kogo się podaje. Ale czemu ja cię zanudzam? Przecież z pięknymi pannami nie rozmawia się na takie poważne tematy! – raptownie zmienił ton.

– Kim ty właściwie jesteś? Nie tylko umiesz mówić po ludzku, lecz masz w sobie coś takiego, co cię odróżnia od zwykłego zwierzęcia – rozmyślałam głośno, zaglądając Wilkowi w ślepie. Najważniejsze to przeciągać rozmowę i odwracać uwagę wilczyśka, bo kto wie, co mu przyjdzie do głowy? Wolałam nawet nie myśleć o różnych możliwościach.

– Jesteś strasznie ciekawska jak na zwykłą wiejską dziewczuszkę, kruszynko – rzekł Wilk podejrzliwie, cofając się lekko i patrząc na mnie całkiem innym, wzbudzającym lęk zwierzęcym wzrokiem, dodał powoli: – Zobaczymy, jak smakujesz...

- Baaabciu!!! – wrzasnęłam nieswoim głosem.
- Że jak? – stropił się Wilk.
- Sorki, przejęczyłam się. Aleęeeeks!!!

I wtedy z dachu gospody, przy której akurat staliśmy, spadła na nas sieć! Rozległy się wystrzały, poleciały kamienie! Odskoczyliśmy od siebie jak oparzeni. Wilk z łatwością rozdarł siatkę, wyrwał się na wolność i przepadł w ciemności. Widziałam biegnących ludzi ze strzelbami, rohatynami, widłami. Zaplątana w sieć próbowałam ruszyć im naprzeciw, lecz przewróciłam się, czując, jak coś mnie łapie i mocno ściska. Zaczęłam wierzgać i wydzierać się z całych sił:

- Puszczaj, bydlaku! Aleks!!!
- Przecież to ja, Aleks. I proszę mnie nie bić, jeśli łaska – wysapał stwór, który mnie trzymał, i rozluźnił chwyt.

Wytrzeszczyłam oczy. Rzeczywiście, był to Aleks. Po zwierzu ślad ostygł. Tłum kręcił się bezradnie – widocznie nikt nie zauważył, gdzie się Wilk podział.

– Najpierw woła, a potem kopie... co to za maniery, Lina Jeanette? – rzucił Aleks z rozdrażnieniem. – To ja gołymi rękami rzucam się bronić cię przed Wilkiem, ratuję od pewnej śmierci, a ty mi tak odpłacasz?

Mało go nie ugryzłam, ale zdążył się uchylić. Myśliwi, żołnierze, wieśniacy – wszyscy zgromadzili się w kupie i hałasowali. Jeden twierdził, że Wilk zrobił koziołka w powietrzu i zniknął, drugi, że przemienił się w nietoperza, trzeci się podśmiewał, że zwierz pewnie siedzi u mnie pod spódnicą. Tego to ja sobie zapamiętam!

Jacques Karzełek wiercił się najwięcej, wzywał lud, żeby natychmiast ruszyć do lasu i zatłuc Bestię, która nie ma się gdzie schronić. W tłumie przemykał się Merisault Dziurka od Klucza i pilnie nadstawiał ucha. Wyglądało na to, że Aleks zdołał podejść do zwierza najbliżej z nich wszystkich. Rzuciłam w jego stronę gniewne spojrzenie. Nie miał przy sobie ani kawałka broni.

– Słuchaj no, myśliweczku kochaneczku, a gdzie twoja strzelba ze srebrnymi kulami? Czy ty sobie zdajesz sprawę, że taka okazja może się nie powtórzyć? Dziesięć tysięcy poszło się paść, poza tym miałbyś już w kieszeni list pochwalny od zarządu, a wiem, że to dla ciebie cenniejsze od złota. Jak mogłeś tak nawalić?

– A ty miałaś dużo szczęścia, że akurat byłem w pobliżu. Wybacz, że kiedy wychodzę za potrzebą, nie biorę ze sobą broni. Naturalnie słysząc twój krzyk, mogłem polecieć na pierwsze piętro, naładować strzelbę i pędem wrócić tutaj. Ale wtedy byś pewnie miała pretensje, że taki ze mnie bezduszny egoista!

Ja też powiedziałam mu, co o nim myślę, czy jednak w sumie miało sens rozgrzebywanie tej sprawy? Mądrzej było iść spać, zwłaszcza że zbliżała się północ. Ludzie zaczęli się rozchodzić. Głupio łązić po lesie w nocy, tym bardziej że wilczysko na nich z pewnością nie czekało, a większość musiała wcześniej rano iść do pracy. Merisault też zniknął, widocznie nawet tajniacy muszą czasami odpoczywać.

– A gdzie się podziewa agent 013? Nie widziałaś go? – ziewnął Aleks, kiedy wchodziliśmy po schodach. Zignorowałam jego pytanie, zatrzasnąwszy mu drzwi przed nosem.

– Jutro rano idziemy do lasu, siostrzyczko, zastawiać sidła – zawołał, przykładając usta do dziurki od klucza. – Zajdę po ciebie o dziewiątej, bądź gotowa.

Słyszałam, jak odchodzi, pogwizdując „Marsyliankę”, a potem skrzypnęły drzwi izby, którą zajmował z Mruczkiem.

Można było odetchnąć i odprężyć się. Stojąc nad miską, umyłam się ciepłą wodą z dzbanka. Uczesalam. Przebrałam w koszulę nocną i położyłam, okręcając się kocem. Wreszcie ten obłąkany dzień się zakończył. Sen zaczął drobnymi ziarenkami sypać się na moje rzęsy. Zwidywał mi się wicehrabia Valmont, który jednocześnie był i Alekssem, i posługaczem z naszego zajazdu. Usłyszałam jakiś hałas, na moment się ocknęłam. W szybę ktoś stukał, a raczej rzucał drobnymi kamyczkami. Wskoczyłam z łóżka i podeszłam do okna. Na opustoszałej ulicy, zalanej księżycowym światłem, wprost pod moim oknem stał Wilk. Kiedy mnie zobaczył, pokiwał łapą, jakby zapraszał na spacer, i mrugnął znacząco. Postanowiłam uznać go za halucynację – pokazałam Wilkowi język, a potem spokojniutko spałam aż do rana.

Ledwo zaczęło świtać, obudziło mnie tak głośne walenie do drzwi, jakby ktoś je chciał wyważyć taranem. Zerwałam się z łóżka i poleciałam do drzwi w koszuli. Szarpnęłam zasuwkę z zamiarem opieprzenia z góry na dół wczesnego gościa, nawet gdyby to był ten stary pryk Ludwik XV ze swoją świtą. Na progu ujrzałam Aleksa świeżego jak szczypiorek, ubranego w strój



podróżny, z tornistrem i strzelbą na ramieniu. U jego nogi siedział agent 013. Ten jednak nie był w zbyt radosnym nastroju. Miał mętne ślepia, a sierść na grzbiecie posklejaną sosem śledziowym. Zdażyłam otworzyć usta, kiedy mój „brat” zawołał z rozdrażnieniem:

– Jeanette, ty jeszcze nie gotowa?! Ile mamy na ciebie czekać?! – I dodał, nie dopuszczając mnie do słowa: – Czekamy na ciebie na dole. Mam nadzieję, że dziesięć minut ci wystarczy, żeby się ogarnąć – upomniał mnie dowódca surowo. Po czym rażno zbiegł po schodach, nie dając mi okazji do protestu. Kot powłókł się w ślad za nim. Nieźle go jeszcze telepało po wczorajszym.

Jak widać, nie miałam wyboru: pospać już nie da rady. Szybko zatem się umyłam, ubrałam i zesłam do izby jadalnej.

– O której miałaś po mnie przyjść, braciszku? – spytałam, mierząc Aleksa niezadowolonym spojrzeniem i wspierając pięści o stół. – O dziewiątej! A teraz nie ma nawet siódmej!

Moje słowa nie poruszyły jego sumienia ani na jotę. Zwyczajnie ziewnął i obojętnie wzruszył ramionami. W kuchni jeszcze niczego nie gotowano, gdyż goście zwykle schodzili później, ale gospodarz zrobił dla nas naprędce omlet z grzybami. Dla kota, na klina, zamówiliśmy zalewę ze śledzi po sultańsku.

Po upływie pół godziny szliśmy przez wieś syci, zwarci i gotowi, w zdecydowanie lepszych nastrojach. Wokół kipiało życie. Wieśniacy z kosami wyruszali na łąki, pastuch prowadził krowy na pastwisko, kobiety wyganiały bydło za wrota. Dowódca puścił oko do jakiejś bystrookiej dziewczyny, wymieniając z nią podejrzanie konspiratorskie spojrzenie. Jakoś niezbyt mi się to spodobało, odwróciłam się i pogroziłam jej pięścią.

Powoli szliśmy przez łąkę. Wyprzedzali nas inni myśliwi, od stóp do głów obwieszeni bronią i żelaznymi potrzaskami. Nieopodal maszerował w tym samym kierunku jakiś dziwny typ – duży grubas z grenadierskimi wąsami, w damskiej spódnicy i obszernym kaftanie. Na nogach miał drewniaki, takie same jak moje, tylko większe o pięć numerów. Przymknęłam na chwilę oczy, spodziewając się, że widziadło zniknie, ale nie zniknęło. Co gorsza, skierowało się prosto na nas.

– Tylko jego nam tu brakowało – wycedził przez zęby Aleks. Szybko wyjaśnił, że to Gruby Jean, bardzo aktywnie polujący na Wilka z Gevaudan. Sierżant dragonów z oddziału Leona. Gdyby jeszcze do jego zapachu dodać

trochę rozumu...

– Witaj, Jean. Jak tam po wczorajszym? Widzę, widzę, nieźle wyglądasz. Pozwól, że przedstawię tę miłą dziewczuszkę: moja młodsza siostra Jeanette. Jesteście imiennikami. I na tym podobieństwa się kończą.

Gruby Jean chwycił moją rękę w swoje wielkie łapska i potrząsał nią z entuzjazmem, rozciągając dobroduszny uśmiech na całą szerokość swojego rubasznego oblicza. Widok starego weterana w sukience był nie tyle wstrząsający, ile wręcz paraliżował. Zastygłam jak gipsowa figurka, głupio rozdziawiając usta.

– Bardzo miło poznać, *mademoiselle*. Dużo dobrego słyszałem o paniencie od komendanta naszego oddziału, kapitana Leona.

– Yyy...

– Co?! Co?! – nastroszył się Aleks.

– Yyy... Mam nadzieję, że rzeczywiście tylko dobrego. – Uśmiechnęłam się z przymusem, w duchu zgrzytając zębami – kto dał prawo temu całemu Leonkowi rozpowiadać o mnie na prawo i lewo wśród pijanych żołnierzy?

– Ciekawe, skąd Leon wie o tobie tyle dobrego? Mógłby mi opowiedzieć, może też bym się dowiedział czegoś nowego, czego wcześniej nie zauważyłem – burknął Aleks mimochodem i zaczął pogwizdywać, jakby go to wszystko kompletnie nie obchodziło.

Udałam, że nie dosłyszałam.

– Przepraszam, jeśli to nie sekret, dlaczego pan jest tak niezwykle ubrany?  
– nie mogłam powstrzymać ciekawości.

– Rozkaz kapitana. Jesteśmy zakamuflowani jako kobiety – wyjaśnił nader chętnie Jean. – Staramy się, że tak powiem, wykorzystać męską słabość Wilka. Bardzo sprytne posunięcie. Jeśli i na to się nie nabierze, to znaczy, że nic już nie pomoże.

– A czemu pan uważa, że Wilk zwróci uwagę akurat na was? – zapytałam z niedowierzaniem. Od takiej „ślicznotki” można było tylko dać nogę...

– Dlatego, że nie tylko przebraliśmy się w kobiece stroje, ale będziemy wszelkimi siłami starali się zwrócić uwagę wilkołaka! Będziemy spacerować po lesie, kręcić się koło rzeczki, gdzie go często ludzie spotykają. Czasami podgląda kąpiące się dziewczyny, chi chi! Jeśli w tym czasie będę siedzieć w sitowiu przy brzegu, podkradnę się do Wilka i zastrzelę go. Kto inny mógłby

trzasnąć tę bestię, jak nie sierżant królewskiej francuskiej armii? A francuska armia jest najpotężniejsza w Europie, *mademoiselle*. Nie splamimy honoru swego munduru!

Z tymi słowami Gruby Jean pogalopował do lasu, płacząc się w fałdach spódnicy, spod której wyglądała krótka strzelba. Kot, do tej pory heroicznie milczący w czasie naszej rozmowy, podniósł się teraz na tylne łapy i wymownie zrobił pazurem kółeczko przy skroni. Zgadzałam się z nim w stu procentach.

Kiedy dotarliśmy pod osłonę drzew, zapytałam Aleksa:

– I co teraz?

– Rozkładamy pułapki, a potem... Aaaa!!! Niech to diabli!!!

Nieszczęsny Aleks sam wpadł w potrzask. Wielki, potężny, obliczony z pewnością na niedźwiedzia. Nie zauważyliśmy go w wysokiej trawie. Miotalam się zdenerwowana, usiłując pomóc Aleksowi się uwolnić. Kot tymczasem beztrząsco ostrzył pazury o pień, filozofując.

– Spokojnie, Aleks, nie histeryzuj tak. Każdemu z nas w tym życiu przeznaczona jest jakaś pułapka. Ta, z której próbujecie z Aliną wyciągnąć twój but, nie należy jeszcze do najstraszniejszych. Poczekaj, przyjacielu, aż się ożenisz – przepowiadał kot optymistycznie – bo to będzie dopiero pułapka. Gorsza niż ta, w którą właśnie wpadłeś.

– Przestań krakać! Aaaa!!!

W końcu stalowe szczęki dały się otworzyć i nasz partner był wolny. Kiedy rozejrzeliśmy się uważniej, zobaczyliśmy, że cały las – pod drzewami, krzakami, na polankach – jest dosłownie usiany potrzaskami wszelkich rozmiarów i konstrukcji.

– Nie mamy tu nic do roboty – podsumował Aleks, masując poszkodowaną nogę, i utykając, wyszedł z lasu. Powlekliśmy się za nim. Profesor zabrał głos, kiedy tylko znów znaleźliśmy się na łące.

– Pora opracować rzeczywisty plan likwidacji Wilka z Gevaudan. Jeszcze wczoraj rano naiwnie liczyliśmy, że będzie to łatwe, a przynajmniej łatwiejsze niż załatwienie latających głów. Teraz, kiedy widzimy liczną konkurencję w łowach na wilczą skórę, rozumiemy, że on jest faktycznie nieuchwytny. Sami przyznajcie, że ci ludzie tutaj nie siedzą z założonymi rękami. A jak popatrzeć choćby na tego Grubego Jeana i obłożony potrzaskami las, staje się jasne: to

polowanie przyjęło już postać masowego przedsięwzięcia! Wróćmy jednak do Wilka... Niewątpliwie nie jest to zwykłe leśne zwierzę, ale prócz tego nie wiemy nic o jego inteligencji, przyzwyczajeniach i zdolnościach. Kim jest? Jak mu się udaje tak zręcznie unikać obław? Nawiasem mówiąc, urządzone są tak regularnie, że chyba już stały się tutejszą tradycją, stanowiąc dla wieśniaków coś w rodzaju rozrywki. Z pewnością powinniśmy ułożyć subtelny plan, choć będzie to skomplikowane, póki nie dowiemy się, czym właściwie jest ten stwór: wilkołakiem, demonem, mistyfikacją, marą piekielną i tak dalej, i jakie ma słabe strony.

– Wiem, że on lubi kaczkę po meksykańsku. Można to jakoś wykorzystać? – Nic innego nie przyszło mi do głowy. – Moglibyśmy ją położyć w pułapce i...

Kot pokiwał głową nad moją niesłychaną tępotą.

– Dziecinko, ten Wilk nie jest głupszy od ciebie – powiedział, zwięziwszy ślepią, i to właściwie było jeszcze łaskawym komplementem.

– Jasne. Trzeba będzie poczekać i zobaczyć, jak się potoczą wydarzenia – zakończył Aleks. – Na tę akcję dali nam dwa tygodnie, więc mamy czas.

– Dwa tygodnie w tej zakichanej dziurze?! Chłopaki, błagam, wyskoczmy na wycieczkę do Paryża!

– Na razie nie zasłużyliśmy na wycieczkę. Będziemy czekać tutaj, a na ostateczny krok zdecydujemy się dopiero w sytuacji krytycznej.

– A co to za ostateczny krok? – Na jeden krok Aleksa przypadały moje trzy, więc biegłam koło niego truchcikiem.

– Wykorzystanie ciebie jako przynęty – odrzekł dowódca spokojnie i spojrzał na mnie tak, jakby już miał koło siebie nieboszczkę.

– J-ja się nie zgadzam! – zająknęłam się ze strachu. – Dlaczego ja?! To niesprawiedliwe! Niech kot będzie przynętą!

Profesor o mało nie wyszedł z siebie, lecz Aleks popatrzył na niego z uwagą, jakby wziął moje słowa poważnie. Wreszcie pokręcił głową.

– Nie, to nie zadziała. Wilk nie uwierzy, że agent 013 to dziewczyna. A ty jesteś jedyną dziewczyną w naszym oddziale, i do tego już wpadłaś Wilkowi w oko.

– Dlaczego nie uwierzy? Co ma nie uwierzyć?! Tylko założymy grubaskowi czepek...

Kot prychnął i odwrócił się zadkiem, demonstracyjnie zadzierając ogon.

– Każemy mu chodzić na tylnych łapach i mrugać oczkiem. Dziewuszka z niego będzie jak ta lala, wąsata, pręgowana, normalnie zjawiskowa! – bredziłam, wszelkimi siłami próbując przekonać dowódcę.

Jednak kiedy przyjrzałam się szczegółom, musiałam uznać swoją porażkę. Wpadłam na nowy pomysł.

– Masz rację! Kot jest za niski, a na wąsatą karlicę z ogonem i krzywymi nogami Wilk nie poleci. Za to ty ze swoją milutką buźką będziesz taką Miss Universum, że po prostu nie przejdzie obojętnie!

– Czekaj, czekaj...! Chcesz powiedzieć, że jestem podobny do dziewczyny?! No to nie będę się golił parę dni i zobaczysz, czy się nadaję do takiej roli.

– Nie masz prawa! – krzyknęłam z oburzeniem. – Cel przede wszystkim. Nie możesz podczas akcji na pierwszym miejscu stawiać swoich ambicji. Poza tym teraz ewidentnie nie moja kolej. Raz już zwabiłam Wilka w pułapkę, a ty miałaś zrobić drobiazg: po prostu go odstrzelić, kiedy ja wszelkimi siłami, ryzykując zdrowie i życie, zatrzymywałam zwierza na miejscu. A ty akurat wtedy raczyłeś zapomnieć strzelby! – wykrzyczałam na jednym oddechu, wbijając Aleksowi palec w pierś.

– Dziwne, ja usłyszałem od niego całkiem inną wersję tej historii – wymamrotał kot pod nosem.

– Dobrze. Nie chcesz być przynętą, to nie musisz. – Aleks nieoczekiwanie dał za wygraną. – Myślę, że sprawa Wilka może zostać rozwiązana już dzisiaj wieczorem.

Z okazji przemianowania gospody „Cielę i Wrota” na „Wilk i Babcia” dziś będzie świętować cała wieś. Słyszałem wczoraj, że mieszkańcy zamierzają urządzać coroczną uroczystość, Dzień Złego Wilka. W końcu ten Wilk jest miejscową atrakcją i przyciąga turystów, co przynosi niemałe dochody.

– No i co z tego? – zapytałam, nie rozumiejąc, jaki to planowane wydarzenie mogłoby mieć wpływ na naszą akcję.

– To z tego, że Wilk nie omieszka uczestniczyć w prezentacji nowego szyldu. Jest za bardzo próżny, żeby ominąć takie wydarzenie, które ostatecznie umocni jego napoleońskie ambicje.

– Rozumiem – powiedziałam. Tak naprawdę niewiele rozumiałam. Czyżby chłopcy planowali zastrzelić Wilka, kiedy ten będzie uroczyście przegryzał czerwoną wstęgę?

Czy może zamierzają palnąć bez celowania w tłum, licząc na łut szczęścia?

Zgadywać tak mogłam w nieskończoność, rozsądniej było po prostu zaczekać do wieczora. Kiedy wróciliśmy do wsi, Aleks oświadczył, że idą z kotem do gospody. Na dodatek te gbury zabroniły mi wstępu, argumentując, że będą tam czysto męskie rozrywki, toteż lepiej żebym pochodziła sobie po wsi – może usłyszę coś ciekawego o Wilkołaku z Gevaudan. Naturalnie taki podział obowiązków zupełnie mnie nie urządził. Tupiąc, zaczęłam się awanturować na całą ulicę. Dowódca na to bez ceregieli kazał mi się zamknąć i traktować tę propozycję jak rozkaz. Obaj z agentem 013 są mężczyznami, mają więcej praw, a poza tym ich już wcześniej zaproszono na wieczór kawalerski z okazji ślubu Jeana-Pierre'a, o ile pamiętam, miejscowego heroicznego amanta. Na ostatek, jakby na usprawiedliwienie, Aleks dodał, że nie iść po prostu nie mogą, bo będą bezpłatne drinki (czy co tam się tutaj podaje), a nadłowczy odmawiający darmowej wypitki wyglądałby co najmniej podejrzanie. Po czym chłopcy radośnie wyrwali do gospody, gdzie splotywała już cała męska część populacji, zwaliwszy wszelkie prace gospodarskie na głowy swoich kobiet.

Odprowadziłam partnerów tęsknym spojrzeniem. Nie pozostało mi nic innego, jak iść na kolejny spacer. Z nudów przychodziły mi do głowy jałowe myśli, jak na przykład: którą z czterech pretendentek ostatecznie wybrał Jean-Pierre? Może zrobiono losowanie? Albo ciągnęły słomki? I ciekawe, jak będzie wyglądała uroczystość? Wiedziałam, że na południu Francji urządzano z takiej okazji walki byków i wyścigi krów, ale tutaj, w Owernii, ludzie do krów i krowy do ludzi odnosili się bardziej humanitarnie, bez potrzeby nie niepokojąc się nawzajem.

Wyszłam na placyk koło kościoła. Siedziały tu w kółeczku dziewczęta i plotły wianki, wybierając ze stosu polnych kwiatów mniej więcej nadające się rumianki. Z okazji święta niektóre ozdobiły staniki sukien czerwonymi i fioletowymi kwiatami. Paru chłopów sprawnie budowało trybunę, używając do tego celu starego, rozpadającego się wozu, z wierzchu nakrytego deskami. Zaniepokoiłam się, czy w czasie przemówienia – a sołtys Jacques Karzełek obowiązkowo powinien wygłosić orację z okazji takiego święta – całość się nie rozleci albo nawet nie rozsypie w proch.

Z drugiej strony podjechały furgony z wędrownymi aktorami, którzy zaczęli

rozstawiać własną scenę, z lekceważeniem zezując na wóz tubylców.

Pomiędzy plotącymi wianki dziewczynami zobaczyłam Jocelyne mielącą bez ustanku językiem.

– O, witaj, Jeanette! – Całą sobą Jocelyne okazywała, że niezbyt przyjemnie mnie widzieć, lecz dodała: – Nie myśl, że się obraziłam. Rozumiem cię, każda dziewczyna w naszej wsi o tym marzy!

– O czym?! – Mimowolnie wytrzeszczyłam oczy. Z jakiegoś powodu natychmiast wyobraziłam sobie coś nieprzyzwoitego.

– Doskonale wiesz, o czym, kochana! Czemu tak patrzysz? Nie udawaj. Mówię o tym, że wieczorem wychodzisz za mąż za Jeana-Pierre'a!

Zmieszana potoczyłam wzrokiem po wianuszkach dziewcząt, licząc na to, że któraś zaprzeczy – wszystkie milczały złowieszczo, mierząc mnie zawistnymi spojrzzeniami.

– Eee... Dziewczynki, wam się coś pomyliło – wybełkotałam.

Całe to stado mogło w każdej chwili rzucić się na mnie z niekontrolowaną wściekłością, tym bardziej że siedziały tu wszystkie cztery kandydatki, licząc Jocelyne. Ta jednak, nagle porzuciwszy gniew, zawisła mi na szyi i zaczęła z zapalem życzyć szczęścia, całować mnie i mocno ścisnąć. Próbowałam się uwolnić, widząc, że dziewczyny zaczynają się krzywić, lecz nadaremno.

– Przepraszam, nie chcę cię rozczarować... – wykrztusiłam z wielkim trudem, czując, że mi brakuje powietrza. – Ale ja na oczy nie widziałam tego waszego ulubieńca, Jeana-Pierre'a. Kto ci powiedział... że ja za niego wychodzę za mąż? Wy mnie z kimś... mylicie.

Jocelyne wreszcie zajarzyła. Wypuściła mnie z objęć i popadła w głębokie zamyślenie. Niestety, nie miałam pod ręką maski tlenowej, choć bardzo by mi się teraz przydała – łapałam powietrze ustami jak ryba i aż musiałam usiąść na ziemi. Spotkanie z Wilkiem zniosłam lepiej niż kontakty z tą wariatką. Ki diabeł mnie podkusił, żeby do niej podchodzić, i co to za bzdury o mnie i tutejszym donżuanie?

Jocelyne patrzyła na mnie ze zdziwieniem.

– Powiedziała mi Marie Anne, a jej Maria Luiza, a Marii Luizie zdradziła Madeleine Thibaut, a Madeleine usłyszała o tym od swojej ciotki Simone, której opowiedziała Teresa pasztetniczka, a jej babcia Margue, a babci Margue nie wiem kto. Wychodzi, że ty, Jeanette, siostra królewskiego

nadłowczego Gustawa Courbeta, który wczoraj wieczorem przyjechał do naszej wioski na rozkaz króla, mając dwa tygodnie na złapanie Wilka z Gevaudan, wychodzisz za mąż za Jeana-Pierre'a. A jeszcze słyszałam, że król kazał twojemu bratu dostarczyć Wilka żywego, ale koniecznie związanego, do najbliższego sędziego, gdzie na biednego wilczka wydadzą wyrok, potem go powieszają, odrąbią mu głowę, będą łamać kołem, a na koniec poćwiartują, po czym wszystkie kawałki oprócz głowy nabijają w największą armatę i wystrzelają do Austrii, a głowę twój brat ma włożyć do inkrustowanej skrzynki i dostarczyć na królewski dwór w Paryżu. I to jest rozkaz króla, który widziałam na własne oczy. No to co, ty nie wychodzisz za mąż?

To już był szczyt. Poczulałam okropny zawrót głowy oraz chęć rzucania „kurwami” na prawo i lewo.

W ciągu całej opowieści przyjaciółki Jocelyne z zapałem kiwały głowami, potwierdzając każde słowo. Przeklinałam się za to, że w ogóle zbliżyłam się do tych idiotek, lecz teraz nie miałam innego wyjścia, jak zaspokoić ich ciekawość oraz rozwiać wątpliwości.

– Skądże, to jakaś koszmarna pomyłka! Przysięgam, że w głowie mi nie powstało wyznaczać na dziś swój ślub, tym bardziej że takich decyzji nie podejmuje się ni z tego, ni z owego.

– Aa, więc to prawda! – zawołało od razu kilka wieśniaczek.

– Nie znam waszego cholernego Jeana-Pierre'a. Bierzcie go sobie z całym dobrodziejstwem inwentarza. Mam go w nosie, ile razy mam powtarzać?!

Dziewczęta chyba zaczynały mi wierzyć, wołały się jednak upewnić do końca.

– Przysięgnij, że dziś nie masz ślubu – zażądała Jocelyne rzeczowo. – I że nigdy nie wyjdiesz za Jeana-Pierre'a!

– Przysięgam!

W duszy tymczasem już zakiełkowało mi ziarenko niezdecydowania: jeśli ten facet jest rzeczywiście takim przystojniakiem i na dodatek już się zaocznie zdecydował dać mi francuskie obywatelstwo, to czemu nie? To było warte przemyślenia chociażby z tego powodu, że tutejsze dziewczyny zzieleniałyby z zazdrości – wszak nic tak dobrze nie działa na samopoczucie i nie uszczęśliwia kobiety jak zawiść innych kobiet. A gdybym wyszła za Jeana-Pierre'a, zazdrościłyby mi tak samo, jak by w domu zazdrościły koleżanki,



gdybym została żoną Brada Pitta. Nie mniej, a nawet chyba więcej, jak przypuszczam.

Nacieszywszy się w myślach takim obrazem, pogodziłam się z Jocelyne. Wszystkie dziewczyny, usłyszawszy moją przysięgę, odetchnęły z ulgą (przywróciłam im nadzieję) i wróciły do plecenia Wianków z dużo większym entuzjazmem.

Dwie kobiety w średnim wieku wieszały ogromne świerkowe wieńce na drzwiach i oknach kościółka. Przeszłam obok, kierując się w stronę łąki. Miałam zamiar zapytać pastuchów o Wilka – czy nigdy nie zdarzyło mu się porwać jakiegoś cielaka? Jeśli nie, to nasze przypuszczenie, że ten Wilk ma mało wspólnego ze zwykłym zwierzęciem (poza wyglądem), zostałyby potwierdzone jeszcze jednym faktem.

Kiedy miałam przejść przez mostek nad rzeczką oddzielającą wieś od pól i pastwisk, dostrzegłam siedzącego pod nim dziwnie ubranego człowieka. Miał na sobie brudne łachmany ze śladami białych niegdyś pasów. Na rękach i nogach obręcze kajdan z resztkami łańcucha. Galernik czy co...? W jego czarnej od brudu twarzy błyskały głodne oczy. Pokiwał na mnie palcem. Stałam jak wryta – różni ludzie się tu trafiają...

– Dzień dobry, *mademoiselle*, nie znajdzie się jakich drobniaków w kieszonce? – wychrypiął, splunął soczyscie i zagapił się na mnie wyczekująco.

– Do roboty idź! – odparowałam, unosząc spódnicę, by zrobić pierwszy krok. Łajdak raptem wyskoczył spod mostka, zagradzając mi drogę.

– No coś ty taka skąpa? – zaskomlał. – Sześć dni nic nie jadłem, miejże sumienie! Daj grosik na wspomnienie...

– ...byłego regenta chóru cerkiewnego? – weszłam mu w słowo.

– Nie...! – Drab był przez moment zbity z tropu, lecz natychmiast wrócił do dawnego płacznego tonu: – Nie bądź taka! Sama pewnie żresz za dwoje, grubaś jak beka.

Spurpurowiałam z wściekłości i zebrawszy do kupy całą odwagę, zmierzyłam go wzgardliwym spojrzeniem.

– Precz mi stąd, nierobie, bo zawołam swojego brata, a on ma strzelbę! – zagroziłam, w głębi duszy nie bardzo wierząc, że to coś pomoże.

Oberwaniec ani myślał ustąpić mi z drogi i tylko gapił się na mnie bezczelnie. Musiałam sięgnąć za dekolt po portmonetkę. No trudno, Aleksa i

tak się nie dowołam, a życie ważniejsze. Wyciągnęłam wszystkie drobniaki i oddałam temu cwaniakowi. To go najwyraźniej zadowoliło, bo zrobił mi przejście, przeliczając monety oczami błyszczącymi z podniecenia.

Szybko przebiegłam przez mostek, przecięłam zagajnik i wyszłam na ścieżkę wiodącą na pole. I wówczas zauważyłam, że po piętach depcze mi Dziurka od Klucza.

Jeszcze we wsi zwróciłam uwagę, że płące mi się za plecami, ale zlekceważyłam go. Wypadało zatrzymać się i poczekać – Merisault, jak widać, dreptał za mną już dobre pół godziny, a taka wytrwałość była nawet pochlebna. Z uśmiechem obserwowałam zbliżającego się tajnego agenta, który jakoś nie okazywał radości ze spotkania. Wcisnąwszy głowę w ramiona, zaszczutym wzrokiem rozglądał się dokoła, jakby oczekiwał, że stanie się cud i okaże się, że nie na niego czekam, a na kogoś całkiem innego, kto zaraz wychynie ze złotych pszenicznych łanów. Cud się nie ziścił – ku nieskrywanemu rozczarowaniu Merisaulta, byliśmy jedynymi osobami na polu. Nie licząc, rzecz jasna, przebranych za wieśniaczki królewskich żołnierzy, którzy kręcili się po całej okolicy, daremnie próbując wpaść Wilkowi w oko.

– Dzień dobry, panie tajny agencie – zaszczębiotałam na powitanie. W sumie interesowało mnie tylko jedno: w jaki sposób pokonał przeszkodę w postaci tamtego galernika? Wykupił się? A może jakoś inaczej? Nie miałam pilnych spraw, więc postanowiłam zaspokoić ciekawość.

– Nie miałem przyjemności poznać, *mademoiselle* – wymamrotał Dziurka od Klucza i próbował zrejterować.

O, nie tak prędko! Złapałam go za połę *camisole*, nim zdążył zanurkować w gęstą pszenicę. Choć się zapierał, trzymałam mocno i musiał się poddać.

– Chciałam tylko zapytać, jak pan tak szybko zdołał minąć tego typu, co stoi przy moście i udaje przedstawiciela służb celnych? – wypaliłam.

Pracownik tajnej kancelarii w końcu porzucił wszelkie próby ucieczki i stał z zagubioną miną.

– A pani jak? – spytał, przestępując z nogi na nogę.

– Zwyczajnie: dostał w łapę, innego wyjścia nie było – poinformowałam ochoczo.

– A mnie tak po prostu przepuścił, choć to dziwnie zabrzmiało – przyznał się

Dziurka od Klucza, czerwieniejąc. – Obrzucił litościwym spojrzeniem, po prostu oburzające, i powiedział: „Przechodź, widzę, że guzik masz”.

Co miał na myśli galernik, i tak było wiadomo. Starczyło spojrzeć na absolutnie bezpretensjonalną, mizerną powierzchowność Merisaulta, a człowiekowi łzy w oczach stawały.

Czarny aksamitny kabat miał w takim stopniu zatłuszczony i wytarty, że mógłby należeć do kloszarda, gdyby nie nikłe ślady dawnej świetności. „Widocznie policyjnym urzędnikom bardzo mało płacą” – pomyślałam i z niewiadomych powodów poczułam coś w rodzaju sympatii do tego tajemniczego człowieczka.

– A co pan myśli na temat Wilka? – uznałam za słuszne nawiązać światową rozmowę.

Podobnie jak Merisault założyłam ręce za plecy, szłam obok i zaglądałam mu w twarz. Biedaka okropnie to peszyło, nie potrafił patrzeć prosto w oczy swojemu rozmówcy. Błyskawicznie zauważyłam tę słabość i z rozbawieniem nie spuszczałam z niego rozkochanego spojrzenia.

Merisault odwracał się, wciskał głowę w ramiona, próbował mnie wyprzedzić – bez skutku.

Czerwienił się jak rak, to znów bladł jak ściana i pocił się jak mysz, wycierając duże czerwone ręce w poły kaftana. Okazał się pocziwcem, a wrodzona nieśmiałość nawet dodawała mu nieco wdzięku – niedużo, ale zawsze.

– Prawdę mówiąc, *mademoiselle*, mam mocne podstawy sądzić, że ten Wilk jest kompletnie niegodnym zaufania, politycznie podejrzanym osobnikiem. Obawiam się, że to tajny szpieg Austrii! – Ostatnie słowa Merisault wypowiedział tak cichym szeptem, że musiałam mocno wyteńczyć słuch.

– Ależ co pan mówi?! – Zrobiłam wielkie oczy. – Cóż za interesujące przypuszczenie...

Mile połechtany Merisault, nie oglądając się na swój status, który zobowiązywał go do trzymania języka za zębami i słuchania innych, całkiem się rozkleił i próbował zdradzić mi wszystkie tajemnice znane francuskiej tajnej policji. Wszelkie sekrety dotyczące wewnętrznej i zewnętrznej polityki kraju, łącznie z zakulisowymi sprawami dyplomacji i nieznanymi ogółowi społeczeństwa wiadomościami o skutkach siedmioletniej wojny z Austrią.

Powinnam zatkać uszy, ale ciekawość zwyciężyła i jeszcze bardziej je nadstawiałam. Oto co się może stać z tajnymi agentami służb królewskich pozbawionymi przez całe lata normalnych stosunków międzyludzkich. Biedakowi starczyła odrobina uwagi ze strony „wiejskiej” dziewczyny, by zapomnieć o podstawowych założeniach swojej profesji: trzymać gębę na kłódkę i nie rozpowiadać tajemnic służbowych komu popadnie. Dziwne, z jakiegoś powodu wszyscy mężczyźni już przy pierwszym spotkaniu zaczynają przede mną otwierać dusze, jakbym była parafialnym spowiednikiem. Pod koniec swojej spowiedzi Merisault wyhamował, widocznie zrozumiał, że gadał za dużo i dla odmiany powinien teraz ode mnie coś wyciągnąć.

– Dziś w waszej wsi święto, więc poczytywałbym sobie za zaszczyt, gdybym mógł pani towarzyszyć – powiedział z nadzieją.

„Ty podstępny szympanse” – pomyślałam bez złości i z szerokim uśmiechem, patrząc na tajnego agenta, odparłam:

– Co też pan!... Już kilka godzin temu dostąpiłam tej łaski, że jest pan nie tylko moim towarzyszem, a wręcz cieniem. Tak więc nawet gdybym powiedziała „nie”, niczego by to nie zmieniło, bo i tak by mnie pan śledził.

Speszył się zrazu, lecz potem potwierdził:

– Racja, *mademoiselle* – i obdarzył mnie czystym, niewinnym i bardzo smutnym spojrzeniem młodszego syna głównego rabina.

Gdy wyszliśmy z pszenicznego pola na łąki i dotarliśmy do najbliższego pastwiska, dwóch młodych pastuszków akurat jadło obiad, napychając się chlebem i popijając mlekiem. W pierwszej chwili przywitani nas gębami wykrzywionymi niezadowoleniem, ale już po chwili rozmaslili się w błogich uśmiechach.

– Dzień dobry, chłopcy!

– Cześć, mała! – odrzekł jeden i kiedy zastanawiałam się, jak zagać w sprawie Wilka, zwrócił się do swojego towarzysza: – Niezłe ciało, co? Poleciałbym z nią na całość, choćby i w tych krzakach.

– Aleś wałnął, bracie, aż łeb boli. Jak można tak gadać o miastowej damulce, na dobitkę siostrze królewskiego nadłowczego?! Zobaczysz, jak ci się jej brat odwdzięczy i wsadzi kulkę w zadek.

– Dobra, nie jojcz. A co, prawdy nie mówię?

– Bo to trzeba delikatnie! Widzisz, dziewczyna nic nie mówi, pewnie nie

rozumie. Słuchaj, maleńka, mój przyjaciel chciał ci zaproponować swoje usługi. Zaraz wyjaśnię. Dziewczyny we wsi mówiły, że ty jesteś miastowa i szukasz wiejskiej miłości, prawda? No to my jesteśmy chętni. To znaczy ja, ty i ten gaduła Germain. Co ty na to, hm?

– To po prostu skandal... – Do tajnego agenta w końcu dotarło.

Ja bez zbędnych słów podeszłam do chłopaczków i podniosłam z ziemi czyjąś pasterską laskę. Nieszczęsne młodziaki próbowały niezgrabnie żartować. Miałam już przedtem niezły trening z latającymi głowami... Zaskoczeni chłopcy rozbiegli się każdy w swoją stronę, lecz daleko nie uciekli. Tłukąc laską ile sił, na cały głos wykrzykiwałam w pełni uzasadnione groźby i natychmiast je wcielałam w czyn. Mówiono potem, że żalosne wycie wystraszyło mieszkańców aż dwóch sąsiednich wsi. Wieśniacy żegnali się, szepcząc: „To nasz Wilk na łowy w dzień wyszedł, drań, całkiem się rozszalał!”. Doszły mnie też słuchy, że ci miłosierni ludzie założyli Fundację Pomocy dla Niedojadającego Sąsiada. Rozumie się, że tym „niedojadającym sąsiadem” był Wilk, dla którego zbierano datki w postaci żywności zostawianej na skraju lasu co trzy dni. A tu ją rozdzielali między siebie uradowani bezdomni i od tej pory nikt już nie widział galernika pobierającego myto za przejście przez mostek.

Nic nie zyskałam na tej wycieczce poza nawiązaniem nieoczekiwane przyjacielskich stosunków z Merisaultem.

Kiedy wróciliśmy, wieś szykowała się do nadchodzącego święta. Na placu upstrzonym kolorami stopniowo zbierali się nie mniej wystrojeni wieśniacy i wieśniaczki. Furgon aktorów zamienił się w scenę z jaskrawymi zasłonkami, które służyły za kulisy. Przekupień głośno zachwalał owoce i słodycze, a uszczęśliwione dzieci z piskiem ganiały w tę i z powrotem. Na samym skraju placu, gdzie rosły rozłożyste drzewa, odgrodzono miejsce na tańce. Tam też rozstawiono stoły. Z przemianowanej dziś gospody rozchodziły się rozmaite smaczne zapachy. Merisault znów przeistoczył się w niemego podpatrywacza i podsłuchiwicza, czyli bezinteresownie obrzydliwego szpiega. Jocelyne kilkakrotnie przechodziła koło mnie, wysoko zadzierając nos, ale niebawem się poddała. Widocznie jeszcze tylko mnie nie opowiedziała o kolejnym arcyważnym zdarzeniu, o którym wiedziała z pewnością najwięcej, jak zawsze.

– Och, Jeanette, nie wiem właściwie, czemu się na ciebie dąsam, przecież się okazało, że ty naprawdę nie masz z tym nic wspólnego – zaszcebiotała, rzucając się ku mnie.

– Z czym? – zapytałam, cofając się przezornie.

– Jean-Pierre rzeczywiście się żeni, ale nie z tobą – zakomunikowała tonem, w którym doskonale było słychać satysfakcję, że mnie, tak samo jak jej, nie dostał się ów wiejski łamacz serc. No tak, ten typ był najwyraźniej wyjątkowym skarbem, niedocenionym, jak dotąd, tylko przeze mnie.

– A z kim? – zainteresowałam się uprzejmie, myśląc jednocześnie, jakim sposobem szybko się uwolnić. Powinnam odszukać Aleksa i agenta 013, nie widziałam ich już całe wieki, bo co najmniej cztery godziny.

– Z Krzywą Magdaleną, tą wstrętną flądram, córką naszego sołtysa! – oświeciła mnie plotkarka, westchnąwszy ciężko.

– Może to też błędna informacja – próbowałam pocieszyć dziewczynę – i wesela nie będzie?

– No jak to nie będzie? Przecież już uszyłam sukienkę na tę okazję i przygotowałam podarek dla panny młodej: miedzianą miskę, którą mam zamiar włożyć tej tucznej świni, Magdalenie, na łeb i postukać z wierzchu – odparła Jocelyne ze wzburzeniem.

– I bardzo dobrze – odrzekłam. – Miedziana miska to nieodzowna rzecz w gospodarstwie. Myślę, że Magdalena będzie bardzo zadowolona. Przyda jej się do smażenia konfitur.

Po moich słowach na twarzy Jocelyne odbiły się wątpliwości. Zostawiwszy ją przy ciężkiej pracy umysłowej, poszłam do naszej gospody. Sztyd oznajmiający, że tu właśnie znajduje się szynk „Ciele i Wrota”, a nie na przykład „Koza i Wóz”, został już zdjęty, a okna umyte. Dotąd myślałam, że szyby w nich są przydymiane, ale okazało się, że nie, co tylko potwierdziło fakt, że człowiek jest omylny. W środku nie znalazłam swoich partnerów. Było tam tylko paru podpitych chłopów. Posadziwszy za stołem wieprzka, próbowali pić go markowym szampanem *veuve clicquot*, sadząc po etykietce. Szczególnym zapalem wyróżniał się w tym zbożnym dziele miejscowy pleban. Wieprz z uporem odmawiał spożycia, widocznie będąc abstynentem, i wrywał się energicznie, próbując gryźć „dobroczyńców” w palce. Od czasu do czasu mu się udawało i wtedy po sali niósł się przeraźliwy krzyk ugryzionego,

niewiele się różniący od kwiku świni. Ogólnie naród bawił się na całego.

Weszłam na górę. Tu panowała niezwykła cisza... W gospodzie prócz naszej trójki mieszkało jeszcze z dziesięciu innych gości. Choćby nauczyciel, do którego zachodził wiecznie nietrzeźwy dzwonnik; albo chirurg praktykujący cichaczem na żabach. Kroił je w swoim pokoju, sekcjonował, po czym własnoręcznie gotował i zjadał – oryginalny smakosz. Dlatego też nigdy nie posilał się na dole w gospodzie, żywiąc się wyłącznie rezultatami swojej działalności. Pozostali lokatorzy handlowali bydłem, a ta wieś była widocznie stałym miejscem ich postoju w podróży. A mówią, że kobiety nie są spostrzegawcze...

Teraz jednak, stając na najwyższym stopniu, poczułam jakiś dziwny lęk. W pokojach było cicho jak na cmentarzu, na korytarzu nawet mucha nie zabrzęczała, choć był lipiec – pełnia muszowego sezonu.

– Aleks! – zawołałam. Odpowiedzi nie było. Już chciałam przewiesić się przez poręcz i zawołać do żony szynkarza, gdzie się wszyscy podziali, kiedy drzwi mojego pokoju otwarły się z cichutkim skrzypieniem.

„Pewnie pokojówka sprząta” – próbowałam się uspokoić, ale strach we mnie narastał. Choć nijak nie mógł wygrać z panoszącą się we mnie ciekawością, która zawsze była moim słabym punktem.

Usłyszałam czyjeś głosy i hałas na ulicy. Wyjrzawszy, zorientowałam się, że przyszli po plebana.

– Narzeczona i narzeczony już dawno czekają, ludzie się niecierpliwią, ojczy, kiedy się wreszcie zjawisz i zezwolisz zacząć ceremonię.

– Tak, ojczy, świnie możesz napić potem. Jak chcesz, możemy ją zabrać ze sobą.

Z tymi słowami dwóch tęgich chłopów wywlekło z szynku opierającego się staruszka w sutannie. W ślad za nimi dwóch następnych wytaszczyło wieprzka, gdyż pleban widocznie nie chciał odprawić ślubu bez tego drogiego mu stworzenia. Wszystko wskazywało na to, że święto już się zaczęło na dobre.

Podeszłam do drzwi, które nadal powoluteńku się uchylały, i w końcu otworzyłam je do końca. Weszłam do swojego pokoju i... Pożałowałam tego kroku, czując, jak momentalnie zasycha mi w ustach, a oczy niemal wypadają z orbit. Na moim łóżku leżał sobie oparty na łokciu i przyglądał mi się z

kpiącym uśmiezkiem stary znajomy, Wilk.

Albo raczej nasza przyszła ofiara.

– Dawno się nie widzieliśmy, ptaszyno – zagaił i rozciągnął się na pościeli jeszcze bardziej frywolnie, a wyraz mordy miał taki, że trudno to opisać słowami. Pamiętacie Jacka Nicholsona w podobnej scenie w „Czarownicach z Eastwick”? Lepszego porównania nie mogę znaleźć.

– D-d-d-bry – wykrztusiłam i szybko okręciłam się na pięcie, próbując uciec na korytarz (z krzykiem oczywiście). Nie zdążyłam, niespodzianie drzwi zatrzęsnęły się z hukiem, omal nie przycinając mi nosa. Zresztą co tam nos, sytuacja wyglądała znacznie gorzej! Z jakiegoś powodu ta myśl mnie rozzłościła i zepchnęła strach na plan dalszy.

– Co za chamstwo! To mój pokój! I moje łóżko! Jak się tu dostałeś?!

– Ha! Zapytaj jeszcze: „Gdzie moja babcia?” – zaszydził Wilk i wymownie poklepał pościel koło siebie, uśmiechając się jeszcze paskudniej.

Szarpnęłam za klamkę. Nie poddała się. Pociągnęłam jeszcze mocniej, zapierając się nogami w podłogę, aż wyrwałam ją „z mięsem”. Wilk przez cały ten czas melancholijnie obserwował moje zmagania z drzwiami. Zrozumiawszy, że moje usiłowania są bezcelowe, rzuciłam klamkę i otworzyłam usta, by rozedrzeć się na alarm jak syrena milicyjna. Wilk przestał się uśmiechać.

– Nie, proszę, nie rób tego – jęknął smutnym głosem. – Tak mi się nie chce wstawać. No nie! Prosiłem przecież!

Wrzasnęłam przeraźliwie, ale nie trwało to nawet dwóch sekund. Wilk błyskawicznie zeskoczył z łóżka i zatkał mi usta jedną łapą, a drugą mnie przytrzymał.

– No i o co chodzi? Zazartowałem sobie, a ty od razu w krzyk. Zlituj się nad moimi bębenkami, kruszyno.

– Mmmmm! M-ymfmym?! Mymmypfmm!!!

– Jeanette, nie myślałem, że masz takie słabe nerwy. Gdybym wiedział, nie pojawiałbym się tak nagle. Widzisz? Nawet dowiedziałem się, jak masz na imię! Wydawało mi się, że ucieszysz się na mój widok.

„O żeż ty zapatrzonej w siebie egoisto, ucieszyłabym się, a jakże, gdyby za tobą stał Aleks z arsenałem karabinów maszynowych nabitych srebrnymi kulami!” – pomyślałam, próbując się wyrwać z łap zwierza.



– Jeśli obiecasz, że nie będziesz krzyczeć, to cię puszcze – zaproponował Wilk po krótkim namyśle.

Energicznie pokiwałam głową. Niech tylko mnie wypuści na wolność, choćby względną, a wtedy się zobaczy. Wilk powoli rozluźnił uścisk.

– O, tak lepiej. Nawiasem mówiąc, wieczorem będą tańce. Ja pierwszy w kolejce!

– W jakiej kolejce?

– Jak to w jakiej? Do walca i gawota! Czyżbyś zamierzała tańczyć z kimś innym prócz mnie? – rzekł srogo, demonstracyjnie splatając łapy na piersi.

– Nawet o tym nie pomyślałam – mruknęłam i pospieszyłam z zapewnieniem: – Nie, skąd, ja w ogóle nie tańczę.

– Jak to mówią, nie umiesz, nauczymy, nie chcesz... – ucieszył się.

– To u was też tak mówią? – zdziwiłam się.

– Co znaczy „u was”? – nastroszył się. – Ty nie jesteś Francuzką?

– Ależ jestem! Prawdziwa Francuzka czystej krwi, mieliśmy nawet w rodzinie rasowe francuskie buldogi.

– Taak? – rzekł Wilk nieufnie, patrząc na mnie spode łba. Chyba zaczął coś podejrzewać. Czyżby czegoś się domyślił i nas zdekonspirowano?

– Jeanette, a dlaczego masz takie dziwne oczy...?

– To znaczy jakie? – zapytałam nieco złowrogim tonem, wiedząc, do czego prowadzi ta rozmowa.

– No... hm... takie lekko ukośne – wykręcił się Wilk, odwracając wzrok.

– Wszystko jasne. Zaraz ci opowiem pewną historię i sam zobaczysz, że cię nie oszukuję. Był sobie pewien człowiek, o którym wszyscy przyjaciele i sąsiedzi myśleli, że ma skośne oczy. Aż pewnego pięknego dnia rano wyszedł z domu i wtedy się okazało, że ma zwyczajne europejskie oczy, tylko jest po raz pierwszy w życiu trzeźwy. I ze mną tak samo: zwykła Francuzka, tylko czasem sobie wypiję.

Wysłuchawszy mnie, Wilk się lekko speszył.

– Przepraszam, Jeanette. Kto by pomyślał, nawet nie przypuszczałem... – wymamrotał, patrząc na mnie ze współczuciem.

– Tak to bywa i kropka – westchnęłam, kończąc w ten sposób temat.

Wilk podszedł do okna i wyjrzał.

– Cudownie! – ucieszył się. – Najwyraźniej już tam podają do stołu! O! Czuję

kaszanke, zupke rybną z serem... mmm, jaki aromat! U nas w Owernii to główne danie regionalne. Sądząc z zapachu, są też befsztyki z kartofelkami obsmażanymi na maśle, paluszki lizać, a to jeszcze nie wszystko... Ragout z różnymi sosami i... O tak! Najlepsze jedzenie na świecie: kaczka po meksykańsku!

Szary smakosz odwrócił się ku mnie z jaśniejącymi oczami i oblizał się łakomie.

„Ten typ jest pełen tajemnic” – pomyślałam, mimowolnie cofając się pod ścianę.

– Posłuchaj, czy masz zamiar naprawdę iść na tę zabawę? Mam spore wątpliwości...

– No cóż, mimo wszystko najpierw postanowiłem odwiedzić ciebie, skarbieńku. – Wilk fochnął pokazowo.

– A nawiasem mówiąc, jak ci się to udało, Wilczku? O ile pamiętam, bałeś się pokazywać w tym zajeździe – podsunęłam. Jakoś przestałam się bać, że zrobi mi krzywdę. Patrząc na niego, odnosiłam wrażenie, że ma spore szanse nawrócić się i zostać praworządnym obywatelem (jeśli go do tej pory nie odstrzelą, rzecz jasna). Na pysku Wilka odbiły się wewnętrzne rozterki.

– Przyznam ci się, skarbie, że mam pewien słaby punkt – zaczął z absolutną powagą. – Dziewczyny...

Przełknęłam odruchowo. •

– Ee-mm... W jakim sensie?!

– Nie, nie, nie masz się czego obawiać. Cóż, serce nie sługa! Nie wiem czemu, ale zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia, od chwili, kiedy tak romantycznie poznaliśmy się na śmietniku za tą ścianą.

Marzycielsko przymknął ślepią. Siedzieliśmy w tym momencie oboje na łóżku w przyzwoitej odległości od siebie. Wilk zasmucił się i uścisnął moją rękę – nieznacznie, lecz i tak musiałam zacisnąć zęby, żeby nie zawyc z bólu. Nie miałam zamiaru mu przerywać, wszystkie dziewczyny są łase na podobne wyznania.

– Od tamtej pory zapomniałem o ostrożności, najlepszy dowód, że widzisz mnie tutaj. Sam siebie nie poznaję, zacząłem nawet przemyśliwać nad tym, by rozpocząć nowe życie, zakończyć te zbójce napady na ludzi i zostać jarozsem. Chociaż jeśli nie zdołam wytrzymać bez kaczki po meksykańsku,

wegetarianizm będę musiał odłożyć na czas nieokreślony.

„Tak samo jak wzniosłe myśli o zaprzestaniu napadów na ludzi” – dodałam w myślach, nie bardzo wierząc w wilczą szczerość.

– Przeniosę się gdzieś, gdzie mnie nikt nie zna, i zacznę wprowadzać w czyn swoje postanowienia. Nadojadła mi ta sława, ta wegetacja – bo życiem trudno ją nazwać – pełna ryzyka. Takie rzeczy szybko stają się bardzo męczące. Poza tym ja nie jestem taki całkiem nieczuły, mnie także dopadają czasem wyrzuty sumienia: może tak zerwać ostatecznie z tym ludożerstwem...? Co tak milczysz? – Wilk popatrzył na mnie z wyrzutem, jakbym w rzeczywistości krzyczała na cały głos: „Nie, nie wierzę, dalej wciskaj ten kit! Wyrzuty sumienia? U legendarnej Bestii z Geyaudan? Ha! Jaja jak berety!”. – Po co mam czekać, aż mordercy naszpikują mnie srebrnymi kulami i będą się upajać moją agonią, a potem zedrą skórę z mego stygnącego trupa i rozłożywszy na podłodze jako dywanik, będą deptać? Może nawet butami! – rzucił z oburzeniem, przyglądając futro na piersi i strzepując jakiś niewidzialny pyłek. – Ogólnie rzecz biorąc, zrobiłem mocne postanowienie poprawy tego dnia, kiedy cię zobaczyłem. A teraz chciałbym ci powiedzieć, Jeanette, rzecz najważniejszą. Khem, khem... – odkaszlnął z zakłopotaniem. – Nawet twoje wyznanie, że nie wylewasz za kołnierz, nie może zmienić siły moich uczuć. Mam wielką nadzieję, że uszczęśliwisz mnie odpowiedzią twierdzącą. Powiem wprost: wyjdź za mnie!

Po tych słowach uroczyście ujął moje obie dłonie w swoje łapy, patrząc na mnie błagalnie. Zupełnie jak w jakiejś telenoweli typu „Zbuntowany anioł”. Nie wiedziałam, co o tym myśleć, a co dopiero odpowiedzieć...! Nie będę kłamać, że nikt przedtem nie wyznawał mi miłości, ale w żadnym wypadku nie były to wilki! I prawdę mówiąc, wołałabym usłyszeć taką deklarację z całkiem innych ust... Tyle że prędzej kamień by zakwit!

– Wybacz, Wilczurku, kiedy to takie niespodziewane – wymamrotałam, starając się nie patrzeć mu w oczy, i ostrożnie uwolniłam rękę.

– O, Jeanette! Błagam cię, niech twe usta powstrzymają okrutne słowa odmowy! Zastanów się, będę czekał nawet dziesięć lat! – wykrzyknął Wilk z patosem i zaraz spytał rzeczowo: – Może być do jutra? Powiedzmy, do siódmej rano? Jeśli do tego czasu, namyśliwszy się, dojdiesz do wniosku, że nie jestem cię godzien, zrozumieć to. I tak postanowiłem stąd odejść, jak tylko

usłyszę twoją odpowiedź. Mam nadzieję, że powiesz „tak” i wyjedziemy razem! Od razu zarejestrujemy się w najbliższym urzędzie (sama rozumiesz, jestem wilkołakiem i nie mogę w kościele), potem pojedziemy nad morze i kupimy sobie domek nad jakąś miłą zaciszną zatoczką. Nie ma obawy, mam spore oszczędności, będziemy razem żyli długo i szczęśliwie!

– Dobrze, pomyślę o tym. – Udało mi się uśmiechnąć krzepiąco.

– Wspaniale! Coś zgłodniałem... Te wszystkie miłosne udręki zmuszają mnie do myślenia o jedzeniu. A jak u ciebie? – zagadnął rażno, a kiedy pokręciłam głową, rzekł z lekkim zdumieniem: – Dziwne, ja zawsze się robię głodny. No dobrze, pójdę już, zobaczymy się wieczorem na zabawie. Zdaje się, że już się rozkręciła na dobre. Do widzenia za godzinę. – Z tymi słowami Wilk otworzył okno i skoczył.

„Tam są ludzie i przecież to wysoko!” – zachłysnęłam się z wrażenia. Jednakże kiedy przyskoczyłam do okna, nie zobaczyłam pod nim ani śladu zwierza. Ni krwi, ni wnętrzości, ni odłamka kości... O, nawet się zrymowało! Ale co tam, poetka ze mnie jeszcze gorsza niż baletnica... Innymi słowy, żadnych rezultatów szalonego skoku na główkę. Odświeżnie ubrani ludzie przechadzali się tam i nazad, jakby nic się nie wydarzyło. Drzwi, o dziwo, tym razem swobodnie się otworzyły. Zbiegłam po schodach, wyskoczyłam na ulicę i pędem poleciałam na plac pod kościołem. Ślubna ceremonia już dawno się skończyła, wszyscy zasiadali za stołami, by godnie celebrować najważniejszą część uroczystości – popijawę!

Spomiędzy szczątków wozu-trybuny wyciągano akurat sołtysa Jacques’a Karzełka. A nie mówiłam, że toto się rozleci? No i proszę.

– Alina! Tfu... Jeanette! Gdzieś ty się podziewała, siostró? – usłyszałam wołanie Aleksa.

Mój „brat” już siedział za stołem, zajmując ręką miejsce dla mnie na ławie. Kot umościł się na jego kolanach i nawet nie spojrzał w moją stronę. Usiadłam obok nich. Stół uginał się pod górą wszelakiego jedzenia. Mruczkowi aż ciekła ślina, nie odrywał oczu od tych wszystkich wspaniałości na półmiskach. Nic dziwnego, że nie zauważył mojego przyjścia. Aleks od razu podsunął mu połówkę szynki i kot zapamiętałe zaczął ją obgryzać. Rozumie się, że biedaczek nie mógł otwarcie sięgnąć za stołem, inaczej diabli by wzięli całą konspirację, więc musiał pogodzić się z niewygodami.

– Szukaliśmy cię od dawna, gdzie przepadłaś? – dopytywał się Aleks.

– Ja was też szukałam. Jak się udał wieczór kawalerski? Cały dzień się obijamy, kiedy będziemy pracować? – zapytałam surowo, nakładając sobie na talerz ziemniaki z pieczarkami i sięgając po najbliższą sosjerkę.

Aleks zmieszał się nieznacznie.

– W porządku. Było wesoło. Co prawda później Jean-Pierre znów zaczął mieć wątpliwości, czy dobrze wybrał, ale szybko go przekonaliśmy, że nie może wiecznie zmieniać zdania. Ślub się odbył bez ekscesów, wszyscy byli raczej zadowoleni.

– A gdzie pan młody? Chciałabym go obejrzeć – powiedziałam, rozglądając się z ciekawością.

– O, tam stoi, pod drzewem. To ten z nieszczęśliwą miną i sznurem w ręku. Chyba chce go zarzucić na gałąź. Aha, wybrał dość grubą... O, teraz robi pętlę na sznurze, wyciąga z kieszeni mydło...

Pod grubym rozłożystym dębem stał nie kto inny, jak mój wczorajszy znajomy, kapitan dragonów Leon.

– Czy czasem to nie Leon? – zapytałam niepewnie, obserwując, jak kapitan zręcznie wspina się na drzewo i zaczyna przywiązywać sznur do najgrubszego sęka.

– To on. Leon to jego przezwisko, a naprawdę ma na imię Jean-Pierre. Szkoda, jeśli taki fajny chłopak się powiesi, nudno będzie bez niego – westchnął Aleks z udawaną troską i dojadając ostatni kawałek ragoût, odłamał sobie kurze udko i przysunął cały talerz pasztecików z mięsem i kapustą.

– Zostaw mi trochę – upomniałam się, widząc jak szybko znikają pod wpływem zdrowego apetytu agenta. – Cały dzień nic nie jadłam, a wy przecież z pustymi brzuchami z tego wieczorku nie wyszliście.

Po dziesięciu minutach jedzenia na stołach wyraźnie ubyło – zostało mniej niż połowa, gdyż ludzie pracowali łyżkami z wielką prędkością, chcąc choć w części nadrobić swoje wydatki na podarunki dla nowożeńców.

– A jak poszło... przemianowanie... gospody? – wymłaskałam z pełnymi ustami, widząc nowiuteńki, lśniący świeżą farbą szyld nad wejściem informujący, że oto ta gospoda nazywa się nie inaczej jak „Wilk i Babcia”.

– Jak po maśle! Najpierw wystąpił Jacques Karzełek i ogłosił, że to najpiękniejszy dzień w jego życiu, bo w końcu wydaje za mąż swoją jedyną

córkę, Krzywą Magdalenę. A do tego jeszcze najpiękniejszy dzień w życiu wsi, bo przemianowanie gospody oznacza wejście w nową świetlaną erę historii osady, i tak dalej, i tym podobne dyrdymały. Potem jeszcze gadali tutejsi seniorzy, szynkarz, nauczyciel ze szkółki parafialnej... generalnie prawie każdy chciał palnąć jakąś mowę. Pod koniec, kiedy ludzie się już znudzili i zaczęli rozchodzić się rozsądnie do stołów, na mównicę znów wylazł sołtys – widać on po prostu kocha przemawiać – i wtedy wóz się rozwalił na kawałki. Podobno Jacques połamał zebra, ręce i nogi, ale osobiście bardzo w to wątpię.

– Dlaczego?

– Dlatego, że w takim wypadku Jacques Karzełek nie mógłby tak szybko przebiec koło nas – uprzejmie wyjaśnił dowódca.

Popatrzyłam w tym samym kierunku co on. Istotnie, wiejski sołtys podbiegł do Leona, który już wetknął głowę w namydlony stryczek, i zaczął go odciągać od drzewa, co oczywiście spowodowało, że pętla się natychmiast zacisnęła. Biedny kapitan Leon schwycił się za gardło i zaczął charczeć, postawiwszy oczy w ślup. Wraz z agentem 013, tak samo zresztą jak i pozostali biesiadnicy, z nieukrywanym zainteresowaniem oglądaliśmy tę scenę. Nikt się nie spodziewał, że prócz poczęstunku będzie zapewniona także wesola rozrywka.

W końcu wspólnymi siłami uwolniono pana młodego i dostarczono szlochającej za stołem połowicy, gdzie odbyło się pojednanie kochających serc. Choć z miny kapitana Leona (czy też może Jeana-Pierre'a) trudno było poznać, czy jest szczęśliwy, że go wyratowano. Zobaczywszy mnie, uśmiechnął się kwaśno, z widocznym wysiłkiem. Niebawem Magdalena, jak się okazało – potężny kawał baby, wstała od stołu, wzięła go na ręce i gdzieś poniosła. Przystojniaczek Leon nie miał już kompletnie siły na protesty.

– A gdzie jego dragoni? – zastanowiłam się, myśląc, że przecież nie zostawiliby swojego dowódcy w takich opałach.

– Wszyscy łązą po lesie z rozkazu Leona. Czyli robią kolejną bezsensowną obławę – wyjaśnił Aleks. – Może poza Grubym Jeanem. Wpadł w potrzask na niedźwiedzie i teraz może chodzić tylko o kulach. A kule zabrał mu galernik, kiedy Jeanowi przyszło do głowy pospacerować po zagajniku w nadziei, że spotka tam Wilka. Tak więc nie wiem, czy Jean dotrze dziś do wsi, chyba dopiero nad ranem. To kawał drogi.

– Wszyscy wiedzą, co się stało, i nikt biedakowi nie pomógł? – oburzyłam się

na taką niesłychaną znieczulicę.

– Niby czemu? Sam się doczołga, ręce ma zdrowe. Ten pijanica za nic sobie nie odpuści zabawy i będzie pełził nawet dwa razy szybciej – odparł Aleks spokojnie, chyba dziwiąc się, czemu mnie obchodzi los jakiegoś obcego sierżanta. – A w ogóle to w pułapkę wlaź na własne życzenie. Miał nadzieję, że przyniesie dobrą nowinę akurat w dzień wesela.

– Aleks, ty jesteś po prostu istnym Elrykiem z Melnibone – pokręciłam głową.

– Co masz na myśli? – Aż odłożył nadgryziony pierożek.

– Jesteś egocentrycznym, samolubnym typem – wyjaśniłam. – Podaj mi, proszę, sól.

Nadał się, ale spełnił moją prośbę.

– Tak przy okazji... – Nasz sąsiad akurat wstał od stołu, więc kot postanowił skorzystać z tego i przerwać nasze pełne napięcia milczenie. – Charles de Coster w swojej książce „Legenda jako też bohaterkie, wesole i sławne przygody Dyla Sowizdrzała” radził, jak cytuję: „To noc wilkołaków, dusze pokutujące wychodzą z piekła...”

– Zaczyna się optymistycznie – wymamrotałam zachęcająco.

– „Trzeba po trzykroć przeżegnać się lewą ręką i zawołać: «Sól! Sól! Sól!», gdyż jest ona emblematem nieśmiertelności; wtedy nie zrobią ci żadnej krzywdy”<sup>[5]</sup>. A w jednym z arabskich dzieł z XVI wieku napisano: „Diabeł nie lubi soli, gdyż sól to symbol wieczności i z woli Boga używa się jej we wszelkich ofiarach”. Natomiast w średniowiecznej Europie rycerze brali ze sobą w podróż poświęconą w kościele sól dla ochrony przed czarownikami i wiedźmami.

– Tutejsi myśliwi też nabijali swoje strzelby solą, ale na razie żadnemu nie udało się upolować wilkołaka. – Aleks uśmiechnął się złośliwie.

– Zauważyliście, że u większości tutejszych mieszkańców imiona zaczynają się na „ż”? – zastanowiłam się głośno. – Jean-Pierre, Jocelyne, Gruby Jean, Germain, Jacques Karzełek i nawet ja się nazywam Jeanette. Albo Gevaudan! „J” i „g” wymawiane jak „ż”. Ciekawe, czy to jakiś znak?

– Taki znak, że polowanie się „j” i „g” nam wychodzi... – miauknęła fatalistycznie profesor.

Z łatwością odgadliśmy, co miał na myśli.

Zaczęły się tańce. Trzeba było wstać, bo stoły przenoszono na brzeg placu, żeby zrobić więcej miejsca. Skądś wychynęli skrzypek i trębacz, grając niewyszukaną melodię gawota. Tak naprawdę nie odróżniłabym gawota od menueta, lecz uświadomił nas kot. Zabawnie było patrzeć na tancerzy – wywijali nogami takie esy-floresy, tak skakali i przytupywali, że mogłam tylko wzdychać z podziwu. I to wszystko we czterech w szeregu, trzymając się mocno za ręce!





Po upływie kwadransa podniosła się dosłownie chmura kurzu, aż zaczęłam kichać. Merisault kręcił się w pobliżu, najwidoczniej zbierając się na odwagę, by mnie poprosić do tańca, ale przy tym nie zapominał o obowiązku podsłuchiwania, z kim i o czym rozmawiam. Zamyśliłam się: czy takim specjalnym agentom od potworów coś płacą? Na logikę biorąc – powinni, inaczej kto by się chciał brać do takiej niewdzięcznej pracy, do tego zakurzonej (apsik!)? Premie za osobisty wkład w unieszkodliwienie i całkowitą likwidację przestępcy też powinny być, obowiązkowo.

A Wilk w tym samym czasie łązi gdzieś tu blisko, grzech nie spróbować samej go jakoś załatwić. Wtedy oprócz premii zyskałabym coś dużo ważniejszego – wyobraziłam sobie, z jakim szacunkiem Aleks i agent 013 patrzą na mnie, stojącą nad powaloną bestią w zwycięskiej pozie.

„Jak ci się to udało?!” – zawołają chórem, a w ich głosach już nie będzie tego lekceważenia, z jakim teraz się do mnie odnoszą moi „koledzy”, tylko ogromny podziw i zazdrość, że udało mi się to, z czym oni nie mogli sobie poradzić.

„No co wy, chłopcy, to nic takiego... To było proste jak drut” – odpowiem spokojnie i prychnę kpiąco.

Oni myślą, że do niczego się nie nadają: ot, zwykła głupia dziewczuszka, która wiecznie płacze się pod nogami i przeszkadza. No, jeszcze zobaczymy!

Przez te rozmyślenia nie zauważyłam, kiedy podeszła do nas Jocelyne i zaczęła podrywać Aleksa. Natychmiast zapomniałam o swoich próżnych fantazjach, całą uwagę skupiając na tej parce. Paplali sobie radośnie, nie zwracając na mnie absolutnie żadnej uwagi. A mój nieprzystępny dowódca jeszcze słuchał tej gadaniny z takim głupim i szczęśliwym uśmiechem, jakiego nigdy w życiu mi nie posłał i sto procent gwarancji, że się takiego od niego nie doczekam, choćbym mchem porosła!

Wkurzałam się, a tu jeszcze ta bezczelna dziewucha zaczęła go łapać za rękę i w końcu zaciągnęła do tańca.

– To jest po prostu niewiarygodne chamstwo! – stwierdziłam, splatając ręce na piersiach i odwracając się ostentacyjnie. Zauważyłam, że kot znów gdzieś przepadł. Pewnie poszedł szukać swoich francuskich koteczek.

– A tobie co, kruszyno? Gniewasz się na braciszka? – usłyszałam tuż nad uchem warkotliwy głos Wilka, ale kiedy poderwałam głowę, zobaczyłam

Merisaulta pokazującego w uśmiechu szokująco białe i ostre zęby. Nie, to nie był on...

Wilkołak we własnej osobie, ubrany w bezpretensjonalny strój agenta tajnej policji, spacerował sobie całkiem jawnie w samym środku bawiącego się tłumu! Trzeba oddać sprawiedliwość jego pomysłowości oraz impertynencji. Wszyscy tu znali Merisaulta i nie będą się przecież zbyt dokładnie mu przyglądać.

Wilk złapał mnie za rękę i pociągnął nieco dalej od tańczących. Widząc moją zaniepokojoną i niepewną minę, pospieszył rozwiać moje obawy i zaspokoić ciekawość.

– Dość ordynarny wygląd, zgadzam się z tobą – rzekł ze skrucą, równocześnie mrugając żartobliwie. – Mnie także niemiło całować cię w takiej postaci, więc się na razie powstrzymam.

Zemdliło mnie lekko z obrzydzenia i złożyłam dzięki niebiosom za taką troskliwość ze strony wilkołaka. Ale przyszła mi też do głowy mroząca krew w żyłach myśl: a może on po prostu zjadł Dziurkę od Klucza i zabrał jego płaszcz, żeby w pełni uwiarygodnić podrabianą postać tajnego agenta?

– Jeanette, kochana, nie bój się! Z twoim przyjacielem Merisaultem wszystko w porządku. Jak mógłbym podnieść łapę na gwiazdę i nadzieję FBB?

– Czego?

– Francuskiego Biura Bałwanów. Broń mnie, Szatanie, pozbawiać życia takiego agenta, najbardziej oddanego służbie i utalentowanego szpiega. Cóż oni by poczęli bez niego? Zostaliby jak dzieci bez matki – drwiąco westchnął Wilk. – Śpi teraz jak niemowlę we własnym łóżku, obudzi się dopiero rano, jak sądzę. Płaszcz mu zwrócę, choć żadna to w sumie różnica. Najważniejsze, że przyszedłem, a ty mi obiecałaś taniec! – I pociągnął mnie na taneczny placyk oświetlony olejowymi lampami.

Akurat wyszedł księżyc w pełni. Zobaczyłam Aleksa. Przywykł już do „zawiłych” figur chłopskiego tańca i teraz z ewidentną przyjemnością tańczył z Jocelyne. Trzymali się mocno za ręce i bawili na całego.

– Dowiedziałaś się, że jestem siostrą Gustawa Courbeta, którego ty...yy... uważasz za wroga – powiedziałam cicho, kiedy „Merisault” wyjaśniał mi, że w gawocie najważniejsze jest to, by obserwować tego, kto tańczy naprzeciwko.

– Tak, ale co mogę zrobić? Po prostu teraz nie będę już dybać na jego życie –

rzucił lekko mój partner do tańca. – Już mówiłem, nie pozostaje mi nic innego, jak stąd wyjechać. Najlepsze lata swojego życia spędziłem właśnie tutaj, więc troszkę żał odchodzić na zawsze...

Oblizwał się drapieźnie, pewnie do własnych myśli, i zaraz zaczął jójczyć, żebym nazwała go „Wilczurkiem”. Okropnie musiałam uważać na swoje ruchy w tańcu, więc ignorowałam jego prośby, aż w końcu strzelił focha. Jednak taniec stopniowo nas wciągał i już po paru minutach, zarumienieni i rozradowani, śmialiśmy się wesoło. Aleks gdzieś przepadł, co trochę zepsuło mój świąteczny nastrój, lecz widząc, że Jocelyne została sama, przeprosiłam na chwilę swojego „kawalera” i podeszłam do tutejszej koleżanki. Świdrując wzrokiem nie podejrzewającą niczego złego dziewczynę, odezwałam się chłodno:

– I jak ci się podoba mój brat?

Słyszając groźbę w moim głosie, powiedziała nieco bojaźliwie:

– Oj, jest śliczny i taki uroczy, że z radością bym za niego wyszła.

Taki jawny bezwstyd po prostu doprowadził mnie do szału.

– Morda w kubel! Jestem jego ciotką, nie siostrą! Wychowałam go od małego, wykarmiłam własnym mlekiem, za matkę mu byłam i nie pozwolę mu się wiązać z pierwszą lepszą flądą. A jak jeszcze raz zechcesz go rączką pomacać – tak, tak, widziałam jak się na nim wieszalaś – to najpierw przyjdź do mnie i w kolejkę się zapisz! To nie Jean-Pierre, nie poleci na wsiową gęś, do tego zapóźnioną o trzy wieki. Ty wydro gevaudańska!

Wylałam z siebie całą złość i pomaszerowałam do gospody. Po drodze dogonił mnie Wilk ocierający pot z czoła połą kabata Merisaulta.

– Poczekaj! Dokąd to? Wieczór jeszcze się nie skończył! – wołał z radosnym podnieceniem. – Chodź jeszcze potańczyć!

W tejże chwili zobaczyłam czołgającego się Grubego Jeana. Nieszczęsny dragon był cały szary od pyłu, a jego mundur na brzuchu przetaił się na wylot. Dopelzył do nas i unosząc głowę, popatrzył mi w oczy z rozpaczą.

– Bardzo się spóźniłem? – wychrypiał.

– Nie! Nie! – pocieszyłam go szybko. – Nawet poczęstunek jeszcze został.

Po moich słowach brudna twarz żołnierza pojaśniała, poczołgał się dalej ze zdwojoną energią – ostatni zryw przed metą.

– Wiesz, jakoś spać mi się zachciało... – zwróciłam się do Wilka. – Już jest

koło północy, a w domu kładę się do łóżka od razu po dobranocce.

Wilkołak najpierw się naburmuszył, potem machnął ręką.

– Dobrze, Jeanette, tylko nie zapomnij, że czekam na odpowiedź. Jutro raniutko zajrzę dowiedzieć się, jaka jest twoja ostateczna decyzja. *Au revoir, ma chérie!*

Kiedy dotarłam do swojego pokoju, padłam na łóżko, nawet się nie rozbierając, i zaraz zasnęłam. Przyśniło mi się, że Wilk nie wiadomo czemu zamienił się w Hannibala Lectera, a ja byłam tą agentką FBI, którą w „Milczeniu owiec” grała Jodie Foster. Potem ludożerca Lecter przeistoczył się w kreskówkowego Kubusia Puchatka, oznajmił złowieszczo: „Pora na małe co nieco” – i pokazał wilcze zęby. A wtedy skądś nadciągnął Aleks z kotem na odsiecz i...

Obudziłam się z krzykiem. Za oknem rozległ się pojedynczy wystrzał, za nim drugi.

– Co to za ćwiczenia o świcie?! Pospać nie dadzą, snajperzy cholerni – rozzłościłam się, półprzytomna złapałam stojące obok łóżka krzesło i rzuciłam nim w okno. Dobrze, że nie trafiłam, bo za rozbite szyby musiałabym zapłacić. Strzały mnożyły się jak karaluchy, robiąc wrażenie, że na ulicy rozpętała się rewolucja.

Sądząc po słońcu, była szósta albo siódma rano. Odwróciłam się na drugi bok, próbując znów zasnąć. Nic z tego. Ktoś bezceremonialnie zaczął dobijać się do moich drzwi. Tak elegancko mógł pukać tylko pan Orłów, który zresztą zaraz potwierdził swoje przybycie:

– Hej, siostró, otwieraj! Nie ma co dłużej chrapać!

Musiałam otworzyć. Aleks i kot weszli do izby. Dowódca niósł strzelbę – widocznie to jego palba mnie obudziła.

– Zbieraj się, akcja skończona, wracamy do Bazy.

– Jak to?!

– Tak to, nie ma już Wilka z Gevaudan.

– Niemożliwe! – wykrzyknęłam. – Co mu zrobiłeś, morderco?!

– Zastrzeliłem. I krew zdążyłem pobrać, bo wilkołak nie od razu umarł – pochwalił się nasz bohater, nie rozumiejąc mojej reakcji. – Do jego skóry już rości sobie pretensje dziesięciu ludzi i każdy twierdzi, że to właśnie on trzasnął bestię.

– Długo by się z nimi sądzić, żeby udowodnić swoje prawo do nagrody – dodał kot z zalem.

Bez słowa wybiegłam z pokoju. Na ulicy zebrał się już cały tłum, wszyscy mówili o Wilku. Precyzyjnie się przez krąg gapiów, zobaczyłam go. Bure futro z czarną pręgą wzdłuż grzbietu było dosłownie posiekane kulami. „Teraz nie nada się nawet na dywanik” – pomyślałam głupio całkiem oszołomiona. Wytarłam łzy spływające po twarzy i wolno powlokłam się z powrotem.

„Biedny Wilczek... Rzeczywiście nie byłam mu obojętna, a ja, ostatnia egoistka, uważałam go za nieczułego i amoralnego bydlaka. A jeśli on tylko chciał żyć i kochać, i żeby jego ktoś chociaż trochę kochał...? Tylko trochę. Biedaczek, pragnął odrobiny ciepła, przecież tego wszystkiego był pozbawiony, może przez całe życie, a ja nie chciałam spełnić jego prośby, kiedy ostatni raz w życiu błagał, żeby go nazwać «Wilczurkiem». Przecież to nic by mnie nie kosztowało... Biedny Wilk zginął tak bezsensownie i niespodzianie, kiedy już zerwał z przeszłością i wszedł na ścieżkę uczciwości. A ja go osądzałam z pozycji myśliwego – kto mi dał takie prawo?”

– A ty co tak sępniałaś? – zdziwił się Aleks.

Nawet nie zauważyłam, dręczona wyrzutami sumienia, że już weszłam do izby.

– Brzuch mnie boli – burknęłam, patrząc nieprzyjaźnie na głównego winowajcę.

– Oczy masz czerwone – zauważył podejrzliwie, ale zaraz sam sobie wyjaśnił: – Pewnie się nie wyspałaś.

Byliśmy gotowi do drogi w ciągu pół godziny. Dowódca nie pozwolił jechać do Paryża, chociaż sprawa została załatwiona przed wyznaczonym terminem. Przypomniał mi delikatnie, że krew pobraną od wilkołaka należy bez zwłoki dostarczyć do laboratorium i leży to w moim najlepszym interesie. Nic już nas nie zatrzymywało w tej gwarnej osiemnastowiecznej wiosce. Trochę mi było smutno, że nigdy więcej nie zobaczę Merisaulta, Leona, Jacquesa Karzełka, Jocelyne z jej przyjaciółkami, Grubego Jeana, szynkarza i jego żony – cioteczki Marion, i innych mieszkańców Gevaudan, którzy tak prędko stali mi się niemal rodziną.

Zamarudziłam trochę w swoim pokoju, Aleks z kotem już czekali na mnie

przed gospodą.

Cioteczka Marion zdejmowała poszewki z pościeli i kiedy już się zegnałam, stojąc na progu z torbą podróżną w ręku, gospodyni zawołała:

– Poczekaj, dziecko, czegoś tu chyba zapomniałaś! – i podała mi wyciągniętą spod poduszki białą wąską kopertę.

Wzięłam ją, ze zdumieniem unosząc brwi. Na półpiętrze niecierpliwie złamałam lakową pieczęć z odciskiem wilczej łapy i wyjęłam list.

*Witaj, Kruszyno! Chciałbym rozpocząć inaczej, na przykład: „Kochana Jeanette, przesyłam pozdrowienia z Riwiery. Niezły kurorcik, bywają i gorsze”, ale w rzeczywistości do Riwiery dotrę dopiero jutro pod wieczór. Byłem zmuszony zainscenizować swoją tragiczną śmierć, więc wybacz, jeśli z tego powodu przeżyłaś kilka nieprzyjemnych chwil. Musiałem poświęcić w tym celu krewniaka – jest w Gevaudan jeszcze parę wilkołaków. I wszystkie z roszczeniami... Potrafiłaś nawrócić jednego z nich na dobrą drogę, a to niemało. Ten, którego zabił Twój brat, przelał bardzo dużo krwi i nie żał mi ani trochę tego maniaka. Już wczoraj wieczorem wiedziałem, co mi powiesz dziś rano, więc nie przyszedłem po odpowiedź. Choć nadzieję zachowałem do ostatka.*

*Pozostaję najwierniejszym Twoim wielbicielem,  
Wilk, były Wilkołak z Gevaudan.*

Schowałam list jak najgłębiej za dekoltem i zesłam do chłopaków. Ostatni raz przemierzyliśmy wiejskie uliczki, wspięliśmy się na znajomy pagórek i Aleks nacisnął guzik swojej maszynki, która w ciągu sekundy przerzuciła nas do Bazy. Było mi tak lekko na sercu, jak nigdy dotąd...



Po powrocie z Francji przez trzy dni mieszkaliśmy w Bazy i odpoczywaliśmy, o ile można to tak nazwać. Lwią część czasu spędzałam z agentem 013 w wielkiej bibliotece nad materiałami dotyczącymi naszego kolejnego zadania – martwego niemowlęcia-zabójcy z Czukotki, zwanego wśród ludu angyak. Ale myślami często wracałam do Francji. Pewnie mogłabym powiedzieć Aleksowi, że Wilk z Gevaudan żyje, a raczej że jeden z KILKU gevaudańskich wilkołaków uciekł. Tylko jaki by to miało sens? Od razu

wyprawiliby nasz malutki oddział jego śladem. Ja natomiast dostałabym ochrzań za to, że nie powiedziałam wcześniej o swojej bliskiej znajomości z Wilkiem. Aleks pewnie by też nie uwierzył w to, co mi mówiła kobieca intuicja – wiedziałam, że gevaudański

Wilk nikogo więcej nie zabije, dlatego nie było potrzeby fizycznie go likwidować. Aleks, będąc skończonym profesjonalistą, nie pozwoliłby sobie na ślepą wiarę w moje słowa i wolałby po prostu położyć zwierza trupem, żeby już nie było żadnych wątpliwości i szans na jego powrót do dawnych okrutnych zwyczajów. Właściwie przerwaliśmy zbrodniczą karierę nawet dwóch bestii z Gevaudan! Choć w planach był tylko jeden wilkołak, bo o istnieniu innych nikt nie wiedział i nie wie do tej pory. Nie, naturalnie tylko do tego momentu, kiedy na nowo zacznie się krwawy terror – wtedy znów będziemy mieć szansę na powrót do Francji i ostateczne oczyszczenie z wilków regionu Owernii. Z drugiej strony, czasem mi się wydawało, że Aleks z profesorem domyślają się, że historia z Wilkiem wcale nie jest taka prosta, lecz z jakiegoś powodu nie poruszają tego tematu. „No i dobrze, nie będę sobie tym teraz zawracać głowy” – postanowiłam, widząc pytającą minę kota.

– Znów bujasz w obłokach? – zamruczał dobrodusznie, gładząc wąsy, żeby ukryć uśmiech. – Dziś rano Steve cię szukał.

– A gdzie wtedy byłam? – spytałam z rozczarowaniem.

– Flirtowałaś z naszym samobójcą w stołówce, żeby ci oddzielnie przygotował kompot wiśniowy z syropem klonowym. Niezły numer z ciebie! – zachwycił się Mruczek niespodzianie. – A ja się boję zamówić dodatkową szklankę śmietany...

– A po co ci? Dodatkowy kubek śmietany dla ciebie oznacza śmierć z otyłości! Dziwię się, jakim cudem dajesz radę opychać się każdego dnia taką ilością tłustego jedzenia. Normalny domowy kot dawno by już pękł.

Jak można się było spodziewać, agent 013 nadał się i nie zauważał mego istnienia cały ranek. W takim stylu minęły wszystkie trzy dni: oboje z kotem tośmy się kłócili, to znowu godzili. Warunki mieszkaniowe były znośne, ale odczuwało się niejakie tendencje do stylu a la Sparta. Łóżka dość twarde i wąskie, wciąż brakowało gorącej wody, a na ścianach królowały głównie mysie kolory. Wieczorami rżnęliśmy z kotem w szachy w kwaterze, którą zajmował z Alekssem. Sam „zbawca ludzkości” w tym czasie był zajęty znacznie



poważniejszymi sprawami – pisał raporty i sprawozdania.

Troszeczkę szachrowałam, w tym sensie, że kradłam piony, nie tykając niczego poza tym. Chowałam je pod siebie – siedzieć było niewygodnie, za to wewnętrzna satysfakcja to wynagradzała. Kot udawał oburzenie:

– Gdzie mój pionek?

– Mnie pytasz? – odpowiadałam z miną urażonej niewinności. – Kto gospodaruje twoimi pionami, ja czy ty? Ja twoich nie ruszam, a swoje przeliczam, nie wolno ufać rywalowi, nawet takiemu uczciwemu kotu jak ty.

Mruczuś, burcząc, był zmuszony kontynuować grę. Kiedy jednak pod koniec partii dawał mi szacha, a potem i mata, przychodziła pora tryumfu kocura, a mnie pozostawało przygryzanie warg i wysłuchiwanie przytyków mojego „dobrego” kolegi na temat średniego współczynnika kobiecej inteligencji, kobiecej logiki itede.

Wieczorem, w przeddzień wyprawy na Czukotkę, nasz maleńki oddział urządził naradę w bibliotece. Przed nami leżały wydruki materiałów dotyczące, jak już wspomniałam, angyaka, czyli zabójczego upiora w postaci dziecka. Kot tradycyjnie zreferował założenia akcji.

Patrząc na nas sponad okularów – włożonych wyłącznie dla efektu, tak profesorowie patrzą na studentów – zaczął wykład:

– Rzeczoną istotę, w którą przekształca się niemowlę po śmierci, wśród Eskimosów na Czukotce zwie się angyakiem. Spotyka się ją jednak także w Skandynawii – tam nazywana jest utburd i niczym, prócz nazwy, praktycznie nie różni się od angyaka. W „Wielkiej encyklopedii duchów” opisuje się go w ten sposób: „Angyaki to duchy niemowląt, które rodzice porzucili na pewną śmierć, nie mogąc ich wykarmić; albo zostały opuszczone przez niezamężne matki. Przedtem jednak nadano takim dzieciom imiona”. U Eskimosów nadanie imienia automatycznie sprawia, że dziecko otrzymuje również duszę. Angyak dość długo zbiera siły, następnie zaczyna napadać na samotnych podróżnych, a prócz tego mści się na tych, którzy go zostawili na pastwę losu. Czasem przyszła ofiara zostaje uprzedzona przed atakiem – słyszy krzyk angyaka albo widzi białą sowę. Lecz nawet w takim wypadku potencjalna ofiara ma niewielkie szanse, gdyż angyak jest bardzo szybki i silny. Z początku jest wzrostu dwu-, trzyletniego dziecka, a może wyrosnąć nawet do wysokości niewielkiej jarangi<sup>[6]</sup>. Eskimosi dawno ich już nie widywali, ale

parę miesięcy temu jeden się pojawił.

– A czukoccy szamani to co, niczego nie mogą zrobić? Po co ich tam tubylcy trzymają, co? – wytknęłam gniewnie, bo niezbyt mi się uśmiechało wlec się na koło podbiegunowe. Na samą myśl o tym dostałam dreszczy.

– Zimno ci? – zdziwił się Aleks. – Grzejniki gorące.

Zmierzyłam go wzrokiem jadowitej kobry.

– A co, nie możemy jechać gdzie indziej? Powiedzmy, gdzieś na Wyspy Kanaryjskie... Czy tam przypadkiem nie załęgły się jakieś kraby łudojady? – zwróciłam się do kota. Ten uśmiechnął się z politowaniem i postukał pazurem w czółko.

– Kochaaaaana, takie ciepłutkie zakątki od razu rozdrapują. A może to kwestia szczęścia, nie wiem. Zwykle dostajemy sprawy z drugiej ręki, przy których innym specoddziałom się nie powiodło.

– Aaaa, to znaczy, że jesteście ci najlepsi z najlepszych?! Dobrze wiedzieć, bo patrząc na was, nigdy by człowiek nie odgadł. Nawet ja bym się nie domyśliła bez podpowiedzi, choćbym przepracowała z wami całe życie. Ach, ach, ach, kto by pomyślał! – zaśpiewałam tonem umyślnie przepełnionym zachwytem.

Gdyby spojrzenia mogły zabijać, na miejscu padłabym trupem. Podwójnym. Nie byłam jednak w stanie się zatrzymać. Ogromnym wysiłkiem woli skierowałam rozmowę na inny temat:

– Posłuchaj, agencie 013, masz śliczny pseudonim, choć brzmi jakoś dziwnie oficjalnie, właściwie nawet jak numer porządkowy. Jakoś mi się nie chce wierzyć, że nie masz żadnego normalnego imienia.

Aleks westchnął – no, teraz się zacznie – i kątem oka bacznie zaczął obserwować kota. Ten już dumnie zadarł ogon, napuszył się z poczucia własnej ważności.

– Owszem, mam dużo prawdziwych imion: Niezwyciężony Wojownik, Niszczyciel Potworów, Mroczny Fantom, Stalowy Pazur, Żelazny Nerw, Bardzo Mądry Język i wiele innych. Ci, których wyswobodziłem ze straszliwych szponów Ciemności, tak mnie nazywali, chcąc wyrazić głęboką wdzięczność i uwielbienie – objaśniło skromnie kocisko. Teraz już rozumiałam, dlaczego Aleks wołał go nazywać „agentem 013”. – Możesz wybrać spośród tych nadzwyczajnych imion jedno i nazywać mnie, jak ci się podoba.

– Naprawdę? – upewniłam się z entuzjazmem. Szary samochwał spłoszył się, zapewne widząc chytry błysk w moich oczach, lecz było już za późno. – No to będę cię nazywać Kiciunio Grubasek!

Przy tych słowach nachyliłam się z miłym uśmiechem, robiąc gest, jakbym chciała go podrapać za uchem. Wystraszony kot zrobił unik i zleciał z krzesła, po czym szybko się opanował, przyjmując pozę urażonej godności. Tryumfowałam. Dowódca jednak popatrzył na mnie karcąco. Pod wpływem jego wzroku poczułam coś jakby wyrzut sumienia – oj, nie każdy człowiek może mieć na mnie taki wpływ.

– W takim razie wyruszamy natychmiast – rzekł Aleks spokojnie.

Kiwnęłam pokornie głową, a profesor wpił we mnie nienawistny wzrok.

Bez sensu, bo na akcji między członkami drużyny powinna panować atmosfera wzajemnego absolutnego zaufania i zrozumienia. Ja ich obu przyjmuję takimi, jacy są, więc o co tu się obrażać? No dobrze, profesor w sumie ma serce na łapie, nie potrafi się długo gniewać. Tym bardziej jak przez cztery godziny brnie się przez śnieżną pustynię, zawieja dmie w twarze, a schować się nie ma gdzie.

## Rozdział trzeci



**C**o tak przez cały czas syczy? – zapytałam, szcękając zębami.

Kot wciąż jeszcze mnie ignorował. Kiedy tylko znaleźliśmy się wśród śniegów, natychmiast wlaźł Aleksowi na ramię, żeby nie utonąć w zaspie.

– Para z ust zamarza w powietrzu – burknął Aleks krótko zirytowany moją tępotą i przyspieszył kroku.

Szliśmy po oblodzonym brzegu morza, prawdopodobnie najbardziej północnego z północnych, jeśli wnioskować z dzikiego wiatru i przejmującego zimna. W oddali widniały lodowe skały, niebo przypominało wyblakłą chustę, a słońce było maleńkie i bladozielone.

Oczywiście musieliśmy się znaleźć w Kraju Lodowego Milczenia akurat w środku zimy.

„Uwiozę ja ciebie w tundrę...” A jakże! Teraz jasno widziałam, że tę romantyczną piosenkę napisał zboczeniec, który obmyślił wszelkie sposoby męczeńskiej śmierci dla naiwnej dziewczyny – nikt normalny nie zaśpiewałby czegoś takiego ukochanej.

Wydawało się, że wiatr dostaje się nawet pod kerker – kombinezon uszyty ze skór reniferów. Na wierzch narzuciłam coś na kształt koszuli z grubej tkaniny, jak zwykły robić czukockie kobiety (tak w każdym razie twierdzili specjaliści z Bazy). Wybrałam niebieską – mój ulubiony kolor, bo pasuje do czarnych włosów. Przeznaczenie koszuli było proste: miała chronić futro przed deszczem i śniegiem. Dzięki spodniom z foczej skóry i futrzanym butom łatwiej mi było pogodzić się z tutejszym klimatem. Ubranie Aleksa było z takiego samego materiału, tylko innego kroju, a jego wierzchnie okrycie nazywano kuchlanką. Kotka też nam wystroiła. Na Północy z kotami było ponoć krucho. Nieprzyzwyczajone do zimna mruczusie nie życzyły sobie wyjazdów na Czukotkę. Głośnym miauczeniem protestowały, kiedy tylko jakiś

polarnik przed wyjazdem na Północ zaczynał zdradzać nadmierne przywiązanie do domowego pieszczoła i przebąkiwać o wzięciu go ze sobą. Pamiętałam co prawda, że jacyś polarnicy faktycznie trzymali u siebie kota, ale pewnej nocy zabłąkał się na zewnątrz i po zaledwie dwóch godzinach tak odmroził sobie ogon i uszy, że mu odpadły. Tę historyjkę opowiedziałam profesorowi, kiedy protestował przeciwko ubranku z polarnego lisa, warcząc, że jego futro nie jest gorsze. Wziąwszy sobie do serca los współplemieńca, zmartwił się szczerze i poprosił nawet o cały koci kombinezon z kapturem. Trzeba było go uszyć specjalnie, przez co musieliśmy odłożyć wyjazd o dwie godziny.

Szliśmy jeszcze około pół godziny, kiedy wreszcie zobaczyliśmy w oddali samotną jarangę.

– Tam mieszka sędziwa Uchtykak, czcigodna głowa rodziny, ze swoimi krewnymi. Wie o naszym przybyciu. Przyjmie nas, nakarmi i u niej się zatrzymamy – zawiadomił mnie kocur.

– A jak ona się o nas dowiedziała?

– Uchtykak to tutejsza szamanka, czasem obcuje z duchami i utrzymuje stały kontakt z naszą Bazą. Byliśmy już tutaj z Alekssem dwa lata temu służbowo – wyjaśnił kot lakonicznie.

Wobec takiego zachowania zacięłam się i nie odezwałam więcej, choć nazbierała mi się cała górnka pytań. Tym razem moje męki skrócił sam Aleks:

– Dla babki Uchtykak połączyć się z Bazą, to tak jak dla ludzi z twoich czasów wybrać numer pogotowia. Polowaliśmy tu z agentem 013 na morsa widmo, Tłustego Wąsacza, jak go nazywali tutejsi. Niezły był z niego żarłok, znienacka wynurzał się w jarangach spod podłogi i zżerał wszystkie zapasy. Ryby w morzu mu nie wystarczały, łobuzowi. Ale to było latem, agentowi 013 było ciepło we własnej skórze, dlatego teraz nie chciał się ubierać w lisia.

Profesor tymczasem zdążył przemknąć pod reniferową skórą u wejścia do jarangi. Aleks po dżentelmeńsku odsunął przede mną zasłonę, schyliwszy się, weszłam do środka, a on wkroczył w ślad za mną. Przywitała nas zgarbiona staruszka o twarzy podobnej do pomarszczonego jabłka. Uśmiechała się przyjaźnie, od czego jej i tak wąskie oczy niemal znikwały wśród zmarszczek. Wszyscy tu mówili po rosyjsku, więc nie było potrzeby używania translatorów, i tak rozumieliśmy eskimoską babcie.

– Witaj, synku, witaj, córeczko, jakże wy tu doszli? U nas teraz wiatry z morza hulają, wszakże, zim-noo-o... – odezwała się radośnie. – Zaraz się zaparzycie, rozbierajcie się czym prędzej, wszakże.

Faktycznie, w jarandze wszyscy chodzili półnago, a spali, jak się później przekonałam, całkiem nago. Dzieciaki w różnym wieku przyglądały się nam z ciekawością, a pewien trzylatek zdążył złapać naszego Mruczusia za ogon i z uporem ciągnął go do siebie. Kot z męczeńskim wyrazem na pysku wczepił się pazurami w skóry zaścielające podłogę, ostatkiem sił próbując wyrwać się na swobodę.

Nie wytrzymałam i zaczęłam chichotać. Agent 013 spiorunował mnie wzrokiem, ale w obecnej sytuacji nie robiło to wrażenia. W jarandze, prócz starej szamanki i dzieci, znajdowało się jeszcze dwóch mężczyzn i kobieta. Siedlisko to było, jak się potem dowiedziałam, większe od zwykłej jarangi.

Na dobytek tubylców składało się palenisko z kociołkiem na trójnogu, dwa nieczynne prymusy, stareńkie radio „Majak”, strzelba myśliwska, trzy harpuny i trochę drobiazgów. Cuchnęło tu skórą i zjełczalym tłuszczem. Zrozumiałam, że znajdujemy się na peryferiach jakiegoś kołchozu, który zajmował się hodowlą reniferów w czasach byłego ZSRR. Chruszczowowo-Breżniewowe lata, zastój w całym kraju, a pojawienia się angyaka zwyczajnie nie ma komu zameldować. Radziecka nauka zaprzecza istnieniu podobnych potworów, przyszło więc staruszce wzywać daleką Bazę...

Zaproszono nas do „stołu” i nakarmiono suszonym mięsem morsa oraz ulubionym smakołykiem tutejszych mieszkańców – muktukiem, czyli paskami skóry wieloryba z warstwą tłuszczu, a wszystko zapijaliśmy rosółem z renifera. Z apetytem wsuwał jedynie Mruczek. Aleks jadł bardzo niemrawo – smak tych potraw był mu dobrze znany. Ja próbowałam muktuku po raz pierwszy. Eskimosi ze zdumieniem patrzyli, jak krzywiąc się, przeżuwać kęs według mnie kompletnie niejadalny. Ale wypluć nie było wolno. Aleks dawał mi znaki, że mam wytrzymać, a nagrodę za to cierpienie odbiorę w niebiosach. Zauważywszy moje heroiczne starania, babuleńka szamanka zakomunikowała mi, że jutro zarzną rena i obowiązkowo ugoszczą mnie najlepszą rzeczą na świecie (w co szczerze wątpiłam) – szpikiem! Surowym, rzecz jasna. Najwyraźniej nikt tu nie zawracał sobie głowy gotowaniem, wołąc wszystko jeść na surowo.

Po obiedzie Uchtykak przekazała nam konkretne fakty o naszej sprawie. Tak mniej więcej zapamiętałam jej opowiadanie:

W osadzie Czapył pewna kobieta ma córkę imieniem Jałten. Dziewczyna jeszcze nie ma nawet osiemnastu lat, głupia jest jak szare mydło, ale proszę – w zeszłym roku urodziła syna. Matka z wielką awanturą wygnała ją z domu, rzuciwszy za nią wielki kawał wielorybiego mięsa, lecz nie trafiła. Dziewczyna wybiegła za próg, grożąc, że teraz matka nie ma co na nią liczyć, kiedy przyjdzie pora na solenie ryb w beczkach. Matka od razu pożałowała swojej porywczosci, tyle że było już za późno. Jałten poszła szukać geologów, bo jeden z nich (nie wiedziała dokładnie który, choć miała jakieś mgliste wspomnienia) był ojcem jej dziecka. Miała zamiar przekazać mu radosną wieść o narodzinach syna i o tym, że teraz sprowadzą się oboje do niego i jego kolegów, a w przyszłości przeniosą się do jego małego mieszkanka w centrum Moskwy. Żona geologa i jego troje dzieci oczywiście przyjmą ją i jej dziecko z otwartymi ramionami! (Niewiarygodna naiwność, rozległa jak tundra...).

Krótko mówiąc, oczekiwania dziewczyny nie spełniły się. Do synka, któremu nadała imię Rachtyn, żaden geolog nie chciał się przyznać. A główny podejrzany, z którym Jałten wiązała największe nadzieje, wręcz burknął, że najprędzej ojcem dziecka jest biały niedźwiedź!

A w ogóle niebawem zwijają obóz i cała ekspedycja geologiczna przenosi się z nowym zadaniem do Afryki Południowej. W trybie pilnym mają znaleźć Murzynom złoża węgla, a tam jest tak gorąco, że Jałten, jako rodowita Eskimoska, nie wytrzyma takiego szoku klimatycznego. (Troskliwy tatuś, prawda?).

Dziewczyna, słysząc to, okropnie się rozzłościła. Nazwała wszystkich obecnych tyłkami morsa i życzyła im, żeby zaprzęgowe łąjki geologów się wściekły, poodgryzały im wiadome rzeczy i żeby rozrywki z reniferzycami były już dla nich niedostępne. (Chwilami po prostu baraniałam, słysząc barwne epitety rodem z czukockiego folkloru).

Wyrzuciwszy to wszystko z siebie, dziewczyna złapała dziecko i wybiegła ze stacji geologicznej. Zmarzła, wałęsając się po zaspach, koniec końców zostawiła malucha na śnieżnym pagórku, nie wiedząc, co z nim dalej począć, po czym wróciła do domu. Uszczęśliwiona mateczka przyjęła ją z powrotem, bo nie musiała już teraz szukać pomocy przy soleniu ryb.

Okrutna historia, zwłaszcza że dotyczyła dziecka, które w żaden sposób nie zasłużyło na taki straszny los jak śmierć na mrozie. I proszę, zamarznęte niemowlę umarło, ale w jakiś sposób żyło dalej, przemieniwszy się w angyaka. Z naukowego punktu widzenia fakt absolutnie niewytłumaczalny, Wyglądało na to, że jego dusza nie może się wyswobodzić, gdyż Rachtyn powinien pomścić swoją śmierć. Musiał zebrać dość sił, więc każdej nocy przychodził do swojej matki i ssał jej pierś, a potem przepadał znów w ciemnościach.

Kiedy Jałten zrozumiała, że powołała do istnienia angyaka, tak się wystraszyła, że nie odważyła się od razu do tego przyznać i przez całe sześć miesięcy karmiła go matczynym mlekiem, którego odmówiła dziecku za życia.

Dwa miesiące temu, kiedy przepadł jeden z sąsiadów, myśliwy, wszyscy przypuszczali, że go zagryzły polarne wilki. Ale po kilku dniach angyak pożarł kolejnego mężczyznę z tej osady – jego kości znaleziono nazajutrz.

– A jak poznaliście, że to właśnie angyak się pofatygował? – zainteresowałam się i jakby niechcący położyłam głowę Aleksowi na ramieniu. Już wcześniej sprawdziłam, że nie ma się gdzie odsunąć – dalej była już tylko ściana z mocno naciągniętej skóry rena. Kot gapił się na mnie dziwnie, gdybyśmy nie byli skłóceni, rzekłabym, że ma ewidentnie zazdrosny wyraz mordy.

– W nocy ludzie słyszeli straszny bojowy zew tego stwora, wszakże – wyjaśniła stara szamanka – i potem zaraz przedśmiertny krzyk człowieka. No, nikt się nie odważył wyjść z jarangi, ale wszakże wiadomo, że kiedy angyak wyjdzie na łowy, nie odejdzie bez zdobyczy. Mocno wszakże jest zawzięty i nie oszczędzi nikogo, kto z nim stanie do walki.

„Dobra rada dla nas na odchodne” – pomyślałam. Ziewnęłam i przeklełam swój nienormowany czas pracy. Chciało mi się spać, a tu tylko patrzeć, jak będziemy się ciągać po nocy za krwiożerczym skrzatem.

– Jest nieuchwytny, wszakże – ciągnęła staruszka optymistycznie. – Może w każdej chwili odejść w zaświaty, albo stać się niewidzialny. Niedawno zatopił umiak <sup>[7]</sup> u samego brzegu, wszakże, a na nim byli dwaj bracia jego matki. Nikt się nie uratował, choć ich wyłowili bosakami, ludzie już zamarli w wodzie, wszakże. Ludzie z osady widzieli małego demona: płynął po morzu w czaszce psa jak w łódce, a kość psa miał za wiosło, wszakże – uroczyście zakończyła szamanka.



„Babcine bajanie. Ludzie w takich chwilach mają skłonność do przesady. Jeżeli tu ktoś jeszcze raz powie «wszakże», chyba wymiotuję!” – pomyślałam.

Oderwałam myśli od opowieści babki Uchtykak i potarłam policzkiem o ramię dowódcy, złośliwie patrząc na kota siedzącego z zagubioną miną. W końcu Aleks raczył mnie zauważyć.

– Słuchaj, Alina, policzki cię swędzą? – zatroskał się. – Pomóc?

– Podrap kota za uchem, wszakże! – rozzłościłam się, szybko się prostując.

Całą swoją uwagę przelałam na młodego Eskimosa, wnuka Uchtykak – z uśmiechem i wielkim zainteresowaniem spytałam go, czy polował na białe niedźwiedzie. Chłopak bardzo się ucieszył z tego pytania i zaczął z zapalem opowiadać o tym, jak pewnego razu pokonał gołymi rękami dziesięć niedźwiedzi za jednym zamachem.

– Tak?! Jakie to ciekawe! Naprawdę?! – podgrzewałam go, robiąc od czasu do czasu wielkie oczy i uśmiechając się obiecująco. W mgnieniu oka chłopak był już mój – duszą i ciałem. Aleks, jak zauważyłam kątem oka, przygryzał wargi z irytacji. No i dobrze ci tak, głupi baranie, żebyś pękł...!

Po pewnym czasie obaj agenci zaczęli jakieś tajne rozmowy, przy czym kocur coś naszeptywał partnerowi na ucho, co rusz podejrzenie na mnie spoglądając.

– Ej, a czemu mnie nie dopuszczacie do narady? Jesteśmy przecież razem w drużynie, tak czy nie? – rzuciłam z rozdrażnieniem, tracąc wszelkie zainteresowanie pogromcą białych niedźwiedzi, kiedy tylko Aleks z kotem odwrócili się do mnie plecami.

– Byłaś tak zajęta, że nie odważyliśmy się przeszkadzać – zamruczał kot. – Ale skoro już się zainteresowałaś, to postanowiliśmy odłożyć sprawę do świtu. Jak powiedziała szanowna Uchtykak, angyak pojawia się o świcie co trzeci dzień. Jutro, a ściślej mówiąc dzisiaj akurat nadchodzi ten termin.

Popatrzyłam na szamankę. Potwierdziła skinieniem głowy i dodała:

– Jeśli pójdziecie wzdłuż brzegu, bardzo szybko dotrzecie do tej osady, wszakże, skąd ten angyak rodem. On w tamtej okolicy poluje.

– „Bardzo szybko” to ile mniej więcej czasu? – spytałam.

– Bardzo mało! – roztropnie odparła mądra Uchtykak.

Musiałam się zadowolić taką odpowiedzią. Kot patrzył na mnie z takim wyrazem wąsatej fizjonomii, że mimowolnie się zmieszałam. W jego oczach

mogłam wyczytać: „Jeśli masz pytania, zwracaj się wpierw do nas i nie kompromituj nas przed ludźmi, prezentując swoją niewiedzę o najprostszycich sprawach!”.

Okazało się, że Eskimosi nie liczą godzin, a tym bardziej nie liczą minut oraz sekund, więc pytanie ich o czas nie miało kompletnie sensu.

– To znaczy, że sanie nam niepotrzebne? Nie trzeba będzie psów zaprzęgać? – upewnił się dowódca.

– Nie! Po co psy? Szybko dojdziecie, wszakże. Angyak sam was znajdzie – obiecała z uśmiechem stara Uchtykak.

Po takiej dodającej otuchy zapowiedzi nie powinnam mieć kłopotów z zaśnieciem. Wszakże. Ale sen jakoś zwlekał z nadejściem. Rozbierania się do naga odmówiłam, choć łowca niedźwiedzi miał wielkie nadzieje. Orłów też spał w koszuli i spodniach. Zawinęłam się w skóry i spróbowałam liczyć barany, lecz z jakiegoś powodu ciągle widziałam same renifery.

Jako setny przylazł ren z obłamanyimi rogami i wrednym wyrazem pyska. Splunął i stwierdził szyderczo:

„Zakochałaś się”.

„Nie gadaj bzdur, niby w kim tu się można zakochać? – zaprotestowałam, choć w głębi duszy czegoś się zląkłam. – Tylko renifery tu łażą, i to bez rogów”.

„Jak bez rogów, znaczy, żona wierna. Też dobrze – odparł filozoficznie mój parzystokopytny rozmówca. – Nie rozumiem, czemu zaprzeczasz rzeczom oczywistym”.

„Słuchaj, od przedszkola kocham Kubusia Puchatka i jeszcze nie miał powodów wątpić w moją wierność”.

Ren beczelnie zignorował moje słowa.

„Mogłabyś napomknąć mu o swoich uczuciach” – mrugnął znacząco.

„A ty kto, żeby się mieszać do mojego życia osobistego?! – wreszcie mnie olśniło. – Idź dzieci robić, porosty obgryzać, nic lepszego i tak nie masz do roboty”.

„Aleks przecież nie będzie czekał w nieskończoność, aż ty nabierzesz odwagi. Weźmie i ucieknie ci z jakąś tutejszą Tunguzką – zapowiedział renifer. – Wiesz, co mam na myśli?”

„No i dobrze, co mi do tego?! To jego problem!” – krzyknęłam ze złością i obudziłam się.

U mego wezłowa siedział agent 013 i z ciekawością mi się przyglądał. Obok nachylał się zaniepokojony Orłów.

– O, nareszcie się zbudziłaś! – Kot nieoczekiwanie łagodnie dotknął mnie łapką. – My tu z Alekssem pomyśleliśmy, że bredzisz. Wykrzykiwałaś coś we śnie i byłaś taka wzburzona. Gdyby to było na jawie, powiedziałbym, że jesteś nie w humorze, jak zwykle. Może się przeziębiałaś? Nie masz dreszczy, głowa cię nie boli? Może lepiej jeszcze pośpij, sami pójdziemy na zwiad...

Tak się zdziwiłam tą troskliwością, że nie od razu odpowiedziałam.

– Tak, tak, bardzo mało prawdopodobne, że już dzisiaj napotkamy angyaka, bo wziąłbym cię choćby dla osłony – poparł Mruczka dowódca.

No właśnie! Czego jeszcze mogłabym od niego oczekiwać? Z takim rozmawiać o miłości, to jak całować się z parowozem!

– No nie, idę z wami, niewdzięcznicy. Nawet nie myślcie, że was puszcę samych. Tylko patrzeć, jak angyak urządzi sobie śniadanie. Jako danie główne „zbawca ludzkości”, a na deser Mruczuś. Wszystko się może zdarzyć i gdzie niby mam potem szukać temporalnego transportera? Przecież ty, Aleks, zawsze go taszczysz ze sobą.

– Na wszelki wypadek muszę go nosić ze sobą, ale jakby co, poprosisz Uchtykak, a ona skontaktuje się z Bazą, przekaże twoją wiadomość i kogoś po ciebie wyślą.

– Mam nadzieję, że wyślą od razu, bo mi się nie uśmiecha siedzieć tu na takiej diecie, po której nawet wielbłąd by się przekręcił już na drugi dzień.

– Niby czemu wielbłąd? Jemu nic nie przeszkadza żywić się tłuszczem zgromadzonym w garbie w odróżnieniu od ciebie, jeśli nam się coś przydarzy. Aczkolwiek na temat terminu nie potrafię nic powiedzieć. Może będziesz musiała się zasymilować, wyjść za mąż, parkę dzieci sobie zafundować... Żeby ci się nie nudziło, zanim nadejdzie twoja kolej i grupa ratownicza się pojawi. Takich zagubionych rozrzuconych po świecie nie tak znów mało. Chociaż za rok, dwa na pewno cię odnajdą na tej białej pustyni, nie bój się!

Zaczęłam się szybko zbierać już w połowie tej przemowy, a kiedy skończył, byłam całkowicie ubrana i gotowa „stać na straży granic i demokracji”.

– No i po co to? – parsknął profesor, kiedy wychodziliśmy z jarangi. – To my jej, że tak powiem, pobłażamy, chcemy sprezentować parę wolnych godzin na odpoczynek w ciepłym łóżeczku, a ta się gdzieś wrywa w mroźną noc. Do

świtu jeszcze by można spać a spać...

Znowu wskoczył Aleksowi na ramię, żeby nie zakopać się w zaspach, a ten uchwycił solidny oszczep.

Niebo, aksamitne i ciemne, było niesamowicie rozgwieżdzone. Tak dużych i cudownych gwiazdozbiorów nie widziałam nigdy i nigdzie. Szliśmy na przełaj przez zaspę (żadnych dróg i tak tu nie było), dobrze, że choć wiatr ucichł.

Wtem obok nas przeleciała biała sowa śnieżna. Raczej nie miała nic wspólnego z Harrym Potterem... Wyglądała tak poważnie, że się bezwiednie odsunęliśmy. Pewnie leciała gdzieś w bardzo ważnej sprawie. Jakiej dokładnie – to wiedział tylko ptak.

– No i pierwszy znak jest – stwierdził kot.

– Że co? – nie zrozumiałam.

– Biała sowa, znak, że angyak kręci się gdzieś w pobliżu.

Rozejrzałam się po mroźnej pustyni – widoczność taka sobie, zasadniczo ciemno choć oko wykol, aczkolwiek może nie powinnam narzekać na przyrodę? Na Czukotce po kolana w śniegu i w dodatku po ciemku... Doskonałe warunki, żeby się potykać na każdym kroku. Co też robiłam.

– Jakim cudem udaje ci się potykać na każdym kroku? – zdziwił się Aleks i wziął mnie za rękę. Było bardzo przyjemnie czuć jego dłoń przez pięciocentymetrową warstwę naszych wariezek, ale bardzo szybko dla mnie okazało się to za mało. Diabeł podsunął mi myśl: a w zasadzie czemu nie miałby mnie ponieść na rękach? Jeśli akurat teraz nogi mi odmówią posłuszeństwa, to przecież mnie nie upuści w śnieg! I zaczęłam zgodnie z planem pojękiwać:

– O mamusiu... Oj, ja już nie mogę! Zostawcie mnie tutaj, nie mam już siły zrobić ani kroku dalej. – Musiałam jednak zrobić jeszcze aż trzy kroki z tego prostego powodu, że Aleks nie od razu usłyszał i dalej mnie ciągnął po śniegu.

– Nie, nie, zostawcie mnie tutaj, aż zamarznię! Akcja jest najważniejsza, nie pozwolę wam tracić bezcennego czasu z mojego powodu. Być może akurat wtedy angyak dopadnie następną ofiarę. Nie dopuście do tego! Naprawdę w was wierzę! A kiedy ten mały szkodnik... to znaczy złowrogi demon będzie już unicestwiony, zagwizdźcie trzy razy, żebym wiedziała, że mogę już opuścić ten okrutny ziemski padół.

Wygłosiwszy cały ten monolog, przewróciłam oczami i osunęłam się w

śnieg. Orłów, żeby mi nie przeszkadzać, wypuścił moją rękę, a ja, nie spodziewając się takiej podłości, runęłam w głęboką zaspę. Kiedy prychnąłem i klnąc, usiłowałam z niej wyleźć, moi partnerzy obserwowali to z absolutnym spokojem, a „zbawca ludzkości” powiedział:

– Nie denerwuj się tak, Alina. Myślisz, że nie spełnimy twojej prośby? Siedź sobie spokojnie w zaspie i nawet nie próbuj wstawać. Ciężko ci iść, w porządku, przyjęliśmy. Zrobimy wszystko tak, jak sobie życzysz, nie ma obawy. I obowiązkowo zagwizdźmy, żebyś mogła spokojnie wyzionąć ducha. Nie jesteśmy jakimiś oszustami, żaden problem dla nas zagwizdać. Zegnaj, towarzyszek broni! I jeśli więcej się nie spotkamy, chcę, żebyś wiedziała, że nie byłaś mi obojętna...

– Przepraszam za wszystko, słonko – rzucił drwiąco kot i ta para drani najspokojniej znikła mi z oczu.

Wykaraskałam się już dawno, gdybym nie wpadła w niemal półtorametrowe zagłębienie. Z dołu nie mogłam dojrzeć, dokąd poszli ani czy poszli w ogóle, raptem okropnie się wystraszyłam. Kto ich tam wie, ci agenci z przyszłości mają osobliwe poczucie humoru... Postanowiłam więc odłożyć straszną zemstę na później. Najważniejsze to nie zostawać tu w samotności! Przecież w każdym momencie może pojawić się angyak, a to raczej mało przyjemne towarzystwo. Do tego nogi zaczęły mi zamarać, w każdym razie (może ze strachu) zaczęło mi się wydawać, że zamieniam się w lodową figurę. Jutro znajdą tu Śnieżynkę zamiast ciepłokrwistej Alinki. Albo ja też przemienię się w angyaka, kiedy zamarznę na śmierć, chociaż do niemowlaka mało jestem podobna – ale kto wie, może nie trzeba być małym dzieckiem, żeby zostać angyakiem?

– Wy czarty pasiaste, wyciągnijcie mnie stąd! Proszę-proszę-proszę!!! – zaczęłam błagać, a moje krzyki niosły się daleko po lodowej pustyni. Chyba miałam spięcie w mózgu, bo ześlizgnąwszy się, uderzyłam głową w bryłę lodu. – Koteczku kochany, będę cię whiskasem karmić, tylko wróć, nie zostawiaj mnie tutaj! Aleks, skarpetki ci będę prała, wszystkie koszule prasowała – obydwie! – tylko mnie stąd wyciągnij! Chłopaki, nie zostawiajaaajcieeee mnieeeeeee...!

Zbierając ostatki sił, rozmazując po twarzy zamarzające łzy, zdjęłam rękawice i rozgrzebując palcami śnieg, jakoś wypełzłam z jamy, nie przestając

wzywać pomocy. Nawet siedząc na jej skraju, zorientowałam się, że nadal wyję na automacie. Kiedy doszłam do siebie i wstałam, otrzepując się ze śniegu, zobaczyłam, że tamci nigdzie nie odeszli. Stali jakies dwadzieścia kroków dalej odwrócenie plecami. Zwiesiłam głowę i powlokłam się w tamtą stronę, chowając do kieszeni urażoną dumę. Może dlatego, że patrzyłam pod nogi, nie od razu się zorientowałam, że jest z nimi ktoś jeszcze. Moi cholerni koledzy z pracy zignorowali moje krzyki, ale kim jest ten trzeci?

W końcu podeszłam na tyle blisko, że rozpoznałam... dziewczynę! Była ubrana podobnie do mnie, jej czarne włosy wymknęły się spod kaptura, powiewając na wietrze, a Aleks (zdrajca!) trzymał ją za rękę. Zrobiłam ostatni zryw i podbiegłam do nich.

– Ty oszuście! Uprzedzał mnie renifer, a ja nie wierzyłam!

– Jaki renifer?! I kto ty jesteś?! – Zobaczyłam okrągłe ze zdumienia oczy agenta Orłowa. Na jego ramieniu przycupnął agent 013 i patrzył na mnie tak samo zszokowany. Jednocześnie dziewczyna wrzasnęła piskliwie. Zabrzmiało to jakoś znajomo... Przeniosłam rozdrażniony wzrok znów na towarzyszkę obu lowelasów. No proszę, kombinatorzy, nie omieszkali skorzystać z mojej krótkiej nieobecności i nawet na tym śnieżnym pustkowiu poderwali jakąś przypadkową laseczkę. Ale kiedy zobaczyłam jej twarz, wrzasnęłam identycznie, tak że nasze głosy zlały się w jeden, aż wszyscy się skrzywili.

Patrzyłam na samą siebie – na Alinę Safinę!

Usiłując pozbierać do kupy resztki rozumu, zawołałam:

– Skąd macie takie lustro, wy parszywi dowcipnisie?! Mało nie zesłam na zawał!

– Aleks, kto to jest? Wyjaśnij mi w końcu, niech cię diabli, albo chodźmy stąd szybko, nie chcę jej więcej widzieć! – krzyknęła moim głosem Alina sobowtór i schowała twarz na piersi Aleksa, który uspokajająco poklepał ją po plecach.

– Skąd wyście ją wyłowili?! – Próbowałam za włosy odciągnąć dziewczuchę od Aleksa, lecz on, nie tracąc spokoju, zatrzymał mnie.

– Nie nas szukasz.

– Jak to: nie was?!

– Swoich towarzyszy, Aleksa i mnie... to znaczy ICH, powinnaś szukać w tamtej stronie – rzekł kot stanowczo, pokazując mi łapą kierunek. – A przy

okazji, jakaś znajoma postać tam się pojawiła. Sama, nie licząc mojego bliźniaka na ramieniu. Dziewczyny z nimi nie ma, czyli to oni, twoi agenci.

Obróciłam się z przestraczem. Niemożliwe...

– Nas tu w ogóle sporo się po tundrze włóczy. Dotykalnych miraży – dodał kot spokojnie. – Jeśli to rzeczywiście on, masz duże szczęście. Północ czasem wyprawia takie dziwne cuda... No dobrze, powodzenia! A my jeszcze musimy znaleźć swojego angyaka przed świtem.

Bez słowa odpowiedzi, za to z krzykiem rzuciłam się ku postaci, która stawała się coraz wyraźniejsza w miarę zbliżania. Był to rzeczywiście Aleks z prawdziwym kotem. Spieszyli mi naprzeciw. Słońce zaczynało powolutku wschodzić i kiedy dotarliśmy do siebie, zrobiło się całkiem jasno.

– Chłopaki, widzieliście? Tam, tam... – zadyszana z trudem mówiłam, pokazując ręką za siebie. – Dopiero co spotkałam was... nas! Nas wszystkich!

– Zwariowała – postawił mi diagnozę profesor, wymieniając znaczące spojrzenie z dowódcą.

– Normalka, jedni agenci więcej, inni mniej, nic strasznego... Znasz statystyki. Baza średnio co trzy miesiące traci nowicjusza. Ktoś ginie, ktoś traci kończyny, ktoś wariuje... Można się przyzwyczaić. Zakończymy akcję we dwóch, a ją zaraz po powrocie odstawimy do szpitala.

– Nie potrzebuję szpitala! Nie wierzycie mi?! Zaraz wam pokażę, w pięć minut nie mogli daleko zajść. – Odwróciłam się, szukając wzrokiem na bezkresnej bieli sobowtórów naszego oddziału.

Tam gdzie ich spotkałam, stały oświetlone promieniami słońca dwie lodowe bryły podobne nieco do ludzi zakutanych w kozuchy. Na tej wyższej, w miejscu gdzie człowiek miałby ramię, sterczała jakaś dodatkowa wypukłość, całkiem jakby siedział tam skulony kot. Zawróciłam do chłopców i żałośnie jęknęłam.

– Może Uchtykak napoi ją jakimiś naparami i dziewczynie wróci rozum? – podsunął kot współczująco.

– Rozum?! Według mnie to beznadziejna sprawa, gdyby co innego... Chociaż co właściwie tracimy? Dobra, do końca akcji będzie siedzieć u babki. Przynajmniej nie będzie nam zawracać głowy kaprysami i przeszkadzać. Myślę, że to przez jej wrzaski angyak się nie pojawił, pewnie tak go wystraszyła, że zakopał się głęboko w śniegu.

– Brawo, co za głęboka myśl – powiedziałam z przekąsem i ostentacyjnie

zaklaskałam. Aleks uklonił się teatralnie, a kocur, nie mogąc się utrzymać, zleciał z jego ramienia i zarył nosem w śnieg. Jego głośnych opinii o partnerze nie da się powtórzyć publicznie. Sama nie jestem aniołem, ale tyle nowych określeń usłyszałam od naszego profesora... Całe życie człowiek się czegoś uczy.

Dobra, niech nie wierzą, co mnie to obchodzi? W pobliżu zahukała sowa. Jakies pięćdziesiąt metrów od nas przemknął krzywonogi karzeł. Jak zwykle zauważyłam go tylko ja, moi towarzysze patrzyli akurat w inną stronę. Okej, był i uciekł, co za różnica? Nic im nie powiem, bo znów zaczną gadać, że jestem stuknięta.

– Mógłby ten cholerny angyak już się odezwać! – burknął Aleks niecierpliwie. – Jarangi blisko stoją, o tam. Dokładnie tutaj powinien się pojawić. Mamy tu sterczeć całą dobę? Nawet jeśli nic się nie działo na naszych oczach, i tak powinniśmy sprawdzić, czy wszyscy ludzie z osady doczekali do rana w całości.

Postanowiliśmy obejść osiedle dokoła, żeby nie stać w miejscu. Perspektywa przemiany w lodowe figury jakoś nas nie zachwycała. Nic dziwnego. Ludzie zaczęli wychodzić z jarang – jedni na polowanie, inni na ryby, ktoś szedł do sąsiada po wódkę. Sześciu mężczyzn spychało łódź na wodę – możliwe, że była jedna na cały kolchoz.

Osada leżała w zatoce nad samym morzem – dziesięć jarang i jakieś drewniane szopy. Ludzie byli spokojni niczym senne morsy. Bez pośpiechu zajmowali się swoimi sprawami, od czasu do czasu patrząc na nas jak na trójkę szurniętych. Dowódca z oszczepem szedł przodem, za nim ja z pięściami uniesionymi w postawie bokerskiej, a na przyczepkę do mnie kot. Śnieg dokoła osiedla był udeptany, więc Aleks oświadczył, że szyja mu ścierpła i nie będzie już robił za kociego wierzchowca. Do tego nazwałam Mruczka rozpieszczonym sybarytą, co mu nie poprawiło nastroju, i ponuro drobił za nami.

Robiliśmy już piąte kółeczko, kiedy tubylcy nie wytrzymali psychicznego nacisku i wysłali do nas z poselstwem małego chłopca. Chłopczyk podszedł i wygłosił starannie:

– Witaj, wujku i ciociu, wszakże! Dużo dla was ryby na zapas i żeby się łowiła od razu zasolona w wasze sieci, wszakże!



Widocznie były to tradycyjne życzenia powodzenia przy połowie.

– Czego chcesz, dziecko? – odezwał się kot niezyczliwie, mierząc małego wzrokiem od stóp do głów.

Chłopczyk podskoczył z wrażenia i cofnął się przezornie. Z bezpieczniejszej odległości paru kroków drżącym głosem przekazał wiadomość, z którą go wysłali dorośli:

– Mi, wszakże, kazali zapytać, czy nie trzeba wam pomocy. Może wy zabłądzili, wszakże?

– Dziękuję, wszakże, chłopczyku, wszakże, ale nam, wszakże, niczego nie trzeba, wszakże... – odpowiedział Aleks uprzejmie, starając się imitować tutejszy sposób wypowiedzi.

Malec zrozumiał, że rozmowa skończona, i poleciał z powrotem do swoich, którzy natychmiast zaczęli go wypytywać, a dostawszy odpowiedź, zatrajkotali nerwowo (pewnie z powodu gadającego kota).

– Z angyakiem na dziś chyba koniec – osądził profesor. – Ale myślę, że powinniśmy koniecznie zobaczyć się z jego matką, niejaką Jałten, o ile mnie pamięć nie myli. Może nam przekazać jakieś użyteczne informacje.

Weszliśmy w obręb osady. Jakiś facecik od razu wskazał nam właściwą jarangę. Dziewczyna siedziała samotnie wyraźnie znudzona, lecz natychmiast się ożywiła na nasz widok. A raczej na widok Aleksa.

Oczy od razu jej rozbłysły jak dwie supernowe, rzuciła się do powitań, dosłownie nie odrywając od niego wzroku. My z ogoniastym zrzęda nie zostaliśmy zaszczytzeni nawet połową jej uwagi. W końcu jednak zauważyła też nasze skromne osoby i zaprosiła, żebyśmy usiedli.

– Jak się nazywa ten milutki koteczek? – chciała wiedzieć, błyskając końskimi zębami.

– Pusio. Ale niech go pani nie głaszcze, bo ma pchły – odpowiedziałam z obłudną słodyczą, uśmiechając się nie mniej promiennie od gospodyni. – Do tego ma świerzb w uszach i już pięciu ludzi się od niego zaraziło liszajem strzygącym.

Jałten natychmiast cofnęła rękę. Agent 013 spiorunował mnie wzrokiem, lecz odpowiedziałam mu doskonale niewinną minką kociątka, które pierwszy raz ujrzało świat.

– To ja dam mu rosołu, wszakże. – I dziewczyna, niemalże podfruwając jak

ważka, rzuciła się karmić naszego spuchniętego z głodu kotka.

Agent 013 zaczął chleptać rosołek, posławszy mi tryumfujące spojrzenie. A ja skromnie przysiadłam koło dowódcy.

– Czy wolno mi spytać, jacy łaskawi bogowie zesłali mi drogich gości? – zapytała gospodyni, siadając naprzeciw.

Te słowa najbardziej odnosiły się do Orłowa, bo szelma nie zdejmowała z niego oczu i niezauważalnie przysuwała się coraz bliżej. Jak ja mogłam znieść podobnie skandaliczne zachowanie? Jacy tam bogowie, pod koniec lat siedemdziesiątych ateizm szalał po całym kraju z siłą wodospadu. Lansiara...

– Proszę o wybaczenie, szanowna Jałten. To z pewnością bardzo nieprzyjemna dla pani sprawa, ale... Przyszliśmy w nadziei, że otrzymamy jakieś informacje o angyaku, pani byłym synu Rachtynie.

Aleks przemawiał bardzo ostrożnie, miękkim głosem, jakby się obawiał, że dziewczyna na wspomnienie o tym nieszczęściu wpadnie w histerię i wybuchnie fontanną łez. Nic z tych rzeczy. Zamiast tego Jałten wesoło zawołała:

– O synku moim, wszakże? A po co wam to?

Aleks wyjaśnił, że działamy w imieniu babci Uchtykak i jesteśmy dyplomowanymi szamanami. Obecnie pragniemy zrobić co tylko w naszej mocy, by dusza angyaka odeszła do świata zmarłych i tym samym przestała łaknąć ludzkich ofiar. Wszystkie wątpliwości dziewczyny zostały rozwiane i radośnie obiecała wszelką pomoc.

Jak się okazało, wyglądu angyaka opisać nie mogła. Po pierwsze, na posiłek zawsze przychodził w ciemności i nigdy nie mogła go obejrzeć jak należy. Po drugie, od tamtej pory minęło dużo czasu, więc wygląd potworka mógł się bardzo zmienić. Odzywał się niewiele, zwykle ograniczając się do krótkiego: „Daj jeść!”, a kiedy się nasycił, odchodził w milczeniu, za to głośno sapiąc. I to było wszystko, czegośmy się dowiedzieli.

Nagle dziewczyna, coś sobie przypomniawszy, klepnęła się w czoło. Nadstawiłam uszu w nadziei, że nareszcie usłyszymy coś ważnego.

– O Matko Morsico! Całkiem zapomniałam. Herbaty? Kawy? Mnie? – zawołała, wdzięcząc się bezwstydnie do Aleksa i przysuwając się jeszcze bliżej.

Szlag mnie trafił stuprocentowy.

– O żeż ty zdiro eskimoska! Paszła won! – wrzasnęłam i rzuciłam się między nich.

Odpychając Jałten, niechcący nastąpiłam Aleksowi na nogę, czego w planach nie miałam. To było naprawdę niechcący – odskoczył ode mnie z takim impetem, że fajtnął na plecy.

Kot natomiast w dalszym ciągu delektował się rosołem.

Chciałam przeprosić, ale po prostu nie zdążyłam. Ten incydent widocznie okazał się dla głowy naszego oddziału ostatnią kroplą, która przepełniła czarę. Zerwał się na równe nogi i rycząc z wściekłości, podniósł mnie za kołnierz, aż przez sekundę zadyndałam w powietrzu.

– Zabieraj łapy, panie Orłów! Co to za maniery?! – oburzyłam się, próbując się uwolnić i natychmiast tracąc ochotę do przeproszania za nadepnięty odcisk.

Aleks, nie zwracając uwagi na moje protesty i krzyki, wyciągnął mnie brutalnie na dwór. Zdążyłam jeszcze zobaczyć, że Jałten, zupełnie nieporuszona, jakby nic się nie stało, głaszcze kota po grzbiecie, a ten oczywiście nawet nie rzucił okiem w naszą stronę.

– Na co ty sobie pozwalasz? Dlaczego za każdym razem nas kompromitujesz? Kiedy wreszcie skończą się te twoje histerie i wybryki niebezpieczne dla zdrowia i życia otoczenia?! Nigdy nie wiem, czego się po tobie spodziewać! Czy ty w ogóle potrafisz używać mózgu?! Najpierw pomyśleć, a potem dopiero zrobić?! Ile mamy jeszcze się z tobą użerać, co?! Ile, pytam?! – dokończył Aleks z taką rozpaczą, że zrobiło mi się żal nie tylko siebie, ale i jego, i zaczęłam ryczeć już za nas oboje. – Przestań płakać! Tego jeszcze brakowało. – Wyciągnął z kieszeni chustkę i podał mi, lecz odwróciłam się. – No, powiedz coś...

Milczałam nadal jak partyzant, nie przestając opłakiwać swej gorzkiej krzywdy. Jak on śmiał mnie opieprzać niczym uczennicę z podstawówki? Jak kompletną idiotkę i kretynkę?! Nigdy mu tego nie wybaczę, nigdy, nigdy! W tejże chwili zauważyłam, że facet męczy się nie mniej niż ja. Aleks był błądy jak śmierć i aż trząsał się z nerwów. Poczawszy pewną wewnętrzną satysfakcję, zaczęłam szlochać z jeszcze większym zapałem.

– No już dobrze... Przepraszam.

Czuło się, że te słowa przychodzą mu z dużym wysiłkiem. Załkałam jeszcze

żałośniej, prawie chrypiąc astmatycznie, za to w środku tryumfowałam w pełni.

– Bardzo przepraszam, Alina. Jestem dureń, grubianin i bydlak. Co mam zrobić, żebyś mi przebaczyła?

Powolutku otarłam łzy i uśmiechnęłam się. Zwycięstwo! Słodkie słowo – zwycięstwo!



– Muszę się zastanowić. Nie... nie... to też nie... O, mam! – Popatrzyłam mu w oczy rozpromieniona, jakbym jeszcze pół minuty temu nie zalewała się łzami. – Wiesz, Aleks, już od dawna marzyłam, żeby mnie ktoś powoził na plecach!

– Co?! – zdumiał się bezgranicznie.

– Co w tym dziwnego? Weź mnie na barana.

– Jesteś pewna...? – spytał ostrożnie. – Nie, nie będę cię nosił. Potem się przez sto lat nie wyprostuję.

– Masz zapalenie korzonków? – rozczarowałam się pokazowo.

– Nie mam korzonków, tylko poczucie własnej godności! Niby czemu miałbym nosić na plecach histeryczkę i głupią rozrabiarę?

– Świetnie, w takim razie nigdy ci nie przebaczę, nie ma mowy! Burak! Leć do swojej eskimoskiej kurewki, zrób jej masaż foczym sadłem. Dalej, nie krępuj się!

I właśnie wtedy z jarangi wylazł lekko ogłupiały kot. Widok jego uszczęśliwionej fizjonomii to już było dla mnie za wiele. Odwróciłam się gwałtownie i pobiegłam przed siebie. Walcie się na ryj, obaj! Nie chcę was więcej widzieć! Sama nie wiedziałam, gdzie biegnę ani po co. Aleks krzychał coś za mną, pewnie z czystej grzeczności prosił, żebym wróciła. Dziękuję, postoję. To już było grane. Odejdę na lodowe pustkowie i tam się wyplacę w samotności. Mam tego dość! Świat malował się w wyjątkowo ponurych barwach. Jak to mówią niektórzy: życie jest w paski – czarne albo jeszcze czarniejsze...

Jednak śnieżne pustkowie nie miało zamiaru dostosowywać się do mojego nastroju, tak jak przedtem było oślepiająco białe i kontemplacyjne. Potem zobaczyłam białą sowę, sądząc z ponurego wyrazu twarzy (o ile można to tak określić) tę samą, którą spotkaliśmy o świcie. Ku memu zdumieniu przekonałam się, że obrała kurs prosto na mnie. Po paru sekundach ptak przysiadł mi na ramieniu. Choć „przysiadł” to złe określenie, raczej „wczepił się żelaznym chwytem”. Poczułam ulgę, że mam na sobie kożuch, bo pazury sowa miała że ho, ho!

Wylądowawszy, ptaszysko niespodzianie otworzyło dziób i przemówiło ludzkim głosem.

Minęły czasy, kiedy wierzyłam, że ptaki i zwierzęta mówią tylko w bajkach.

Wydarzenia ostatniego tygodnia jasno udowodniły, że mogą w pewnych okolicznościach mieć zupełnie ludzką świadomość. Nawet w zimowej tundrze.

– Witaj. Rzadko rozmawiam z ludźmi, sama więc rozumiesz, jak mnie teraz przypiliło – oznajmiła sowa z powagą.

– Ty jesteś sową od Harry’ego Pottera? – spytałam słabo.

– Nie. Ale tamta pewnie ma nieprzytomne szczęście w odróżnieniu ode mnie. Ja musiałam trafić akurat na angyaka, tego złośliwego karła, co wysługuje się mną jak niewolnicą. Bogowie, uwolnijcie mnie od niego!

Widocznie biednego ptaka doprowadzono do ostateczności. Poczułam do białejowy niekłamanej sympatii mimo jej ponurego wyglądu. „Niektórzy mają większego pecha niż ty, a nie użalają się nad sobą i nie chlipią po kątach” – pomyślałam, czując w pierzastej istocie siostrzaną duszę.

– Mam do ciebie sprawę – zaczęła sowa rzeczowo. – Wiem, że ty i twoi towarzysze przybyliście skądś z przyszłości. Pewnie jesteście oddziałem, który walczy z takimi paskudnymi stworzeniami diabelskiego podrodzaju jak mój gospodarz. „Rodzaj” to za dobre słowo dla niego, małego drania. Z tego powodu tu się pojawiliście, prawda? Żeby go zlikwidować? Tylko na razie nie wiecie jak.

– Zgadza się – wymamrotałam trochę oszołomiona wyjątkową wiedzą zwykłego ptaka. Choć właściwie nie zwykłego, skoro jest zaufanym przybocznym angyaka.

A sowa tymczasem mówiła dalej:

– Nie pytaj, skąd mam takie informacje, to i tak nie dotyczy tej sprawy. Najważniejsze jest to, że mogę wam zdradzić, co trzeba zrobić. Dziś o świecie przeleciałam koło was na rozkaz mojego pana. Robota lekka, chociaż dość ponizająca. Oprócz tego mam swoje porachunki z szefem, ale mniejsza z tym... Ogólnie swoim pojawieniem wprowadzam przyszłe ofiary w stupor. To etap przygotowawczy. Ludzie są sparaliżowani strachem, wierząc, że znikąd już nie ma ratunku. Z powodu zabobonów i nadmiernej wyobraźni Eskimosi byli półmartwi ze strachu jeszcze przed pojawieniem się angyaka i w ten sposób trafiali prościutko do jego nienasyconego żołądka. Dzisiaj ofiarą mogłaś być ty, bo miejscowi już zmądrzeli i nie włączają się w pojedynek po tundrze. Ale twoje wrzaski tak wystraszyły tego okrutnego karła, że uciekł,

zagrzebał się głęboko w śniegu i do tej pory tak siedzi.

– Pochlebiasz mi – zawstydziłam się, lecz po cichu z zadowoleniem zaśmiałam się do siebie.

– Skądże znowu – zapewniła sowa. – Po prostu w naszej tundrze takiego krzyku jeszcze nie słyszano. Do tej pory angyak uważał, że ma najsilniejsze struny głosowe od morza do tajgi, ale to znów nie ma nic do rzeczy. W sumie sprawa jest prosta...

– Tak, tak, słucham uważnie, dosłownie zamieniam się w słuch!

Sowa prześwidrowała mnie spojrzeniem niemrugających oczu, rozejrzała się podejrzliwie po okolicy, dokoła jednak nie było żywego ducha. Byłyśmy dość daleko od osady. Sowa ostrożnie nachyliła się do mojego ucha.

– Sprawa nie jest warta nawet wyjedzonego jajka. Trzeba po prostu złamać kość – wyszeptała konfidencjonalnym tonem, a następnie popatrzyła na mnie wyczekująco. Musiałam mieć w tym momencie wyjątkowo głupi wyraz twarzy.

– I co?

– Jak to „co”? Angyak ma zaklętą psią kość!

– Jaka? Piszczelową, udową czy może miednicę? – zainteresowałam się.

– Zwykłą kość z nogi – zakomunikowała sowa po krótkim namyśle. – W istocie cała siła mojego złego pana znajduje się właśnie w tej niedużej kości. Niedużej w ludzkim rozumieniu, bo gdybyś zobaczyła, jak on tą kością wiosłuje...!

– Tak, tak, ktoś nam o tym mówił – przypomniałam sobie opowieść Uchtykak, a przecież do tej pory uważałam historię o kości i łódce z psiej czaszki za dużą przesadę.

– Słuchaj, a ten psi czerep zamiast łódki... Czy on też ma jakieś magiczne znaczenie?

– Jasne, że nie! Niby czemu? Ma przeznaczenie czysto praktyczne. A w ogóle ponieważ naszemu dobrodziejowi dzisiaj się nie powiodło, jutro będziemy mieć nadprogramowe polowanie. Właściwie on będzie mieć polowanie, a ja, rozumiesz, będę musiała być obok. Tak więc jutro w tym samym miejscu, nie zapomnij. I pamiętaj jeszcze: mój pan ma szczególnie mocny lewy sierpowy, a i pazury niezłe, lepsze nawet od moich. Dlatego nie potrzebuje innej broni, ale kość zawsze nosi ze sobą. Najważniejsze to odebrać mu ją i złamać na pół. I to wystarczy, bardziej rozdrabniać nie trzeba.



Teoretycznie w tym momencie jego dusza powinna wylecieć z ciała i opuścić świat żyjących. Ciało, w założeniu, zacznie topnieć w oczach, aż stanie się maleńką plamką, która zapłonie i przepadnie.

– Zaraz, zaraz, co to znaczy: „teoretycznie”? – nabrałam czujności. Czy ta sowa czasem nie podkłada mi świni? Nabrałam niejakich wątpliwości co do szczerości białoskrzydłej pomocnicy. – Szczegóły proszę!

– Miałam na myśli, że tak to powinno przebiec. Ale dla pewności wypowiedzcie jakieś proste zaklęcie odegnania zmarłych. I sprawa załatwiona, wszyscy zadowoleni, witaj swobodo! Macie jaką znajomą szamankę? No to o czym mowa?

Kątem oka zobaczyłam, że w moją stronę człapią Aleks z profesorem. O, czyżby sobie przypomnieli? Czymże mogłam sobie zasłużyć na tyle uwagi?

– Twoi idą. – Sowa też ich zauważyła.

– Słuchaj, opowiedz im to wszystko sama, oni mi nie uwierzą.

– Wybacz, ale nie mogę, mam mało czasu, i tak się tu zasiedziałam. Angyak może mnie wezwać w każdej chwili.

Agenci już do nas podeszli.

– Nareszcie cię znaleźliśmy. Postanowiłaś w wolnej chwili wytresować sowę? – zagaił Aleks. Był jakiś nieswój, pewnie nie mógł sobie wybaczyć, że odmówił mi ponoszenia na barana...

Mądrej sowie zupełnie się nie spodobał. Już otworzyłam usta, żeby bronić urażonej sowy, lecz wyprzedziła mnie.

– Proszę przyjąć do wiadomości, że nie potrzebuję tresury. Do wszystkiego można dojść za pomocą rozumu, więc może pan sobie tę tresurę uprzejmie wsadzić... – Ptak się uklonił. – Ja tu specjalnie w sprawie, której okoliczności przekaże wam ta miła dziewczuszka. A teraz przepraszam, pora się żegnać. Sługa uniżona... – Przy tych słowach sowa wzbiła się w powietrze i niebawem znikła nam z oczu.

Odsuwając na dalszy plan osobiste urazy, powtórzyłam moim (na razie) kolegom wszystko, co usłyszałam od nieoczekiwanej partnerki. Czy może lepiej powiedzieć: sojuszniczki.

– Chłopcy, czy wyście widzieli kiedykolwiek wcześniej mówiące sowy? – zapytałam, podskakując z emocji, kiedy skończyłam już swoją nieco zagmatwaną opowieść o angyaku, łowach i kościach.

– Raz spotkałem całe stado gadających kaczek, przy czym wszystkie kłapały dziobami równocześnie. Ciężkie doświadczenie, muszę przyznać – przypomniał sobie kot, wzdrygając się. – A tej sowie, jak myślę, można wierzyć. Co ty na to, Aleks?

– Zgadza się z tobą, historia brzmi wiarygodnie.

Jak miło, kiedy nikt nie kwestionuje twoich słów.

– Znaczący, wracamy tutaj jutro o świcie – podsumował kot. – A teraz z powrotem do Uchtykak. Trzeba będzie jeszcze i ją przytaszczyć ze sobą, do zaklęcia. Babuleńka waży na oko ze sto osiemdziesiąt kilo, ledwo nogami przebiera, ale możemy ją pociągnąć na sankach. To znaczący, wy pociągniecie, bo mnie psy z zaprzęgu wyśmieją. I tak nie mamy na kogo liczyć prócz niej, innych szamanów w okręgu nie ma.

Ruszyliśmy z powrotem. Śnieg chrzęścił nam pod stopami. Wspomniałam słowa Aleksa, wypowiedziane parę godzin temu, o tym, że nie jestem mu obojętna. Ciekawe, czy mówił prawdę czy jak zwykle się wyzłośliwiał? Teraz, idąc obok niego i patrząc na jego nieprzeniknioną twarz, w żaden sposób nie mogłam odgadnąć, co mu leży na sercu. Chociaż mogło być i tak, że zdradził się ze swym uczuciem całkiem niechcący. Może się boi, że to wyznanie da mi powód do drwin i żartów?

Ciekawe, czy jest żonaty? Czy ma jakąś inną przestrzeń mieszkaniową prócz pokoiku w Bazie? Trzeba będzie pociągnąć za język kota, podkupiwszy go słoikiem śmietany. Od Aleksa jeszcze nie słyszałam ni słowa o jego życiu poza Bazą, o przyjaciółach, krewnych czy choćby o jakiejś ciotecznej babci. Nie wspominać o tak bliskich ludziach to wręcz nieprzyzwoite... A może jest sierotą? Biedaczek, jeśli tak, to już rozumiem, czemu jest taki szorstki i chłodny w obejściu na zewnątrz, a zraniony wewnątrz. Może go wychowywał złośliwy wuj, częstując szturchańcami i obelgami? Zamiast jogurtu dostawał na śniadanie parę kuksańców, a przy obiedzie zarabiał w ucho? Nikt mu nie czytał bajek na dobranoc, nie zabierał na karuzelę, nie kupował pierwszych dzinsów... Tak się rozczuliłam, że zaczęłam siąkać nosem, a w oczach stanęły mi zdradzieckie łzy. Ale obejrzawszy dokładnie pewną siebie postawę dowódcy, zrozumiałam, że to sentymentalne brednie. Wcale nie wyglądał na takiego biedniutkiego.

– Słuchajcie, a czy w naszych służbach należy się urlop? – odezwałam się,

zmierzając okrężną drogą do interesującego mnie tematu.

– Oczywiście. Raz do roku – odpowiedział Aleks wymijająco.

– Miesiąc?

– Tak.

– E... Tak samo jak u nas – zdziwiłam się i zaryzykowałam pytanie: – A gdzie wyjeżdżasz tym razem?

Zwlekał przez chwilę.

– Zostaję w Bazie – odparł krótko, a kot zmierzył mnie wzrokiem pełnym dezaprobaty. Widocznie poruszyłam temat zakazany.

– Rozumiem – powiedziałam, chociaż tak naprawdę nic nie rozumiałam. – A ty, Stalowy Pazurze?

„Agent 013” nie podobało mi się, a na Mruczka pewnie by źle zareagował.

– Jadę do domu, na Ukrainę – odpowiedział kot chętnie.

– To ty Ukrainiec?! No jasne, widziałam, jak się rzucasz na tłuste – zawołałam wesoło.

– Ja się przecież urodziłem w Charkowie. Mam tam dużą rodzinę: braci, siostry, krewnych. Mama niedawno przysłała list, że w zeszłym miesiącu przybyły mi jeszcze dwie siostry i brat – rozgadał się szary myśliwy.

– Cudownie, już sobie wyobrażam takie malutkie i puszyste! – zakrzyknęłam, widząc oczami wyobraźni śliczne kociaki, i z zachwytu aż zaśpiewałam:

*Noc taka jasna, księżycowa,*

*Widno, choć igły zbieraj!*

*Wyjdz, ukochana, pracą zmorzona,*

*Choć na chwileczkę w gaj!*

Agent 013 zupełnie się rozplątał, słysząc słowa znajomej od dzieciństwa pieśni.

– A z urodzenia jestem błękitnym perskim kotem – oświadczył uroczyście. – Naturalnie nie w sensie koloru, tylko rasy.

– Naprawdę? A w ogóle tego po tobie nie widać. Myślałam, że jesteś nierasowy, taki zwykły dachowiec.

To było jak chluśnięcie lodowatą wodą na puszącego się Mruczka.

Natychmiast nastroszył się groźnie i ze złością odezwał do Aleksa:

– Słyszałeś to? Z nią nie można po dobremu! Raz się odprężyłem, odsłoniłem i od razu dostałem obuchem między oczy!

– Przecież ja tylko powiedziałam prawdę! – obraziłam się. – Co za czasy! Za szczerść publiczna kara!

– Ty jesteś po prostu zła i kłótniwa dziewczucha – uciął kot. – I nie masz się co usprawiedliwiać.

– Ani myślę! Niby z jakiej racji? – Odwróciłam się od kocura ostentacyjnie. Aleks zachował pełną neutralność, widocznie był zmęczony.

Było już koło południa, kiedy nareszcie wróciliśmy do jarangi Uchtykak. Wszyscy mieszkańcy na nasz widok od razu porwali się z miejsc, zakrzętnęli i rzucili nakrywać do stołu. Brakowało tylko uroczystych fanfar i kwiecica rzucanego pod stopy.

– Spóźniliście się, wszakże. – Podeszedł do mnie ten sam chłopak, pogromca polarnych niedźwiedzi, z którym flirtowałam wczorajszego wieczora.

– Spóźniliśmy się na obiad? – wystraszył się kot.

– Nie, wszakże. – Chłopak zmieszał się odrobinę. – Tylko myśmy myśleli, że was angyak zjadł.

– Za duży zaszczyt dla takiego parszywego karzełka – oświadczyłam, siadając w pobliżu paleniska śmierdzącego przypalonym łożem. Młody Eskimos natychmiast zaczął mi nakładać do miski najsmakowitsze, w jego pojęciu, kawałki tłuszczu. Profesor w tym czasie już opowiadał Uchtykak okoliczności sprawy, sugerując, że przydałaby nam się jej pomoc.

Babcia wysłuchiwała tej historii z dużą ciekawością, co rusz przytakując, ale na prośbę kota, żeby wyprawić się nazajutrz w tundrę, pokręciła z żalem głową.

– Mnie w tym roku stuknie mocno dużo wiosen, wszakże. Już nie pamiętam, jak dawno nie wychodziłam z jarangi. Kiedy ludzie do mnie przychodzą po pomoc, ja wszakże mogę dopomóc już tylko radą. Do tego ja chora mocno. U mnie astma, wszakże, nadciśnienie, niewydolność serca i zaświadczenie o chorobach i urazach w dzieciństwie. W tej jarandze wszyscy żyją z mojej emerytury, to najważniejsze. Ja nie mogę iść z wami tak daleko w tundrę, wszakże.

– To co mamy robić? – westchnął Aleks, z ukosa patrząc na mnie i eskimoskiego chłopca, którego imienia nie przypomniałabym sobie, choćby

mnie ćwiartowano.

– A ja wam po co, wszakże? – odparła Uchtykak. – Całą szamańską robotę może odprawić szanowny agent 013. Przecież umiesz czytać?

– Dawno już nie czytałem, wszakże – skłamał kot.

Głęboko wątpiłam w to, że Mruczek, szczytający się swoją naukową wiedzą, „dawno nie czytał”.

– No, to nie będzie trudne. Ja ci szybko przypomnę, wszakże. Mocno gramotna ja nie jestem, ale napiszę ci ruskimi literami potrzebne zaklęcie na suszonej rybie. Wystarczy, wszakże?

– A co, papieru nie ma?

– Toaletowy, oszczędzać trzeba, wszakże... – zabrzmiała wyczerpująca odpowiedź.

Resztę dnia spędziliśmy, zbijając bąki. To znaczy, odpoczywaliśmy ja z Alekssem, gdyż profesor siedział w kąciku nad wielką płaską rybą i czytał z niej tekst zaklęcia, ucząc się go na pamięć. Myślę, że usiłował się zabezpieczyć na wypadek, gdyby po drodze nie wytrzymał i schrupał ją. Łatwo zrozumieć, jak silną pokusę będzie odczuwał, niosąc w zębach solonego dorsza. Agent 013 to nie Gerda, która dzierżąc w rękach rybę z listem, myślała wyłącznie o Kaju. Kot, w odróżnieniu od niej, może myśleć tylko o jedzeniu, mimowolnie odsuwając na dalszy plan każdego angyaka. Moje prześmiewcze myśli przerwał dowódca.

– Posłuchaj, Alina. Dzisiaj w tundrze po tym, jak wydostałaś się z jamy i zanim znów się spotkaliśmy, w tej przerwie coś widziałaś, prawda?

– Aha... – Przełknęłam, wtulając głowę w ramiona. Wspomnienie nadal było wyraźne i niezbyt przyjemne. Często lękamy się nieznanego, może coś podłapałam...

– Coś niezwykłego, prawda?

– No... Widziałam nasze sobowtóry – wyszeptałam nerwowo.

– Jasne. – Aleks nie zdziwił się ani trochę. – Do ostatka miałem nadzieję, że może nic się nie stanie i surowica nie będzie ci potrzebna.

– Ale co z tym mają wspólnego sobowtóry? Gdzieś czytałam, że to zapowiedź strasznych wydarzeń. Wiesz, kiedy Byron umierał na febrę w Grecji, jego sobowtór bawił się na całego w jakiejś knajpce w Londynie. I w tym tygodniu umarł – zakończyłam z niepokojem, patrząc znacząco na

Aleksa.

– Kto? Sobowtór czy Byron? – spytał z uprzejmym zainteresowaniem.

– Oczywiście Byron, sobowtór gdzieś przepadł – wyjaśniłam.

– Kapitalnie. – Zagwizdał kpiąco i zaraz spoważniał. – I ty w to wierzysz!

– Było wielu świadków...

– Daj sobie z tym spokój i posłuchaj mnie. Muszę ci coś powiedzieć. Nie bój się, jestem pewien, że wszystko będzie dobrze.

– Dobra, nie przeciągaj, bo już mi mrówki łążą po plecach. Wykrztuś to wreszcie! – zażądałam.

– Krótko mówiąc, właśnie pojawił się ostateczny dowód na to, że faktycznie zaraziłaś się od tamtego potwora, który cię zadrapał. Jad dostał się do twojego krwiobiegu i jeśli nie będziemy przeciwdziałać, już za miesiąc ostatecznie przeistoczysz się w jakieś straszidło.

– Po co mi przypominasz? – zdenerwowałam się. Przecież cały czas nic innego nie robiłam, tylko próbowałam zapomnieć o tym nieszczęściu.

– Po prostu do tej pory była jakaś szansa, że unikniesz takiego losu. Ale teraz, kiedy zaczęłaś mieć halucynacje, co nieodmiennie zachodzi we wczesnym stadium podobnych przypadków, na pewno zaczynają się nieodwracalne zmiany w organizmie. Oczywiście jest, że niebawem zaczniesz mutować.

– Kurczę, musisz używać takich okropnych słów? Nie mogłeś mi tego powiedzieć jakoś delikatniej?! – zaczęłam być zła. – Znaczy, te sobowtóry to była halucynacja?

– Jasne. I dobrze, że widziałem sowę na własne oczy, bo miałbym wątpliwości, czy nie była jedynie płodem twojej chorej wyobraźni.

– Piękne dzięki! Czyli teraz jestem niepełnosprytna i wątpi się w moje zdolności umysłowe?!

– Nie, czemu? Doskonale się nadajesz do prostych zadań. Mogłabyś kartofle obierać, cebulę kroić, podłogi zamiatać... Szkoda, że akurat nie mamy takich potrzeb – odparł Aleks niewzruszenie.

– A kiedy szczepionka będzie gotowa? – pisałam, żałośnie zaglądając mu w oczy.

– Już ją przygotowują. Ale sama rozumiesz, to nie jest zwykły zastrzyk przeciw grypie. Nie każdy potwór ma krew czy limfę nadającą się do tego celu.

I tak starają się nam iść na rękę i pomagać wszelkimi siłami. W ciągu tego miesiąca będziemy polować głównie na te stwory, których tkanki są nam potrzebne... A raczej potrzebne tobie – poprawił się.

Po obiedzie Orłów z kotem poszli się przejść, a ja porozmawiałam z tą młodą kobietą, która mieszkała w jarandze Uchtykak. Całymi dniami siedziała i zszywała skóry kościaną igłą odziedziczoną jeszcze po babce. Futra były rozmaite: lisie, kunie, zajęcze, a w kącie piętrzył się cały kopczyk pięknych białych futer z lisów polarnych. Olśniła mnie wspaniała myśl... Czemu nie pomyślałam o tym wcześniej? Przecież tak wyjdzie o wiele taniej!

– Słuchaj, a nie mogłabyś mi uszyć na zamówienie takiego futerka z lisów?

– Oczywiście, wszakże – zgodziła się kobieta ucieszona z nadprogramowego zarobku.

Byłam uszczęśliwiona i zaraz objaśniłam, o jaki fason mi chodzi. Szwaczka zdjęła ze mnie miarę i wzięła się do roboty. Czyżbym faktycznie mogła w taki prosty sposób dostać nowe futerko? Aż skakałam z radości po całej jarandze, dopóki nie potknęłam się o kota, który akurat nie w porę wrócił ze spaceru.

– Co to za nowa moda, kopać niewinnych współpracowników? Wczoraj oberwał Aleks, dzisiaj ja. Niedługo w promieniu pięciu kilometrów wszyscy będą poszkodowani.

– No, no... przepraszam, pusiaczku. – Tylko tyle mogłam powiedzieć, rozcierając siniak na czole.

Pod wieczór, po kolacji z gotowanego (nareszcie) mięsa renifera, którego Czukcze zabili rano, poszliśmy spać.

Do tej pory trenowaliśmy łamanie kości. Muszę przyznać, że najlepiej to szło „zbawcy ludzkości”. Mnie z trudem udało się przełamać na kolanie żebro rena, a ile siniaków sobie narobiłam...

Długo nie mogłam zasnąć z obawy, że znów się napatoczy jakiś przemądrzały renifer i zacznie mnie zasypywać bezcennymi radami. Od Aleksa i kota oddzielała mnie zasłona ze skór zwisająca z powały. Moi koledzy dawno już spokojnie kimali. Wiedziałam, że Mruczek leży z mojej strony, troszeczkę uniosłam skórzaną kotarę. Owszem, był na swoim miejscu i spał jak zabity. Z perfidnym uśmieszkiem wyciągnęłam rękę i mocno pociągnęłam go za ogon! W jarandze rozległo się przeraźliwe „miaaaaaau!!!”, ale ja, zamknąwszy oczy, już udawałam, że śpię. A potem już nie udawałam...

– Pobudka, słoneczko, wstawaj! – usłyszałam ochryply i lekko jakby rozdrażniony głos tuż przy uchu.

Z trudem otwierając sklezione snem powieki, zobaczyłam obok jakąś plamę, która po dwóch sekundach stała się wymiętoszonym agentem 013.

– Coś nieszczególnie wyglądasz – wymruczałam sennie. – Złe spałeś?

Mruczek parsknął z oburzeniem:

– Jeszcze się pyta! A kto mnie całą noc za ogon szarpał?! Poltergeist?!

– Nie wiem. Może angyak? – zdziwiłam się niewinnie.

– Ffu! Nie mam już sił! Wstawaj szybciej, grzebuło! My jesteśmy już całkiem gotowi, a ty się wylegujesz. Czas w drogę, kwiatuszku, czeka nas bardzo niebezpieczne przedsięwzięcie.

Nie byłam w stanie okazać cienia radości z powodu nadchodzących łowów. Apatycznie zbierałam swoje rzeczy, podczas gdy moi towarzysze zastygli w niemym oczekiwaniu.

– Chłopaki, jakoś źle się czuję. Może zachorowałam na cholere? Wodę tu ze śniegu wytapiają, a wiecie ile w nim jest bakterii?

– W każdym razie nie aż tyle, żeby cię to zwalniało z obowiązków. Zwłaszcza w takiej chwili, kiedy ojczyzna cię potrzebuje – rozwiął moje nadzieje Orłów. – Koniec żartów, kto w końcu ma złamać kość? Ja będę musiał trzymać rozżartego angyaka, to najbardziej niebezpieczna część operacji. Przecież nie będzie siedział cicho i czekał na zarżnięcie. Agent 013 musi odczytać zakłęcie. Robota delikatna i wymagająca skupienia, a ty powinnaś tylko złamać kość. Poza tym wczoraj wieczorem tak dobrze ci szły próby.

– Aha, złamałam dopiero dziesiątą.

– Potem zaczęłaś sobie pomagać zębami i całkiem dobrze wyszło, no to o czym mowa? Pogryzłaś i trzask o kolano!

– No dobrze – poddałam się. Szybko włożyłam kombinezon i poprosiłam Aleksa o nóż do obrony.

– Po co ci nóż? Ja będę obok.

– A jak angyak z miejsca się na mnie rzuci? Zacznie gryźć, a ty go nie dasz rady odciągnąć? Tylko mężczyznom jest do twarzy z bliznami. Zapłacisz potem za moją operację plastyczną?

Pewnie po to, żebym się odczepiła, w milczeniu wsunął mi do ręki ciężki nóż myśliwski. Sam zabrał harpun ze stalowym grotem, parę dużych noży do



oprawiania ryb i toperek. Uchtykak i jej rodzina życzyli nam powodzenia, potem położyli się z powrotem spać. Szczęściarze!

Szwaczka pracowała całą noc przy łojowym kaganku i moje futro było prawie gotowe. Choć pokusa była silna, postanowiłam je przymierzyć dopiero po powrocie. Kot chwycił suszoną rybę w zęby, zapewne chciał ją mieć przy sobie – kto wie, może się przydać w dowolnym momencie. Wyszliśmy na spotkanie świtu i niedobrego ludojadka. Aleks ciągnął mnie za rękę, bo marudziłam, że się nie wyspałam i chcę wracać do łóżka, a angyak przecież nigdzie nie ucieknie... Niebo jednak było głuche na me modlitwy.

Dotarliśmy na miejsce zbyt wcześnie – kiedy wczoraj widziałam karła, słońce było wyżej.

– Nie będziemy tu stać jak głupi. To może się wydawać podejrzane, jeśli ten potworek skądś nas obserwuje – powiedział Aleks cicho. – Róbmy wrażenie, że wyszliśmy sobie raniutko na spacer, odetchnąć świeżym powietrzem i popatrzeć na zorzę polarną.

– A gdzie ona jest? – zainteresowałam się, rozglądając na wszystkie strony.

– Zorza polarna? Rano?! Stąd jej nie widać, rozumiesz, to tylko takie powiedzenie – zauważył kot, ziewając.

– Rozumiem. – Byłam rozczarowana. Nawet zorzy sobie nie obejrzę. A przecież uważałam, że to jedyna godna uwagi rzecz na całej Północy.

I właśnie wtedy coś wczepiło się w moją nogę! Krzyknęłam z zaskoczenia i nie zamykałam ust, póki nie zobaczyłam, co to jest. Po czym zamilkłam na sekundę tylko po to, by nabrać więcej powietrza, i urozmaiciłam cichą tundrę takim wrzaskiem, jakiego nikt nigdy by się nie spodziewał po takiej inteligentnej dziewczynie średniego wzrostu.

Moją nogę ścisnęła powyżej kostki pokryta sierścią dziecięca ręka z wielgachnymi szponami godnymi Freddy ego Kruegera! Wynurzała się wprost z zasy i silnymi szarpnięciami próbowała mnie wciągnąć w kopny śnieg. Zanim Aleks wydobył toporek, męzny kot upuścił swoją rybę i starał się wbić zęby w kosmatą łapę. W tym momencie koło nas przeleciała z krzykiem biała sowa, rzucając mimochodem:

– Przepraszam za spóźnienie! Niespokojna noc.

No tak, ptaszek powinien zwiastować swoim pojawieniem nadejście angyaka, a nie przyfruwać później. Spod śniegu rozległo się rozdrażnione

wycie – najwyraźniej Mruczuś miał silne szczęki. A po chwili łapa, zostawiwszy w pysku dzielnego kota kłęb sierści, skryła się na powrót w zaspie.

– Oj, moja noga! Moja biedna noga! – wyłam, podskakując na drugiej. Oprzytomniawszy po chwili, napadłam na Aleksa: – A ty coś się tak grzebał?! Widziałeś, jak agent 013 odważnie rzucił mi się natychmiast na pomoc? Gdyby nie on, zostałabym zjedzona!

Mruczuś wsparł się pod boki i z zadowoleniem pogładził łapą wąsy. W tym momencie bardzo mi przypominał szarego pułkownika huzarów.

– Nic podobnego! Przecież obaj byliśmy razem, a po nim już nie musiałem poprawiać. Gdybym się wtrącił, jeszcze bym trafił siekierą agenta 013 i stracilibyśmy wspaniałego członka naszej trójcy. Sama byś mi tego nie wybaczyła – odparł dowódca z godnością.

– Ryzykował własne życie, mały, zuchwały, nieustraszony... – rozczuliłam się.

Aleks sondował harpunem zaspę, w której przepadł angyak.

– Niedobrze, żeśmy go stracili. Mam nadzieję, że cię nie zranił? Jeszcze nam tylko brakowało w drużynie małego złośliwego angyaka. Mówiłem ci, że jego krew jest silnie trująca?

– Dzięki za ostrzeżenie, jak zawsze w porę – powiedziałam z przekąsem, oglądając nogę. – Nie, wszystko w porządku.

– Musimy się rozdzielić. Na całą trójkę nie napadnie, chociaż nie może już czekać. Już ponad cztery doby nikogo nie złapał. Póki za bardzo się nie oddalił, rozejdziemy się w różne strony. Ale pod żadnym pozorem nie oddalamy się od siebie więcej niż na dwanaście metrów – przykazał Aleks.

– Nie! Ja pójdę z tobą! Nie zostawiajcie mnie samej, nie moja kolej łapać na haczyk tego obrzydliwego skrzata. Mało mi nogi nie odgryzł!

– Już raz cię wybrał, to znaczy, że czymś go przyciągnęłaś. Wydaje mi się, że angyak niechętnie rezygnuje z upatrzonej zdobyczy, więc najprędzej napadnie właśnie na ciebie. Mamy szczęście, jesteś teraz przynętą. – Argumenty dowódcy były miażdżące. Spojrzał na kota, który przytaknął w milczeniu (zdrajca!) i rzeczywiście rozeszli się we dwie strony.

Cudowne perspektywy, prawda? Ale czego się nie robi dla dobra sprawy? Mocniej ścisnęłam nóż w rękę i poczłapałam przed siebie. Wkrótce jednak

miejsce angyaka w moich myślach zajęło nowe futerko z luksusowych lisków polarnych, czekające na mnie w jarandze. Nagle znów obok przeleciała sowa, ostrzegając:

– Alarm! Idzie!

– Gdzie?! – ocknęłam się natychmiast.

– Z tyłu! – I sowa znikła gdzieś między zaspami.

Szybko się odwróciłam – nikogo, ale czekać nie było sensu, rzuciłam się do ucieczki i w tej chwili usłyszałam przeraźliwe miaukanie kota. Musiał być gdzieś za stertą brył lodowych. Biegając tam co sił w nogach, zobaczyłam rozgorączkowanego Aleksa, który machając ciężkim harpunem, pierwszy dotarł do lodowej górki. Kiedy i ja tam dobiegłam, w pierwszej chwili nie rozumiałam absolutnie niczego. Kot siedział na śniegu, patrzył na nas ze skruchą, a w zębach trzymał... mysz. Fakt nie podlegający dyskusji! Położył ją przed sobą i jęknął:

– Przepraszam... To instynktowne. Nic nie mogłem poradzić... Zobaczyłem mysz, żyją tu pod śniegiem, łobuzy... i nie mogłem się oprzeć łowieckim instynktom... Jakoś tak mimowolnie, sam z siebie, wyrwał mi się okrzyk bojowy! Pewnie myśleliście, że wołam pomocy...

Aleks ukrył nerwowe rozczarowanie i w milczeniu poszedł z powrotem, ściskając mocno drzewce broni. Mruczek, wciąż jeszcze rozstrojony, usiłował wyjaśniać niezgrabnie:

– Alina, ty sobie nie wyobrażasz, to była moja pierwsza mysz w życiu! Całe życie walczyłem, tak mi się zdawało, ze zwierzęcymi instynktami. Taki wstyd dla poważanego profesora, specagenta, łowcy potworów! A teraz, kiedy to się stało, jestem zupełnie roztrzęsiony...

Wywracający oczami kot zupełnie nie zauważył, że mysz właśnie podniosła się na łapki, pisnęła, bezczelnie gapiąc się na agenta 013, i zanurkowała do norki w śniegu, majtnąwszy tylko ogonkiem na pożegnanie. Przerywając wynurzenia kota, powiedziałam z kpina:

– Wielki myśliwy, mysz ci uciekła.

Agent 013 zerknął i zdumiał się mocno.

– Fakt, uciekła... Ale ty sobie nawet nie wyobrażasz, co to było za niezapomniane uczucie! – miauknął marzycielsko.

– Pewnie – zgodziłam się z nim.

Na tym skończyliśmy rozmowę. Ja poszłam w stronę morza, a on w przeciwnym kierunku, zgodnie z planem naszego dowódcy. Zrobiłam kilka kroków, kiedy nagle poczułam, że śnieg pode mną zrobił się podejrzanie luźny i śliski. Nim się zdążyłam obejrzeć, leciałam w dół, jak Alicja do króliczej nory! Chociaż nie, bardziej przypominało to zjeżdżanie na pupie z oblodzonej górki podczas gwiazdkowej zabawy. Ze strachu nawet zapomniałam krzyknąć i myślałam tylko o tym, kiedy i czy w ogóle gdzieś wyląduję. Wbrew obawom przyziemiałam nawet dość bezboleśnie (nie licząc stłuczonej kości ogonowej). Zatrzymałam się z impetem na zimnej podłodze pokrytej skórą. Niemal natychmiast zerwałam się na nogi, rozglądając dokoła. Ujrzałam całkiem jasną i przytulną grootę, nie mniej niż dwanaście metrów kwadratowych. W niskim stropie nad moją głową ziała dziura, przez którą tu spadłam. W kącie stał stół, w głębi dojrzałam drewniane drzwiczki, na ścianie wisiała szafka z naczyniami, na drugiej – lustro i przyczepione obrazki wycięte z czasopism. Naprzeciwko najzwyczajniejsze pod słońcem łóżko zasłane nie skórą, a jedwabną pościelą z falbankami, a pośrodku tego dziwnego pokoju – on! Na drewnianym bujaku, z nogami przykrytymi kraciastym pledem, siedziało owo stworzenie, które przysporzyło nam ostatnio tylu zmartwień, i spokojniutko pykało fajkę. Wzrost niski, włosy jasne, skóra ziemista, oczy... chyba miłe. Upuściłam w śnieg nóż myśliwski i teraz bardzo tego żałowałam.

– Witaj, miła dziewczeczko! Niech cię Odyn ochrania, spadłaś tutaj całkiem jak śnieg na głowę, słowo daję – odezwało się stworzenie, powoli wypuszczając szaroniebieskie kółeczka dymu.

– Yyy... – tylko tyle mogłam z siebie wydobyć.

– Pewnie chciałabyś wiedzieć, kim jestem? – spytał stworek tym samym spokojnym, dobrotliwym tonem co przedtem.

– Ee... to już wiem w ogólnym zarysie – wymamrotałam zbrzydzone hipokryzją karzełka.

– A skąd? – zdumiał się, błyskając czerwonymi oczami. – Słowo daję, jestem zaskoczony, przecież przeprowadziłem się tutaj zaledwie przedwczoraj. Ledwie zdążyłem rozstawić te skromne sprzęty i ot, siedzę, odpoczywając. Nawet obiadu jeszcze nie jadłem, słowo daję. – Wyszczerył równe białe zęby.

„No, już ty mnie tak łatwo nie oszukasz” – pomyślałam, cofając się ku ścianie.

– Ale to naprawdę cudownie, że mnie odwiedziłaś, słowo daję – oświadczył gospodarz z nieskrywaną radością.

– Słuchaj, angyak czy jaki ci tam, Rachtyn, i tak nie ujdiesz z rąk Aleksa i Mruczka! Ty sobie nie myśl, że to zwykły kot, nie ma sobie równych w walce wręcz! Zapasy grecko-rzymskie, kapewu?! Mój kotek cię położy na obie łopatki. Łeb ci urwie i napluje do szyi! A Aleks cię na gulasz posieka albo harpun wsadzi, sam wiesz gdzie...

Kiedy wypowiadałam te straszne groźby, twarz karzełka przybierała wyraz coraz to większego zdumienia, aż nareszcie wykrzyknął:

– O młoda bogini, jakżeś piękna w gniewie! Słowo honoru, teraz rozumiem, czemu twe oczy od początku tak nieprzyjazne. Wszak ty wzięłaś mnie za kogoś innego!

Otworzyłam usta, by oświadczyć, że mnie nie tak łatwo oszukać, lecz wtedy dotarło do mnie, że faktycznie wygląd tego uśmiechniętego krasnala w futrzanej kamizelce jakoś nie pasuje do obrazu agresywnego i krwiożerczego angyaka.

– Zaraz, zaraz, w takim razie kto ty jesteś? – poraziła mnie myśl, że angyak może nie być sam i prócz niego może tu się kręcić cała kohorta skrzatów różnej maści.

– Nazywam się nie Rachtyn, jak zdaje się, powiedziałaś, ale Orm! Jestem tylko biednym imigrantem ze Szwecji, słowo daję.

Taaa, chyba trafiłam do bajkowej krainy, gdzie wszystko stoi na głowie. Ten biedny chłopiec wyemigrował! Ze świetnie zagospodarowanej kapitalistycznej Szwecji na sowiecką Czukotkę! Cuda wianki.

– U nas w górach jest straszne przeludnienie. Dosłownie jeden dom na drugim, słowo daję! Niektórzy już nawet muszą się gnieździć po kątach u ludzi. A mój przyjaciel przeniósł się tutaj parę miesięcy temu do znajomych. Potem dał mi znać i postanowiłem się rozejrzeć. Ziemi i śniegu tu w bród, bezkresne przestrzenie, ale najważniejsze ze wszystkiego: ludzi mało i nie przeszkadzają. O, przepraszam, słowo daję, nie chciałem nikogo obrazić – zasumitowałem się.

– Ja tu tylko na chwilę, wpadłam przypadkiem i nie będę panu więcej przeszkadzać, jeśli tylko pan naprawi dach – zauważyłam sucho, leciutko urażona.

– Nie, nie, skądże, słowo daję, to dla mnie wielka przyjemność poznać pierwszego dnia na nowym miejscu tak czarującą panienkę! Na początku z powodu wzrostu myślałem, że jesteś moją sąsiadką i też utburdem, ale teraz widzę, że człowiekiem.

– Jak pan się domyślił?! – uśmiechnęłam się ironicznie.

Moje metr pięćdziesiąt osiem często przysparzało mi kompleksów, lecz nie wszyscy mogą być chudymi fotomodelkami dwa metry z hakiem. Obrażać się w sumie nie było o co, tym bardziej że utburd, żeby mnie ugościć, prędko wyciągnął na środek izby stół, przykrył go względnej świeżości lnianym obrusem i zastawił wyciągniętymi z szafek talerzykami z różnymi przysmakami. Były tu orzechy, sucharki i konfitura z borówek, miód, brakowało tylko gorącej herbaty, o czym wspomniałam z żalem.

– Herbata?! Słowo daję, rzeczywiście, nie ma herbaty! Proszę, proszę siadać.

Niemalże siłą wepchnął mnie na bujak i poszedł szukać czajnika. Dziwne, w grocie było ciepło, choć nie widziałam żadnych urządzeń grzewczych. Przypomniałam sobie jednak, że pod śniegiem zawsze jest ciepło – różni zdobywcy Północy w ekstremalnych warunkach na silnym mrozie budowali sobie śnieżne nory i szczelnie zatykali wejście.

Czułam się u utburda dobrze i miło. Nie karmił mnie muktukiem ani nie próbował na razie karmić się mną. Pomimo opowieści profesora o krwiożerczości utburdów jakoś narastało we mnie przekonanie, że ten tutaj, który akurat z dziecinną radością stawiał wgnieciony miedziany czajnik na prymusie, jest w ogóle wegetarianinem.

Przypomniałam sobie o Aleksie i profesorze – pewnie już zauważyli moje zniknięcie. No nic, niech się troszeczkę pomartwią, przyda im się. Poza tym jeśli angyak mimo wszystko się pojawi, oni na pewno sobie świetnie poradzą beze mnie.

Nie chciało mi się stąd odchodzić akurat teraz. Jeszcze przecież tyle było do wyjaśnienia, a do głowy przychodziło mi coraz więcej pytań. Zdjęłam więc okrycie i rozglądałam się po mieszkanku Orma. Utburd przysunął do stołu stołeczek i przysiadł na skraju, nie odrywając ode mnie uśmiechniętych oczu.

– Szybko się zagotuje – obiecał wesoło.

– Orm, nie obraż się, ale muszę zapytać, słowo daję – zaczęłam, gryząc sucharek umoczony w konfiturach. – Czyżby to, co jest napisane o utburdach

w encyklopedii duchów, było kompletną bzdurą? Że odżywiacie się tylko surowym ludzkim mięsem i tym podobne rzeczy – sformułowałam swoje pytanie najdelikatniej, jak potrafiłam.

– Rozumiem. – Mój gościnny gospodarz posmutniał. – Ludzie tylko z powodu swojej nieposkromionej wyobraźni i brudnych myśli oczerniają takie nieszkodliwe istoty jak my, nieszczęśliwych mieszkańców Krainy Czarów, słowo daję. Przekleństwo ciąży na nas od samych narodzin. Wielu z nas walczy z nim nieustannie, tak jak ja na przykład, próbując ułożyć sobie jakoś życie, nie wadząc innym, słowo daję! Wszyscy jesteśmy sierotami od dziecka, jak zapewne wiesz, ale to przecież nie czyni nas mordercami i odszczepieńcami, gdyż bylibyśmy niegodni żyć w przyzwoitym społeczeństwie, a nawet stąpać po ziemi żywych. Oczywiście zdarzają się jednostki niemoralne, lecz gdzie ich nie ma? Przystępczość nie ma narodowości. Słowo daję, kiedyś podam do trybunału haskiego autorów tej encyklopedii.

– Przecież angyaki są waszymi krewnymi? – przypomniałam, wysłuchawszy łzawej przemowy utburda.

– Tak, owszem. Tyle że my, Skandynawowie, jesteśmy dużo bardziej cywilizowani i pokojowo nastawieni. Mówiono mi, że wszyscy angyakowie wyginęli, ale najwidoczniej to nieprawda, sądząc z tego, co mówisz. Nawiasem, jak ci na imię?

– Alina, tylko błagam, nie mów, że tak się nazywała twoja babcia. Mam wrażenie, że babcie wszystkich moich adoratorów miały tak na imię.

– Nie, moja nazywała się Griselda Wilcza Suka, niestety – przyznał Orm ze zmieszaniem.

– Pewnie dlatego, że polowała na wilki?

– Nie, słowo daję, dlatego, że miała wredny charakter – wyjaśnił jeszcze bardziej skonfundowany. – Wszyscy znajomi tak mówili: „ty suko”...

Akurat woda w czajniku zawrzała, zaparzyliśmy jakąś mocno pachnącą ziołową mieszankę i beztrąsko mając nogami, piliśmy aromatyczną herbatkę z konfiturami, chichocząc i opowiadając sobie anegdotki. Tylko od czasu do czasu przypominałam sobie o moich agentach. Co oni tam teraz robią beze mnie? No nic, dorośli są, trafią sami z powrotem.

A powinnam myśleć o czym innym... Choćby o tym, czemu mój

nietuzinkowy gospodarz cały czas powtarza „słowo daję”?

Rozgrzałam się i ogarnął mnie błogostan, wszystko jakoś dziwnie zaczęło rozplływać się przed oczami. Energicznie potrząsnęłam głową, odpędzając to wrażenie, ale ogarnął mnie nieokreślony lęk: czy przypadkiem utburd nie zaprawił mi czymś herbaty? Czułam się jak pijana, chichocząc bez przerwy, spytałam Orma, czy czasem to nie on złapał mnie za nogę, wysunawszy rękę z zaspą jakieś pół godzinki temu.

– Oczywiście, że nie. Gdybym to był ja, nie wypuściłbym takiej uroczej nóżki, słowo daję – odparł szarmancko, lecz oczy mu dziwnie zabłyśły.

Zdawało mi się, mimo coraz głębszego otumanienia, że utburd popatrzył na moją nogę i wymamrotał pod nosem: „Jakieś siedem kilo...” – i zacmokał.

– Ale białej sowy na pewno nie masz! Nie wiesz, że teraz modnie chodzić z białą sową? To z powodu Harry ego Pottera. – Śmiałam się ciągle, a przed oczami miałam nieprzeniknioną mgłę, która nie chciała się rozwiać.

– Ja chodzę wyłącznie z dziewczynami – obraził się utburd. – Za kogo ty mnie uważasz, słowo daję?

Obrzucił mnie znów niedobrym spojrzeniem, uśmiech już dawno zniknął mu z twarzy. Włosy mi dęba stanęły ze strachu, ale wstać nie mogłam, czując straszną słabość w nogach. Gdybym mogła teraz się zerwać i dobiec do drzwi... Możliwe, że za nimi znajdowała się tylko komórka, lecz była jakaś szansa, że jest tam wyjście zapasowe na zewnątrz.

Utburd, nie odrywając ode mnie wzroku, zeskoczył ze stołka i z zadowoleniem zatarł ręce.

„Kiedy podejdziesz bliżej, muszę z całej siły walnąć go łokciem w dołek albo lepiej głową w podbródek – pomyślałam. – Generalnie trzeba uzyskać maksymalny efekt minimalnym kosztem”.

Jednak nim podjęłam jakiegokolwiek działanie, drzwi skrzypnęły i do izby wszedł drugi identyczny karzełek, z tym że Orm miał jasne włosy, a tamten czarne. W ślad za nim wleciała biała sowa. Poznała mnie i kiedy zobaczyła, w jakiej jestem sytuacji, wytrzeszczyła swoje wielkie oczy z zaskoczenia. Przybysz niewątpliwie musiał być naszym znajomym angyakiem. Jego prawą łapę znaczyły świeże zadrapania – kot nieźle się postarał.

– Już ci dzisiaj nie jestem potrzebna, prawda, panie? To polecę w swoich sprawach – odezwała się do angyaka sowa.



– W jakich swoich sprawach, wszakże? – złośliwie odparł kosmaty stwór.

– Dzieci odwiedzić, ptaszyny moje... Pilna potrzeba, panie. – I nie czekając na odpowiedź, sowa wyfrunęła, „na odlotnym” rzucając mi pokrzepiające spojrzenie: trzymaj się, aż sprowadzę pomoc.

Teraz już dwa karzełki podchodziły do mnie powoli, szczerząc zęby. Próbowałam przypomnieć sobie, jak postępują bohaterki filmów, kiedy wpadną w ręce psychopaty.

– Czekajcie! Chłopcy, wiem, że wasze dusze pragną uwolnienia. Poddajcie się, a ja wam pomogę.

Orm nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– Wydaje mi się, laleczko, że w twoim położeniu nie powinnaś stawiać żadnych warunków, słowo daję. Choć nic dziwnego, rozum ci się zamącił od moich ziół. Słowo daję, kupiłem ten proszek od jednego znajomego elfa, bardzo obeznanego w tych sprawach.

– Wygląda na to, że twój przyjaciel zajmuje się dilerką narkotyków. Wiesz, ile lat mogą mu za to przywalić? Nawiasem mówiąc, tobie również jako współnikowi – uświadomiłam go. – Ale mniejsza z tym. Mogę się dowiedzieć przed śmiercią, ilu was tu jest takich przyjemniaczków?

– Dwóch. A co, nie wystarczy ci? – odgryzł się Rachtyn i warknął do Orma: – Na co czekamy? Łapmy ją, głodny jestem, aż w brzuchu piszczy, wszakże!

– Dokąd ci się spieszy, Rachtyn, mój drogi? Zdażymy. – Orm, potworek bardziej cywilizowany, miał chyba skłonności do sadomasochizmu. – Może dziewczynka ma jeszcze jakieś pytania.

– Mam konkretną propozycję: wy oddacie mi swoje psie kosteczki, ja je połamię, a mój przyjaciel przeczyta zaklęcie i załatwione! Dla nas to żadna fatyga, a wasze dusze zyskają spokój wieczny ku obopólnemu zadowoleniu. A co ważniejsze, nasza firma to wszystko gwarantuje bezpłatnie! Interesuje was moja oferta?

– Ona wie o kościach! Diablica! – przeląkł się Orm, wytrzeszczając oczy. – Gadaj, kto ci powiedział? Sowa?! To na pewno twoja sowa, Rachtyn, słyszysz?

– Słyszę, słyszę, wszakże – odparł czarnowłosa angyak. Wyciągnął zza pazuchy dość grubą psią kość, przetaił ją z pietyzmem rękawem i schował z powrotem.

– Sowa podała frajerom naszą melinę jak na tacy – zołądkował się Orm.

Rachtyn był nastawiony bardziej optymistycznie:

– Nic się nie stało, wszakże. Zaraz zjemy dziewczynę. Syci będziemy silniejsi. Z tym małym zębatym zwierzakiem poradzimy sobie całkiem łatwo. Z myśliwym będzie trudniej, tęgi jest jak mors, ale nie takich sprawialiśmy, wszakże. Prawda?

– No dobrze, kończmy z tą tutaj – westchnął Orm, patrząc na mnie z żalem. Wyraźnie miał jeszcze ochotę pogadać, lecz nie śmiał się kłócić z Rachtynem.

Niespodziewanie zorientowałam się, że narkotyk przestał działać. Nie wiem dlaczego, może elf sprzedał utburdowi felerny towar? Ci dwaj już wyciągali po mnie pazurzaste łapy. Teraz! Naprężyłam całe ciało, zerwałam się na równe nogi i rzuciłam ku drzwiom, rozdając ciosy na prawo i lewo. Karły opadły mnie z obu stron, zawisły na nogach, próbowały kąsać w ręce. Z takim obciążeniem ostatkiem sił wlokłam się do wyjścia i z krzykiem: „Aaaleks!” nareszcie dotarłam do drzwi.

To byłby doskonały moment na efektowne ukazanie się specagenta Orłowa, Herosa i Zwycięzcy, dokoła którego wszystko w tej opowieści się kręci. Spóźnił się zaledwie chwilę. Nie zdołałam się utrzymać na nogach i ciężko klapnęłam na ziemię.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem, nie bez pomocy kopniaka, i w przejściu ukazała się barczysta sylwetka mojego szefa. Rzucił się mnie podnosić, nie zwracając szczególnej uwagi na potworki, które warcząc ze złości, próbowały przegryźć moje fokowe spodnie.

– Wszystko z tobą w porządku?

– Orłow, jak zawsze w samą porę – wysapałam. – Ale wcale bym się nie obraziła, gdybyś przyszedł minutę... nie, lepiej dziesięć minut wcześniej.

– Trudno ci dogodzić. Moim zdaniem, przychodzę w bardzo odpowiednim momencie. Co, lepiej by było, gdybym wcale się nie pojawił?! – postanowił się obrazić.

– Zrób coś z nimi, błagam! – zawyłam.

Aleks przeniósł ciężki wzrok na dwójkę potworków, jakby nie spodziewał się ich tutaj zobaczyć.

– Z tymi niedorostkami? Trzymasz ich, to trzymaj, póki nie zjawi się agent 013. Posiał gdzieś tego swojego suszonego dorsza. Teraz szuka, jak znajdzie,

to przybiegnie, a na razie niech wiszą na tobie. Swoją drogą oryginalny sposób na zatrzymanie przestępców, można zaoszczędzić na kajdankach – zauważył dowódca. – Zarząd na pewno dowie się o twoim znaczącym wkładzie w sprawę i być może nawet okaże poparcie... ustnie.

Zazgrzytałam zębami. Orm, błędnie oceniwszy bezczynność Aleksa, w mgnieniu oka przeskoczył mu na pierś i zaczął się wspinać, próbując dobrać się zębami do gardła. Naturalnie Aleks rozzłościł się i zaczął bronić, klnąc na czym świat stoi.

– Teraz i ty będziesz robił za kajdanki – rzuciłam zjadliwie podniesiona na duchu i palnęłam pięścią angyaka w ciemię.

Nie wiem, po co sowa uprzedzała o jakimś tam lewym sierpowym – boksować się nie miałam zamiaru. Zwyczajnie młóciłam go po łbie bez żadnych subtelności, i tyle.

W istocie było to proste odwrócenie uwagi. Kiedy uznałam, że Rachtynowi już zdrowo kręci się w głowie, zręcznie wsunęłam mu rękę za pazuchę i szybko wyciągnęłam cenną psią kostkę. Mały drań natychmiast jęknął i zwisał bezwładnie.

– Aha! No i co teraz powiesz, cudaku?! Hej, Aleks, poszukaj u swojego za pazuchą.

Dowódca przewrócił Orma do góry nogami, potrząsnął nim solidnie, obszukał, nawet postukał o ścianę, ale niczego nie znalazł.

– Nie ma!

– Jak to: nie ma?!

– No nie ma! Może ja mu po prostu wszystkie kości hurtem połamię?

– Daj spokój, sam mówiłeś, że to nie pomoże... To jak go mamy wykończyć?  
– zmartwiłam się, lecz wówczas w drzwi zaskrobały czyjeś pazurki.

– O proszę, całe szczęście! Aleks, otwórz drzwi, ja mam zajęte ręce. To na pewno agent O13.

– A kto jest bliżej drzwi?

Musiałam więc otworzyć sama i zasapany kot z rybą w zębach wparował do izby. Jednym rzutem oka ocenił sytuację, po czym bez zwłoki zaczął głośną inkantację. Angyak wyrwał mi się z rąk, próbując uciec, ale szybko zamknęłam drzwi na zasuwkę. Owszem, drzwi miały zasuwę. W ogóle mieszkanko było niczego sobie, lepsze niż dowolna pięciogwiazdkowa

jaranga. Porzucony syn Jałten znów zaczął gryźć moje futrzane buty, tutaj zwane muklukami. Szwedzki utburd kompletnie się załamał, porzucił wszelkie próby oporu i zawył:

– Przepadliśmy obaj, bracie, słowo daję!

– Trzymaj się, wszakże, nie wszystko jeszcze skończone! – „Mój” angyak był niezłomny, aż wzbudził we mnie nawet pewien szacunek.

– Gadaj, morderco, gdzie twoja kość?! – Aleks surowo potrząsnął utburdem.

– A figę! – odwarknął Orm.

Kot czytał zaklęcie już po raz piąty, a ja bezskutecznie próbowałam złamać magiczną kostkę: na kolanie, skakałam po niej, nawet gryzłam – wszystko na próżno. W końcu wpadłam na pomysł.

– Aleks, daj no mi toporek – zażądałam zasapana i zła.

– Chcesz ten gnat rozrąbać?

– No jasne! Nie widzisz czy co?! – rozzłościłam się jeszcze bardziej.

– Rzuć mi ją i przytrzymaj na razie mojego utburda.

Cisnęłam mu kość. Orm podskoczył rozpaczliwie, żeby ją złapać, ale był za niski. Tak to czasem bywa – od wzrostu zależy życie przyjaciela! Aleks łatwo przechwycił kostkę, a ja za kołnierz odciągnęłam utburda. Kot po raz kolejny czytał sumiennie zaklęcie. Angyak zdążył tylko szarpnąć się ostatni raz, kiedy nasz szef z rozmachem rozłupał psi gnat na kolanie.

Mały demon, tak jak przewidywała mądra sowa, zaczął kurczyć się w oczach, aż zmienił się w malutką kropkę – błysnęło, zadymiło i znikło.



Mimo woli pożałowałam mężnego karzełka i nawet uroniłam łezkę. Była to co prawda krokodyla łza, ale liczą się intencje. Orm zapłakał razem ze mną, lecz trzeba było doprowadzić sprawę do końca, więc pochlipując podeszłam do rozpaczającego karzełka, który dopiero co stracił druha.

– Gadaj zaraz, kanalio, gdzie twoja kość?

– Ooo! Yyyyy! Aaaa! Mój przyjacielu, Rachtyn, czemuś mnie opuściiiił...? Aaa-yyyyy!

– I co tak lamentujesz! Nie miałaś przypadkiem w rodzinie ruskich płaczek?

– spytałam, kiedy nam się już znudziło słuchać jego wycia.

Kot przestał czytać w kółko to samo, za to dopuścił się rzeczy haniebnej – cichaczem zaczął obgryzać głowę swojej cennej suszonej ryby (niech spoczywa w spokoju).

– Co ty wyprawisz, Mruczek?! – krzyknęłam, dosłownie wrywając mu z zębów zagrożonego dorsza.

– Aua, o mało mi szczęki nie wyrwałaś z zawiasów – rozsierdził się agent 013, przyciskając łapę do pyska. – Ja się nauczyłem zakłęcia, nauczyłem!

– A ryzykować i tak nie wolno. Teraz trzeba kończyć akcję, a potem już sobie możesz wtrajać tę swoją flądę czy jak jej tam...

Z bólem serca kot musiał przyznać mi rację. Orłów tymczasem wędrował po izbie, szukając drugiej magicznej kości. Przetrzęsnał wszystkie szafki, odsunął łóżko, zdarł z niej pościel i materac.

– Może on ma jakiś ukryty sejf?! – wymamrotał, podejrzliwie patrząc na utburda siedzącego cicho jak trusia. – Za pamięci, trzeba pobrać od niego krew.

Słyszając słowo „krew”, popatrzyłam na swoje podrapane ręce. Diabli nadali, żeby tylko znów nie było zakażenia. Stałabym się mieszaniną dwóch potworów naraz? Ciekawe, jak by to wyglądało. Chociaż na eksperymenty dla zwykłego zaspokojenia ciekawości jakoś nie miałam ochoty. Dlatego też wyciągnęłam z kieszonkowej apteczki, którą zawsze mieliśmy przy sobie, waciki i bezbarwny płyn odkażający. Przypomniało mi się, jak Aleks kiedyś próbował podrzucić mi ukradkiem gencjanę, jaskrawo farbującą na fioletowo. Po prostu żeby się pośmiać. Chamidło...

Dowódca kontynuował rewizję – teraz poleciały we wszystkie strony skóry służące za dywaniki. Chyba był na dobrym tropie, bo biedny utburd rzucił się

w stronę wyjścia, ale zaraz się uspokoił, oberwawszy kułakiem w ciemię.

– Jest! – wykrzyknął profesor. – W tym miejscu ziemia jest poruszona. Tu trzeba kopać!

– Ile metrów?

Mruczek spopielił mnie wzrokiem.

– Też sobie znalazła czas na żarty!

I jako że ziemia była spulchniona, kot wziął się do dzieła – zaczął kopać, prędko przebierając łapami. Ryjąc jamę, przesuwiał się po okręgu i dziura powiększała się w oczach. „Oto za kogo należy wychodzić za mąż – zachwycałam się, obserwując jego pracę. – Byłby wręcz niezastąpiony na działce. W jeden dzień obskoczy wszystkie grządki”. Kiedy dół osiągnął głębokość około pół metra, zwróciłam się do Aleksa, nie chcąc przeszkadzać kotu:

– Słuchaj, a on co?

– Co „co”? – nie zrozumiał Aleks.

– Czemu raptem objawiły się u niego takie skłonności do robót ziemnych? Trzeba szukać magicznej kości, żeby skończyć jak najprędzej akcję, a on tu zabawę sobie wynalazł. Nie może uprawiać hobby w wolnym czasie?

Dowódca popatrzył na mnie z nieukrywaną litością, jakby martwił się o mój poszkodowany rozum. Zajrzałam do dziury – agent 013 pokonał prawie metr w wiecznej zmarzlinie. Rozległ się odmienny dźwięk, jakby zaczął drapać pazurami coś metalowego. Utburd jęknął rozdzierająco i zemdłał.

– Czyżby skarb? – westchnęłam z zachwytem.

Profesor tylko parsknął pogardliwie, szybko odkopując do reszty żelazną skrzyneczkę.

– Na pewno carskie czerwonce... Będzie pan łaskaw powiedzieć, drogi Ormie, skąd je masz? – podliziałam się.

Agent wyskoczył z jamy, a nasz szef wywlókł skrzyneczkę. Obaj starannie puszczali moje słowa mimo uszu. Wtedy nieoczekiwanie utburd ocknął się i zebrawszy ostatek sił, wydarł skrzyneczkę z rąk Aleksa, po czym skoczył do dziury w stropie!

– Ot, czort! – Orłów błyskawicznie złapał karzełka za nogę i nie bez trudu, przy akompaniamencie słabnącego wycia, wywlókł go z powrotem, przetrzepał i odebrał szkatułkę. W środku, jak się można było spodziewać,

leżała kość, kubek w kubek jak ta należąca do angyaka, niech mu ziemia lekka będzie.

Dowódca tymczasowo schował ją w zanadrze. Nakazał mi trzymać mocno utburda i pobrał mu krew z palca. Załamany stworek nawet nie pisnął. Kot cały czas powtarzał z pamięci zaklęcie szamanki – jednak się go nauczył! Kiedy magiczna kość trzasnęła w silnych rękach Aleksa, Orm ostatecznie zrzucił maskę niewinnej ofiary i przeklinał nas, rzucając groźby, że wróci, by dokonać zemsty. Potem ten mały parszywiec zaczął się kurczyć, maleć i wkrótce, podobnie jak angyak, zniknął całkiem.

– Akcja zakończona. – Aleks pozwolił sobie na uśmiech zadowolenia, ale kiedy jego wzrok napotkał mnie, spochmurniał na nowo, choć ja też miło się uśmiechałam. Pewnie znów sobie przypomniał, że ja, Alina Safina, jestem jednym wielkim nierozwiązywalnym problemem i przy mnie nie ma co liczyć nawet na chwilowy spokój.

Tłuszcioch, nie doceniając uroczystej chwili, gryzł swoją rybę, burcząc pod nosem, że w takich warunkach można z głodu zjeść własne łapy. Znam go – dwie godziny postu i już zaczyna skarżyć się i narzekać. Nie, mimo wszystko nie wyjdę za niego – jego praca na działce nie pokryje kosztów wyżywienia. Kotek, nie podejrzewając nawet, że właśnie ważą się jego losy, spokojnie dojadał rybi ogon. Taktownie poczekaliśmy z Alekssem, aż skończy, a potem wszyscy troje opuściliśmy wywrócone do góry nogami siedlisko utburda.

Za drzwiami ukazał się lodowy korytarzyk, który wywiódł nas na otwartą przestrzeń. Nie zrobiliśmy nawet paru kroków, kiedy podleciała do nas silnie wzburzona sowa. Dałabym sobie rękę uciąć, że czekała w pobliżu, wróżąc: wyjdą karzełki czy my?

– No i jak?! – wypaliła z miejsca.

– W porządku, obaj skonali w mych ramionach – odpowiedziałam, wzdychając demonstracyjnie i robiąc grobową minę.

– Uff! – Sowa wywróciła oczami, otwierając dziób i dysząc. Niezawodnie stresy ostatniej godziny dawały o sobie znać.

– Czemu nie powiedziałaś Alinie o utburdzie? – zapytał Orłów podejrzliwie.

– Nie zdążyłam – odparła nasza sojuszniczka. – Wpierw powinniście spotkać się z Rachtynem. Uff! Nadal nie mogę uwierzyć, że wreszcie się od niego uwolniłam. Potem, jakbyście sobie już z nim poradzili, miałam zamiar



poprowadzić was do legowiska utburda. Takie były plany.

Wszystko to powiedziała tonem tak szczerym, że nie mieliśmy już wątpliwości co do jej uczciwych zamiarów.

– To znaczy, że więcej podobnych istot w okolicy nie ma albo ty o nich nie wiesz?

– Prócz tych, których pokonaliście, nie ma nikogo więcej, ale powiem wam, że i ci dwaj starczali z nawiązką – przyznała sowa.

– A dokąd wybierasz się teraz? – zapytałam. Trochę się martwiłam o dalsze jej losy.

– Przede wszystkim do domu, do dzieci. Ten łajdak nie rozpieszczał mnie urlopami – poskarżyła się. – A potem się u kogoś urządzę. Mam parę znajomości...

Miałam nadzieję, że tym razem znajdzie sobie jakiegoś miłego inteligentnego chłopczyka w typie Harry ego Pottera.

Sowa na pożegnanie podała nam wszystkim szponiastą łapkę i odleciała. Ciekawe, czy ją jeszcze kiedykolwiek zobaczę? Ech, prędej jej siostrę w następnym filmie o Potterze.

Uchtykak przywitała nas z uradowaną miną, obsypując podziękowaniami od samego progu. W jarandze wszyscy już skądś wiedzieli o naszym zwycięstwie nad angyakiem. Rozpromieniona przymierzyłam nowe futerko. Leżało idealnie, a na dodatek usłyszałam, że nic nie jestem za nie winna, a i to jeszcze mało za tak wielką przysługę, jaką wyświadczyliśmy okolicznym mieszkańcom. Cudownie, tej strony mojej obecnej profesji jeszcze nie poznałam.

Usłyszawszy o utburdzie, szamanka bardzo się zdziwiła. Nie miała najmniejszego pojęcia o jego istnieniu. Mruczek dostał cały worek suszonych dorszy, a Aleksowi przypadły futrzane mukluki, rozmiar czterdzieści trzy. Zauważyłam, że nie ucieszyli się za bardzo z tych podarunków. Sprawa się wyjaśniła, kiedy już pożegnaliśmy się ze wszystkimi i ruszyliśmy w drogę powrotną.

– Po co mi druga para mukluków? – nie mógł zrozumieć nasz szef.

– A ja mam w Bazie jeszcze pół worka tej ryby, którą dostałem poprzednim razem – burczał kot.

– O czym wy mówicie?

– Kiedy zeszyliśmy razem uwolniliśmy ich od morsa-zjawy, wcisnęli nam takie same prezenty – wyjaśnił kocur kwaśno. – Nie, basta, trzeci raz już tutaj nie przyjadę. Taki wielki worek ryb dźwigać za każdym razem!

Choć w rzeczy samej ów worek taszczył nasz superman. Dochodząc do pagórka, Aleks jedną ręką wyciągnął z torby „przechodnik” (jak go nazywałam) i po paru sekundach byliśmy już w Bazie. Do tej pory nie mogę pojąć, jak to działa – po prostu czuje się nieznaczne drganie powietrza wokół i nagle zmienia się krajobraz. Niepojęte. Może kiedyś wypytam o to kota? Aleksa nie warto, pewnie sam nie wie.



W tym samym dniu zdając raport, dowódca nie zapomniał wspomnieć o mojej odwadze i przedsiębiorczości wykazanej podczas ostatniej akcji. Za co natychmiast dostałam ustną pochwałę i awans od razu na podporucznika! Przez dwie godziny chodziłam, świecąc własnym światłem, póki się nie dowiedziałam, że nikogo nie wyprzedziłam. Kocisko już dawno było pułkownikiem (za co, ja się pytam, nadaje się takie przywileje jakiemuś ogoniastemu ważniakowi?), a Aleks Orłow – majorem. Poczulałam się tak, jakby koledzy, mnie zdradzili, i nie rozmawiałam z nimi do samego wieczora. W końcu Mruczek nie wytrzymał. W sumie jest strasznie pocziwy.

– No dobrze, Alina, umówmy się tymczasem, że masz wyższą rangę niż my z Alekssem. – Popatrzył na partnera, oczekując poparcia dla swoich słów. Orłow, mimo że pomysł nie przypadł mu do gustu, kiwnął głową.

Hurra, hurra, hurra! Od razu ogarnął mnie cudowny nastrój, za to moi partnerzy podupadli na duchu, dlatego że teraz, kiedy tylko się odezwali, natychmiast krzyczałam:

– Cisza w szeregach!

Jeśli zaś sama chciałam towarzystwa, rozkazywałam kotu leniwie rozwalonemu na łóżku:

– Wstać, kiedy mówi starszy stopniem!

Cały czas zmuszałam ich do salutowania, stawania na baczność albo robienia „padnij-powstań”. Na kolację musieli iść krokiem defiladowym, a ja całą drogę ich rugałam, że maszerują jak ostatnie łajzy.

– Pod względem musztry jesteście do kitu, ale to nic, już ja was wytresuję! –

odgrażałam się z zapalem. I wtedy Aleks kazał mi się zamknąć! Mało nie zemdlałam... Nagle oznajmił, że zabawa skończona. Wszyscy się już na nas gapią, a on nie ma zamiaru kompromitować się na oczach współpracowników przez zachcianki dziewczynki z przerostem ambicji.

Profesor ocknął się natychmiast i przypomniał, że jest pułkownikiem, a nie zwykłym szeregowcem. Ech, służbista! Ogólnie rzecz biorąc, kot również kazał mi zmniejszyć obroty, zaznaczając, że oboje z Alekssem jesteśmy niżsi stopniem. Naturalnie zaczęłam pyskować i po chwili gapili się już na nas wszyscy wokół. Aby więc zamknąć mi usta, koledzy poszli na kompromis i uroczyście obiecali, że w naszym malutkim oddziale zawsze będę najważniejsza, i kiedy zostaniemy sami, będę ich mogła musztrować do woli. Natomiast przy ludziach trzeba zachować subordynację.

Po takiej obietnicy trochę się uspokoiłam, lecz w jadalni znów zachciało mi się rozrywek i zaczęłam wyprowadzać z równowagi agenta 013 przesadną troskliwością, jakbym miała do czynienia z małym dzieckiem. Podsuwałam mu talerz z zupą, podawałam chleb do pyszczka.

A kiedy podkręciwszy wąsy, już miał się zabrać do jedzenia, zaczęłam mu wiązać na szyi serwetkę, szczebiocąc coś w rodzaju:

– Zawiążemy śliniaczek, mój maleńki, żeby ani kropelka nie spadła na twój puszysty biały krawacik.

– Daj mi zjeść! – jęknął kot. Jeszcze chyba nie zauważył, że zwyczajnie się z niego nabijam.

– Jedz, mój pysiaczku! Jedz, rośnij duży! Kici, kici, grubasku – pokpiwałam, próbując nakarmić go zupą, ale niewdzięczny kot zacisnął zęby i odsunął łyżkę łapą.

– Alina, przyhamuj – odezwał się Aleks. Pewnie mu się nie podobało, że zwracam większą uwagę na kota niż na niego. – Popatrz, zdaje się, że niosą ci lody!

Akurat trzymałam kocisko za kark, walcząc z jego jedzeniowym oporem, lecz natychmiast się odwróciłam. Rzeczywiście, szedł ku nam uśmiechnięty Sinoskóry z tacą i już po chwili postawił przede mną truskawki z bitą śmietaną i lody posypane hojnie czekoladą z orzechami.

– O, dziękuję panu bardzo, z jakiej to okazji dzisiaj taki wspaniały deser? – uśmiechnęłam się czarująco.

– To tylko dla pani, milady. – Wisielec ukłonił się, od czego język obwisł mu jeszcze bardziej, przypominając krawat. Nigdy nie sądziłam, że ludzie mogą mieć tak długie języki, i nawet miałam ochotę zadać na ten temat kilka pytań, stołówkowy jednak musiał szybko wracać na stanowisko pracy. Wystarczyło, że oddalił się na pół minuty, a już ladę obiegnęła drużyna wiecznie głodnych hobbitów i Sinoskóry musiał własną piersią bronić puree.

– Widzicie, jak mnie tu lubią?! – zauważyłam nieskromnie. – Tylko wy mnie nie doceniacie. Pewnie trafiłam do nieodpowiedniego kolektywu. Muszę spróbować popracować z innymi, żeby dokonać lepszego wyboru. Przy was, szczerze mówiąc, kariery się szybko nie robi.

Bagienko... Użeramy się z jakimiś japońskimi głowami, paskudnymi karłami i wsiowymi wilkami. Co za niewdzięczna, przygnębiająca mordęga! Nie ma jak się rozwijać. To nie dla mnie. Jestem przeznaczona do wyższych celów. Powiedzmy, do uczestnictwa w gwiazdnych wojnach, gdzie decydują się losy planety albo i całej galaktyki! Warto spróbować. Nawiasem mówiąc, Steve mnie zapraszał.

Moi towarzysze wymienili znaczące spojrzenia.

– Taaa... – przeciągnął kot. – Próba miedzianych trąb<sup>[8]</sup> na razie przebiega w ciężkiej formie. No jakże to, dostać jednego dnia i awans, i truskawki z bitą śmietaną... Nic dziwnego, że zaczęło ci odbijać. A przy okazji, deser dla ciebie zamówiliśmy z Alekssem dla uczczenia twoich nowych pagonów.

Mało się nie zapadłam pod ziemię! Przez całą resztę wieczoru gryzło mnie sumienie, że, roiłam sobie Bóg wie co i jeszcze obraziłam przyjaciół.

Kiedy wróciliśmy z jadalni, wciąż jeszcze byłam przybita i łzawo spytałam, jak mogłabym im to wynagrodzić. Aleks rzucił tylko krótko:

– Bóg ci wybaczy! – i walnął się spać. Za to kot bezecnie postanowił wykorzystać okazję. Wpierw musiałam rozegrać z nim pięć partii szachów. Dobrowolnie poddałam się tej katordze – nie tak słodko jest ciągle przegrywać. A kiedy przyszła pora kłaść się spać, ten wąsaty padalec z błogą miną kazał mi drapać się w pięty, póki nie zaśnie. I jeszcze groził: „Bo nie wybaczę!”. Chciałam podnieść krzyk pełen oburzenia, ale przypomniałam sobie, że Aleks śpi, więc ograniczyłam się do próby pochwylenia kota za kark, by porządnie potrząsnąć łobuzem. Ten jednak w porę smyrgnął pod łóżko, a gdy włożyłam tam za nim, skoczył za szafę, gdzie nareszcie udało mi się go

pojąć w jasyr. Czym prędzej skapitulował, podnosząc przednie łapy do góry i oświadczał, że z jeńcami należy się obchodzić humanitarnie.

Po czym zmienił zadanie na łatwiejsze do spełnienia. Teraz miałam mu czytać do snu Hoffmannowskie „Kota Mruczysława poglądy na życie”. Taka łaskawość średnio mnie urzędała, lecz na przebaczenie zasłużyć chciałam choćby po to, żeby znów móc dokuczać koteczki. Gdy tak czytałam na głos, a profesor rozkoszował się życiorysem swojego krewniaka, w mej głowie dojrzywał plan zemsty.

Nareszcie kocisko, pomrukując ze szczęścia, zasnęło. Odczekałam jeszcze piętnaście minut, aż zegar wskazał dokładnie drugą w nocy. Odłożyłam książkę, cichutko wyszłam na środek pokoju i ryknęłam na całe gardło:

– Kompania, baaaaczność!!! ALARM BOJOWY!

Nawet nie potrzebowałam głośnika. Zerwali się obaj jak oparzeni, pewnie ich już dawno nikt nie budził „alarmem bojowym”.

– Oddział do akcji! Cel w promieniu nie mniej niż pięć metrów i nie więcej niż osiemdziesiąt centymetrów! Próba samobójcza! Karaluch wlaź na stół – grozi, że skoczy w dół!

Ledwo skończyłam, poczerwieniały ze złości Aleks już trzymał mnie za kark niczym niesforne kociaka. Wcisnęłam głowę w ramiona, uszy położyłam po sobie, ale ze straceńczą odwagą wytrzymałam jego wściekły wzrok. Z pewnością chciał mnie zamordować na miejscu. Ja bym za takie coś zabiła, słowo honoru... Prawdopodobnie wyglądałam na tak wystraszoną, że Aleks nieoczekiwanie złagodniał.

– Alina, skarbie, nie powinnaś już iść do siebie?

– Cichutko i grzeczniutko?

– No właśnie. Zmykaj.

Postawił mnie na podłodze i popchnął lekko w stronę drzwi. Mruczek na ochotnika zdecydował się odprowadzić mnie do pokoju. Miał czkawkę na tle nerwowym, nocne krzyki źle działały na jego organizm.

– Ty pchło uprzykrzona – rzekł z wyrzutem, pilnując, bym trafiła na pewno prosto do własnego łóżka. Po czym, kiwając się z senności, aż biała szlafmycka zjechała mu na oko, powlókł się do własnej kwatery. Z niewiadomych powodów koci profesor nie mógł się obejść bez szlafmycy z pomponikiem. Po chwili usłyszałam charakterystyczne szczęknięcie zamka – to moi koledzy

zapobiegliwie zamknęli drzwi. Ha! Ten dźwięk odbił się lubym echem w mej duszy. Oznaczał, że mimo wszystko wygrałam i teraz z czystym sumieniem mogę im dać odpocząć jakiś tydzień.



Rankiem wzięłam prysznic, zrobiłam staranny makijaż, ubrałam się szykownie i wyszłam na korytarz. Moi chłopcy jeszcze spali. Ale przecież nie dla nich się stroiłam! Jeszcze wczoraj, w jadalni, Steve umówił się ze mną przy pojemniku na odpadki. Zobaczyłam go już z daleka. Chłopak przestępował z nogi na nogę (nic dziwnego, spóźniłam się prawie dwie godziny), trzymając jakiś osobliwy metalowy przedmiot kojarzący się z żeliwną armaturą. Rózga była niczego sobie, solidna. Czyżby aż tak się rozzłościł na mnie za to spóźnienie? Skrzywiłam się. Też ma się za co obrażać – dwie godziny to przecież nic takiego dla zakochanego biorobota. Sam przecież twierdzi, że taki zakochany, więc o co chodzi?

– Cześć, Steve! – Podeszłam od tyłu i udało mi się klepnąć go w ramię, aż podskoczył. – Bardzo się spóźniłam?

– Dz-dzień dobry, Alinko.

Okazało się, że w rękę trzymał różę – chyba aluminiową? A ja ją wzięłam za jakąś aparaturę...

– Nic strasznego, trochę się spóźniłaś. W kosmicznej skali dwie godziny to nic, null, zero.

Bardzo przyjemnie było dostać kwiatek, nawet metalowy. Steve widocznie był obeznany ze sztuką randkowania i przyswoił sobie zasadę, że za różę można kupić dowolną kobietę razem z butami i torebką. Aleks prawdopodobnie też o tym wiedział, choć uważał, że skórka niewarta wyprawki. Nawet jeśli kwiatek rośnie tuż pod nogami, to jeszcze trzeba się po niego schylić i zerwać. A czy to warto się trudzić dla jakiejś dziewczyny? Nawet takiej świetnej jak ja...

– Jaka fajna! – zachwyciłam się, oglądając różę. – Sam chałupniczysz? To znaczy nie w sensie budowania chałup, tylko czy sam robisz to rękodzieło?

– Aha! – potwierdził Steve wesóło. – Z kosmicznego złomu. Materiał bezpłatny, a do tego jest go pełno.

– Delikatna robota – oceniłam. – To pewnie trudne?

- Skąd, proste jak drut. Nic trudnego. Chcesz, to cię nauczę robić takie róże.
- Kiedyś koniecznie spróbujemy. – Uśmiechnęłam się łaskawie.

W ten sposób owego dnia jadłam śniadanie ze Steve'em, a nie ze swoimi „bohaterami”.

Miło było obserwować ich reakcje. Kot, rzecz jasna, ostatecznie wpisał mnie na listę renegatów i odszczepieńców. Dowódca tylko ziewnął i zrobił znudzoną minę, kiedy zobaczył mnie ze Steve'em. Bezcelność! Spodziewałam się po nim intensywniejszych działań. Negatywne nastawienie profesora i pokazowa obojętność Aleksa zrobiły swoje. Znano nas już przecież jako nierozdzielny zespół. Samobójca wydający porcje odwrócił się, ale zdążyłam zauważyć, że popatrzył na mnie oskarżycielsko. Boże, co go to obchodzi?! Jednakże humor mi skwaśniał, mimo że Steve usiłował mnie bawić anegdotami o pozaziemskich istotach. Przegapiłam moment, kiedy moi partnerzy, skończywszy śniadanie, ulotnili się ze stołówki.

Przez Steve'a – odwrócił moją uwagę głupią sztuczką z polykaniem łyżki i kolejnym wykładem na temat „Jak działa przewód pokarmowy robota Steve'a”.

Po śniadaniu poszłam do kwatery Mruczka i Aleksa, ale była zamknięta. Musiałam ich szukać po całym budynku. Moje poszukiwania zostały uwieńczone sukcesem, dopiero kiedy zajrzałam do biblioteki. Chłopcy na mój widok zamilkli, choć przed chwilą o czymś z ożywieniem rozprawiali. Patrzyli tylko na mnie ponuro. Udałam, że niczego nie zauważyłam.

– A, tu jesteście! – wykrzyknęłam z udawanym zaskoczeniem. – A ja was szukam po całej Bazie! Mogliście mnie uprzedzić, dokąd idziecie.

– Eee, moja droga, nie musimy się z agentem Alekssem rozliczać przed tobą ze swojego postępowania. A teraz, czy mogłabyś nas opuścić? Mamy do omówienia pewne męskie sprawy – oświadczył kot wyniośle.

– Nie, nawet nie prosz, nie mogę – odpowiedziałam ze sztucznym ubolewaniem, opierając się o stół. – Bardzo chętnie was posłucham, kobiety są świetnymi specjalistkami od męskich problemów. Możesz powiedzieć mi wszystko!

– Kiedy to nic takiego...

– Mimo wszystko skonsultuj się z proktologiem.

– Jessstem zdrowy! – Mruczek zirytował się ostatecznie, a Aleks z ciężkim westchnieniem podsunął mi krzesło.

– Dziękuję. Jutro, zdaje się, powinniśmy już iść na nową akcję, a ciągle jeszcze nie wiadomo, czego dotyczy sprawa.

– Więcej spaceruj! – prychnął kot. Jeszcze trochę podziwaczył i w końcu objaśnił mi cel zadania, jakie otrzymali z Alekssem dzisiejszego poranka podczas mojej nieobecności.

Tym razem szykowała nam się delegacja służbowa do Rosji w lata siedemdziesiąte XIX wieku, gdzie w głuchej wsi na nadwołżańskim stepie czekała na ratunek cała gromada wieśniaków sterroryzowanych przez czarownika. Przykładów było mnóstwo. Wymienię tylko najstraszniejszy: ten łajdak, zaproszony na wesele, z czarował parę nowożeńców, wskutek czego cofnęli się do dzieciństwa. A nawet chyba do niemowlęctwa.

Sąsiedzi po kolei dyżurują, karmią ich łyżeczką i pilnują, żeby nie narozrabiali: nie wypili nafty albo nie podpalili chałupy. Sąsiadom jednak kończy się cierpliwość, a i „dzieciaczki” nie mają słodkiego dzieciństwa. Kiedy za najbliższe przewinienie obrywasz w zęby lub dostajesz po karku, szalejesz jeszcze bardziej. Tenże czarownik zesłał na ludzi również jakąś chorobę, od której powoli mizernieją, a sześcioro już wyzionęło ducha z nieznanym przyczyn. Wieśniacy nie mogą udowodnić, że to dzieło czarownika, ale są tego pewni na sto procent.

– Jeśli tak, to nie rozumiem, czemu nie zrobią obławy na oczywiste źródło tych nieszczęść – rzekłam z mądrą miną.

Profesor pokiwał głową na znak, że nie jest to takie proste.

– Dlatego, moja mądralo, że nagle ni z tego, ni z owego facet zniknął. Jego dom jest pusty, a mór trwa. I teraz chłopci popatrują jeden na drugiego, podejrzewając, że czarownik ukrywa się wśród nich. W Rosji, tak samo jak w niektórych innych słowiańskich państwach, ludzie wierzą, że czarownik (mówią też, że jest upiorem) może przyjąć postać dowolnego z sąsiadów albo nawet zwierzęcia i w tej formie od tej pory przebywa we wsi.

– Posłuchaj, jeśli on jest faktycznie upiorem, to jak pod postacią czarownika przechadzał się po wsi za dnia? – spytałam, w zamyśleniu podpierając głowę rękami.

– No właśnie, w dzień nikt go nie widział, ten typ zawsze pojawiał się po zmroku. Chociaż jeśli jest wampirem, to niezwykajnym, dysponuje znacznie większą siłą i zdolnościami. Przypomnij sobie choćby Drakulę: mógł



spacerować nawet w dzień, choć nie przy słonecznej pogodzie... – odpowiedział za kolegę dowódca.

Ale ja już przestałam słuchać, w mej głowie zaczęły się pojawiać wizje rozmaitych sukien i sarafanów z tamtej epoki, w którą mieliśmy się udać. Ciekawe, w jaki strój mnie ubiorą? Fajnie by było dostać coś bogatego, z koronkami i krynoliną, i falbanki, jak najwięcej falbanek...

– Kim będziemy tym razem? Opracowałeś już nasze legendy? – zwróciłam się do kota, gdyż ten aspekt przygotowań do akcji tradycyjnie spoczywał na jego barkach. Nieźle sobie z tym radził, jak pamiętacie... Jednym z jego niewątpliwych sukcesów była głuchoniema gejsza. O Żydzie z pejsami nie wspomnę.

Z jakiegoś powodu agent 013 obrzucił mnie zjadliwym spojrzeniem, mrużąc ślepie.

– Tak, dziecino, już omówiliśmy ten punkt. Ja jak zwykle będę przebrany za zwykłego kota. Agent Aleks zostanie Kozakiem, najlepiej dońskim, wracającym do domu z wojennego teatru w Azji Środkowej. Wszystko dzieje się w czasach panowania cara Aleksandra II.

– Ostatnio zdobywaliśmy Chiwę – dodał Aleks z godnością, siadając na krześle jak w siodle. Pełna iluzja, jakby w rzeczywistości brał osobisty udział w tym historycznym wydarzeniu. Widać już wczuwał się w rolę.

– A ja kim będę? – niecierpliwiłam się.

– Ty? Tadżycką branką, naturalnie – odpowiedział kot tak, jakby ten fakt kompletnie nie podlegał dyskusji, co z kolei wzbudziło we mnie silną chęć wytargania go za uszy.

– A czemu ty sam nie chcesz być tadżycką branką? – spytałam groźnym tonem, podnosząc się z miejsca.

– Nie pasuję wzrostem. – Kotuś skromnie spuścił oczęta, ale nie zdołał w nich ukryć tryumfalnego blasku, więc z dziką radością dodał: – Będiesz tadżycką branką i będziesz chodzić w parandży! Tak, moje dziecko, ha!!!

– Błę!

To była naprawdę szokująca niespodzianka. Mało mi oczy z głowy nie wypadły, a wszystkie inwektywy ugrzęzły w gardle. Choć nie na długo.

– Co?! Mruczusiu, chyba się przesłyszałam! Ja mam chodzić w parandży?! Ja, studentka w Instytucie Kultury, przyzwyczajona ubierać się swobodnie,

niemal do ostatecznych granic?!

– Parandża<sup>[9]</sup> jest dość swobodna w noszeniu, przypomina trochę bałachon – wtrącił Aleks, wzruszając ramionami. Znów się popisuje, świnia...

– Miałam na myśli coś innego – wycodziłam przez zęby, przebijając go wzrokiem jak sztyletem. – I ty doskonale wiesz co!

Kot, z obwisłymi z urazy (za Mruczusia) wąsami, burknął już nieco bardziej pojednawczo:

– Jak czegoś nie wiesz, to słuchaj starszych, Alinka. Dysponuję wystarczającymi dowodami na to, że Tadżyjki w tych czasach chodziły w swojej ojczyźnie wyłącznie w parandżach. A u dziewczyny całymi latami zakrywającej twarz i całą resztę... – tu kocur zmierzył moją figurę takim wzrokiem, że mimowolnie się zmieszałam i obciągnęłam spódniczkę, daremnie próbując zakryć kolana – ...powstaje trwała fobia. Tak, on cię porwał i wiezie nad Don, żeby się ożenić. No... Taka dziewuszka nie może przecież tak od razu, kiedy tylko zniknie terytorialna konieczność noszenia takiej zasłony, zrzucić jej z siebie i wyjść z domu z odkrytą twarzą i w bardziej demokratycznej sukience. To niewiarygodne.

– Może przyjmijmy więc, że nie od razu się przebrałam, a po dwóch tygodniach? Przecież podróż z Tadżykistanu nie zajmuje jednego dnia – wytknęłam naszemu domorosłemu psychologowi. O, nie! Nie poddam się bez walki!

– Nie włożę parandży – oznajmiłam stanowczo. – Nie chcę chodzić w niej sama jedna jak idiotka! W tej wsi wszyscy się będą ode mnie odsuwać.

– A co ci to szkodzi? – odparł dowódca znudzonym tonem, moja sprzeczka z agentem 013 działała na niego nasennie.

Zignorowałam jego wypowiedź jako głupią i nie na miejscu.

– Zawsze mam najgorzej – poskarżyłam się w przestrzeń. – Nie ma co, ty, agencie 013, nie poniósłbyś takich ofiar na moim miejscu.

– Niby czemu nie? Dla sprawy jestem gotów na wszystko! Ale teraz nie o mnie mowa – zaperzył się, zaplatając łapy na puchatej piersi.

Tryumfował jednak niedługo. Jako wyższej szarży, przyszło mu udowodnić swe słowa o bezgranicznym poświęceniu i nie mógł się wycofać. Obiecałam ubrać się w parandżę, jeśli kot też ją włoży! Aczkolwiek głupio to brzmiało, było w pełni wykonalne. Starczy, że Mruczek stanie na zadnich łapach, przy

jego wielkości, nieliczej jak na kota, sięgnie mi do pasa. Wymyśliliśmy z Orłowem, że agent 013 wcieli się w moją młodszą siostrzyczkę, bez której stanowczo odmawiałam pójścia do ślubu. Już miałam przedsmak tego, jak się ubawię, oglądając biednego kocinę w czarczafie.

W ten sposób zakończyliśmy na razie posiedzenie na temat przyszłej akcji i poszliśmy grać w szachy. Ci dwaj okazali się strasznie obrażalscy. Nie mogli mi przebaczyć judaszowego śniadania ze Steve'em przez całe czterdzieści pięć minut! Przy okazji – ja zwykle odpuszczam już po dziesięciu. Napięcie w towarzystwie szczęśliwie zelzało. Przyjemnie spędziliśmy resztę dnia. Aleks nawet powoził mnie na barana, co wywołało u mnie silne podejrzenia, czy aby nie jest chory. Taka dobroć i poświęcenie w stosunku do mnie były mu obce w normalnym stanie zdrowia fizycznego i psychicznego.

Pod wieczór zadzwoniłam do rodziców (na koszt organizacji, oczywiście) i jak zawsze zmyli mi głowę, że za rzadko dzwonię. Miałam nadzieję, że jakoś udało mi się ich przekonać, że wszystko w moim życiu układa się wspaniale i pełnię szczęścia zakłóca mi tylko myśl o nadchodzącej sesji. W rzeczywistości w głowie kłębiły mi się odmienne myśli.

Czym w zasadzie różnimy się od tych właściwych zmiennokształtnych zwierzołaków? Przychodzimy z innego czasu, zmieniamy ubiór, język i wygląd, a wszystko to służy jednemu celowi – zabić... Nie, jak się dobrze zastanowić, nic się nie zmienia. My też jesteśmy zwierzołakami...

Zajrzałam do moich agentów, żeby powiedzieć im „dobranoc” – kotek akurat z namaszczeniem wkładał swoją szlafmycę, a Aleks w łazience mył zęby.



Następnego dnia rano od razu po śniadaniu wybraliśmy się do kostiumowni. Magazynierzy wydali mi strój Tadżyjki – folklorystyczną suknię z jaskrawym ornamentem, szarawary w drobne paseczki, tiubietejkę<sup>[10]</sup> – i zapletli włosy w drobne warkoczyki. Ubierano mnie zupełnie nie tak, jak zostało ustalone wcześniej, kot z naciskiem zaznaczył, by kostiumolodzy nie zapomnieli o parandży. Narzekał, że nikt tu prócz niego nie zna się na historii, a przecież realistyczne legendy agentów tak naprawdę składają się z drobiazgów. Starczy, że ktoś zauważy coś dziwnego, i mogą z tego powstać

podejrzenia.

Aleksa przyodziano w mundur kozacki, mocno podniszczony, jakby służył całej męskiej populacji znad cichego Donu. To było jednak niezbędne, by uchodził za ubranie, które przeszło chrzest bojowy. Do tego szabla, nahajka i strzelba ładowana odcylcowo.

Agent 013, warcząc, wyfasował miniaturową parandzę i wąską sukienkę.

Ustaliliśmy, że wciągniemy na siebie te szmatki przed samą odprawą, żeby nie pocić się bez potrzeby. Zajrzałam do worka zabranego przez dowódcę.

Tym razem suchy prowiant składał się z wattruszek<sup>[11]</sup>, żytniego chleba, pierogów z jeżynami i szczypioru. Nieciekawie, ale chyba nikt nie każe nam tam chuchać. Kot nam zemrze bez śmietany...

Na szczęście czarownik-upiór na swoje ciemne sprawy wybrał lato. Pomyślałam więc, że po zimowej Czukotce ta operacja będzie jak pobyt w kurorcie. Partnerzy nie podzielali mojego optymizmu, a kot rozszłościł się nie na żarty, słysząc mój śmiech, kiedy z Alekssem naciągaliśmy na niego małą parandzę. Na mnie ten ponury łach wyglądał jako tako naturalnie, lecz profesor przecież nie był kobietą. Mimo drobnych trudności, w rodzaju urażonej kociej godności, dokonaliśmy „przejścia” o ustalonej porze.

## Rozdział czwarty



A więc Rosja... Druga połowa XIX wieku. Mała rosyjska wioska wśród stepów otoczonych rzadkimi lasami. Rozciągający się przed nami brzozy zagajnik służył za dowód, że nie zboczyliśmy z kursu i nie wylądowaliśmy, powiedzmy, u północnoamerykańskich Indian w czasach

rozkwitku kultury Seminolów pod rządami Bardzo Samotnego Bizona.

Aleks zapuścił brodę i wąsy (metodą przyspieszoną, ma się rozumieć) i teraz wyglądał jak najprawdziwszy rozbójnik. Choć prawdę mówiąc Kozacy niewiele się od nich różnili, a jeśli jeszcze dodamy poszarpany uniform, to rozróżnienie, do jakiego właściwie kozackiego wojska on należy, było niemożliwe.

– Aleks, wyglądasz bosko – powiedziałam z zachwytem, pozerając go wzrokiem. – Teraz przynajmniej nie musimy się bać rozbójników. Po prostu wezmą nas za swoich.

– Dzięki. – Dowódca uśmiechnął się chłodno. – Zapomniałem cię uprzedzić, że będę musiał cię ciągnąć na sznurze. W końcu jesteś branką, mogłabyś uciec w dowolnym momencie. Według legendy nie jesteśmy jeszcze małżeństwem i nie przyjęłaś prawosławia.

Nim zdążyłam otworzyć usta, by zaprotestować, uprzedził mnie kot.

– Aleks ma rację, moja droga – wydukał przez gęstą tkaninę parandży. – Inaczej zawalimy nasze legendy.

– Ty już masz obsesję na punkcie tych swoich legend – warknęłam.

Mruczek z wysiłkiem utrzymywał się na tylnych łapach, a ja miałam wielką ochotę dać mu w ucho. Miałabym do tego pełne prawo, ostatecznie ta mała jest moją młodszą siostrą – ale jak zawsze powstrzymałam się. Cóż robić: dwa głosy przeciw jednemu – musiałam iść dalej przewiązana sznurem w pasie,

pocieszając się tylko, że to dla dobra sprawy.

Okazało się, że wioska, która ukazała się naszym oczom po przejściu zagajnika, nie jest tą właściwą. Ktoś w Bazie coś pomieszał przy wyznaczaniu marszruty – do „naszej” wsi był jeszcze kawał drogi. Dobrze chociaż, że biegł tędy prosty trakt wiodący do miasta powiatowego, więc nie musieliśmy się tłuc na przełaj po jarach i rozmaitych wertepach. Za trzy, cztery godziny dojdziemy...

O tym wszystkim zakomunikował nam dowódca, zapowiedziawszy, że „sięgnie do kartografii”. Zajrzałam mu przez ramię i zdziwiłam się, jakim cudem Aleks może się zorientować w położeniu geograficznym, patrząc na ósemkę kier? A on z absolutną powagą schował kartę za pazuchę i skierował się ku drodze. Ja za nim, na sznurku jak na smyczy, a agent 013 dreptał w ślad za nami w swojej parandży. Jego widok tak mnie bawił, że chwilami zapominałam o swoim smutnym położeniu tadżyckiej branki.

Po gościńcu turkotały chłopskie furmanki, czasem trafiali się piesi wędrowcy, głównie „ptactwo niebieskie”: staruszki i staruszkowie, pątnicy i kalecy. Wszyscy spieszyli do miasta, bo nazajutrz miało się zacząć ważne prawosławne święto. Tubylcy, którzy brali tłuściocha za dziewczynkę, próbowali częstować go pierniczkami, jagodami albo pierożkami i dziwili się: czemu ta mała, zamiast cieszyć się z nieoczekiwanego poczęstunku, chowa rączki pod ubraniem i z niezadowoleniem burczy coś pod nosem? Jednak pomimo chmurności moja „siostrzyczka” swoim krzywym dreptaniem nadal zdobywała sympatię współpodróżnych. Raz nawet serio obawiałam się dekonspiracji, kiedy jakaś rozczulona ciotka próbowała pogłaskać koteczka po głowie. Na szczęście Aleks zdążył ją w porę uprzedzić, że dziewczynka wychowała się według dzikich azjatyckich obyczajów i dla niej to wielka obraza, jeśli ktoś ją próbuje pogłaskać. Może wtedy błyskawicznie ugryźć w rękę, a szczęki mająk z żelaza! Malutka Tadżyjka miała jakoby na koncie już pięć dłoni przegryzionych na wylot, parę uszu i jeden pierożek. Zbyt wylewna ciotka aż się przeżegnała i dała nam spokój.

Mruczuś wytrzymał pół godziny. Nie chodziło nawet o natrętnych podróżnych, a o letni skwar. Kot zgrzał się straszliwie i na najbliższym zakręcie skoczył w krzaki, gdzie klnąc soczyście, wylazł ze swojego hermetycznego futerału. Tryumfowałam...

– No i co? Pamiętasz naszą umowę? W parandży chodzę tylko razem z tobą. Bez ciebie jest jakoś niefajnie – oznajmiłam z fałszywym żalem, ściągając swój strój. Oczywiście nie cały, po co wodzić ludzi na pokuszenie? Zostałam w sukience, na głowę wsadziłam twarzową czapeczkę i potrząsnęłam warkoczykami. Po czym znów zaczęłam dogryzać kotu: – Niedługo trwało to twoje poświęcenie dla sprawy, agencie 013!

– Różne drogi prowadzą do celu – odparł zasapany kot, zdzierając z siebie ciasną sukienkę.

Pod wieczór, kiedy już wszyscy troje padaliśmy z nóg ze zmęczenia, Aleks w końcu przyznał, że do wsi zostało jakiej dziesięć, piętnaście minut marszu, ale w którą stronę – nie wiadomo. Zaczynało się ściemniać, podróżni już się nie trafiali. I wtedy zobaczyliśmy siedzącego na rozstajach chłopca zajętego naprawą łapcia.

Napomknęłam Aleksowi, że nie od rzeczy byłoby zapytać go o drogę. Sądząc po dzikim wyglądzie i obszarpanym przyodziewku, musiał być miejscowy. Zgodził się ze mną i podeszliśmy do chłopka.

– Witaj, przyjacielu. Nie podpowiesz, jak dotrzeć do wioski Pieriedielkino? Powinna być gdzieś w pobliżu – zapytałam bez najmniejszego obcego akcentu, nim Aleks zdążył się odezwać.

– Co mam nie wiedzieć, dobra kobieto, sam tam idę. Ot, bucik załatam i mozem razem iść – odpowiedział chłopina chrypliwym głosem, mierząc naszą trójkę przyjaznym spojrzeniem czarnych oczu.

– Dobrze, tylko się pospiesz, bo nie mamy czasu tu sterczeć do nocy. I tak przez nie powiem kogo cały dzień leziemy bez odpoczynku – burknęłam z rozdrażnieniem i w tym momencie oberwałam od dowódcy w tył głowy.

Nie powinien tak się zachowywać, nawet jeśli tadżyckie branki wykazują się szczególną głupotą. Odwróciłam się błyskawicznie i z całej siły strzeliłam go w japę.

– Przed ślubem łapy przy sobie!

Aleks milczał oszołomiony, potarł policzek i cofnął się. Nie wiem, co się ze mną dzieje... Pewnie w ten sposób znalazło ujście całe zgromadzone w ciągu dnia rozdrażnienie. Wędrowiec wystraszył się trochę, widząc nasze wewnętrzne rozprawy. Czym prędzej zaniechał roboty, wsunął sznurek za pazuchę i podniósł się na nogi.

– Gotowe – zameldował, podskakując na jednej nodze, gdy próbował włożyć łapec. – Ot, kłopot! Widno nie tak ja go zaplótł, na piętę nie włazi.

„Idiota” – pomyślałam, wzdychając głęboko. Powinnam wziąć się w garść, żeby nie ochrzanić Bogu ducha winnego wieśniaka.

– Diabła tam! Przyjdzie iść na bosy, a tu zimno z wieczora – burczał pod nosem. – Ino patrzeć, kulasa odmrozę...

Przypatrzwszy się uważniej, zauważyłam, że włóczęga jest niezwykle blady, niemalże zielonkawy. „Pewnie ma kłopoty z wątrobą – pomyślałam ze współczuciem – choć na pijanicę nie wygląda”. Chłop pożałił się, że teraz będzie musiał zacząć robotę na nowo, ale by nas nie zatrzymywać, po prostu wskaże nam drogę. Odetchnęłam. Muszę przyznać, że w towarzystwie tego bladego typa czułam się jakoś nieprzyjemnie. Miałam nieokreślone złe przeczucia: a może to wampir? Na tę myśl poczułam się już całkiem niewyraźnie, odsunęłam się od nieznanego i schowałam za plecami dowódcy.

– A iść wam trza, dobrzy ludzie, ot, przez ten lasek prosto. Dość trzymać się północnego skraja, a jak Bóg da, że z dróżki nie zbozycie, nie nadaży puchacz trzy razy zahukać, a już Pieriedielkino! A jakbyśta po drodze napotkali kota złudnego ze ślepiami ognistymi, nie pożałujcie trudu, rzeknijcie jemu: czekają go u rozstajów.

– Yik?! – wyrwało mi się.

Aleks, zdaje się, też był nieco zszokowany.

– Jak to, złudnego? – spytał. – Bezcielesnego, widmowego czy co?

– Aha, kocia dusza niespokojna to jest! Do waszego mocno podobny, choć chudszy ze dwa razy – odpowiedział bladolicy, uważnie patrząc na profesora. Ten zmieszał się okropnie i tak jak ja schował się za Aleksa. – U nas tu jeść nie ma co, chleba nie ma, nieurodzaj okrągły rok, jak zimą. Gniewa się widać Pan nasz...

– Rozumiemy. – Dowódca kiwnął głową z powagą, choć prócz niego nikt niczego nie rozumiał. – Często w waszych stronach spotyka się bezcielesne zwierzęta?

– A trafiają się jakie czasem. – Nieznajomy zaintrygował nas jeszcze bardziej, po czym podrapał się w głowę i życzył nam szczęśliwej drogi.

Trzeba przyznać, że rozwinęliśmy na odchodnym sporą prędkość. Już w



lesie zauważyłam, że agent 013 rozgląda się bojaźliwie na wszystkie strony, zapewne przeczuwając bliskie spotkanie z kocim widmem.

– Nawet nie spytaliśmy, jak się nazywa – przypomniałam sobie.

– Kto? Kot? – Mruczek wyraźnie się denerwował. W lesie naprawdę było dość horrorystycznie, krzaki szeleściły podejrzenie, jakieś stworzenia przekrzykiwały się wstrętnymi głosami, a drzewa giganty wystrzelały w górę ku niewidocznemu niebu.

– Nie, ten chłopak, który był dla nas taki miły – wyjaśniłam. Nagle dostrzegłam prześwit między drzewami. Czując wielką ulgę, całą trójką rzuciliśmy się w tamtym kierunku. Kot podciął mi nogi i nieomal przewrócił na opadłe listowie, tak wyrwał z miejsca. Potykając się, zdążyłam zobaczyć parę płomiennoczerwonych świecących oczu – na pieńku siedział jakiś rogaty stworek. Przywidzenie trwało ledwie sekundę i oczy znikły.

Tuż na skraju lasu zaczynała się już wieś, a za nią aż dwa cmentarze. Rozrzucone w malowniczym nieładzie chatynki z pociemniałego drewna, studnia, ogródki – wszystko jak z obrazka. Zaraz w pierwszej chacie nas nakarmiono, wskazano kąć do spania i zaproszono: zostańcie, ile chcecie. Przypuszczam, że ta gościnność wynikała nie tyle z serdeczności tutejszych mieszkańców, ile z widoku carskich czerwońców. Było i srebro, lecz Aleks, ku niezadowoleniu kota, nie lubił skąpić. Ja też uważałam, że kasę należy przekazać w oszczędne łapy agenta 013, żeby Aleks nie miał możliwości, póki trwa akcja w tej wiosce, kupować miejscowym ślicznotkom pierników i cukierków. Możliwe zresztą, że nie zamierzał rozpieszczać obcych dziewczyn, ale ostrożność nigdy nie zawadzi.

Izba, w której nas przyjęli, była typową siedzibą kmiecia (powiedzmy na wyrost: średnio zamożnego) żyjącego na wsi rosyjskiej w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia. Właśnie tak wyobrażałam sobie urządzenie rosyjskiej chaty po lekturze utworów Niekrasowa, choć nie mogę sobie przypomnieć, gdzie był u niego podobny opis.

No dobrze, może w muzeum widziałam? Najważniejsze, że mnie gospodarze wskazali miejsce do spania na piecu, a Aleksowi na zapiecku. Szybko do mnie dotarło, że spanie na rozgrzanym piecu w taki letni żar to średnia przyjemność i szybciotko zamieniłam się z Alekssem. I tak mu nie dam spać w nocy – koc ściągnę albo nos wymażę sadzą, fantazji mi nie brak.

Naszymi gospodarzami była małżeńska para w wieku około sześćdziesięciu lat. Mieli syna, nieco młodszego ode mnie. Chwała Bogu, że nie córkę – bardzo bym się denerwowała z powodu Aleksa. Wystarczy przypomnieć Francję albo Czukotkę... Różne dziewczuchy kleiły się tam do niego dosłownie jak muchy do miodu. Nie wolno go spuszczać z oka! Przecież żaden mężczyzna nie zdoła się opierać w nieskończoność. Nawiasem mówiąc, po co miałby się oglądać za innymi dziewczynami, skoro kocha mnie?! Sam to przyznał, kiedy zostawiał mnie na pewną śmierć w śnieżnej jamie na Dalekiej Północy.

Jedliśmy kolację przy wspólnym stole. Były gotowane ziemniaki w saganku, pierogi i kisiel z malin. Naturalnie dołożyliśmy swoją część prowiantu – ludzie tu niebogaci, a my nie jesteśmy skąpi. Po posiłku gospodyni sprzątała ze stołu, Aleks bajdurzył o swoich przygodach podczas powrotu z wojny w Azji Środkowej, co było w sumie dość nudne. O mnie powiedział, że na imię mi Alija, jestem jego kobietą i wyswatali mu mnie w jednej bardzo zacofanej rodzinie półanalfabetów w dalekim tadżyckim aule.

Kiedy się zorientował, że nie znam rosyjskiego, wyuczyć się nie daję i w ogóle jestem przygłupia, jak to mówią, było już trochę za późno! Chociaż to nie jest szczególnie ważne, bo nie brał mnie przecież po to, żeby rozprawiać o najnowszych tendencjach w filozofii, tylko do roboty w domu. Ogólnie wiadomo, że pociągowe woły są mądrzejsze od Tadżyjek, ale u nich teraz nad Donem zrobiła się moda na żony ze Wschodu.

Kiedy Aleks plótł te wszystkie szowinistyczne brednie, marszczyłam groźnie brwi i piorunowałam go wzrokiem. Bez skutku. Orłow nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi, dyskutując z gospodarzem, kto lepiej i szybciej może zaorać pole: rosyjska kobieta czy wschodnia „kobyła”?

Nie pozostało mi nic innego, jak iść do kota na piec. Jako „nieznająca języka” nie mogłam wszak protestować. Bawiąc się z agentem 013 w łapki, zdołałam dosłyszeć, że teraz przy stole mówią o czarowniku.

– Och, całkiem nas zamęczył, okrutnik – z westchnieniem rzekł Siemion (tak zwano naszego gospodarza). – Chłopa z młodą żonką na weselu zaczarował, jak dzieci się zrobili. Pomór na nas napuścił: jedni chorują, inni już oddali dusze Bogu. We wsi wszyscy święte medaliki noszą, święconą wodą się myją, świece w cerkwi stawiają, wszystko na nic...

– Jakże on się pojawił u was? – Aleks podkreślił wąsy.

– A byli u nas sąsiady, mąż z żoną, Iwan z Marią i brat jej Piętro, i dziad z babką, i krewny ich. Aż tu zaczęli umierać jeden za drugim, jeden za drugim, a wszystkie z niczego! Oho, marli jak muchy, liczyć nie nadażalim. Chociaż jeden to się ostał, Gleb. No on nie tutaj, w żołdacy go wzięli, do Azji posłali z szachem wojować. Toć i tyś tam za cara i ojczyznę krew przelewał... Ale on uciekł ze służby. Dwa razy go przychodzili szukać, na nic, bośmy go tutaj ze trzy lata nie widzieli. I tak dom ich wymarł, niszczyć począł, a tu jak raz zjawił się u nas we wsi chłop jakiś. Mitrijem zwać się kazał i pyta, gdzie Iwanowa rodzina, powiedział, że on syn Iwana. Niby tatulek jeszcze w małych latach na nauki go oddał do znachora jakiegoś. Ot, motał się z tym znachorem po zamorskich krajach, a teraz go na ojcowiznę pociągnęło. Od Gleba wieści nie ma, to i osiadł Mitrij w opuszczonej chałupie za zezwoleniem starosty naszego i wszystkich z Pieriedielkina. Żebyśmy to wiedzieli, kogo wpuszczamy... Wszyscy radzi byli. Ludzie tu u nas dobrzy. A od tej pory zaczęły się rzeczy niedobre dziać. A teraz to nie wiemy, co poczynać z ową napaścią. Jedni mówią, że to upiór, a drudzy, że czarownik zamorski!

Widać było, że cała wieś jest zastraszona, na granicy paniki. Ale jak to mówią, ranek mądrzejszy od wieczora, poszliśmy zatem spać. Usnęłam na swoim zapiecku przykryta kocykiem w stylu folk, całkiem zapomniawszy o tym, że zamierzałam po nocy męczyć Aleksa. Spokojnie przespał do rana, nie mając pojęcia, co mu groziło.

Kiedy się przebudziłam, w izbie została już tylko nasza drużyna. Gospodarze poszli w pole, zostawiając nam na stole śniadanie. Dość bezceremonialnie poszturczałam Aleksa, a kota, śpiącego na brzegu pieca, zwyczajnie pociągnęłam za ogon. Nie ma co czekać, aż zdecydują się obudzić, słońce już wysoko! Oczywiście musiałam wysłuchać paru słów od moich kolegów, ale spać już więcej nie mogli. Umywszy się, Aleks przysiadł się do mnie przy stole. Kot głupich nawyczków nie miał i mył się zawsze PO posiłkach. Po zjedzeniu kaszy z mlekiem wybraliśmy się na spacer po wsi, wzbudzając ogólną ciekawość. Byliśmy wybitnie malowniczą kompanią – kot (do tego nadzwyczaj duży), doński Kozak i prawdziwa Tadżyjka! Tym razem z góry kategorycznie odmówiłam chodzenia na sznurku, choć w zasadzie nikt się tego nie domagał.

Po drodze naradzaliśmy się, od czego zacząć i jak działać. Jako że kot i ja byliśmy teoretycznie niemi, mówił tylko dowódca.

– Istnieje kilka sposobów rozpoznawania wampira. O ile to faktycznie wampir, a nie czarownik – zaczął, robiąc wrażenie poszkodowanego na umyśle Kozaka, który gada sam ze sobą. – Pierwszy, bardzo oczywisty. Nosić ze sobą lusterko i podtykać każdemu pod nos: upiór się nie odbija! I już go można zwinąć, ale ta metoda opiera się na zaskoczeniu. Kiedy wampir się zorientuje, może natychmiast przemienić się w odbijalnego.

Pokiwaliśmy głowami. Profesor miał wielką ochotę wtrącić słówko, lecz gryzł się w język – należało przestrzegać wymogów konspiracji.

– Sposób drugi: znaleźć świeży grób, pusty albo z nierozłożonym trupem. Opcja druga byłaby lepsza, bo na tym by się zakończyła nasza operacja. Wampira by się spaliło na miejscu, to najbardziej niezawodna metoda. Chociaż gdyby był zwyczajnym upiorem, można by postąpić jeszcze prościej: zamiast używać banalnego osinowego lub jarzębinowego kołka, można by przebić mu czaszkę żelaznym gwoździem. Prawie zawsze działa. Można też odciąć mu głowę i położyć w nogach, skuteczność potwierdzona. I w końcu metoda najprostsza: przewrócić go w grobie twarzą w dół. Kiedy wampir się ocknie, zacznie ryc ziemię i tym samym będzie się jeszcze głębiej zakopywał, myśląc, że wygrzebuje się do góry.

Niezły dowcip! Kiedy to sobie wyobraziłam, nie mogłam wytrzymać i głupio zachichotałam, choć zrobiło mi się odrobinę żal łatwowiernego upiora.

– A jak odszukamy jego mogiłę? Jeśli nie znajdziemy rozgrzebanej, to przecież nie damy rady przekopać całego cmentarza, tym bardziej że są tu nawet dwa – zauważyłam logicznie.

Tymczasem zdążyliśmy wyjść poza wiejskie zabudowania i zbliżyliśmy się do starego cmentarza, a wieśniacy przestali się pokazywać. Aleks już otwierał usta, kiedy Mruczek wpadł mu w słowo. Jak wiadomo, dłużej niż to jest niezbędne, koty milczeć nie mogą – inaczej pękną.

– Trzeba najprościej, sprawdzoną metodą – oświadczył z powagą i miną wielkiego znawcy w dziedzinie wampirologii. – Należy tylko znaleźć chłopczyka, który nigdy w życiu nie widział kobiety (ale nie ślepego!), posadzić go na białej kobyle, której jeszcze nigdy nie poprowadzili do ogiera, i puścić ich na cmentarz. Tam gdzie leży upiór, kobyła zarzy i szybko z tego miejsca

odskoczy!

Pokręciłam głową i usiadłam na spróchniałej kłodzie pośrodku cmentarza. To malownicze miejsce znajdowało się na pagórku z trzech stron otoczonym lasem. Na pół zgniłe krzyże pochylały się we wszystkie strony, gdziekolwiek się przewróciły się całkiem, większość mogił zarosła trawą.

– Mnie się jednak wydaje, że nasz obiekt to czarownik, nie wampir – zakończył kot cicho, poddając się mrocznej atmosferze cmentarza, miejsca, gdzie zawsze mimowolnie zniża się głos.

– Diabli wiedzą. Może nie sam tutaj działa – wysunął przypuszczenie Aleks, przysiadając bliźutko. – A propos, wczoraj, kiedy już spaliście, opisałem naszemu gospodarzowi tego podejrzanego chłopca, który nam pokazał drogę. Rezultat zdumiewający!

– No i co?! Co ci powiedział?! – wykrzyknęliśmy chórem.

– Powiedział, że nie zna takiego – odparł Aleks spokojnie.

– No i co tu zdumiewającego, nie rozumiem! – rozżłościłam się.

– A to, że w takim malutkim powiecie wszyscy się zazwyczaj znają, choćby ze słyszenia – wyjaśnił dowódca, wzruszając ramionami.

Zaniepokojony kot położył uszy, lecz nie zwróciłam na to w pierwszej chwili uwagi.

– Mocny argument – zauważyłam sceptycznie. – Można by pomyśleć, że tutejszy naród nie zna innych rozrywek, tylko chodzić w tę i nazad, i ze wszystkimi się zaznajamiać! Ta wasza dedukcja już mi...

W tym momencie kłoc się zakołysał. Zakołysał w dosłownym tego słowa znaczeniu, jakby pchała go od dołu jakaś nadludzka siła. Wyobraźcie sobie, poruszyć solidny kawał kłody z dwojgiem dorosłych ludzi i grubym kotem – trzeba mieć nielichą krzepę! Cała nasza trójka jednocześnie zerwała się z miejsc, nie wiedząc, co będzie dalej.

Spod kłody ukazała się ręka, normalna ludzka ręka, tylko z żałobą pod paznokciami; uniosła kłodę, a w ślad za nią z odsłoniętej rozpadliny wysunęła się głowa z czarnymi rozczochranymi włosami, w których tkwiły suche liście, pełzały mrówki i jakieś żuczki.

Twarz należąca do głowy była zaspana, więc nie od razu zostaliśmy zauważeni. Zaraz jednak czarne oczy szeroko się otwały w wyrazie przestachu i wtedy ją rozpoznaliśmy! A raczej jego – naszego wczorajszego

znajomego z rozstajów, który tak uprzejmie wskazał nam drogę do wsi.

Nie zdążyliśmy nawet mrugnąć, kiedy wyskoczył na wierzch i dał nogę w stronę lasu. Dosłownie osłupieliliśmy z zaskoczenia, dlatego nie od razu rzuciliśmy się w pogoń.

– Ucieka! Ucieknie nam!

– Już nie złapiemy... Co robić, nie poszczęściło się.

– Trzeba puścić jego śladem kota! – krzyknęłam szybko.

– A jak potem odnajdziemy kota? – równie prędko spytał Aleks.

– Sam wrócę – obraził się agent 013, lecz niemal natychmiast zmieszał się, a po jego mordce poznałam, że właśnie spłynęło na niego zrozumienie. – Co ja jestem właściwie?! Pies tropiący czy profesor, naukowy konsultant?! Przy was można stracić resztki godności osobistej! Jak chcecie, to sami sobie za nim biegnijcie!

Tak więc w pościg puścił się Aleks, a ja, niewiele myśląc, puściłam się w ślad za nim. Ale było już za późno, zdążyliśmy tylko zobaczyć, jak nasz znajomek znika w lesie.

– Czyżbyśmy rzeczywiście wykryli upiora? – zapytałam z wahaniem, kiedy wracaliśmy do Mruczka. Mimo że była to już moja czwarta akcja w terenie, czasami miałam wrażenie nierealności, wszystko zaczynało mi się wydawać tylko snem: latające głowy, gadające koty i wilki, utburdy i angyaki, a teraz również, jak widać, rdzenny rosyjski upiór.

– Nie wiem, zobaczymy – mruknął Aleks wymijająco. Kota obok kłody nie było. Zaniepokoiłam się trochę, lecz okazało się, że wszystko w porządku – po prostu badał grób.

– No i jak, bardzo tam mokro? – spytałam, zaglądając do dołu.

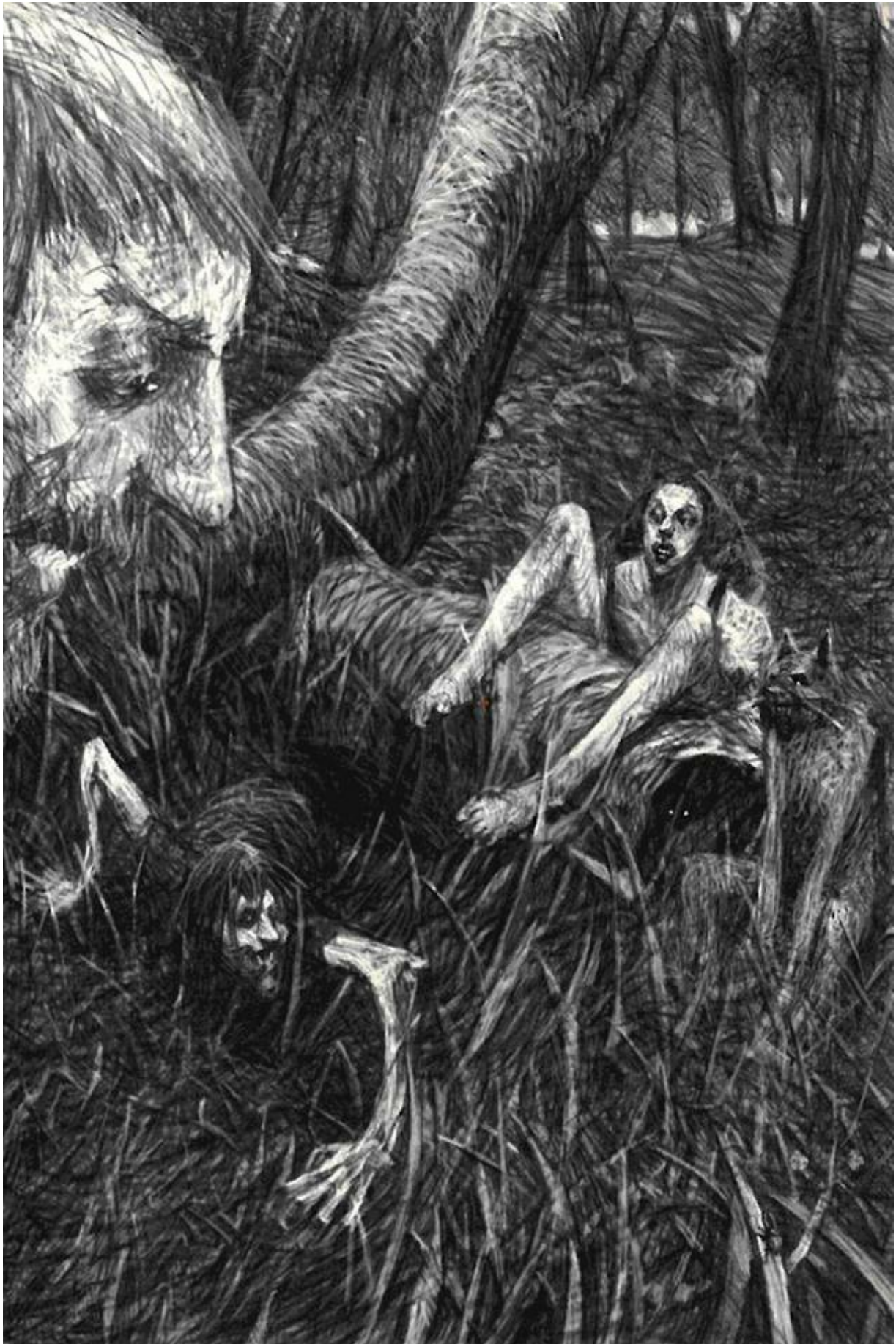
Dziwne, w grobie nie było ani śladu trumny. Naiwnie uważałam, że wampiry wyłazą właśnie z trumien, w których spokojnie śpią za dnia, nie obawiając się klaustrofobii. I kolejna osobliwość: zamiast trumny na dnie mogiły leżał rozścielony kawał parcianego worka. Była tam też butelka z wodą, kawałek suchego chleba, główka czosnku i skorupka jajka.

– To nie grób – skostatował agent 013. Sekundę wcześniej wpadła mi do głowy ta sama myśl. – A raczej kiedyś to był grób, a teraz najprędzej coś w rodzaju ziemianki.

– Może to zbiegły katorżnik? – rozmyślałam głośno, wspomniawszy

Francuza spod mostka. – Albo filozof na podobieństwo Diogenesa, tylko zamiast beczki wybrał mogiłę?

– Jaka różnica? Jak nie upiór, to nam nic do niego – powiedział dowódca, natomiast mnie odwrotnie, przepęłniała ciekawość i wyznaczyłam sobie dodatkowy cel: przed powrotem do Bazy bezwarunkowo dowiedzieć się czegoś o tym „podziemku”.





Przeszliśmy się jeszcze raz po cmentarzu, obejrzelśmy, co się dało, i wróciliśmy do wsi. U płotu okalającego wieś napotkaliśmy staruszkę o dziwnej powierzchowności, tańczącego w miejscu przy akompaniamencie piosneczki bełkotanej pod nosem. Okryty łachmanami, które dawno już straciły prawo do nazwy „ubranie”, na nogach miał, o dziwo, nowiutkie brzozone łapcie jaskrawożółtego koloru. Cała reszta, łącznie z twarzą o czerwonym nosie, wyglądała jak wyciągnięta z second-second-handu. Widać było, że dziadek często zagląda do butelki albo nawet nie oderwał od niej oka przez całe życie. Później dowiedzieliśmy się, że to miejscowy obłąkaniec cieszący się dużym szacunkiem wśród mieszkańców Pieriedielkina.

Tymczasem jednak zupełnie nas nie interesował, mało to pijaków na drogach się pęta? Podpity dziadyga przyczał się w łopianach i raptem jak nie wyskoczy, jak nie zacznie biegać dookoła nas! Aleks już zaczął kombinować, jak by tu najdelikatniej dać do zrozumienia... zresztą co będę ściemniać: jak kopnąć dziada!

A staruszek pogroził mu palcem.

– Wiem ja, co wy szukacie. – Uśmiechnął się kpiąco i mrugnął zezowatym okiem. – Łukaszka wszystko wie, wszystko rozumi. Łukaszka niegłuuuupi! Ale Uriup straszno się zeźli, oj, jak straszno... Cha, cha, cha, aże kolana dygocą.

– Co ty mówisz? – wtrąciłam się. – Co to za jakiś Uriup?

– Łukaszce kazali milczeć. Szysz... – syknął znacząco, przykładając palec do drżących ust.

– Aaa, no to zaraz urządzimy przesłuchanie. Tak to się nie skończy – zagroziłam. – Patrzcie no, milczeć mu kazali...

– Tobie też, nawiasem mówiąc – przypomniał Aleks.

– Alinko, zostaw go, to chory człowiek – poparł go kot, ciągnąc mnie za skraj sukienki. Ale już podciągnęłam rękawy, przekrzywiłam tiubietejkę na bok i...

– Nie tykajcie mnie, nie bijcie! – krzyczał Łukaszka, wijąc się i przykucając ze strachu.

– Nikt cię tu nie ma zamiaru tykać, przyjacielu – odparłam, wykręcając mu rękę. – Jak coś wiesz o miejscowym czarowniku, to lepiej powiedz! Teraz i dobrowolnie. Zrób coś dla dobra całej wsi!

Aleks z profesorem, sycząc, odciągali mnie na bok.

– Uriupowi to się nie spodoba – osądził szaleniec. Sądząc po jego minie,

wystraszył się niewąsko, lecz rwał się do opowieści. Cicho wyjął: – Szukajta kulawego Ignata. A jakby co, Łukaszka nic wam nie gadał!

– Oczywiście. A kto to jest ten Uriup, który strasznie się zezłości?

– Zły czarownik – wyszeptał starzec, marszcząc surowo brwi i unosząc znacząco palec.

– Przynajmniej tyle – ucieszył się kot, chociaż był z początku przeciwny przesłuchiowaniu wariata. – Niepotwierdzona informacja lepsza niż żadna.

Podziękowaliśmy, a Aleks nawet dał dziadkowi kopiejkę.

– Łukaszka milczał! Nie ruszać Łukaszki! Łukaszka nic nie gadał! – Obląkanie wziął pieniądze, powąchał i pobiegł dróżką, strasznie przy tym klucząc, jakby chciał zatrzeć za sobą ślady.

Nie zwlekając, próbowaliśmy sprawdzić pozyskaną informację u pierwszego lepszego przechodnia i zapytaliśmy go, gdzie mieszka niejaki kulawy Ignat. Ku naszemu zdziwieniu chłop wytrzeszczył oczy, odskoczył od nas, jakbyśmy chlusnęli wrzątkiem, i skrył się za najbliższym płotem. Dowódca zadał więc to samo pytanie napotkanej po drodze wieśniaczce. Ciotka przeżegnała się i rzuciła do ucieczki, wlokąc za sobą koromysło z pustymi wiadrami.

– Co za pech. Kto by mógł nam odpowiedzieć? – zastanowiłam się. – Co to za człowiek, że na samo wspomnienie o nim wszyscy prawie zawału dostają?

– Tak, jest o czym pomyśleć – zgodził się Aleks. – Przecież lubisz tajemnice?

Potem trafiliśmy na naszego gospodarza Siemiona, który uciekać za bardzo nie miał dokąd. Z poważną miną wyjaśnił nam, że kulawy Ignat dawno już zmarł. A skorośmy tacy ciekawi, to był on dziadkiem tegoż Iwana, którego rodzinę wykosiła kostucha i w którego chacie osiedlił się czarownik.

Otworzyłam usta, by coś uściślić, lecz w porę sobie przypomniałam, że w pojęciu Siemiona rozumu nie mam za grosz. Nie wspominając o tym, że nie władam rosyjskim; tak więc musiałam ugryźć się w język i tylko służyć agentowi Orłowowi za ładne tło. Jeszcze mu to przypomnę, wiedział przecież, że długie milczenie mnie męczy. Rozumiałam teraz, co czuł kot – rzucił mi sugestywne spojrzenie, jakby mówił: „Jesteśmy bratnimi duszami, dziecino”.

– Choć i pomarł wiele lat temu, sławą się cieszył niedobłą jako czarnoksiężnik! – mówił Siemion. – Ot i teraz ludzie bąkają, że stary Ignat w swoim potomku się odrodził, tymże Mitriju. Strasznie podobny on do dziada Ignata. Prawem zajął Ignatową chatę, bo też tylko ona chata mu się w

spuściźnie dostała...

– Ale na razie to wszystko domysły. Dowodów brak, jak rozumiem? – uściślił Aleks.

– U nas naród prosty, nam dużo nie trza, coby uwierzyć. I żyjem tu sobie podług starych porządków, nie to co wy, na wolnym Donie.

– No pewno – mruknął dowódca, a widząc, że Siemionowi się spieszy, w końcu chłopą wypuścił.

– No to co my tu mamy... – zaczął profesor, kiedy wróciliśmy do chaty. Był czas obiadu, gospodarze tyrali w polu, więc wyszło na to, że całą naszą trójkę muszę nakarmić ja. Kiedy latałam z garnkami, Orłow rozpałał w palenisku, a kotek, siedząc na ławie, był po swojemu nie mniej aktywny: robił bilans naszego śledztwa. – Coraz bardziej to się płącze. Pojawienie się pseudowampira...

– Masz na myśli tego włóczęgę? Tego co bajki o kocim duchu opowiadał? – zainteresowałam się, przepłukując kaszę gryczaną. Starczy i kasza – wybrałam najprostszą potrawę, żeby nie grzebać się długo.

– Jasne, a niby kogo? – odrzekł kot z niezadowoleniem, zły, że mu przerywam i zbijam go z tropu. – Alina, ty się zajmuj kaszą! O czym to ja...?

– O pseudowampirze – odpowiedziałam.

– Nooo, z nim niby wszystko jasne – ciągnął agent 013, zezując na przebiegającą koło pieca mysz. – Chłop okazał się zwykłym bezdomnym, a przynajmniej to, że nie jest upiorem, zostało już udowodnione. Tak na marginesie, są w ogóle jakieś potwierdzenia, że tu grasuje wampir, poza gołosłownymi deklaracjami wieśniaków?

– Są – rzekł Aleks sucho. – Ranki na szyi. Zauważyłem je dzisiaj u tej dwójki, którą wypytywaliśmy o kulawego Ignata. Pochodzenie takich skaleczeń raczej nie wzbudza wątpliwości. Niczego nie zauważyliście?

– Z dołu mi nieporęcznie robić takie obserwacje – burknął kot z wyrzutem. – Szyja mi drętwieje i dostaję kurczów.

– A ja nie zwróciłam uwagi – przyznałam się, mieszając kaszę i niechętno sypiąc do niej dwa razy więcej soli, niż należało. Obejrzałam się z przestachem przez ramię, lecz moi głodni towarzysze chyba niczego nie zauważyli, choć i tak to nie ratowało sytuacji. Profesor tymczasem kontynuował:

– Wraz z pojawieniem się nowych faktów sprawa zagmatwała się ostatecznie. Kto wypija krew z tutejszych mieszkańców? Czemu mamy szukać nieboszczyka Ignata? O jakim złym czarowniku mówił stuknięty Łukaszka? Ja oczywiście rozumiem, że jego spekulacje należy interpretować przez pryzmat współczucia dla osobowości schizofrenicznej, ale...

– A teraz przetłumacz to na rosyjski – poradziłam mu, nie wnikając w sens jego oficjalnej przemowy.

– W ogóle to trzeba zajrzeć do domu czarownika. Nawet jeśli stoi pusty, zawsze jest szansa, że znajdzie się tam coś, co nas zbliży do rozwiązania. Wypada coś zjeść przedtem. Kiedy kasza będzie gotowa?

W zasadzie już była gotowa, tylko chciałam odwlec choć trochę nieuchronną katastrofę. Z duszą na ramieniu wyciągnęłam saganek z pieca i postawiłam na stole. Dużą drewnianą łyżką nałożyłam kaszę na dwa talerze.

– A ty nie będziesz jeść? – zdziwił się kot, nie odrywając oczu od parującej kaszy gryczanej obficie okraszonej masłem.

– Nie, zjem później – odparłam, pochmurniejac jeszcze bardziej. Stopniowo odtajałam, widząc, jak moi towarzysze, robiąc męczeńskie miny, zmiatają kaszę aż do ostatniego ziarenka.

– Dz-dziękuję – wykrztusił kot z trudem, gładząc się po okrągłym brzuchu. Żywo przypominał mi objedzonego wilka ze starej kreskówki „Był sobie pies”.

– Na zdrowie – kiwnęłam głową łaskawie, zerkając na Aleksa, od niego jednak nie doczekałam się słów podzięk.

– Chcesz dokładkę? – spytałam kota, posyłając mu uśmiech Marii Medycejskiej.

Oczy profesora wypełniła zgroza.

– N-nie, dzięki – wysapał, pospiesznie zsuwając się z ławy. – Wszystko dobre, byle w miarę.

Nie zmieniając wyrazu twarzy, złapałam ociężałego agenta i chwyciłam łyżkę, jakby było to narzędzie mord. Mruczusia uratował dowódca. Przez ładne parę minut w milczeniu przeciągaliśmy między sobą kota – ja za przednie łapy, on za tylne. Zwyciężyła brutalna siła...

– To co, idziemy? – zaproponował Aleks jakby nigdy nic.

Cóż było robić? Poszliśmy.

Dom czarownika znajdował się, jak zawsze, na uboczu. To już niejako

nienaruszalna tradycja, choć nie wiem, kto dokładnie ustalił, gdzie wypada mieszkać czarownikom. Było to nawet wygodne, nie musieliśmy tracić czasu na wypytywanie o drogę. Dom niczym szczególnym się nie różnił od innych chatek, może był tylko nieco większy i bardziej zadbany. Weszliśmy na ganek. W pobliżu przeszła kobieta z pustymi wiadrami, patrząc na nas ze strachem.

– Znów zapowiedź kłopotów – westchnęłam zabobonnie.

– Nie kracz – skarcił mnie kot, ale minę miał jakąś niewyraźną. Wąsy mu zwisały jak sznurki, w ślepiach miał niepokój. Powiedziałabym, że się po prostu boi, gdybym nie wiedziała, że nasz waleczny kotek nie zna tego uczucia.

Niezamknięte drzwi skrzyknęły, ledwie ich dotknęliśmy. Oglądając się za siebie, weszliśmy do środka. Wyposażenie takie jak u naszych gospodarzy, tylko pajęczyn po kątach więcej i pająki dorodniejsze. Ławy pod ścianami, stół, stolki – wszystko drewniane. Od razu przy wejściu piec. W sumie wszystko jak u normalnych ludzi prócz jednego: w kącie, za zasłonką, był drugi stół, mniejszy, cały zastawiony różnymi słoiczkami z tajemniczą zawartością. Była tam też waga aptekarska, aparatura ze zwiniętą spiralą – całkiem podobna do niewielkiej bimbrowni, spora liczba szklanych probówek, pustych albo czymś wypełnionych, oraz białe myszki w klatkach. Generalnie całość bardzo przypominała laboratorium. Orłow zabronił mi dotykać czegokolwiek, a sam chyba nie zwrócił uwagi na ten dziwny fakt.

Ale najdziwniejsza rzecz stała się z profesorem, który nagle straszliwie zasyczał, wydał dziki wrzask bojowy i zaczął się tarzać po podłodze, roniąc kłębki sierści i mraucząc bez przerwy! Myszki albinoski wszystkie jak jeden mąż padły zemdlone z różowymi łapkami sterczącymi do góry.

– Czy on ma często takie ataki? – wystraszyłam się, łapiąc Aleksa za rękaw.

– Nie mówiłeś mi, że jest chory na epilepsję. Wypłacają mu chociaż rentę inwalidzką?

Kot zerwał się na nogi, zawył nieswoim głosem i wypadł za drzwi. To wszystko było niepojęte.

– Biedaczek, dokąd on uciekł? Musimy go znaleźć, póki krzywdy sobie nie zrobił! – krzyknęłam, próbując ciągnąć Aleksa za rękaw. On jednak kompletnie nie reagował, kontynuując oglądanie izby. Od czasu do czasu mruczał pod nosem:

– Na pewno tu mieszka. Piec jeszcze ciepły, pościel świeżo zasłana, myszy syte, bo nosami kręcą na okruchy chleba. Charakterystyczny zapach siarki jeszcze nie wywietrzała. Pewnie zajmuje się tutaj nielegalnym wyrobem zapalek, potajemnie, żeby nie płacić podatków.

Zdrętwiałam – ten też zwariował... Nie przestając bredzić, „zbawca ludzkości” nareszcie mnie raczył zauważyć – bladą i strwożoną.

– Ty się niepokoisz o kota? Wszystko w porządku, agent 013 potrafi o siebie zadbać, nieraz już to udowodnił. Ale jak tak się upierasz, możemy iść, tym bardziej że nie mamy już tu czego szukać. Co było do znalezienia, to znalazłem.

Rozejrzałam się na boki, popatrzyłam na jego ręce – nic. Może schował do kieszeni?

– A co znalazłeś? Pokaż, nie bądź taki.

Aleks tylko się uśmiechnął, poprawił czapkę z czerwonym otokiem i wyszedł. Skoczyłam w ślad za nim, bo w domu, gdzie koty wariują, nie zostałam sama nawet pod groźbą rozstrzelania.

Przy furtce natknęliśmy się na naszego ogoniastego przyjaciela. Siedział sobie spokojnie pod drzewem, czekając na nas. Rzuciłam się do niego ze łzami w oczach, zasypując lawiną pytań o samopoczucie. Mruczek zatrzymał mnie królewskim gestem łapy i zwrócił się do Aleksa.

– Ten kot to po prostu dzikus, żadnej kultury – zaczął z oburzeniem. – Barbarzyńca, aborygen! Mógł przecież spokojnie powiedzieć: to moje terytorium, ja tu kot stróżujący. W procesie obustronnego poznania z pewnością byśmy znaleźli wspólny język. W dziedzinie naprawiania wzajemnych stosunków nie mam sobie równych!

Oj, zdaje się, że naszego bohatera mocno wzięło. Chłopcy sami mówili, że superagenci często lądują u czubków. Nasz biedny towarzysz broni... będę cię odwiedzać.

– Aleks, pamiętasz, jak często mnie wysyłali w misje dyplomatyczne, i ni razu nie zawiodłem swojego rządu! A ile międzynarodowych skandali stłumiono w zarodku dzięki mojej interwencji! Choćby w Pribaltice...

Moje podejrzania, że kot zwariował, narastały z każdą chwilą. Zastanowiłam się nawet: czy mają w Bazie kaftany bezpieczeństwa dla schizujących kotów? Według mnie, powinni mieć.

– Ale nie, od razu rzucił się do bitki, i to z taką pierwotną wściekłością, że każdego innego kota na moim miejscu chyba rozszarpał! No, ale ja mam za sobą lata regularnych treningów we wszystkich rodzajach sztuk walki, specjalnie opracowanych dla kotów o solidnej budowie ciała...

Byłam pewna, że majaczy i może to potrwać, więc zdecydowałam się mu przerwać. Głosem drżącym ze współczucia zapytałam:

– Może ci położyć na głowie zimny kompres? Mam chustkę, szybciotko pobiegnę do studni i namoczę... Albo lepiej chodźmy do domu, położę cię do łóżka, kocykiem otulę, napoję mlekiem, bajkę poczytam...

Profesor, słysząc to, wpierw osłupiał, potem wziął się w garść i zmierzył mnie surowym spojrzeniem.

– Ty się dobrze czujesz, dziecino?

Speszyłam się.

Potem jednak przypominałam sobie, że z chorym trzeba się obchodzić delikatnie i cierpliwie.

– O czym ty mówisz, skarbie? Przecież to ty miałeś przed chwilą atak.

– Co?! – Kot wytrzeszczył oczy i z oburzenia zaczął łykać powietrze. Trwało to chyba dobre dziesięć minut, jak pragnę zdrowia. Paskudny nawyk.

– W tym domu był niewidzialny kot – nieoczekiwanie wtrącił się Aleks. – Pamiętasz? Ten, o którym mówił chłop na rozstajach.

W końcu dotarło do mnie, o co chodzi. Posklejałam szczegóły w całość i zrozumiałam, ile jeszcze trzeba się uczyć, żeby zostać pierwszorzędnym agentem. Wynika z tego, że kot widmo faktycznie istnieje i sprawa włóczęgi wcale nie jest taka prosta, jak się wydaje.

– No to ja przepraszam – powiedziałam, wlokąc się za swoimi kolegami.

Na drodze czekał na nas niezdarny wyrostek, rudy i piegowaty. Niezgrabnie uklonił się Aleksowi.

– Witajcie, dobrzy ludzie. Zwą mnie Anton. Nasz sąsiad, Siemion Ryków, co go wszyscy we wsi poważają, mówił o was wiele dobrego. Wiemy, że Kozak chłopu nie druh, aleśmy w rodzinie uradzili, aby zaprosić ciebie, Aleksieju, i żonę twoją, Aliję, na Griszy wesele. Griszka, brat mój, rad będzie was widzieć i kłaniać się prosił. Prosimy bardzo, nie pogardzajcie...

– Pięknie dziękujemy, przyjdziemy – zgodził się dowódca po chwili namysłu.

– Na ślub wypada czarodzieja prosić, taki jest obyczaj – ciągnął Anton. – Ale jak sam widzisz, źle z nim poszło. Dlategośmy pomyśleli, że w miejsce czarownika wy się nadacie.

– Nie rozumiem! – zdumiał się Aleks niepomrotnie, a my wraz z nim.

– Nie gniewajcie się, no, z dalekich stron wy do nas przyszli, takie słuchy chodzą. Gadają baby, że niby wszystkie niechrześcijanki, Tatarki, we wróżeniu wyuczone. A Kozaki dońskie zawsze sławne byli ze swoich wróżów i znachorów. A ty pannę muzułmańską wziął, widać siła twoja wielka! – rozgadał się chłopak, umykając wzrokiem i garbiąc się lekko.

Widocznie trochę się nas bał. Na pewno dlatego, że ja słowem się nie odzywałam. Inaczej skąd by się wzięła ta aura tajemniczości? Może im pokazać parę sztuczek karcianych, to będą nas szanować jeszcze bardziej? Zaraz jednak odrzuciłam ten pomysł jako niegodny szanującej się pary czarowników. Miałam straszną ochotę pogwarzyć z tym chłopakiem – niestety, musiałam udawać, że nie umiem po rosyjsku.

Kiedyśmy się już pożegnali i poszli dalej, dowódca burczał z niezadowoleniem:

– Czy my wyglądamy aż tak tajemniczo, że...

– ...że aż nas zaprosili na weselisko? – dokończył za niego kot. – To przecież wspaniale, moi drodzy! Wyobrażacie sobie, ile tam będzie przysmaków? Choć raz podczas tej operacji zjemy po ludzku. Strasznie mnie suszy po tej dzisiejszej kaszy. Na takim wikcie długo nie pociągnę. – Zdając sobie sprawę, co ryzykuje, kot popatrzył na mnie niepewnie.

Udałam, że nie dosłyszałam. Na kucharkę się do niego nie najmowałam, nie będę więcej gotować dla tych głodomorów i tyle. Niech sami sobie żarcie kombinują. Spochmurniałam, a kotek szybko zmienił temat:

– Bardzo mnie interesuje tożsamość tego widmowego kota. Nie mogę się na razie zorientować w strukturalnym charakterze tej istoty. Kim jest, dlaczego, z jakiej przyczyny i jakie z tego płyną wnioski? Tu, rozumiecie, mogliśmy się spotkać ze zjawiskiem przemiany wampira w kota, do tej pory znanym z podań. Tym samym zapewne przypisywano nam, niewinnym czterołapym obywatelom, ciężkie wampirze przestępstwa. Wampiry w postaci kotów rzucają się na ludzi, gryzą, a mogą nawet zakraść się nocą do łóżka niczego nie podejrzewającego, spokojnie śpiącego człowieka i przegryźć mu gardło!



Nie da się od razu rozpoznać, czy był to zwyczajny kot czy może żądny krwi zwierzołak.

Wyobraziwszy sobie całkiem żywo roztaczane przez kota wizje, wzdrygnęłam się i spojrzałam na naszego kiciusia innymi oczami.

– A ty możesz udowodnić, że jesteś prawdziwym kotem? – spytałam niespokojnie.

Agent 013 tylko machnął łapą z lekceważeniem.

– No cóż, mamy jeszcze sporo czasu do kolacji. Nasi gospodarze, jak sądzę, nie wrócili jeszcze z pola. Może w takim razie obejrzymy dziś nowy cmentarz? – zaproponował Aleks. – To będzie pożyteczna wycieczka. Tak czy owak coś zyskamy. Brak wampirzego grobu to też rezultat.

Nowszy cmentarz oddalony był o dobre dwadzieścia minut marszu. Od rana włączyliśmy się w upale, nic dziwnego, że zaczęłam jęczeć.

– Chce mi się pić!

– Tam jest studnia, idź się napić – odparł Orłow.

– Ale ja jestem zmęczona! Naprawdę macie ochotę się tam wlec? Odłóżmy to na kiedy indziej, dobrze?

Kot przewrócił oczami z irytacją: „Oho, zaczyna się”.

– Powinniśmy zakończyć operację jutro. Sama wiesz, że zwykle jedna akcja trwa nie dłużej niż dwa dni. Powiedzmy, jak się wtrąci siła wyższa, to trzy – powiedział cierpliwie, zaciskając zęby. – Minęła doba, a my nadal drepczemy w miejscu, choć powinniśmy załatwić tego potwora do jutrzejszego wieczora. Możemy oczywiście przeciągnąć to jeszcze o dzień, ale mogą nam za to obciąć premię.

– A propos... skoro wspomniałeś. Kiedy macie w Bazie wypłatę? – Ta kwestia żywo mnie interesowała. Myśl, że charytatywnie ryzykuję życie, jakoś mnie nie bawiła.

– Raz w miesiącu, jak wszędzie. Zaliczka już w przyszłym tygodniu – wyjaśnił kot chętnie.

– A ile dostaje podporucznik?

– Powyżej ustawowego minimum – wtrącił Aleks. – Z tym, że jeśli surowica nie będzie gotowa na czas, wysokość pensji straci dla ciebie wszelkie znaczenie.

– Niestety, on ma rację. Nie zostaniesz z nami na zawsze... W gorszym

wypadku jeszcze maks dwa tygodnie. Będę tęsknił i chciałbym ci podarować coś na pamiątkę. – Profesor bardzo się zmieszał. – Powiedzmy, pierścionek z brylancikiem, jak ci się to widzi?

Widziało mi się oczami wielkimi jak talerze. I to mówi ten wyjątkowo oszczędny, na granicy skąpstwa, kotek?! Taki drogi prezent na pamiątkę? Nie, coś tu nie gra...

– Przepraszam, nie zrozumiałam żartu.

Wlepiłam badawczy wzrok w jego nieśmiałe oczy, dziwnie biegające w oczekiwaniu odpowiedzi. Gdyby nie... Do diabła, powiedziałabym, że się zakochał! Dowódcy najwyraźniej zupełnie się nie spodobały ostatnie słowa partnera. Potrząsnął ramionami, poprawił portupieję<sup>[12]</sup> i poszedł, nie oglądając się za siebie.

– To na znak przyjaźni? – spytałam cicho kota.

– Nie tylko – mruknął mój wąsaty przyjaciel. – Widocznie jednak wybrałem zły moment – zauważył, patrząc za Alekssem. Nie powiedział już nic więcej, w milczeniu ruszyliśmy, by dogonić głowę naszego oddziału.

Teraz w mojej duszy panował już zupełny chaos. Czyżby ten puszysty mrucon czuł do mnie coś więcej niż niechęć? Bo przyjaźni raczej nigdy nie odczuwał... Puchłam z dumy i równocześnie niewytłumaczalnego szyderstwa w stosunku do „krocącego na przedzie”.

No i co, widzisz, zimny draniu, że cieszę się wśród męskiej części ludzkości nie mniejszą popularnością (nawet jeśli to wilki, koty i bioroboty – zawsze jednak faceci!) niż ty wśród damskiej? Ale cóż, choć Mruczuś zawsze zajmował w moim sercu szczególne miejsce, nie mogłam go porównywać z pozostałymi moimi wielbicielami, już lepiej, żeby się we mnie zakochał Aleks. Choć logika podpowiadała, że nie należy zawracać sobie tym głowy, lecz żyć z kotem – trochę kontrowersyjne. Mam na myśli „żyć” właśnie w tym sensie. Wszyscy przyjaciele natychmiast się ode mnie odwrócą z niesmakiem, rodzice też na pewno nie zaaprobuja. Z drugiej strony, jest przecież dobry, mądry, pełen poświęcenia. Ileż to razy osłaniał mnie w razie niebezpieczeństwa, ryzykując własne życie!

Otrząsnęłam się z tych myśli, widząc, że na cmentarzu jest dziś niezwykle ludno. Zeszła się tu chyba połowa wsi. Można by pomyśleć, że odbywa się jakiś festyn. Nie, sądząc po oznakach zewnętrznych, jednak pogrzeb. Mężczyźni

stali z odkrytymi głowami, czarno odziane kobiety zawodziły coś w rodzaju: „A na coście nas zostawili-i-i-i?!”. Te lamenty, o dziwo, kończyły się ogólnym chichotaniem. Twarze żałobników również nie wyrażały smutku. Chłopcy uśmiechali się ukradkiem i stroili figle. Z początku byłam zszokowana podobnym bluźnierstwem, ale kiedy podeszliśmy bliżej, ze zdumienia szeroko otworzyłam oczy. Grobu jako takiego nie było, trumny również. Tylko niewielka dziura, do której akurat wsypywano z małej deseczki garść zdechłych much i karaluchów. Obok wesoło podrygiwał Łukaszka. Ktoś rzucił pierwszą garść ziemi, starając się zrobić odpowiednio żałobną minę. Potem kolejny... W pół minuty „mogiła” została zasypana przez uczestników tego dziwnego misterium. Wszyscy zaczęli się rozchodzić, widocznie spiesząc się na stypę. Z tłumu wyłonił się Anton. Szybki był – zostawiliśmy go we wsi dziesięć minut temu, a już pojawił się w samym centrum wydarzeń.

– No i jak nasz Siemion latokupiec? Prawda, że wesołe święto?! – wypalił z błyszczącymi oczami.

Umierałam z ciekawości, natychmiast chciałam wiedzieć wszystko o zwyczaju grzebania karaluchów – nigdy o czymś takim nie słyszałam. Pospiesznie szturchnęłam Aleksa w bok, chyba dość dotkliwie, bo aż się skrzywił, za to natychmiast pojął aluzję i zapytał:

– Bardzo ciekawe przedstawienie... Wybacz bezgraniczną ciekawość mojej tadzyckiej małżonki i opowiedz nam więcej o tym.

Przy słowie „małżonka” uśmiechnęłam się najmilej, jak potrafiłam.

– Kiedy ona po rusku nie rozumie...

– Ja jej potem artystycznie wszystko powtórzę.

– Na Rusi od dawna w dzień Siemiona latokupca grzebali muchy i karaluchy, żeby odeszły z domów – nie wytrzymał kot, lecz widząc bladego jak ściana Antona, westchnął ciężko i dodał: – To znaczy, chciałem powiedzieć miauu, miauu!

– Czy ty coś teraz słyszałeś? – jęknął chłopak błagalnie, wskazując oczami na spokojnie myjącego się kota.

– Powiedziałem, że na Rusi od dawna w dzień Siemiona latokupca... – powtórzył z naciskiem Aleks.

– Aa, rozumiem, to tyś powiedział... No, wy sami, okazuje się, wiecie wszystko. Tak i być powinno, toż wy ruscy ludzie... – tu się zaciął, spojrzawszy

na mnie. – Pora się zabawić. Spieszyć już mi się trzeba, spotkamy się jutro na weselu. Bo chybaście się nie rozmyślili? No to ładnie...

I chłopaczek pobiegł za swoimi, tylko ryże kosmyki na wietrze mu powiewały.

– Według mnie ten człowiek mocno się odróżnia stylem mówienia od reszty swoich współziomków – zauważył Aleks z zadumą.

– A według mnie ma bardzo ładne włosy – odezwałam się tym samym tonem.

„Kozak chwacki”, jak zawsze, zmierzył mnie tylko wzrokiem i nic nie mówiąc, ruszył dróżką między mogilnymi krzyżami.

– Tu czysto, tu też, a tutaj... – mruzczał. Nagle zatrzymał się obok kolejnego grobu. Z napięciem wpatrywałam się w ów niepozorny kopczyk. Czyżby tam był wampir? – A tutaj... trzeba by posprzątać, skorupkami od jajek naśmiecili.

Z trudem zaczerpnęłam tchu. Znów się ze mnie nabija, debil! Przysunęłam się do kota i życzliwie zagaiłam:

– Mój kochany, a nie chciałbyś, żebym nasmażyła blinów specjalnie dla ciebie? Jak tylko wrócimy do domu, wezmę od gospodyni mąki, jajek, śmietany i co tam jeszcze trzeba...

Mruczek po prostu nie wierzył swojemu szczęściu. Niemal jaśniał jak żarówka, aż mi się zrobiło wstyd. Ale kiedy dostrzegłam, jak Aleks ukradkiem na nas zezuje, nie mogłam się powstrzymać i czule pogłaskałam kota po grzbiecie. Musiał być w siódmym niebie, bo natychmiast zamruczał. No proszę... A jeszcze całkiem niedawno pouczał mnie i wtykał mi szpile, paskudne kocisko! O nie, drogi panie, nie będę się spieszyć z odpowiedzią na twoje nagle objawione uczucia, całkiem możliwe, że drzemie w tobie mąż zazdrośnik i despota!

– Czyli to jednak prawda – wymruczał profesor całkiem rozczulony.

– Co: „prawda”? – Wyprostowałam się gwałtownie.

– Że ty już jesteś na pół potworem – oznajmił jakby nigdy nic ten szaro-biały impertynent.

– Mógłbyś wyjaśnić, co masz na myśli? – zażądałam przejęta nagłą trwogą.

– Źrenice ci się zrobiły pionowe – odparł agent 013 ani odrobinę nie zmieszany. – Takie mi się nawet bardziej podobają. Stajesz się prawdziwą kotką!

Przerażona odwróciłam się do Aleksa, mając nadzieję, że zakwestionuje zdanie kota, lecz mina dowódcy starczyła za tysiąc słów. Żałowałam, że nie mam ze sobą lusterka, zostało w naszym bagażu. Później, wieczorem, popatrzyłam w nie i zaczęłam żałośnie chlipać.

Jakże było mi siebie żal... Miałam wrzecionowate źrenice jak kocica albo żmija! Choćbym nawet znów włożyła parandzę, co to pomoże? Przyciemnianych okularów tu nie dostanę!

Wróćmy jednak do terażniejszości. Kot próbował mnie uspokoić:

– No już, już, nie trzeba się tak martwić. To ma nawet swoje dobre strony: teraz na pewno świetnie widzisz w ciemności.

– Słaba pociecha – jęknęłam, osuwając się na pobliski pień.

– Ja całe życie mam takie oczy i nic! – Kocur kontynuował swoje niezdarne próby pocieszania.

– Ale ja nie jestem kotką i nigdy nie chciałam nią być!! – wrzasnęłam, zrywając się z pniaka. Tym razem obraził się agent 013, zrzędząc, że koty są stworzeniami pradawnymi, szlachetnymi i pod wieloma względami przewyższają pewnych reprezentantów ludzkiego rodu.

W tym momencie odezwał się Aleks:

– Rozumiem cię, Alina, ale cóż robić? Wiedziałaś, co będzie... Do surowicy potrzebujemy jeszcze minimum dwóch potworów. Sama widzisz, że się staramy bez wytchnienia. Może jeszcze tylko tydzień i lekarstwo będzie gotowe. Laboranci harują bez przerwy, sam szef kontroluje ich postępy. Obiecuję, z pewnością cię wyleczymy.

Mówiąc to, dotknął mojego policzka, a mnie łyzy natychmiast polały się potokiem. Przez moment miałam wrażenie, że biorę udział w jednym z hollywoodzkich melodramatów. Moi koledzy wyglądali tak nierealnie i wzruszająco, że zadziałał odruch warunkowy. Aleks ocierał mi łyzy, a ja się bałam poruszyć, czując na sobie spojrzenie jego ukochanych szarych oczu. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek odczuwałam coś podobnego... Z transu wyrwał mnie głos profesora.

– Hej, tu jest świeżo poruszona ziemia, a krzyż stary i spróchniały. Jeśli to nie znaczy „wampir”, to ja jestem primabalerina – zawołał przez ramię, nawet się nie odwracając, gdyż już przystąpił do prac wykopaliskowych.

O krzyż oparta była łopata, którą natychmiast złapał dowódca, by wesprzeć

zbożne dzieło łap agenta 013. Zupełnie zwyczajna łopata, nawet nie zardzewiała. Nikt jej tu raczej nie zapodział, bo takiego dobrego narzędzia zapobiegliwi chłopci nie gubią – z pewnością zostawiono ją specjalnie. Ale kto mógł ją porzucić na cmentarzu? Grabarza jakoś nie widziałam, więc to pewno wampir, który nie chciał sobie brudzić rąk. Spróbujcie dwa razy dziennie przekopywać się półtora metra przez taką sypką, wilgotną glebę. Niezależnie od poziomu inteligencji prędzej czy później każdy, nawet upiór, doszedłby do wniosku, że lepiej wydać parę rubli na łopatę, choćby marnej jakości.

Chłopcy, pracując wspólnie, bardzo szybko dokopali się do trumny. Ja osobiście stałam na straży – nie daj Boże, mogliby się pojawić jacyś niepożądani świadkowie. Aleks łopatą podważył wieko i... trumna okazała się pusta.

– Cholera! Słońce jeszcze wysoko, powinien leżeć tutaj – zirytował się Orłow.

– Tak, o ile nie należy do dziennego gatunku – zaproponował kot.

We dwóch z powrotem zasypali dół i wyrównali ziemię, starając się przywrócić mogile poprzedni wygląd.

– Świetnie, przynajmniej teraz wiemy, o jakiej porze doby nie ma go w domu – wtrąciłam swoje trzy grosze.

– To znaczy, że nasz wampir nie należy do słabych, skoro łązi także za dnia. Takiemu starczy, że odpocznie w grobie choć jeden dzień albo noc, a potem cały tydzień będzie wyglądał jak zwyczajny człowiek. Co za tym idzie, można go schwytać tylko na gorącym uczynku, a to dość skomplikowane w wiosce liczącej ponad pół setki mieszkańców. To mało jak na populację wsi, ale całkiem dużo, kiedy trzeba wysledzić dwa wampiry – rozmyślał głośno profesor, opierając się grzbietem o przekrzywiony krzyż.

– Dlaczego akurat dwa? Skąd ci się to wzięło? – parsknęłam sceptycznie, splatając ręce na piersiach. Nie, żeby mnie ta teoria bardzo interesowała. Jakoś mi się odechciało poszukiwań tego czarownika-wampira. Czułam ciężar na sercu, a w głowie tkwiła jak gwóźdź myśl: kiedy to się wreszcie skończy?! Chcę do domu! Nie do Bazy, tylko do domu! Jasne, Aleks będzie się teraz o mnie troszczył jak prawdziwy rycerz, ale opieka to zupełnie inna para kaloszy – nie ma nic wspólnego z uczuciami. On nie odczuwa ani odrobiny tego co ja do niego...

– Masz niezłe zdolności do dedukcji, skoro na podstawie pustego miejsca potrafiłeś wywnioskować, ile tu działa upiórów – powtórzyłam, gdy kot zignorował moje pierwsze pytanie. Tym razem też mnie nie słyszał zagłębiany w rozmyślaniach.

Obejrzeliliśmy pozostałe groby. Jako że był to nowy cmentarz, pochowanych było tu mniej niż na starym. Wyglądało to tak, jakby w tej wsi ludzie nie tyle żyli, ile umierali. Kiedy znaleźliśmy jeszcze jedną podejrzaną pustą mogiłę, przyznałam rację Mruczkowi i w końcu wróciliśmy do domu. Był już wieczór i czekała na nas kolacja. Kapuśniak ze śmietaną, pieczone ziemniaki, a na deser kołacz i lipowa herbata. Prawdziwa uczta dla kogoś, kto jadł tylko śniadanie (swoją porcję gryki z obiadu oddałam psom).

Siemion był jakiś nieswój, choć jak zawsze uprzejmy. Powiedział, że wybiera się jutro na wesele i boi się, czy czarownik znów czegoś nie zmałuje. Aleks spytał przy okazji, jak się czuje owo małżeństwo, wyobrażające sobie, że są niemowlętami. Siemionowa żona zawiadomiła nas, że rozwijają się powolutku – była u nich wczoraj i już raczkują. Po kolacji nasz gospodarz w skupieniu zaczął czyścić sobie brudne paznokcie. Oboje z kotem rżnęliśmy w „durnia” – znalazłam w tobołku wytłuszczoną talię kart. Naturalnie udawałam, że gram sama ze sobą, a kot symulował drzemkę obok mnie na zapiecku. Potem agentowi 013 znudziło się przegrywać raz za razem. Zapomniał, dureń, że to nie jego ulubione szachy. Problem w tym, że uczciwy kocina nie umiał oszukiwać, a dla mnie przeciwnie, w kartach odkrywały się nieskończone możliwości szachrajstwa. Przy każdej przegranej biednemu Mruczusiowi stroszyły się wąsy, oczy płonęły gniewem, warczał i dęsał się całkiem po dziecinnemu, aż nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. W końcu kot nie wytrzymał i porzucił grę, z głęboką urazą oznajmiając patetycznie:

– Teraz widzę, Alino, że sobie ze mnie żartujesz! Strasznie się pomyliłem, myśląc, że ci się podobam! – Zeskoczył na podłogę i przysiadł się do Aleksa, który przeglądał nasze rzeczy. Gospodarz gdzieś przepadł, ale niebawem wrócił, niosąc łopatę... tę samą, którą Aleks dzisiaj rozkopywał grób wampira! Rozpoznałam ją bez najmniejszych wątpliwości. Zarówno ja, jak i dowódca z kotem w niemy szoku obserwowaliśmy Siemiona, który widocznie nie dostrzegł w naszych oczach nic prócz zaciekawienia, gdyż wyjaśnił:

– Widać ktoś po nocy kopał moją łopata. Szczęście, że zauważył. O, jak stępił. Podostrzyć by trzeba.

Usiadł na ławeczce i wzięwszy osełkę, wziął się do roboty. Strasznie mnie korciło, żeby zapytać, co też jego łopata robiła na cmentarzu. Albo jeszcze lepiej krzyknąć: „Aha, mamy cię, przeklęty upiorze!”. Musiałam jednak powściągnąć emocje. Zaczęłam się zastanawiać nad sytuacją. Jeśli założymy, że Siemion jest istotnie wampirem, czemu nie próbował mnie napocząć, że tak powiem? Jak wiadomo, wampiry przede wszystkim piją krew niewinnych dziewcząt. To nawet obraźliwe, że zostałam tak zignorowana... I jeszcze, według legend, wpierw zagryzają całą swoją rodzinę, dopiero potem biorą się za innych. To już prędzej w tej zupełnie wymarłej rodzinie Iwana powinien być jakiś upiór. Niczego nie rozumiałam, lecz nauczona gorzkim doświadczeniem, nie rwałam się do podejmowania szybkich i nieprzemyślanych działań. Chłopaki pewnie i tak wszystko widzieli.

Zresztą zbliżała się już północ, toteż tak jak wszyscy walnęłam się spać. Kiedy nocą schodziłam z zapiecka – na przykład napić się wody – zwykle następowałam na Aleksa, a potem na kota. Sami byli sobie winni. Niby gdzie miałam stawiać nogi jak nie na piecu? Tej nocy nie natrafiłam stopą na znajome miękkie kosmate ciało i bardzo się zdziwiłam. Szukając Mruczka, nadepnęłam kilka razy na dowódcę, aż odezwał się męczeńskim tonem, czy nie mogłabym spłynąć stąd prędzej. Kota jak nie było, tak nie było. Zaniepokoiliam się.

Odczekałam dwie minuty, myśląc, że może wyszedł na dwór, kocur jednak nie wracał. W izbie było ciemno choć oko wykol, nie dało się stwierdzić, kto gdzie śpi i kogo brakuje. Może Mruczek z powodu gorąca wlaź pod ławkę albo nawet zszedł do piwniczki? Poczekałam jeszcze trochę, w końcu wróciłam na swoje posłanie i zasnęłam.

Obudziła mnie nikła krzątanina w izbie. Było jeszcze dość ciemno, ale za oknem już świtało. Widać tutejsi chłopcy nie uważali tego za wczesne wstawanie, sądząc z odgłosów, rodzina szła do prac polowych. Ostatni wychodził Siemion. Od razu zwróciłam uwagę na jego fizjonomię noszącą ślady niewyspania. Wczoraj też pewnie wyglądał tak samo, tyle że wtedy przecież nic nie wiedzieliśmy. Oczy zaczerwienione, twarz blada, długie paznokcie – pewnie całą noc był na łowach, wampir jeden. Całkiem jak ten w



opowiadaniu Tolstoja!

Na progu Siemion obrzucił nas baczny spojrzeniem. Udałam, że nadal śpię. Kot spokojnie posapywał w nogach u Aleksa. Ledwo Siemion wyszedł za próg, zeskoczyłam do nich na piec i zaczęłam tarmosić Aleksa za ramię, gorączkowo szepcząc mu wprost do ucha:

– Ej, wstawaj śpiochu! No wstawaj! Pora coś zrobić z naszym upiorem. Przecież on teraz będzie słabszy niż w nocy!

Wczoraj wieczorem, kiedy wydała się straszna tajemnica upiora, chciało mi się spać, ale moi partnerzy znali się na swojej robocie. Na bank po kolei śledzili upiora przez całą noc i teraz próbowali odespać. Położyłam się spokojnie, wiedząc, że do mnie można dostać się tylko przez piec, gdzie leżą moi towarzysze broni, więc żaden wampir nie był mi straszny. Jak widać, Siemion jeszcze żyje, a to znaczy, że ktoś dziś rano obudził się chory od upływu krwi.

A ci dwaj śpią jak zabici! Dowódca tylko burknął: „Daj mi spać!”, a kot nawet uchem nie ruszył, kiedy go tarmosiłam, szczypałam i ciągnęłam za ogon. Ogólnie wykazywał pełną obojętność, kiedy próbowałam poruszyć jego sumienie. Machnęłam ręką na tych dwóch śpiochów, złapałam kawałek chleba, pomazałam z wierzchu twarogiem, łyknęłam mleka i wyskoczyłam na dwór. Nie miałam co robić, z nudów płoszyłam liczne kury chodzące po podwórku. Poranny chłodek dokuczał i zmuszał do ruchu. O czwartej rano jest już dostatecznie jasno, choć do właściwego świtu pozostała jeszcze nie mniej niż godzina. Zajęło mnie to na jakiś czas i pewnie dlatego nie od razu zauważyłam nieznanego. Naprzeciwko ganku, pod drzewem, na pieńku, siedział sobie jakiś grubas o dość głupawej powierzchowności. Zatrzymałam się, poprawiłam tiubietjkę i niezbyt grzecznie kiwnęłam głową z miną: no co tam? A ten, radośnie się uśmiechając, skoczył na równe nogi z nieoczekiwaną przy jego tuszy energią i ruszył prosto do mnie w dziwacznych lansadach.

– Gospodarzy nie ma w domu – rzuciłam grubiańsko, oczywiście zapominając, że na czas tej akcji nie mówię po rosyjsku. Zmierzyłam natręta odstręczającym spojrzeniem.

– Dz-dzień dobry, m-m-miła panienko – przywitał mnie tłuścioch, nie przestając szeroko się uśmiechać. Po czym wykonał rozpaczliwie zmanierowany ukłon, błyskając łysiną. Biorąc pod uwagę jego ubiór, wyglądał

jakby wyszedł z satyry Szchedrina. Jego biała koszula z żabotem była wymięta i do cna przepocona, aż sprawiała wrażenie przyrośniętej do ciała. Całkiem jakby jej nie zdejmował co najmniej pół roku. Koszula wpuszczona była w ciemne spodnie, a krótkie tłuste nóżki tkwiły w rozdeptanych kawaleryjskich botfortach. Facet wyglądał tak niedorzecznie, że mój zły nastrój przeszedł jak ręką odjął, z trudem się powstrzymałam od wybuchnięcia śmiechem.

– Czego pan sobie życzy? Herbatą i kawą z czekoladą służyć nie mogę, gdyż tych luksusowych artykułów tu brakuje. Byt wieśniaczy, rozumie pan – oznajmiłam jak najsurowszym tonem. Diabli wiedzą, co to za typ się przyplątał... Niby niegroźny, ale lepiej zachować dystans, może szybciej stąd się zmyje.

– N-n-nie szkodzi, k-k-k... – Z wysiłku jego dobroduszna fizjonomia poczerwieniała.

– Królowo? – uśmiechnęłam się, próbując podpowiedzieć.

– Nie, k-k-k...

– Kruszyno?! – spytałam już z lekkim chłodem.

– Nie, k-k-k...

– Kiciu?! – uniosłam się oburzeniem z racji takiej poufałości.

– Nie, k-k-kartofle z ogórkiem, jeśli można prosić – w końcu wykrztusił i odsapnął, a na jego twarz powrócił promienny uśmiech.

Co za bezczelność!

– Przepraszam, ale to nie jest placówka opieki społecznej. Nie rozdajemy darmowych obiadów. Jedynie sierotom i ubogim, a i to za pozwoleniem władzy, a władza chwilowo śpi. No a pan mi nie wygląda na głodującego z Powołża.

– Nie to nie. – Obcy lekko się obraził, lecz zaraz znów mu wrócił dobry humor: – Że g-gospodarzy nie ma, t-też nie szkodzi. W ogóle to ja chciałem porozmawiać w-właśnie z panią, d-d-droga Alijo. Dlatego m-m-musiałem użyć fortelu i nasłać na pani d-drogich towarzyszy k-k-krzepki sen, innymi słowy, n-n-na krótko uspić – przyznał się ani trochę nie zmieszany.

– Co?! – wykrzyknęłam ze zgrozą.

– N-n-nic strasznego, będą spać równo trzydzieści pięć minut i czterdzieści sekund. Jestem bardzo p-p-pedantyczny w takich sprawach. N-nawyk wypracowany przez lata. – Grubas się uklonił. – M-może usiądziemy n-na

chwile?

Wciąż jeszcze otępiła klapnęłam na ganek, a niziołek usiadł koło mnie i nie tracąc czasu, zaczął paplać:

– P-pozwoli pani, jestem tutejszym dziedzicem. B-byłym, naturalnie... Za czasów p-p-pańszczyzny cały okoliczny lud bez w-wyjątku należał d-do mnie. M-m-mieszkańcy tej i jeszcze pięciu pobliskich wsi byli mo-moimi chłopami. T-t-teraz oni jak p-przedtem orzą moją ziemię i p-p-płacą mi dziesięcinę. Co p-prawda ostatnio już nie p-p-pieniędźmi, a swoją krwią!!! – Przy ostatnim słowie jego oczy rozbłysły i ten rumiany maniak złapał mnie za szyję, obnażając długie wampirze kły.

– AAA-ALEKS!!! – wrzasnęłam swoim zwyczajem, wijąc się w rękach najprawdziwszego upiora. Ale „zbawca ludzkości” oczywiście ani myślał się obudzić. Wampir już praktycznie przyciągnął moje gardło do siebie i zamierzał ukąsić, kiedy w ostatnim momencie zebrałam wszystkie siły, wykręciłam się jak piskorz i wbiłam mu zęby w dłoń.

– Aj! B-boli! – zaskomlał tłusty zboczeniec, wypuścił mnie pospiesznie i zaczął, burcząc pod nosem, wylizywać ranę. Był to tak ohydny widok, że aż brało na wymioty.

– P-p-rzeczam, n-nie wytrzymałem – odezwał się po chwili skruszonym tonem. – Nie chciałem t-t-tak od razu...

– Aha, znaczy, że w ogóle to chciałeś, bydlaku!

Splunęłam mu w twarz i rzuciłam się do zamkniętych wrót – wysokie, ale to nic, można przez płot... Do płotu nie dobiegłam, grubas okazał się niezwykle szybki, dognał mnie w mgnieniu oka, złapał w pasie i powłókł z powrotem na ganek.

– W-więcej p-pani nie d-dotknę, głup-piutka – perswadował, choć jakoś bez przekonania.

– Już ci wierzę, palancie zębaty!

Jednak niezłomny duch nie zmieniał w żaden sposób mojego położenia. Tłuszcioch przemocą posadził mnie na schodku i obrócił twarz ku sobie. Ledwo spojrzałam w te jego królicze oczy, natychmiast zaczął ogarniać mnie bezwład. Ten typas po chamsku mnie hipnotyzował! Po dziesięciu sekundach czułam się jak zalana całkowicie kisielą.

– P-proszę mnie wysłuchać – zaczął z autentyczną powagą krwiopijca – ja n-

n-nie chciałem pani kąsać. P-p-po prostu j-jestem głodny, d-d-dwa dni nie piłem i nie jadłem; T-ten cały pośpiech, z-załatwianie sp-praw... P-proszę się tak n-n-nie dziwić, zwyczajnie także jadam. Jeszcze za życia b-byłem bardzo p-p-przywiązany do jedzenia, c-co chyba widać p-po moje figurze, n-nie? Może p-przejdziemy na „ty”? Proooszę. A wiesz, dlaczego cię n-n-nie ugryzłem? – spytał retorycznie, przekrzywiając głowę na bok.

Chciałam krzyknąć: „Nie, nie wiem, ty chodzący bukłaku na zgniłą krew!” i dodać jeszcze parę innych mocnych słówek, lecz język mi całkiem odrętwiał.

– M-milczysz?! Dziwne, ja bym na twoim m-m-miejscu miał liczne własne p-poglądy w tej sprawie. Ale któż zna cię lep-piej niż ty sama? Generalnie, p-przyszedłem do ciebie z zap-proszeniem na bal. D-d-dziś mamy w-w-wielki Bal Wampirów. Ch-ch-chciałabyś wiedzieć, czemu ak-k-urat ciebie? W-właśnie z tego względu jest-tem tutaj, by zawiad-domić, że oficjalnie wst-t-tąpiłaś w nasze szeregi. – Widząc jednak, że nie rozumiem kompletnie nic z tej przemowy, dodał już lekko zniecierpliwiony: – T-t-ty jesteś jedną z nas!

Po czym prostując się, jakby kij połknął, oświadczył uroczyście:

– T-teraz już oficjalnie należysz do sił Ciemności! O p-p-proszę, rozporządzenie z podpisem samego Wijaja!<sup>[13]</sup>

Ostatnie słowa wymówił ze szczególnym naciskiem, potrząsając żółtą kartką papieru i zapewne dziwiąc się, czemu nie wariuję z radości, skoro spotyka mnie taki zaszczyt i szczęście. Wzruszył ramionami, lecz nagle w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia. Pstryknął palcami i w tej samej chwili rozwiązał mi się język. Aha, ręce też działają...

– Dawaj tu ten głupi świstek! – Wyrwałam zaskoczonemu upiorowi kartkę i przebiegłam oczami tak zwane „rozporządzenie”.

*Niniejszym zaświadcza się, że Alija alias Alina Safina odtąd duszą i ciałem należy do naszego Wielkiego, Potężnego, Niezwycięzonego Władcy Piekła! Ucieleśnienia Wszechpotężnego, Wszechpożerającego Zła...*

I tak dalej, i tym podobnie. To mi całkiem przypominało agenta 013 – też lubi szumne tytuły – ale on jest mimo wszystko bardzo przyzwoitym kotem, pomijając pewne jego słabostki. Któż jednak ich nie ma?

*...automatycznie członkiem związku zawodowego „Potwory i Zwierzolaki”, otrzymuje polisę ubezpieczenia zdrowotnego w zakresie bezpłatnego leczenia u czarowników i znachorów praktykujących czarną magię. Ma też prawo do corocznego dwutygodniowego urlopu w piekle. Polisa obejmuje jedną bezpłatną transfuzję krwi raz na rok.*

– Dlaczego nie urlop całomiesięczny?! Nie, ja się tak nie zgadzam, to jawna dyskryminacja! – oburzyłam się. – A gdzie te należne dwa tygodnie?!

Upiór-obszarnik zatrząsł się, słysząc takie obrazoburcze słowa.

– Co ty, co t-ty! P-p-pomyśl, co ty mówisz! Do całego m-miesiąca w piekle ma prawo tylko czcigodny pan nasz, Wij!

– Niczego nie pomyślę! Zabieraj ten swój świstek i zmiataj. Jeszcze tak nisko nie upadłam, żeby się sprzedawać za ochłapy!

Chyba przegięłam, spurpurowiały na twarzy jąkała wyglądał na naprawdę wściekłego.

– Wszyst-tko jedno, nigdzie n-n-ie uciekniesz, już jest-teś jedną z nas, Alina Uk-k-kaszona Przez Gładkogrzbiet!

Oto jak zwali tego potwora, dzięki któremu siedziałam teraz obok cholernego wampira, porzuciwszy rodziców, studia, dom i ojczyznę!

Nieoczekiwanie skrzypnęły wrota i na podwórze zajrzał Siemion, ale teraz wyglądał odmiennie. Nie był już zwykłym wieśniakiem – przestał się tajniaczyć i paradował całkiem jawnie jako wampir z długimi pazurami i zwierzęcymi ślepiami. Uśmiechnął się złowieszczo i spojrzał na tłustego dziedzica z psim oddaniem.

– Wszystko w porządku, panie? Jakby co, to jestem obok.

– Tak, tak, mój niegodziwy przyjacielu, Zgniły K-kle, nieb-bawem możesz wrócić do rodziny na p-p-pole. B-biedak jeszcze nie zeb-brał siana – wyjaśnił upiór, zwracając się do mnie.

I Siemion, czy może raczej Zgniły Kiel, błyskawicznie przepadł, zamykając za sobą furtę. Tłusty krwio pijca widocznie już odzyskał równowagę, bo znów przywołał na gębę wyraz spokoju i dobroduszości.

– Widzisz, jest-teś nam dziś po p-prostu n-niezbędna! Z-z-zostaliśmy bez królowej b-baluu. Zw-w-wykle mieliśmy taką jedną p-prastarą wiedźmę, ale nied-dawno t-ta jełopa złamała nogę p-podczas tańca na sab-bacie. T-takie

nieszczęście!

– Myślałby kto, wielki problem, niech króluje na balu, siedząc w wózku inwalidzkim – wzruszyłam ramionami. – Co mnie to obchodzi?

– Za-za-zapomniałem powiedzieć, że wczoraj sk-k-konała – odparł upiór ponuro.

– Z powodu złamanej nogi?! – Wytrzeszczyłam oczy. – Niezła trauma...

– N-nie, ze st-tarości, żyła ze d-d-dwieście lat d-dłużej, niż wszyscy p-p-przypuszczali. A czort z nią! Po-po co my o niej w ogóle r-rozmawiamy? G-generalnie jak, zgadzasz się b-być królową?

Zadumałam się głęboko. Królowa wszelkiego diabelstwa, jej wysokość Alina Safina! Brzmi nieźle... Naga na paradnych schodach przyjmuję gości wychodzących z wielkiego kominka, szkielety i rozpadające się trupy całują mnie w kolano. Całkiem jak Małgorzata. Niech to jasny szlag!!! Stać na przeciągu goła – jak kompletna idiotka, a wszelka zaraza będzie się ślinić... Perspektywy średnio przyjemne, jeszcze mnie zeżrą. Tyle że będę się musiała zgodzić w zamian za nietykalność Mruczka i Aleksa. To się nazywa „propozycja NIE DO ODRZUCENIA”.

– Przyjmijmy, że się zgodzę – powiedziałam wymijająco – ale co się stanie z moimi kolegami?

– M-m-możesz ich zjeść s-sama! – rzucił upiór łaskawie i obrzydliwie zachichotał. – Myśleli, że d-dadzą sobie z nami radę, a t-tu figa! Jesteśmy n-niezwyrodnieni! Oni n-nawet nie zdają sobie sp-prawy, na co się p-porywają!

W tej chwili na wrotach przysiadł nietoperz. Wzdrygnęłam się, przecież nie mogą latać w biały dzień!

– Nie dzień, a świt – poprawił mnie uśmiechnięty brzuchacz.

– A ty co podsłuchujesz?! – rozzłościłam się.

– P-po prostu o świcie jest-teśmy bardzo aktywni, a zjed-dnoczywszy się, możemy nawet op-późnić nastanie dnia – wyjaśnił wampir dumny jak paw.

Ukryłam złość, podejrzewając, że przechwałki o tym, że nasza drużyna nic nie zdołała przeciwko tej szajce, mogą mieć całkiem solidne podstawy. Nietoperz tymczasem wzleciał z wrót i wylądował na środku podwórka, gdzie natychmiast dziobnął go kogut. Kogut skądinąd miał rację, gdyż bezczelna latająca mysz spadła prosto na spacerującą tam kure. Oczywiście kogut uznał to za molestowanie seksualne i pQwziął stanowcze środki zaradcze.

Nietoperz klapnął na ziemię bez czucia, nawet skrzydełkiem nie majtnął. Ten obrazek rodzajowy okropnie mnie rozśmieszył, za to straszliwie wzburzony krwio pijca rzucił się z przeraźliwym krzykiem w środek kurzego stadka.

– Tata, tata, t-t-ata!!! K-kochany, co z t-tobą? Wstań! Już ja pokażę temu p-przekłętemu ptaszysku!

Co za troskliwy synek! Jak się przejmuję tatusiem!

Upiór próbował schwytać koguta, ale ten ochrzanił go tylko w drobiowym języku z góry na dół i poleciał na furkę. Krwio pijca wrócił więc do gacka malowniczo walającego się w pyłe i po chwili miałam okazję podziwiać widok pulchnego wampira potrząsającego bezwładnym rodzicem w powietrzu.

– T-t-tato, tatusiu, ocknij się!

Melodramatyczna scena ciągnęła się rozpaczliwie. Szkoda, że nie miałam pod ręką zgniłych pomidorów – przedstawienie zaczynało mnie nudzić. Jednak w tym momencie nietoperz przemienił się w zgrzybiałego chudego staruszka w zakurzonym kaftanie. Z trudem wyrwał się z rąk syna, odsunął go na bok i ruszył prosto do mnie, trzęsąc głową i mocno kulejąc. W ręku niósł drewniany kijek, który według mnie wyglądał jak osinowy kolek.

Dziwne. Myślałam, że wampiry boją się osiny. Chyba miałam nieco głupią minę, bo staruszek uśmiechnął się i wyjaśnił:

– Tym kołkiem zabili mego starego przyjaciela. Zostawiłem sobie na pamiątkę. Nieźle się sprawuje jako laska. Khe, khe, khe...

– Witaj, dziadziu! – przywitałam się z nikłym entuzjazmem. I co jeszcze? Teraz będziemy się fraternizować, przymiłać i w końcu pociągną mnie za sobą. Oj, zapowiada się ciężki dzień!

– Chodź z nami, wnusiu – zaczął dziadek bez żadnych wstępów. – Razem z synem zaraz ci wszystko pokażemy. Bal za pasem, trzeba się pospieszyć – wychrypiał, ani razu się nie oglądając na swego potomka. Miałam ochotę spytać, czy przypadkiem w dzieciństwie nie upuścił synka na główkę, gdyż tłuścioch ma wyraźne odchyły od normy. Ale kiedy lepiej obejrzałam sobie ojca, uznałam, że to jednak dziedziczne.

Nie zdążyłam dokończyć myśli, staruszek bowiem bez uprzedzenia wyrzucił przed siebie rękę i złapał mnie za ramię ze zdumiewającą przy takiej cherlawej postaci siłą.

– Pora, wnusiu, słońce weszło – zakrakał ostatni raz i na moich oczach

rozwiął się w mgłę pod złotymi promieniami słońca.

– Uriup za t-tobą, tatku! – zakrzyknął gruby upiór, za przykładem ojca także przemieniając się w mgłę. Oto kogo Łukaszka nazywał Uriupem i czyjego gniewu tak się bał! A ja, jakkolwiek dziwnie to zabrzmiało, zaczęłam unosić się w powietrze! Dotąd nie zaobserwowałam u siebie żadnych skłonności do lewitacji, ale...

– Alina, ty dokąd? Wracaj natychmiast, słyszysz? – rozległ się głos dowódcy.

Ja jednak nie mogłam wydusić ani słowa. Ulatując ponad dach kurnika i domu, zobaczyłam jeszcze kota skaczącego wysoko w powietrze w daremnej próbie pochwycenia mnie. Gęsty obłok kłębił się ze wszystkich stron. Trudno mi opisać swoje odczucia. Lot na chmurce, choć sporo wilgoci. Niewątpliwie była to robota grubego Uriupa i jego tatusia. Dał im się we znaki ten bal! Czyżby był aż tak ważny? Niebawem cicho zasnęłam, być może z niedostatku tlenu. Otrzeźwiałam, siedząc na ławce w ogrodzie, który otwarcie można było określić jako zapuszczony. Zapadał zmierzch. Nade mną pochylał się „były dziedzic” i sądząc po bananie od ucha do ucha, znów był w swoim nieznośnym życzliwie-jowialnym nastroju.

– Jak się sp-pało, p-pięknotko? – zapytał unieżenie. – Już dz-dziewiąta wieczorem, duszko, tylko to daje mi prawo zak-kłócić ci sen. Pora rozpocząć wy-wypełniać swoje bezp-pośrednie obowiązki, wasza wysokość.

– Królowie nie mają obowiązków – burknęłam, przeciągając się. Dziewiąta? Spałam tak długo? – Co to za miejsce, piękniśiu? – ostatnie słowo wyrzekłam z sarkazmem, przejmując jego styl. Równocześnie kopnęłam siedzącą u moich stóp wronę. Ptak z oburzeniem zakrakał i odszedł, kulejąc. Być może wrona była inwalidką i nie mogła latać. W tej chwili jednak to mnie nie obchodziło, wygładzałam na sobie obcisłą czarną sukienkę. Widocznie przebrali mnie, kiedy spałam. Mam nadzieję, że nic więcej...

Uriup popatrzył w ślad za ptakiem i zauważył, nachylając się do mego ucha:

– N-nie trzeba b-było go ruszać. To stary Ign-nat, bardzo po-potężny czarn-noksiężnik, teraz n-na pewno p-postara się zasz-k-kodzić ci w najb-bliższym czasie, chi, chi, chi...

– Mógł mi się nie pętać pod nogami! – odgryzłam się. – Czekał no, to przypadkiem nie Ignat z tej rodziny, która niedawno cała wymarła? Zdaje się, że miał jeszcze syna Iwana i synową Marię, i dzieci jeszcze jakieś... – Suknia



na mnie zmieniała kolor na szmaragdowozielony. Ciekawe, czy fasony też będą się zmieniać?

– Istotnie, w-wasza w-wysokość, t-to on – potwierdził grubas, znów chichocząc złośliwie. – B-biedni ludzie nie podejrzewali, chi, chi, chi, że ich dziadzio Ignat za sobą do grobu pociągnął. Kiedy umarł, p-przeniósł swoją duszę w ciało w-wrony i tak chodzi zad-dowolony z życia. Choć nie d-do końca. Jednego nijak nie m-może zapomnieć.

– Tęskni za zmarłą rodziną?

– G-dzie tam, jak ost-tatniego wytepił, tak i zap-pomniał od razu, chi, chi, chi... Ale raz się w ż-życiu p-przeliczył: trafiła mu się nie-nie-nielatająca wrona. M-może w dzieciństwie sk-k-krzydła uszkodziła, od tamtej pory t-tak ch-chodzi. To b-była jedyna nielat-tająca wrona w naszych stronach i t-ten stary przyk t-trafił akurat na nią! Chi, chi, chi... Teraz zam-mierza zmienić wygląd i p-pobyć szkieletem!

– Bardzo zabawne, przyznaję. Co to za ogródek i pod jaki resort podpada? – spytałam z iście królewską miną. Teraz miałam na sobie suknię wiśniowej barwy z głębokim dekoltem. Skąd one się brały?

– W-wygląda pani wst-trząsająco, królowo – ukłonił się ten lizus, uśmiechając się obłudnie. – A og-ród w moim mająt-tku. Tym razem zdobyłem honorowe p-prawo wyd-dania Balu Wampirów, w-więc odb-będzie się tutaj. W Rosji l-lepszej polany się nie znajdzie – dodał dumnie, wskazując ręką do przodu.

I rzeczywiście, kiedy wyszliśmy z parku na otwartą kwadratową przestrzeń – a właściwie po prostu na dużą polanę usianą dzwoneczkami i rumiankami – przyznałam mu słuszność. Na brzegach polany uwijały się jakieś paskudne z wyglądu istotki, rozstawiając biało malowane drewniane stoły i krzesła. Kreaturki (widocznie słudzy) były malutkie, niebieskoskóre i czerwonoookie, a przemieszczały się cudacznie rozkraczone. Chodząc, wyrzucały daleko przed siebie szerokie jak płetwy łapy zakończone długimi żółtymi pazurami.

– Jakie śmieszne! – parsknęłam wesoło. Nie bałam się, w Bazie nie takich się naoglądałam, sam wisielec ze stołówki wystarczy. Te same odrażające (i zarazem prześmieszne) potworki porozwieszały na gałęziach kolorowe lampiony ze wstawionymi do środka świecami z ludzkiego tłuszczu. To znaczy tak myślę, bo przecież chyba nie używali cerkiewnego wosku?!

– Czyli ten bal odbywa się w różnych miejscach. A gdzie na przykład był poprzedni?

– W Rum-munii, ojczyźnie n-naszyc przodków. T-tyle tam było m-miejscowych wampirów, że nas, p-przyjezdnych, już nie mieli gdzie p-pomieścić. M-musieliśmy sp-p-pać w lesie po-pokotem. Och, św-wietnie się wtedy zab-bawiliśmy!

Pod wpływem radosnych wspomnień mój cicerone zaczął podrygiwać i klaskać w pulchne dłonie. Potem przypomniał sobie nagle, że gdzieś trzeba umieścić muzykantów, i w podskokach pobiegł załatwić tę sprawę. Z satysfakcją zauważyłam, że wiśniowa suknia transformowała w srebrzystą połyskującą kreację z odkrytymi plecami. Cały czas zmieniała odcienie, przypominając płynący potok, który urywał się nagle u stóp.

Niedługo cieszyłam się spokojem. Uriup nie zdążył mi jeszcze zniknąć z oczu, kiedy na polanie pojawił się jego ojczulek. A raczej wpierw pojawiła się para upiorów w czerwonych liberiach – biegli w moim kierunku, taszcząc niewielkie nosze. Zatrzymali się przede mną tak gwałtownie, że leżąca na noszach istota podskoczyła na pół metra do góry, a potem klapnęła z powrotem. Okazało się, że to ten stary piernik, tatuś Uriupa. Na noszach wyglądał na jeszcze bardziej wyschniętego i leciwego.

– Jak się czujesz, dziadku? – zainteresowałam się uprzejmie. Być może moje pytanie zabrzmiało nietaktownie, bo gołym okiem było widać, że staruszek jest bliski oddania duszy diabłu.

– Doskonale, wnusiu! Tylko poleżę troszkę i do północy będę na nogach. Spraw tyle, że nie ma kiedy spocząć – odezwał się dziadek niespodzianie rześkim głosem. – Nadwerężyłem się po prostu, kiedyśmy cię nieśli z synem w powietrzu na własnych plecach. Krzyże bołą, khe, khe... – zakaszłał. – Strasznieś ciężka jak na swój wzrost, wnusiu...

– Pff... Tylko czterdzieści sześć kilo – wymamrotałam z urazą. Nic więcej nie dodałam, bo i co tu mówić? Potrzebna była wam królowa, no to jestem i się cieszcie! A jeśli musieliście się trochę nadwerężyć, to już wasz problem.

– A gdzież mój malutki Uriupek, mój chłopczyk? – jęknął staruszek tak tęsknym głosem, że się serce krajało, więc wyjaśniłam mu, że „Uriupek” poszedł szukać muzykantów.

– Dziękuję, wnusiu, powodzenia. Chociaż ja bym ci nie radził się

przemęczać... Na razie odpoczywaj, spaceruj sobie, ale uważaj, nie jedz niczego! Ogólnie, być królową balu to nic kłopotliwego: po prostu odprawisz na początku parę rytualików, a potem już możesz bawić się całą noc, jak tylko chcesz.

– Rytualików? Ma pan na myśli przecięcie wstęgi i uroczyste ogłoszenie, że bal się rozpoczął? – upewniłam się naiwnie.

– Eee... hm – zmieszał się dziadek. – Coś w tym rodzaju, przecięcie, tak... Ale wpieryw trzeba przywitać gości. Znaczy się, zobaczymy się na balu, wnusiu.

Noszowi poderwali się z miejsca i rażno pokłusowali przed siebie. Co za niefart, akurat zamierzałam wyciągnąć z dziadygi więcej szczegółów o owych „rytualikach”. Gość wyraźnie coś ściemniał. Już się zbierałam, żeby ich gonić, kiedy zatrzymał mnie jakiś nieduży szkielet. Łotrzyk zaszedł od tyłu i niespodzianie szarpnął za sukienkę. Oczywiście krzyknęłam z zaskoczenia i aż podskoczyłam w miejscu. Mało nie dostałam zawału, a ten kościsty gnom stoi sobie i szczerzy się niewinnie. Co tu się dziwić, że zdenerwowana złapałam go za chudziutkie ramię i odepchnęłam od siebie. Naprawdę lekko...

Gdybym wiedziała, że właśnie w taki sposób dokonuje się nieumyślnego zabójstwa... Uciekłabym gdzieś dalej i wyładowała złość, kopiąc jakieś krzesło, a nie podnosiła ręki na to niewinne stworzenie. Daremne żale, próżny trud – stało się. Mały szkielecik rozsypał się na malutkie kawałeczki, z rozmachem wpadając na rosnące w pobliżu drzewo. Niech ci ziemia lekką będzie, nieszczęsna ofiario mego nieokiełznanego temperamentu! Pewnie teraz do końca życia będę próbowała zmasać swój grzech, a sumienie będzie mnie zagryzać. Przebac mi, głupiej idiotce, nieszczęsny szkielecie... Jaki byłeś „za życia”, nigdy się już nie dowiem, ale nie wątpię, że miałeś dobre serce. Żegnajże, żegnaj, mój mały niedoszły przyjacielu – mógłbyś nim być, gdybyś nie zginął tak bezsensowną śmiercią.

Niebawem przyszedł po mnie Uriup i zaprowadził do domu, klasycznego ziemiańskiego dworku z kolumnami na froncie, który tak samo jak ogród okazał się siedliskiem wszelkiego piekielnego plugastwa. Jak zauważyłam, nikt nie przywiązywał znaczenia do faktu zniknięcia pewnego niewielkiego szkieletu. W salonie siedziały dwie kumoszki-upiorzycy, pierwsi goście. Musiałam paplać z nimi na rozmaite światowe tematy, w rodzaju kisenia i

marynowania ogórków, póki nie zaczęli pokazywać się inni. Po salonie kręciły się te same niebieskie upiorki co w ogrodzie, zapalając świece, rozstawiając talerze z jakąś ciapają i przygotowując butelki z winem. Wszystko to tak bardzo przypominało zwariowany sen, że co rusz się szczypałam. W końcu stwierdziłam, że to nie ma sensu, a mnie zostaną siniaki. Jak sen, to sen! Obejrzymy go sobie do końca, a jeśli zdarzy się coś strasznego, mama mnie na pewno obudzi.

W domu był taki zaduch, że przy pierwszej lepszej okazji wyślizgnęłam się na zewnątrz i witałam gości na schodkach. Gospodarz gdzieś znów zniknął, z jakichś powodów poprosiwszy mnie przedtem, bym się za bardzo z gośćmi nie cackała – niby że tutejsza etykieta wymaga, aby okazywać jak najwięcej grubiaństwa i impertynencji, dopiero wtedy gość będzie naprawdę zadowolony.

Naturalnie, nikogo nie zaczęłam obrażać. Zaledwie pół godziny wcześniej splamiłam ręce i sumienie morderstwem, więc oczywiście moja dusza była pełna skruchy, a w podobnych chwilach wprost ociekam dobrocią. Życzliwość ze mnie bucha pod ciśnieniem i zwykle dostarcza otoczeniu mnóstwa niedogodności, gdyż wszystko knocę, usiłując robić dobre uczynki.

Goście – przeróżne ohydne kreatury o rozmaitych rangach i stopniach zamożności – przybywali, o dziwo, nie przez kominek, a przez główną bramę. Jedni w karecie, inni pieszo, ktoś pełznąco albo i jeden na drugim wierzchem. Tym razem miałam na sobie cudowną pozłocistą suknię naszywaną (jak myślę) prawdziwymi brylantami, a nie szkiełkami. Ciuszek miał tylko jedną wadę: odkrywał mi piersi. Dosłownie – żadnego stanika, wstążeczek, koroneczek... zero. Próbowalam się zakryć spódnicą, ale nie okazała się na tyle długa, by ukryć wszystko. To znaczy, owszem, ukrywała, lecz z kolei na dole... sami rozumiecie. A zresztą kij z tym! Przecież to tylko sen...

Krótko mówiąc, dałam spokój daremnym próbom walki z odzieżą i zrobiłam minę pełną majestatu. (Powiem bez fałszywej skromności, że doskonale mi to wychodziło już w drugiej klasie, kiedy na szkolnym przedstawieniu grałam rolę królowej w „Dwunastu miesiącach”).

Moją szyję też zdobiły drogocенności, a włosy wyrosły aż do pasa i skręciły się w loczki. Ekstra! Uśmiechnęłam się po królewsku i lekko wysunęłam kolano na spotkanie właśnie wchodzącego po schodach gościa – nieco

sinawego młodzieniaszka w czarnym smokingu i cylindrze.

On tymczasem, zbliżywszy się nieśmiało, ze straszliwym uwielbieniem w oczach ukłonił się i... podał mi rękę.

Nie rozumiem!! Tak samo postępowali inni prostytutki, kompletnie ignorując nieśmiertelny tekst Bułhakowa.

Dla każdego miałam dobre słowo, a nawet kilka słów, lecz nikt nawet nie próbował pocałować mnie w kolano. To skandal! To po prostu obraźliwe!!

Uch, w społeczeństwo wampirów, podobnie jak w ludzkie, ostatnimi czasy wkroczyła powszechna demokratyzacja.

Gości było wielu, przy czym wszyscy przedstawiali sobą bardzo niezwykły widok. Na przykład przybyła cała banda błotnych potworów. Ich brudne śliskie ciała miejscami pokrywał zielony szlam. Za nimi pojawiła się delegacja garbatych karłów z Chin w pstrych strojach. Wiele istot o ludzkich korpusach nosiło maski zwierząt i ptaków albo też były diabelskim melanżem cech człowieka i zwierzęcia. Minęło pół godziny, potok gości zaczął wysychać, więc stwierdziłam, że należy mi się odpoczynek. Spóźnialscy raczej nie powinni zabłądzić.

Idąc ogrodową ścieżką, łowiłam zachwycone spojrzenia przygodnych wampirów. Jakiś zboczeniec, siedząc pod drzewem, wydłubywał z dziury w ziemi robaki i z apetytem konsumował. Zauważywszy mnie, wyszczerzył żółte zęby i robiąc niesamowite miny, oznajmił:

– Czudra lubi robaki! Czudra lubi ciocię i da jej pysznego, mniam, mniam, robaka! Czudra nieskąpy, nie żałuje robaków! Czudra może nakopać i wszystkich częstować! Czudra grzeczny!

To mówiąc, podskoczył do mnie i zaczął mi pakować pod nos ręce pełne ziemi z wijącymi się różowymi dżdżownicami.

– Idź sobie, maszkaro! Ciocia nie lubi robaków, ciocia lubi tylko pająki i szczury! – opędzałam się gniewnie, próbując wyminąć tę paskudę. Stwór jednak nie dawał za wygraną.

– Czudra też lubi pająki i szczury, ale robak smaczniejszy. Robak mniam, mniam! Jedz, Czudra częstuje.

– Spadaj w końcu, uprzejmie proszę! – jęknęłam, mając nadzieję, że jeszcze nie zdążył mi zapaprać sukni.

– Kuek, kuek! Potrzebujesz pomocy, królowo moja? – odezwał się ktoś z tyłu.

Obejrzałam się i zobaczyłam zielonego typu, bardzo podobnego do żaby, choć co prawda ludzkiego wzrostu.

– A kysz, kijanko! – rozkazał wciąż jeszcze kotłującemu się u moich stóp wielbicielowi robaków. Ten urażony uciekł na bok i znów usadowił się pod drzewem.



– Zły wujek! – mamrotał do siebie, znów zaczynając ryc w glebie.  
– Dziękuję panu! – zwróciłam się dostojnie do żabopodobnego mutanta.  
– Kueeeek! – zarechotał radośnie i nisko się pokłonił, szastając nogą, na ile się dało w bujnej trawie.

Kiedy patrzyłam na jego głupią fizjonomię, podkusiło mnie, żeby połobuzować.

– Przepraszam, czy to nie pana przypadkiem nazywają Żabią Mordą? – spytałam tkliwym tonem.

– Nazywam się... – zaczął obrażony stwór ziemno-wodny.

– Och, nieważne. Ma pan tak pocieszny wygląd, szczególnie twarz, a dokładniej fizjonomię. Aż same ręce mi się wyciągają, żeby pana pociągnąć za nos! – Nie zwlekając, od słów przesłam do czynów. Zwykle tak się nie zachowuję, ale to przecież sen. Tylko dlaczego moja ofiara tak dziko wrzeszczy?

– Kuek, kuek, kuek!!! Kuaaaauuuu!!! Proszę puścić mój nos! Mój nooos!

Posłusznie puściłam, lecz nie z litości, tylko dlatego, że moja mała rozrywka przyciągnęła całą gromadę paskudnych kreatur, które natychmiast zaczęły wyc i krzyczeć:

– Daj nam jego nos, daj nam jego uszy, zjemy je bez chleba i soli! Daj nam zielonego, rozszarpiemy go na kawałeczki i zjemy!!!

„Chyba pora wołać gości do stołu” – pomyślałam.

Z tego miejsca doskonale było widać polanę, gdzie upiorkowaci służący już kończyli nakrywanie stołów.

– Łaskawi panowie i panie! Jak to się mówi, *ladies and gentleman*, proszę do stołu! Życzę wszystkim smacznego!

Nad ogrodem poniósł się ryk zachwytu i wszystkie te mordy, gęby, paszcze i fizjonomie rzuciły się na polanę jak tornado.

Wreszcie zostałam choć na chwilę sama. Faktycznie – cudowny sen, kiedy opowiem go Aleksowi i kotu, nie uwierzą, powiedzą, że wszystko zmyśliłam. Niby jak można wymyślić coś aż tak cudacznego? Zauważyłam wciąż jeszcze kopiącego w ziemi Czudrę i szczerze mi zaimponował. Chłopak, jak widać, samowystarczalny i żadne bankiety mu nie są potrzebne, jeśli ma pod ręką kawałek trawnika z dżdżownicami. Ten sen jest po prostu niesamowity! Przypomniałam sobie jednak o obowiązkowych rytuałach i trochę się



zaniepokoiliam. Wstążeczki do przecięcia jakoś nigdzie nie widziałam, setek baloników do wypuszczenia w powietrze w odpowiednim momencie – też nie. W takim razie o jakie właściwie rytuały chodzi?!

Powoli dotarłam do polany, usiadłam za najbliższym stołem i popatrzyłam na talerze sąsiadów. Boże, co oni jedli?! Chociaż teoretycznie we śnie można jeść wszystko... Nie miałam zamiaru próbować tych świństw, grzecznie spytałam tylko siedzącą obok harpię:

– Smakuje?

– Aha, te ludzkie jelita są doskonałe! – odpowiedziała starogrecka prukwa, mlaskając ze smakiem. – Język z majonezem też niezły!

– Wołowy? – zapytałam słabo, czepiając się ostatniej nadziei, że na stole znajdzie się coś do jedzenia dla ludzi.

Harpia zmierzyła mnie pogardliwym spojrzeniem, jakby chciała powiedzieć: „Niby królowa, a kompletna kretynka! Nie lepsza od mojej sąsiadki piętro niżej”. Wtedy przeszedł koło mnie ów znajomy brodaty włóczęga z kotem widmem. Kot dumnie stąpał u jego nogi, wydzielając jasny fosforyczny blask.

– Poczekaj, przyjacielu – zatrzymałam czarniawego chłopca. Obejrzał się na mnie z obojętną miną, a jego kot błysnął swoimi czerwonymi ślepiami wyjątkowo gniewnie jak na tak niewielkie stworzenie. Nie spodobało mi się to.

– A co to? Hodujesz kota Baskerville’ów? – spytałam uszczypliwie.

– Tak jakby, wasza wysokość, he, he – odparł facet z rezerwą.

– Posłuchaj, a do jakiego rodzaju diabelstwa należysz? – wypytywałam dalej.

Mój rozmówca nie spieszył się z odpowiedzią, w zamyśleniu podrapał się w piętę. Zobaczyłam, że jedną nogę ma obutą, a drugą bosą – widocznie jeszcze nie naprawił swojego łapcia. Cholernie dziwny typek...

– Ja nie z diabelskich. Mój brat z diabelskich, Mitrij. Czarownik. A kot czarodziejski, ale zwykły – burknął chłop nonszalancko.

Jego odpowiedź lekko mnie wzburzyła.

– Czekaj, czekaj, to ty jesteś ten Gleb, tutejszy dezterter?

– Tak, ten sam, a skąd pani wie? – zmieszał się.

– Pytania zadaję ja! – Nawet widmowy kot przygasił blask w ślepiach, kiedy ryknęłam. – Gdzie twój brat, odpowiadaj! – rozkazałam.

Gleb jednak tylko patetycznie zaczerpnął powietrza i odparł:

– Nie zdradzę brata swego, wasza wysokość, choćby mnie kroili w kawałeczki! Ja nie Kain jakiś!

– To powiedz, czemu otworzył w waszej chacie fabryczkę siarkową?

– Zapałki robimy i żyjemy z tego, opłaca się – odparł dumnie czarnobrody.

– A na ludzi klątwy rzucać to co? – oburzyłam się, wchodząc w rolę obrończyni prawa i porządku.

– Nie mogę odpowiadać za brata. Sam powie, jak zechce, zapyta go pani.

– Zapytaj go, zapytaj! – podniósł się dokoła gwar. Okazało się, że słuchali nas wszyscy na polanie.

– Po to trzeba by go tutaj dostarczyć – zauważyłam logicznie. Ledwie zdążyłam to powiedzieć, z tłumy prosto pod moje nogi wyrzucono jakąś postać.

– To on, to on, czarownik przeklęty!

Jakoś się nie dziwiłam, że potępieńcy nazywają czarownika „przeklętym”. Tacy ludzie bywają totalnymi odludkami – nie uważają ich za swoich demony, istoty Ciemności pogardzają nimi, a ludzie ich nienawidzą.

Z ziemi podnosił się, trzymając za stłuczony bok, dość postawny mężczyzna. Czarownik miał niezwykłą twarz, zbyt przystojną i szlachetną na chłopskiego syna. No cóż, wiadomo, według sennych prawideł nawet śmieciarz może wyglądać jak DiCaprio, a angielski lord kanclerz jak budowłaniec. Czarownik ubrany był w czarny kozuch długi aż do ziemi i skrzypiące buty z czarnej skóry. Pod jego krzaczastymi brwiami złowieszczo błyszcząły ciemne oczy. Demonstracyjnie splótł ręce na piersi i oznajmił wyniośle:

– Chcesz wiedzieć, czemu zakląłem nowożeńców na weselu? A bo mi się zachciało. Lubię to. Niech tylko gdzieś w okolicy będzie wesele – taki już jestem, nie cierpię ożenek. Za każdym razem wymyślam coś nowego. Dziś wieczorem w Pieriedielkinie na weselu... Był tam twój Kozak z kotem – i bezsilni wobec mnie się okazali. Strułem wszystkich! Wszystkich strułem kiszonymi ogórkami mojej roboty – zakończył bardzo z siebie zadowolony.

Tłum zahuczał z aprobatą. A we mnie aż serce zamarło... Aleks!

– Jeżeli moim kolegom coś się stało... – złowróźnie zawiesiłam głos, ale na złoczyńcy nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– E tam, mnie na ich śmierci nie zależy – odparł wzgardliwie. – Ludzi

brzuchy okropnie bolą, żadnej korzyści ze święta. A najwięcej się dostało państwu młodym...

– Coś ty się tak na nich uwziął?! – zawołałam na pół zdziwiona, na pół zła. Czarownik gniewnie błysnął okiem.

– Przed samym ołtarzem narzeczona mnie rzuciła! Od tamtej pory nienawidzę ślubów i gruchających zakochanych gołąbków. Nawet nie policzę, ile mam na sumieniu rozbitych rodzin! Nikt mnie nie zatrzyma, póki nie nacieszę się zemstą.

Teraz stało się jasne, że czarownik jest zwykłym wariatem. Z zawodu alchemikiem, sądząc z z chałupniczego laboratorium w jego domu.

– No cóż, dokładniejszą diagnozą zajmą się lekarze – mruknęłam. Szkoda tylko, że to sen i nasza sprawa nie zmierza do rozwiązania. Chociaż nie, jeszcze nie wiemy, ile w osadzie jest wampirów. Trzeba by policzyć i przekazać kolegom. Holender, znów zapomniałam, że śpię. – Słuchaj, za tobą dom bez klamek tęskni – stwierdziłam, patrząc na niego z litością. – Nie, nie, nie rób takiej miny, to nie więzienie ani punkt poboru do wojska – zarówno przed jednym, jak i przed drugim jesteś bezpieczny. Schizofreników trzymają gdzie indziej.

Widząc Uriupa, który nie wiadomo skąd pojawił się przy moim ramieniu, pokiwałam na niego palcem, by się pochylił, i spytałam, czy w piekielnych wymiarach są jakieś szpitale dla obłąkanych. Zdumiał się wyraźnie i odparł z uśmiechem:

– Gdyby b-były, m-moja królowo, t-to Bal Wampirów b-by się nie odbył. Wszyscy zap-proszeni, łącznie z n-nami obojgiem, znajdowałib-by się w tym samym domu w-wariatów. P-p-roszę się rozejrzeć, czy t-tu ktok-kolwiek jest n-n-normalny?

– Mhm, logiczne – mruknęłam – znakomita większość tutaj ma wygląd kompletnych debili.

Czarownik dosłyszał, co mówię do gospodarza, i zrozumiał do kogo te słowa się odnoszą. Ze złości i oburzenia aż podskoczył, wrzeszcząc z pasją:

– Ach, tak, to ja jestem wariatem?!

– Och, po co zaraz takie sceny? – odparłam. – Nie musi pan tu odgrywać szekspirowskich tragedii. Zdarza się, że niektórych lekarze ratują...

– Przyjaciele i towarzysze walki, szanowne upiory i potwory, czy wiecie, że

ta królowa nie jest waszej krwi, że to perfidna szpiegówka?! Stójcie, jeszcze mnie zdążycie rozszarpać, dajcie mi skończyć – zatrzymał pojedynczych wzburzonych gości, którzy zamierzali bronić mej czci.

– Co on g-gada? – wymamrotał ze złością Uriup. – Ten sz-szaleniec nam wszystko p-popsuje! – Skinął na służących, żeby zgarnęli czarownika z „mównicy”.

– Nie trzeba! – zatrzymałam ich. Ciekawa byłam, co jeszcze facet powie. W końcu to i tak tylko sen.

– Ona działa wspólnie z ludźmi zawodowo zajmującymi się polowaniem na takich jak my. Ta wasza niby królowa przyjechała tu specjalnie, żeby pozabijać wszystkie upiory, które żyją w Pieriedielkinie – to jest dwóch naszych braci!

– Uuuuuuu!!! – zawył tłum.

– Gdzie dowody? Pokaż dowody! – zażądali inni, bardziej nieufni. – Kto ci w ogóle takie bzdury wcisnął?

– Mój kot! – odparł czarownik z godnością. – To bardzo mądre zwierzę i sam go stworzyłem. Drogą skrajnie rygorystycznej selekcji...

– Streszczaj się! – zabrzmiały tu i ówdzie niezadowolone głosy.

– Ten kot może przenikać w świadomość człowieka i czytać jego myśli. Wczoraj w naszej wsi pojawiła się niezwykła trójka: kot, Kozak i branka ze Wschodu. Tak, właśnie tej roli podjęła się wasza samozwańcza królowa. Opowiedział mi o nich brat, który ich spotkał na drodze, a ja podejrzewając coś niedobrego, kazałem ich śledzić mojemu kotu. A potem sam się z nimi zaznajomiłem, przyjmąwszy postać ryżego Antona, kiedy ten był w polu.

Od razu rozpoznałem niebezpieczeństwo, mówię wam: to profesjonalni łowcy potworów i diabli wiedzą, ile mają na sumieniu skór zdartych z naszych współbraci.

– Wrauuuu!!! – rozległ się na polanie chóralny ryk i kilkadziesiąt par wrogich ślepi utkwilo we mnie wzrok.

Coś niedobrze... Boże, niezła rozrywka! Zaraz się obudzę i pójdę na prawdziwe wiejskie wesele, gdzie nas rzeczywiście zapraszano. Pewnie będzie tam o wiele nudniej niż tutaj, w moim śnie.

– I co dalej? – prychnęłam, próbując zachować powagę, kiedy ów utalentowany orator zamilkł na moment, pewnie dla zaczerpnięcia tchu.

– Oto jaką zarazę wpuściliśmy w swoje szeregi! – podsumował ten podlec. –

Wiem, że ja nie jestem dla was autorytetem, ale przecież mój dziad cieszy się wśród was zasłużonym szacunkiem! Czyż nie?

Obecni znów zahuczeli chórem, teraz w tonie aprobaty.

– Więc spytajcie mojego dziada Ignata, który przecie według prawa zajmuje stanowisko doradcy waszego wielkiego ojca i dobrodzieja, czcigodnego pana Wijaja!

Ileż tytułów ma ten facet! Całkiem jak agent 013. Chociaż nie, naszego koteczka na tym polu nikt nie prześcignie. Ciekawe, ciekawe, teraz będziemy mieli okazję jeszcze raz obejrzeć sobie dziadka Ignata. Okazuje się, że on tu jest duża fisza.

Jakiś typ z nogami jak konik polny – kolankami w tył – poskoczył gdzieś szybko, widocznie na poszukiwanie staruszka, ale już po paru sekundach przyleciał z powrotem. Rzucił się prosto do czarownika, z widocznym zdenerwowaniem wyszeptał mu do ucha coś, od czego już i tak podnieconemu draniowi oczy nabiegły czerwienią i dym nieomal poszedł uszami. Odwrócił się do mnie i oskarżycielsko wskazał palcem.

– Mój dziadek nie żyje! I na pewno w tym maczałaś palce. Ty albo ci twoi pieczeniarze! Wróg wśród nas, bracia! Kto mógłby podnieść rękę na mały szkielecik, którym stał się mój bezpowrotnie stracony dziadek?! – krzyczał rwącym się głosem.

W gromadzie strasydeł zawrzało.

– Co? Nasz dziadek nie żyje?! – poderwał się Gleb wciąż jeszcze trzymający pod pachą kota. A otrzymawszy potwierdzenie, zaczął w głos ryczeć.

– Oj, przecie ja niechcący – wymamrotałam.

No proszę, oto kim był nieszczęsny szkielecik. Musiał akurat tak nie w porę zmienić postać? Chodził sobie całe lata jako wrona i było dobrze, ale nie – przypiliło go. Że też o tym zapomniałam, przecie Uriup mi mówił, że Ignat chciał dziś zostać szkieletem.

– Mamy znosić taką bezczelność? – kontynuował czarownik. – Ona będzie ukradkiem zabijać naszych przywódców i krewnych, a my co, mamy na to patrzeć bezczynnie?!

– A ona jeszcze złapała mnie za nos! – usłyszałam z tłumu skargę Żabiej Mordy. Kiedy na niego spojrzałam, szybko zrejterował za czyjeś plecy, lecz jego słowa zadziały jak detonator.

– Mamy to cierpieć?! Zemsta za naszych współbraci i za kulawego Ignata! – zapiszczały, zaskomlały, zawyły ohydne poczwary, ruszając prosto na mnie.

– Ja go nie zabiłam! – zaprzeczyłam, ale nikt mnie nie słuchał. Obrzydliwe szponiaste łapy wyciągały się ze wszystkich stron. – Oj, jeszcze nie! Zaraz się obudzę, a chcę obejrzyć bal do końca – jęknęłam.

– Co chcesz przez to powiedzieć, uzurpatoroko? – zakrzyknął czarownik patetycznie, łapiąc mnie za rękę. – Kładźcie ją na stół i jedzcie, oto prawdziwa krew i mięso, a nie to świństwo robione z nieświeżego trupa! Jej krew...

– Wasza krew, przeklęte kanibale! Mam w sobie krew potwora, takiej samej ohydnej kreatury jak i wy, pokraki! Mam pionowe źreniceeeeeeee!!! – wrzeszczałam, nie przestając się wyrywać.

Z boku stał tłusty Uriupek obserwujący całą scenę z filuternym uśmiechem i z zadowoleniem zacierający dłonie.

– Ach, ty zdrajco! – krzyknęłam, rozdając wszystkim dokoła kopniaki i ciosy pięściami.

Trzeba zauważyć, że potwory, które na mnie napadły całą kupą, nie odznaczały się ani szczególną siłą, ani zręcznością. Może akurat panowała wśród nich moda na cherlawość, a z drugiej strony to nawet wygodne – nie traci się czasu na pakowanie w siłowni. Poważne niebezpieczeństwo stanowili jedynie Gleb z Mitrijem, a ich z kolei odgradziły ode mnie najbardziej zajadłe stwory. Widząc, że na niego patrzę, Uriup bardzo się zmieszał, ale opanował się i nie próbował też przybierać dobrodusznej miny sielskiego ziemianina. Upiór spojrzał na mnie, drżąc z nienawiści.

– N-nie, oni cię n-nie zabiją! – zawołał, dziko rechocąc (co nawet pasowało do nowego scenariusza). – Musisz jeszcze dop-p-pełnić rytuału złożenia ludzkiej ofiary n-naszemu panu! P-potem cię t-tu potrzymamy, aż przyjdą p-po ciebie twoi przyjaciele, a wtedy c-capniemy całą t-trójkę! Chi, chi, chi... Nawet t-tatuś nie wiedział, cz-czemu tak się up-pieram, żebyś właśnie ty była k-królową. Dziś rano uspiłem t-twoich t-towarzyszy, to m-można zrobić na odległość. Ale iść n-na nich w pojedynkę, n-nawet na śpiących, t-to się równa samobójstwu...

– Ty cholerny tchórze! – Próbowałam splunąć na tę przeklętą bekę sadła. Nie podobał mi się od początku, chociaż potem udało mu się usnąć moją czujność swoim podlizywaniem się.

Tak czy owak, świetnie, że parszywy Uriupek nie odważył się zagryźć śpiących Aleksa i kota. O tym, że nie było się czego obawiać, wiedziałam tylko ja – tej dwójce w to graj, żeby pospać o godzinkę dłużej.

– Z-zanieście ją do stołu ofiarnego, n-niech się bierze do roboty – rozkazał gospodarz przyjęcia, wesoło podrygując.

Najwyraźniej nie posiadał się z radości, że jest autorem takiej „sprytnej” pułapki na łowców potworów. No cóż, niech się cieszy, póki może, tłuste bydlę... Zaraz przyjdą Aleks i profesor – nawet we śnie na pewno przyjdą w samą porę – i dadzą ci popalić, pijawko.

Na razie niesiono mnie na rękach w niewiadomym kierunku. Ogród został z tyłu, zorientowałam się, że potwory idą po schodach, na których niedawno witałam gości, a potem nad głową zobaczyłam sufit wampirzego dworu.

– Ej, może tak ostrożniej? Nie jestem gumową lalką! – odezwałam się z pretensją. Ściskające mnie pazury trochę odpuściły.

– Tak lepiej? – spytał jeden z monstrów, bardzo podobny do cmentarnego robaka, tylko ludzkiego wzrostu.

– Może być – odparłam beztrąsko, poprawiając się. Jak się dziś przekonałam, większość tutejszej siły nieczystej była istotami dość prostodusznymi, które łatwo ulegały wpływom.

W końcu dotarliśmy na miejsce, łapska opuściły mnie na podłogę i mogłam się rozejrzeć. Taaak, to było dość okropne miejsce... Wielka komnata zastawiona płonącymi czarnymi świecami różnych rozmiarów. Wysoki sufit wręcz oblepiały nietoperze. Przypuszczałam, że to również wampiry chcące zająć najlepsze miejsca – z sufitu miały doskonały widok. Pośrodku leżał granitowy głaz – nazwany stołem ofiarnym – mniej więcej rozmiarów stołu operacyjnego. Leżała już na nim skrępowana ofiara – chyba jakiś bezdomny, w łachmanach, za to w nowych łapciach. Rozpoznałam wiejskiego głupka Łukaszkę. Nieborak popatrzył na mnie żałośnie i poskarżył się:

– Łukaszkę związali! Łukaszce chcą zrobić kuku... Uu, złe biesy!

– Biedaku! – wyszeptałam. – Nie bój się, to tylko mój sen. Nic ci nie zrobią.

– M-my nie, to t-ty zrobisz – rozległ się za moimi plecami pewny siebie głos Uriupa. Wyciągnął ku mnie ostry nóż wyglądający jak typowe narzędzie rytualnych mordów. Złowrogie bestie z widłami i motykami otoczyły mnie półkolem.

– Jeśli spróbujesz użyć tego noża w innym celu, rozszarpia cię na miejscu w drobne kawałeczki – ostrzegł mnie czarownik Mitrij.

W komnacie stłoczyła się wielka gromada szkaradnych kreatur. Chciwie ciepłej krwi i mięsa, niecierpliwie mnie popędzały:

– No dalej, podrzynaj mu gardło, królowo, inaczej na kolację zjemy ciebie! Niech się leje krew! Prędziej, prędziej, dziewczyno!

Szturchały mnie przy tym, kopały i szczypały, szalejąc z żądzą krwi. Mój sen wyraźnie rozwijał się w niepożądanym kierunku. A bałam się spróbować obudzić, gdyż zaczęło kiełkować we mnie straszne podejrzenie – że nie śpię...

– Nie, ja się tak nie zgadzam! – Z trudem łapałam oddech, wciąż odpychając nacierający tłum. – Dlaczego chłop na stole? Gdzie znormalizowana dziewczica?! To nie rytuał ofiarny, tylko jakaś farsa! Miałam lepsze mniemanie o waszym guście! Gdzie niewinna niebieskooka blondynka?!

– Z-zamknij się, im w-wszystko jedno, co z-zezrą! – ryknął Uriup. – Inaczej sama wylądujesz na tym głazie.

Wciąż się wahałam. Zarznąć człowieka, nawet we śnie, jakoś nie mogłam. Po cholere mi potrzebny dodatkowy grzech na sumieniu? Zaczisnęłam wargi, stanowczo potrząsając głową. Upiór z rykiem wyrwał mi nóż z ręki i zamierzył się na nieszczęsnego Łukaszkę – biedak był związany jak baleron i niewątpliwie Uriup zarznąłby go jak owcę.

– Wolność dla ofiar satanistów! – wrzasnęłam i całym ciężarem zawisłam na ramieniu tłustego krwiopijcy, który z zaskoczenia upuścił nóż.

I w tej samej sekundzie rozległ się głos Aleksa:

– Alina, trzymaj! – Pod nogi upadła mi maska przeciwgazowa. – Wkładaj szybko!

– Atak gazowy? – zdziwiłam się, szukając wzrokiem dowódcy i w tym samym czasie próbując szybko wypełnić jego polecenie. Z pytaniami w rodzaju: „Po co mam nakładać maskę? Przecież kompletnie nie pasuje mi do sukni wieczorowej i zepsuje mi image” dałam sobie spokój, i tak nie było komu ich zadawać. Jakiś karzeł usiłował mi wyrwać ją z rąk, ale to była odosobniona próba. Ledwo zdążyłam założyć ten gumowy dynks, kiedy całą komnatę zasnuł dym i wszędzie wokół rozległy się dzikie wrzaski. Wszyscy zaczęli się skręcać, zakrywając łapami pyski, łącznie z Uriupem i czarownikiem – ten wręcz tarzał się po podłodze, wyjąc wniebogłosy. Podniosłam nóż i



pospiesznie zaczęłam przecinać więzy Łukaszki, który dołączył do ogólnego chóru, zalewając się przy tym obficie łzami. Zwlokłam go za kołnierz z kamienia ofiarnego i pociągnęłam na korytarz, gdzie w panice waliła już reszta sił nieczystych – lecz tam też już było aż gęsto od dymu. Po drodze Łukaszka doszedł do wniosku, że należy biec szybciej, wyrwał mi się i przepadł gdzieś. Poczwały padały na ziemię jak podcięte. Niektóre podrygiwały jeszcze z lekka, przypominając podtrute karaluchy.

Wioskowy wariat zapewne zdążył uciec. Teraz już tylko własne nogi mogły mu pomóc. W tym momencie dopadli mnie Aleks z kotem, obaj w maskach przeciwigazowych. Na szyi Mruczka dyndał krzyżyk, podobnie jak u Aleksa, a obaj tak przeraźliwie śmierdzili czosnkiem, że czułam to nawet przez maskę. Ku memu ogromnemu zdumieniu kocur trzymał w łapie... mój biustonosz.

Wstydliwie odwracając ślepią, podał mi go, dudniąc przez filtr ledwo dosłyszalnie:

– Masz, włóż to. Znalazłem tutaj w jednym pokoju razem z tadżycką sukienką i domyśliłem się, że to twój. Zakryj się szybciej, bo wstyd...

Raptem przypomniałam sobie o swoim bardzo, ale to bardzo przesadnym dekolcie, i zrobiłam się czerwona jak piwonia. Ostatecznie moi koledzy to nie jakieś tam upiory i nigdy by mi do głowy nie przyszło paradować przed nimi w takim stanie, nawet we śnie! Starając się ukryć zmieszanie, tupnęłam nogą i krzyknęłam z rozdrażnieniem:

– Nie masz na co patrzeć? Teraz trzeba zwiewać!

– Właśnie, agencie 013, czas ucieka! – potwierdził dowódca. Złapał mnie za rękę i puściliśmy się pędem przed siebie. Dym za naszymi plecami zaczynał się rozpraszać, więc Aleks rzucił następny granat gazowy. – Wydostaniemy się przez kuchnię, tam jest zapasowe wyjście – poinformował w biegu.

Skręciliśmy w jakiś korytarz – nikogo tu nie było, widocznie wampiry uciekły przez drzwi frontowe.

– Słuchaj, mam nadzieję, że to nie taki gaz, jakiego używali Niemcy z czasie pierwszej wojny światowej? O ile pamiętam, są zabronione przez ONZ – przypomniałam z wyrzutem. – Odwróć się, daj mi się ubrać!

– O rany... Nie, to zwykły gaz łzawiący. Załatwić wszystkie wampiry za jednym zamachem to mało interesujące, bo nad czym potem pracować? –

zażartował Aleks, lecz z powodu maski nie mogłam docenić jego uroczego uśmiechu.

– Tiaaa, i to już cały romantyzm... A ja już myślałam, że w nieopanowanym gniewie zniszczysz na swej drodze wszystkie podłe kreatury, które ośmieliły się podnieść rękę na twoją... ee... twoją towarzyszkę broni! Z bojowym okrzykiem na ustach, że zapłacą za wszystko, rzucisz się w wir walki. I nieważne, że łotry mają przeważające siły – sto, nawet tysiąc razy...! A ty, nie bacząc na własne bezpieczeństwo (choć mógłbyś w sumie pomyśleć o kocie), dokonujesz zemsty! Najokrutniejszej zemsty za swoją... ee... swojego partnera.

Obawiam się, że całej tej tyrady zwyczajnie nie dosłyszał.

Dotarliśmy do kuchni i nasz dowódca wykopał drzwi (choć otwierały się w drugą stronę i na dodatek nie były zamknięte). Po dokonaniu tego efektownego czynu stanął twarzą w twarz z wielgachnym grubym potworem, którego ogromne cielsko całkowicie pokrywało białe futro.

– Yeti? – zdziwiłam się.

– Yhy – potwierdziło dziwadło i rozwarło łapy jak do uścisku. Aleks w samą porę zdążył kopnąć stwora w brzuch. Naturalnie ten cios nie zrobił na yeti najmniejszego wrażenia, a tylko zmienił jego obiekt zainteresowania. Odskoczyłam w kąt, przycupnęłam na stołku i zaczęłam pospiesznie doprowadzać się do porządku. Mieniąca się szatka zacięła się na amen przy ostatnim fasonie, dół rozdarł się w dwóch miejscach, a ze stanikiem na wierzchu wyglądała więcej niż oryginalnie.

W walce wręcz mój bohater nie zdołał zdobyć przewagi. Kozacka szabla w żaden sposób nie mogła przeciąć grubej warstwy sierści, skóry i tłuszczu na ciele potwora.

Sam był sobie winien. Mógł wziąć choćby bazookę, a tymczasem zapomniał nawet o karabinie. Co za durna mania, żeby używać tylko broni z danej epoki. Ej, chwila moment, a granaty gazowe?! Ale nie mogłam go teraz rozpraszać...

Już dwa razy yeti go przewrócił, tylko przypadkiem udało mu się uniknąć ciosu wielkiego kulaka i zerwać się z powrotem na nogi. Nareszcie, kiedy kolejny raz Aleks przemknął pod ramieniem yeti i znalazł się za jego plecami, wyciągnął z kieszeni malutki granat, wyrwał zawleczkę i rzucił bestii pod nogi.

Ruszyłam na pomoc, skoczyłam potworowi na grzbiet. Wisieliśmy tak z Alekssem uczepieni białej sierści jakieś trzy minuty, póki zwierz nie nawdychał się gazu i nie runął na podłogę. Wtedy mogliśmy już bez przeszkód wydostać się na zewnątrz.

Noc, gwiazdy, szmer liści – a poza tym cisza. Nikogo nie było w pobliżu. Aleks zerwał z twarzy maskę, ja poszłam za jego przykładem.

– A... gdzie... agent 013? – wydyszał.

Aha, jak mnie ratować, to nie ma pośpiechu, ale jak kot przypadnie... Olśnienie spłynęło na nas jednocześnie. Przypomniałam sobie, jak Mruczuś w czasie naszej ucieczki utknął w przerażonym tłumie stworów. A jeśli któryś zerwał mu maskę i teraz biedny kot leży gdzieś bez przytomności?

– Zostań tu – nakazał Aleks, ponownie wkładając maskę. – Zaraz wracam. – I zanurkował z powrotem w drzwi, z których buchnął kłęb dymu. Zatkałam nos i odeszłam nieco dalej wzdłuż tylnej ściany domu.

– A, t-to tu się chow-wasz! – rozległ się za mną znajomy głos. Odwróciłam się błyskawicznie i zobaczyłam Uriupa.

Próbowałam dać nogę, lecz tłuszczoch złapał mnie za nadgarstek.

– T-teraz już n-nie uciekniesz, obrzyd-dliwa dziewucho! – Błysnął ostrymi kłami, przymierzając się do mego gardła. Złamałam swoje zasady pokojowego współżycia i z całej siły trzasnęłam go pięścią. Upiór zawył, łapiąc się obiema rękami za podbródek.

– Boli? – wycedziłam. – Ząbki całe? Już niedługo...

Uriup nagle wytrzeszczył oczy z przestachem i odskoczył ode mnie jak oparzony.

– D-dwóch na jednego? N-nie, lepiej p-pobiegnę po p-pomoc – zasyczał złowrogo, po czym rzucił się do ucieczki między drzewa. Za mną stał Aleks, trzymający na rękach owiniętego w moją sukienkę bezwładnego agenta 013. Delikatnie pogłaskałam zmechraną sierść nieprzytomnego kota i otarłam łzę. Mina dowódcy nie wróżyła niczego dobrego.

– Żyje? – spytałam drżącym głosem, obawiając się najgorszego.

Aleks uniósł brwi.

– Oczywiście. Nic mu nie będzie.

Kot odetchnął głęboko i otworzył oczy.

– Zatrzymuję was? – odezwał się z odcieniem poczucia winy. – Może mimo

wszystko się pospieszymy, kochani? Nie chciałbym, żeby przez takich głupków rozdarły mnie wampiry... – Rzucił okiem na mój biust, przekonał się, że jest zakryty, i znów stracił przytomność.

– Streszczajmy się. Znam skrót – powiedział Aleks, przewieszając sobie kota przez ramię.

W posiadłości wciąż jeszcze rozlegały się lamenty ofiar ataku gazowego. Przemknąwszy bez przeszkód za furtkę, znaleźliśmy się w lesie, a potem biegliśmy i bieглиśmy, i biegliśmy... W końcu strasznie się zasapałam. I chociaż dokoła czaiły się hipotetyczne setki straszliwie na nas ciętych upiorów i innych nieokreślonych potworzyszczy, a nas była zaledwie trójka, jakoś straciłam zapał do tego maratonu. Niby co takiego mogą nam zrobić, jeśli to tylko sen? I tu błysnęła mi myśl, że mój wybraniec mógłby spełniać nieco inną rolę niż ta, którą gra w rzeczywistym życiu.

– Alina, co tam, skreśliłaś nogę?

Ukryłam oburzenie, rozcierając zmarznięte ramiona.

– Słuchaj, mądralo, nie przyszło ci do głowy, żeby dać mi swoją marynarkę?!

Orłowi uśmiechnął się ponuro.

– Owszem, przyszło, tylko to jest gimnastorka<sup>[14]</sup>, a nie marynarka. Jeśli nalegasz, to mogę dać.

Ten sen zaczynał mnie wkurzać, ciągnął się, ciągnął i nie chciał zakończyć.

– Słuchaj, kim ty w ogóle jesteś?! Nie, nie mam zamiaru deptać twojej godności – dodałam dla wyjaśnienia. – Po prostu jestem ciekawa, kto ty jesteś?

Nazywasz się Aleks Orłowi, bez żadnego patronimika<sup>[15]</sup>. W życiu jesteś agentem specjalnym, karzesz złych i ratujesz dobrych, na przykład mnie... Ale jaki z ciebie człowiek w gruncie rzeczy? Czy ty w ogóle masz duszę, serce, oczy?! No powiedz, jaki ty masz do mnie osobiście stosunek?!

Kot z trudem uniósł głowę i miauknął słabym głosem:

– Biedna Alinka, nie zdążyliśmy jej uratować? Ciało, owszem, ale nie rozum!

Zagotowałam się.

– Zaczynasz się odzywać, Mruczek – zauważyłam z przekąsem. – Tylko sobie nie wyobrażaj, że jeśli teraz się źle czujesz, to znaczy, że ci wszystko ujdzie płazem!

Agent 013 nic na to nie odpowiedział. Odezwał się tylko cicho do Aleksa:

– Może pójdziemy po cichu? Nie ma za nami pogoni, ale i tak lepiej tu dłużej nie zostawać, to ryzykowne.

Potem znów opuścił głowę, zamykając oczy – być może ponownie zemdlał.

– Racja. – Aleks coś sobie przypomniał, poszukał za pazuchą i wydobył wianek z główek czosnku. – Załóż na wszelki wypadek, gdyby nas gonili. Do rana jeszcze daleko. Aha, i jeszcze... w tej sukience wyglądasz powalająco! – Włożywszy mi na szyję czosnkową osłonę, niczym kocię królowej, wziął mnie za rękę i już bez słowa poszedł dalej.

Och! Taki komplement w ustach dowódcy równał się niemalże wyznaniu miłości! Co za cudowny sen – jak dobrze, że nie przebudziłam się wcześniej!

Cała zasługa przypada tej cudownej złocistej sukni – doskonale podkreśla wszystkie zalety mojej figury. Jeśli oczywiście nie brać pod uwagę, że jest w tej chwili pognieciona i pełna dziur. Na pewno nie wyglądam dużo gorzej. W lesie jednak trochę pochłódniało, wiatr zaczął mocniej zawiewać i od razu zaczęły mi okropnie marznąć nogi, dziwne. Uch... niemożliwe! Spojrzałam w dół: wspaniała kreacja zamieniła się w stary worek. Moje włosy też stały się zauważalnie krótsze, wracając do dawnej długości. O Boże, to znaczy, że Orłow zwyczajnie się ze mnie nabijał, mówiąc „wyglądasz powalająco”?! Nie, próby nawiązywania z tym człowiekiem jakichkolwiek stosunków, poza czysto koleżeńskimi, są pozbawione sensu.

Mocniej zawińęłam się w zakurzony worek. Dobrze chociaż, że sięgał mi do kolan. Ciekawe, kiedy i jak to się stało? Ech, w snach zwykle brakuje logiki. Obawiałam się, że jeśli teraz kot otworzy oczy, znów dozna szoku, nieboraczek. Jak mam się pokazać we wsi? Nawet we śnie to mnie martwiło. Chociaż teraz jest noc i może nikt nie zauważy...

– Jak ci zimno, mogę ci oddać twoją sukienkę. Nie jest taka cudowna jak ta, którą nosiłaś na balu, ale zdecydowanie lepsza niż to, co masz na sobie teraz – zaproponował Aleks, rozpakowując kota. Zaciskając zęby, wyrwałam mu swój ciuszek i uciekłam za drzewo. Po minucie wróciłam do tego nieczułego bałwana w ani trochę nie lepszym humorze. Siedział na pieńku, czekając na mnie.

– Posłuchaj, Alina, musimy coś omówić – zaczął energicznie, wskazując mi sąsiedni pieńek. Takich pieńków było ogólnie trzy – jakby specjalnie wyrąbanych na zebranie jakiejś odpoczywającej w lesie rady dyrektorów.

Otaczał je krąg równo wydeptanej trawy, na której białł kredowy proszek. Na trzecim pniu (najszerszym i najrówniejszym) leżał kot. Mnie, jako ostatniej, przypadł najgorszy, cały w sękach. Usiadłam ostrożnie, patrząc na dowódcę z głęboką urazą. Dziwaczny ten sen. Wołałabym, żeby się już skończył, inaczej nie wytrzymam i pożrę się z Alekssem, a mam wystarczająco dużo kłótni z nim w realu.

– Przede wszystkim wiesz, że uszy ci się zrobiły spiczaste? – zapytał spokojnie. – Rzuciło mi się to w oczy jeszcze w tamtym domu.

– W domu?! Nie, nie, nie... Może ci się wydawało?

– Wyraźnie widziałem...

– A teraz nie widzisz?!

Złapałam się rękami za uszy – och, gdzie się podziały moje malutkie różowe uszka?! Nie tylko się zaostrzyły, również urosły.

– Widzę, choć niewyraźnie, bo jest ciemno! – zawołał Aleks.

– Wyglupiasz się? Nawet teraz widzę wszystko dokoła całkiem dobrze. O proszę, tam mysz przebiegła, tylko nie mów, że nie widziałeś.

– Gdzie mysz? – Agent 013 poderwał głowę, rozszerzając źrenice, lecz złowiwszy moje spojrzenie, wyraźnie dające do zrozumienia, że jest wstrętnym symulantem, podniósł się powoli i usiadł.

– Nie, nie widziałem – odpowiedział Aleks z odcieniem smutku w głosie. – Czyli widzisz też w ciemności...

– W jakiej ciemności? – rozzłościłam się. – Jasno jak w dzień. Może tu jest coś w rodzaju białych nocy, jak w Petersburgu? Taki obszar anomalii...

Tylko pokiwał głową.

– No i co? Nawet jeśli masz rację i ja ostatecznie przemieniam się w potwora, przecież to i tak jest sen! Choć nasuwają się dziwne wnioski, że wszystko jednak odbywało się realnie.

– Kto ci powiedział, że to sen?! – zdziwił się Aleks.

– To nie sen! – oświadczył kot autorytatywnie.

– A więc co takiego? Te jasełka, które mnie otaczały przez cały dzień? – złościłam się. – Tylko mi nie mówcie, że faktycznie magiczny obłok przeniósł mnie na wampirzą imprezę. A chodzący szkielecik, co się rozsypał w proch, ledwo go trąciłam, to co, też był prawdziwy?!

– Mówisz o kulawym Ignacie? – jakby nigdy nic mruknął Aleks.

– Tak, skąd wiesz? Zresztą nieważne. To JEST sen. A to, że byłam królową balu, te suknie, które się na mnie zmieniały w czarodziejski sposób, i ten Człowiek Śniegu, który nie wiadomo skąd się wziął na Balu Wampirów? No co wy, przecież takie brednie mogą się tylko przyśnić. A ja jeszcze nie zwariowałam!

– No cóż, dopuszczamy taką możliwość... Jak się czujesz, agencie 013? – zainteresował się dowódca mimochodem.

– W porządku – odparł profesor, wyginając grzbiet i sadowiąc się wygodniej. – Świeże nocne powietrze dobrze mi zrobiło.

Stan zdrowia kota martwił mnie w tej chwili najmniej.

– Boże, a więc to jednak nie sen!

– No, wreszcie zajarzyła! – zauważył kocur sarkastycznie, drapiąc się tylną łapą w szyję.

I ten złośliwiec zaledwie pół minuty temu udawał śmiertelnie chorego? Miałam wielką ochotę strzelić go w ucho.

– Jak mnie znaleźliście? – zwróciłam się wyłącznie do Aleksa. Teraz już stuprocentowo wierzyłam w realność wydarzeń i przypomniawszy sobie, że pewnie szuka mnie w tej chwili cała szajka wampirów, poczułam słabość w kolanach. Chociaż z drugiej strony, gdybym wtedy nie wierzyła, że śnię, pewnie bym oszalała albo osiwiiała. Albo wszystko naraz.

– Nie bój się, krąg nas ochroni – powiedział Aleks, trafnie oceniając mój stan ducha. – Pomyślałem, że najlepiej będzie, jak zostaniemy tutaj do rana. U Siemiona nie zanocujemy. Nie wypada spędzać nocy z jego rodziną po tym, jak zakołkowaliśmy gospodarza. Poza tym upiory mogą dotrzeć do wsi po naszych śladach. Po co narażać niewinnych ludzi?

– Aha, o ile oni wszyscy nie są też wampirami – zauważyłam.

– Myślisz o tych ranach na 'szyi? To nie takie proste. Po ukąszeniu wampira można rzeczywiście stać się upiorem na jego podobieństwo, ale nie zawsze. Zdarzają się troskliwi krwiopijcy, którzy hodują swoje ofiary jak dojne krowy. I nie wysysają całej krwi do końca, bo nie chcą konkurencji na swoim terenie.

– Kapewu. Wiesz, na tym balu czarownik Mitrij mówił o dwóch wampirach w Pieriedelkinie. Jeśli jednym był Siemion, to kim był drugi? Uriup z ojcem, jak sądzę, dnie spędzają w rodzinnym grobowcu gdzieś na cmentarzu w pobliżu swojego majątku. A może czarownik też jest upiorem?

– Drugim okazał się pan młody.

– Coś ty?! A czarownik się przechwalał, że był na tym weselu, widział tam was i wszystkich otrul kiszonymi ogórkami!

– Łże jak pies! – stwierdził Aleks krótko. – Kiedy cię porwano, Siemion zajrzał przez wrota, zapomniał przy tym zmienić wygląd – pewnie liczył na to, że jeszcze śpimy. Pokazałem mu, ile jest wart doński Kozak w walce wręcz! Przed śmiercią powiedział nam wszystko o Balu Wampirów, o swoim przyjacielu upiorze, który miał się tego dnia żenić, ale stanowczo odmówił informacji, gdzie cię unieśli jego panowie. Próbowaliśmy go tak i owak...

– Torturowaliście go?! – wykrzyknęłam, z niedowierzaniem wodząc między nimi wzrokiem. Obaj odwrócili oczy.

– A co nam pozostało? – rzucił grubas surowo. – Wiesz, jak się martwiliśmy, jak zachodziliśmy w głowę, czy jesteś jeszcze żywa? Musieliśmy nakarmić go czosnkiem... Żeby cię ratować, niewdzięcznico!

– A co się stało z wampirem na weselu?

Profesor, jakby mnie nie słyszał, zaczął ostrzyć pazury o pieńki. Uspokajał w ten sposób skołatane nerwy. Według niego po moim pojawieniu się w drużynie zostały mocno nadszarpnięte, a przecież kiedyś fani obdarzyli kota imieniem Żelazny Nerw!

– To był istny festyn – opowiadał Aleks. – Ludzie postawili słupek na łączce za wsią, do słupa przywiązali świeżo upieczonego żonkosia... Pewnie inaczej sobie wyobrażał swoją noc poślubną. No i się go spaliło, a po wszystkim była zabawa: śpiewy, gry, poczęstunek, czego dusza zapragnie. Aż się nam nie chciało odchodzić, tak było wesoło.

– A panna młoda jak zareagowała? – zapytałam ze współczuciem. Biedna dziewczyna – kto jej się dostał zamiast męża?! Jakiś obmierzły wampirzyna, koszmarne wysysacz krwi. Co za straszne rozczarowanie! Z drugiej strony, może to była jej ostatnia szansa na zamążpójście i wyszłaby nawet za upiora, tylko ludzie jej przeszkodzili.

– W porządku, nie, żeby spokojnie, ale chyba z burzliwą radością. W każdym razie tańczyła najwięcej ze wszystkich.

– A jak rozpoznaliście czarownika?

– A kto jeszcze prócz niego mógłby latem chodzić w czarnym kozuchu? Krótko mówiąc, zjawił się z trzylitrowym słojem kiszonych ogórków i próbował



dyskretnie podmienić ogórki na wszystkich stołach. Może by tego faktycznie nikt nie zauważył, ale szybciotko wyrzuciliśmy to świństwo. Cały czas czekał, kiedy naród zacznie kosić ból żołądka, nie doczekał się jednak. W końcu splunął i poszedł. Widać bardzo spieszył się na bal. Agent 013 poszedł po jego tropie jak najlepszy milicyjny owczarek.

Z kolei ja opowiedziałam, jak zostałam królową i co z tego wynikło. Kot tymczasem słuchał jednym uchem, rozglądał się dokoła i wreszcie zawołał, wskazując łapą kierunek:

– Alarm! Znalezli nas!

Na polankę wypadły wystrojone, prosto z bankietu, wszelkiej maści upiory, stwory bagienne, ziemistoskóre wampiry, garbate karły i wiele innych poczwiar. Rzuciły się na nas całą kupą, wyjąc szaleńczo! Przerazona schowałam się starym zwyczajem za Aleksa, a kot zasyczał, wyginając się w pałąk. I w tej samej chwili cała ta banda z rozpędu rozpląszczyła się na niewidzialnej ścianie magicznego kręgu. Wycie stało się głośniejsze, lecz teraz brzmiało w tonie rozczarowania.

– Musieliśmy sięgnąć po magię – wyjaśnił dowódca bez emocji.

– To ty znasz się na czarach? – zdziwiłam się, na wszelki wypadek odsuwając dalej od miejsca, gdzie na ścianę niemrawo próbował się wdrapać Żabia Morda. Nie był w tym odosobniony: cała banda najbardziej energicznych i rozzłoszczonych kreatur usiłowała za wszelką cenę dostać się do zdobyczy (czyli nas). Otoczyli kołem niewidzialny mur i włączając jeden drugiemu na głowę, wspinali się coraz wyżej.

– Nie, na magii się właściwie nie znam, krąg z poświęconej kredy to zaledwie element samoobrony zaczerpnięty z literatury klasycznej. – Aleks również przypatrywał się stworom, choć bez strachu, raczej z zainteresowaniem, jak na wycieczce w dziwnym zoo.

Ledwo zdążyłam z niepokojem pomyśleć: „A do jakiej wysokości działa ochronna siła kręgu?“, kiedy z góry rzuciły się na nas trzy nietoperze. Aleks z kozacką fantazją wyciągnął szablę i rozsiekał na dwie połowy najbliższego gacka. Nietoperz zdążył tylko złowrogo pokazać ząbki i spadł nam pod nogi. Osłaniałam się rękami przed atakującym drugim potworkiem – próbował capnąć mnie za szyję, ani trochę nie bojąc się czosnkowego wianka.

Dowódca złapał go, rzucił o ziemię i rozgniół obcasem. W tej samej chwili

od tyłu rzucił się na niego trzeci nietoperz. Odłamałam resztkę gałęzi od swojego pieńka i z całej siły – pac! – ogłuszyłam paskuda, próbującego przegryźć Aleksowi żyłę za uchem.

– Aj! Oj! – zapiszczał nietoperz ostatnie słowo przed śmiercią, a dowódca runął na ziemię.

– Aha, oberwałeś, draniu? – tryumfowałam, znów biorąc zamach swoją zaimprovizowaną bronią.

– Aua, o matko! Alina, błagam, nie pomagaj mi! Nie trzeba mi pomagać, zaklinam cię na wszystkie świętości! – Aleks odkleił od szyi kalkomanie z martwego nietoperza i z trudem wstał.

– Dobra... mówisz, masz! – obraziłam się trochę.

Czwarty wampir, widząc haniebną śmierć swoich towarzyszy, zrejterował pospiesznie, podfruwając do góry. U naszych stóp leżały już nie zdechłe latające myszy, tylko bladocyny chłopak, który nie chciał pocałować mnie w kolano, dwie połowy właściciela ziemskiego Uriupa i wątle ciało jego ojca, którego mi było naprawdę żal. Wydawał się nieszkodliwy, w przeciwieństwie do swojej tłustej latorośli.

– Rządzimy, moi państwo! r ucieszył się kot, oglądając martwe wampiry. Podniósł na mnie rozpromienione ślepia. – Wiesz, że to koniec naszej operacji? Zabite oba wampiry terroryzujące wieś. Kamień z serca...

– A co z tymi? – wskazałam ruchem głowy niestrudzenie kłębiące się dokoła kreatury.

– Ci są przyjezdni – odpowiedział za kota dowódca. Wylał o trawę zakrwawione ostrze i schował je do pochwy. – Przed świtem muszą wrócić do siebie, jeśli nie chcą spłonąć na słońcu. Dla większości pierwsze promienie oznaczają potencjalną śmierć.

Ja jednak wciąż nie mogłam w to uwierzyć – wydawało mi się, że wszystko ciągnie się już całą wieczność i nie skończy się nigdy.

– A co z czarownikiem?

– Znajdziemy i weźmiemy ze sobą. Masz rację, zostawić go tutaj to wręcz przestępstwo. To typ skrajnie aspołeczny, umieścimy go w zakładzie zamkniętym u nas, w Bazie – powiedział kot. – Nawiasem mówiąc, z tym małżeństwem, które zahipnotyzował i wmówił im, że są dziećmi, jest już lepiej. Już są nastolatkami, jeszcze z tydzień i całkiem przyjdą do siebie.

Uwaga!

Runął na nas z góry jakiś niestrudzony młody wampir, któremu udało się wznieść na odpowiednią wysokość. Rzucił się prosto na mnie, kłapiąc zębami i pryskając śliną. Zdażyłam tylko zmrużyć oczy... Poczułam na policzku muśnięcie zimnej stali, a kiedy otworzyłam oczy, upiór już dogorywał u moich stóp, Aleks znów wycierał klingę szabli, a kot wylizywał łapę. Orłow wyciągnął strzykawkę i pobrał od wampira niezbędną próbkę.

Rozejrzałam się, odruchowo pocierając szyję. Potwory zaczynały się rozchodzić, niespokojnie popatrując w niebo. Ktoś mówił do Żabiej Mordy, familiarnie klepiąc go po ramieniu:

– Pora się zbierać, przyjacielu, jeśli nie chcesz tu zostać na zawsze, kiedy wszędzie gwiazda dzienna.

Jako ostatnie podały tyły błotniaki z wodorostami na uszach, największe uparciuchy. Przedrzemałam jeszcze godzinkę, oparta o ramię Aleksa, choć kot zapewniał, że jest dużo bardziej miękki i będzie mi o wiele wygodniej. Co prawda agent 013 był duży jak na kota, ale przecież zupełnie bym go rozplaszczyła, używając jako poduszki, więc zlitowałam się i wybrałam twarde bark dowódcy.

Obudziło mnie potrząsanie za ramiona – nasz Kozak, jak wiadomo, nie lubił się zbytnio patyczkować.

– Dzięki – rzekłam wspaniałomyślnie, patrząc na niego z góry. (W tym celu musiałam wleźć na pień i wspiąć się na palce).

Potem weszliśmy do lasu. Kot prowadził, choć z tak wyraźnej ścieżki nawet ja bym nie zbczyła. Ważna mina Mruczusia (no jakże, przecież jest przewodnikiem całej naszej grupy) sprowokowała mnie do żartów.

– Świetnego mamy kota tropiącego, lepszego od dowolnego psa – zauważyłam na tyle głośno, by profesor mógł to usłyszeć. I zaraz ugryzło mnie sumienie. Kot oczywiście dosłyszał i natychmiast strasznie się obraził. Nadąsany zatrzymał się nagle pośrodku ścieżki, patrząc w niebo, jakby wzywał je na świadka swej krzywdy. Westchnął ciężko, najwyraźniej czekając, że zaraz zacznę się kajać i posypywać głowę popiołem skruchy.

Niedoczekanie!

Do tego żołądek zaczął mi już na dobre przysychać do grzbietu. Wrócić z bankietu głodna – to mi się zdarzyło po raz pierwszy! Dwaj moi tak zwani

towarzysze broni na pewno objedli się po uszy na wiejskim weselu. Nigdy im tego nie wybaczę! Obzerać się, kiedy biedna głodna dziewczyna harowała jako królowa Balu Wampirów i Zwierzołaków, bez obiadu i nawet bez suchego prowiantu! Niewdzięczna robota...

Doszliśmy w końcu do wsi, gdzie lud pracujący nadal przychodził do siebie po wczorajszym. Sądząc po wyraźnych oznakach, wszyscy chłopci szli na pola z bólem głowy. Naprzeciw nam, podskakując na jednej nodze (pewnie z nadmiaru emocji), wybiegł Łukaszka w tych samych poszarpanych szmatach, w których leżał minionej nocy na wampirzym ołtarzu. Roześmiany od ucha do ucha chwycił mnie za rękę i zaczął trajkotać:

– Dzięki, panienko, uratowała biednego Łukaszkę! Stary Łukaszka tego nie zapomni! Nie, nie, ja nie taki! Uriupa już nie ma, nie ma więcej złego Uriupa! Upiór chciał Łukaszkę zjeść, a Łukaszka dobry, nie wolno go jeść...

– Jasne, wszystko rozumiem, za wszystko dziękuję – przerwałam jego przydługie wyrazy wdzięczności, delikatnie wyswobadzając rękę. – Tobie też wszystkiego dobrego, niech ci Bóg błogosławi! Bywaj, przyjacielu.

Dowódca poprowadził nas obok domu wiejskiego kapłana, ojca Pafnucego – ten akurat siedział na ganku, obserwując, jak dziewczka służebna karmi świnie. (Nawiasem mówiąc, była to Paraśka, wczorajsza niefortunna panna młoda). Zobaczywszy nas, kapłan zamachał ręką, żebyśmy zaczekali, i statecznym krokiem wyszedł przed furtkę. Od niego także usłyszeliśmy podziękowania, oczywiście w mniej entuzjastycznej formie niż od Łukaszkę, choć też przyjemnie było posłuchać.

Opowiedział również, że wraz z diakiem obie mogiły polali święconą wodą i odczytali parę modlitw na wszelki wypadek. Aleks dyskretnie zapytał o właściciela tutejszych gruntów: w którym majątku znajduje się Pieriedielkino? Ojciec Pafnucy podrapał się frasobliwie w brodę.

– A na co to wam? Uczciwie mówiąc, nasi chłopci już dawno nikomu nie płacili dziesięciny. Ale to tajemnica! Jakby co, ja wam niczego nie mówiłem, dzieci moje. Najważniejsze, żeby urząd się nie dowiedział. Długo już sobie żyjemy cicho i spokojnie z łaski bożej. Przedtem mieliśmy nad sobą Uriupów, ojca i syna. Obaj już dawno pomarli. A co?

– A nic, tak z ciekawości pytam. Dziękuję, ojcie. – Aleks uklonił się po kozacku.

– Wielki jest Pan i dzieła jego – mruknął kapłan i zaprosił nas do siebie przekąsić, co tam Bóg zesłał.

Tylko na to czekałam – od razu przecież widać, że człowiek sympatyczny, po co tyle gadać, zamiast od razu przejść do rzeczy najważniejszej?

– Ej, Paraśka, nakrywaj no do stołu! – zawołał pop lekko drżącym głosem. Ze zdziwieniem zauważyłam, że on się chyba boi tej Paraśki. Jak się okazało, nie było w tym nic dziwnego. Dziewczyna była wielka jak ciężarówka, miała z metr w ramionach i wygląd rasowej feministki. Mogę uwierzyć, że była w stanie tańczyć na prochach narzeczonego.

Bóg zesłał hojnie, więc zjedliśmy obfite śniadanie. Stół był zastawiony smaczną i zdrową wiejską strawą. Zadowoleni jednak byliśmy tylko my z Alekssem, kota spotkała prawdziwa tragedia. Sęk w tym, że Paraśka podsunęła mu mleko i nakazała gromkim basem: „Pij, Maciek!” I tak nieszczęsny kocina, którego żołądek nie znosił mleka w czystej postaci, był zmuszony wychłęptać całą miskę. Dziewczyna czujnie pilnowała, żeby wypił wszystko, a zdawało się, że odmowa grozi śmiercią.

Aleks rzucił się na jedzenie, nie widząc niczego dookoła. Mogłam tylko rzucić biednemu koledze litościwe spojrzenie, kiedy z zamkniętymi oczami, trzymając się za brzuch, wyprysnął na dwór. Zatankowaliśmy solidnie, podziękowaliśmy za poczęstunek i pokłoniliśmy się

Paraśce, dziewczynie o wielkim sercu. Korzystając z tego, że służąca wyszła, ojciec Pafnucy na odchodnym podzielił się z nami swoim zmartwieniem.

– Krzyżem świętym się żegnając, żałuję, dzieci moje, wybaczcie starcowi słabość, żeśmy w porę nie rozpoznali upiora w narzeczonem Paraśki. Ale to była jedyna sposobność pozbyć się tej dziewczyny, och, grzech mój to ciężki...

– rzekł żałośnie.

Nie zdążyliśmy powiedzieć nic na pocieszenie – z zewnątrz doleciał taki ryk, że aż naczynia zabrzęczały na stole! Zaraz potem rozległ się gromowy głos Paraśki i przekleństwa wykrzykiwane męskim basem, który szybko zmienił się w bolesny skowyt. Rzuciliśmy się do drzwi – i oczywiście zaraz za progiem musieliśmy wpaść na agenta 013! Kapłan dreptał za nami. A na zewnątrz naszym oczom ukazał się przedziwny obraz.

Paraśka, pąsowa z gniewu, przyciskała rohatyną do drzwi szopy rozpaczliwie wzywającego pomocy... czarownika! Wciąż jeszcze miał na sobie

swój czarny kozuch, wyglądał na wymiętego i niewyspanego. Widząc nas, zasyczał złowrogo, lecz oberwał kopniaka w zebra od ostrej dziewczyny i natychmiast spokorniał jak trusia.

– A popatrz no, ojcze Pafnucy! Poszłam ja do świń zaglądnąć, patrzę, a tu lezie cosik zadkiem ze szopy, czarne a straszne! No, myślę, niedźwiedź...! Łaps rohatynę i na niego... Ot i dobry połów, toż to nasz czarownik ze wsi!

Kiedy tak paplała, Aleks związał Mitrijowi ręce i obiecał przekazać szkodnika odpowiednim władzom.

– Tam mu się należy, podlecowi jednemu – uradowała się mężna Paraśka, a pop, ochłonawszy ze zdziwienia, z zapalem pokiwał głową, wyrażając pełne poparcie. I przy okazji zaintonował odpowiednią modlitwę, żeby wróg nie uciekł...

Odprowadzała nas pod las prawie cała wieś. Po drodze Mitrij kilka razy próbował się wyrwać, ale chłopci za każdym razem paroma kuksańcami przywoływali go do porządku.

– Gadaj tu zaraz, coś robił u popa w szopie? – spytali naszego jeńca.

– Kury kradłem! – wrzasnął czarownik. – Na Kozaka z Tadżyjką czekałem, a niby co?! Żeby nie ta Pafnucego panna służąca od łamania podków, tobym zaczarował wszystkich! Nawet całą wieś!

– No to wybacz, żeśmy przeszkodzili – podśmiewali się ludzie dobrodusznie. – Jak będziesz na Kołymie, pisz do domu...

Cieszyłam się tak samo jak wszyscy. Nie licząc oczywiście Mitrija. Nie miał humoru, zwłaszcza że szepnęłam mu na uszko, że nie czeka go sachalińska katorga, a dom wariatów. Żegnaliśmy się głośno, ze łzami i wzajemnie zapraszając w gości. To, że nieuczona Tadżyjka nagle swobodnie zaczęła mówić po rosyjsku, jakoś nikogo szczególnie nie zdziwiło.

Kiedy wioska zniknęła za drzewami, dowódca wyciągnął „przechodnik” i wróciliśmy do Bazy. Nareszcie! Kiedy znaleźliśmy się w znajomym korytarzu z szarymi ścianami, identycznymi drzwiami i rodzimymi potworami, aż podskoczyłam z radości. Kot spojrział na mnie tklawie, a Aleks zapytał ze zdziwieniem:

– Co z tobą?

– Dom! Kochany domek! Prysznic, splukiwana toaleta, ciepłe łóżko i podwójny kompot u Sinoskórego.J

Koledzy wzruszyli ramionami. Moja burzliwa radość z wolna się ulatniała.

– W nosie was mam... – parsknęłam. – Co tak stoicie? Może jednak pozbędziemy się tego kłopotliwego cudaka?

Czarownik w oszołomieniu rozglądał się na wszystkie strony, po czym już z zauważalnym szacunkiem zwrócił się do naszej grupy:

– Co to za czary? Jak to zrobiliście, kamraci? Jakeśmy się tu przenieśli i co to za miejsce?

– To nie żadne czary... – zaczęłam, lecz kot mi przerwał:

– Nie traćmy czasu. Pozbądźmy się tego kolesia, zdajmy raport i w końcu odpocznijmy.

I tak zrobiliśmy.

Tylko obecnie, w odróżnieniu od poprzedniego razu, starannie zakrywałam swoje spiczaste uszy włosami, cały czas nerwowo poprawiając fryzurę. SzeF widząc to, pocieszył mnie, że teraz jestem bardzo podobna do elfki.

– To prawda? – upewniłam się z nadzieją. Tolkienowskie elfy były dość sympatycznymi stworzeniami.

– Prawda, prawda! – potwierdził skwapliwie nasz poczciwy zwierzchnik. – Ileż ja ich wysłałem do piachu swego czasu, strach pomyśleć... a wszystkie mi-lut-kie.

Należał nam się dłuższy odpoczynek, całe pięć dni mogliśmy się rozkoszować spokojem i wygodami. Biorąc pod uwagę, że wyniki naszej akcji w Rosji przekroczyły pierwotne założenia, zarząd uznał za stosowne dać nam premię. Kiedy honorarium, które wpłynęło na moje konto, profesor przeliczył na ruble po kursie z 2003 roku – osłupiałam!

Mogłabym nie pracować pięć lat, a dyplom ukończenia studiów sam rektor przyniesie mi do domu w zębach...!

Po obiedzie usiedliśmy sobie w oranżerii. Nie opowiadałam o niej do tej pory, choć miejsce na to zasługuje. Był to ogromny ogród zimowy z fontannami, gdzie mogli odpoczywać strudzeni walką z siłami nieczystymi agenci, a także wszyscy inni mieszkańcy Bazy. Jak objaśnił mnie kot, zebrano tutaj rośliny ze wszystkich znanych obecnie galaktyk. Ale mnie najbardziej interesowali spacerujący po oranżerii chorzy z kliniki dla potworów – niektórzy o kulach, inni z rękami na temblaku albo opatrunkami na głowach, a wszyscy bez wyjątku w stylowych pasiastych szpitalnych pizamach.

Samobójcy trzymali się na uboczu, kanibale odwrotnie – szukali towarzystwa, gnomy uwielbiały posiedzieć sobie w kąciku z fajką, a hobity ganiały całymi stadami tam i z powrotem.

W takim to miejscu, pod wielkim fikusem, Mruczuś zdecydował się wyjawić swoje uczucia do mnie i szczerze zamiary. Namiętnie przyciskając łapę do piersi (do swojej, ma się rozumieć!), powiedział, że już od dawna mnie kocha, lecz dopiero teraz zebrał siły, aby mi to wyznać. To było bardzo przyjemne. Choć oczywiście żadnej ostatecznej odpowiedzi mu nie dałam. Sama tego nie dostrzegając, podejrzenie zbliżyłam się do kota przez te pięć dni, kiedy zażywaliśmy w Bazie zasłużonego odpoczynku.

Niby jak zawsze między nami istniało pewne stałe napięcie i raczej nie miałam dla niego szczególnie serdecznych uczuć, uważając go za złośliwca, zarozumialca i skończonego nudziarza. Kocur też nie poprawił się ani na jotę, a nawet puszył się jeszcze bardziej (w obecności Aleksa, kiedy nasza czuła przyjaźń zaczęła się rzucać w oczy), nasze wzajemne stosunki uległy jednakowoż znacznemu ociepleniu.

„To dlatego, że przekształcasz się w bestię – niegodziwie podszeptował rozum. – Siły nieczyste biorą cię za swoją. Nie darmo tak swobodnie czułaś się w ich otoczeniu, kiedy ci się «poszczęściło» zostać królową wampirów, czyż nie? Środowisko zwierząt przyciąga cię coraz bardziej, najlepszy dowód to nowe stadium znajomości z ogoniastym profesorem. Przyznaj się sama przed sobą, ciągnie cię do nich”.

Nie wiadomo kiedy zaczęłam traktować gryfona Rudika jak starego przyjaciela, zaprzyjaźniłam się z bezgłowym kelnerem ze stołówki, zawarłam też mnóstwo znajomości wśród hobitów, w dzikich ilościach smyrgających po korytarzach. Natykałam się na nich po prostu na każdym kroku, gdziekolwiek spojrzeć, tam hobit. Chyba się tu w Bazie rozmnażały jak myszy.

Obcując z nimi wszystkimi, zaczęłam dochodzić do wniosku, że właściwie taka przemiana w potwora to żadna tragedia. Po prostu zdobędę nowe towarzystwo, innych przyjaciół, może z czasem wyjdę nawet za mąż za jakiegoś niedużego smoka albo wilkołaka. Niby w czym oni są gorsi od ludzi?

Do pierwszego kroku, aby wyjść z tego stanu, który można by nazwać równocześnie i tumiwizmem, i świadomym wyborem, popchnęło mnie następujące zdarzenie. Po śniadaniu tradycyjnie rznąliśmy z kotem w szachy,



kiedy do pokoju wpadł Aleks z dzikim wyrazem twarzy, jakby przed chwilą odebrano mu stopień oficerski.

– Co się stało?! – krzyknęliśmy oboje.

Mnie, jak zwykle ostatnio, Orłow zignorował, natomiast z profesorem owszem, chciał pogawędzić. Na korytarzu oczywiście. Próbowałam podsłuchiwać, ale drzwi tłumily wszystko. Kiedy kot wrócił, by dokończyć przerwana partię, zdążyłam już podprowadzić mu konia, który przeszkadzał mi zrobić korzystny ruch, a swój pionek przedterminowo zmieniałam w hetmana.

– No?! – spytałam, płonąc z ciekawości.

– Co: „no”?

– Mam na myśli naszego drogiego dowódcę, a właściwie powód, dla którego jest w takim niezwykłym dla niego gorączkowym stanie. Śpiewaj mi tu zaraz całą prawdę, ptaszyno! – Nie, żeby jakoś wyjątkowo interesowała się problemami Aleksa, po prostu chciałam odwrócić uwagę kota od podejrzanych zmian na szachownicy.

– Zdaje się, że z laboratorium zostały dymiące ruiny – wymamrotał nieuważnie agent 013, oglądając swoje figury. Widocznie próbował ocenić, czy wszystkie są na swoich miejscach.

– Dlaczego?

– Aleks nie wytrzymał nerwowo! Co ty, nic nie zauważyłaś? Strasznie się gryzie tym, że mutujesz. Jajogłowi spóźniają się z tą surowicą, a on już po prostu odchodzi od zmysłów. Jakby to był powód do zmartwień. Myślałby kto, taka tragedia – stać się zwierzołakiem... W sumie nic strasznego. Chociaż on oczywiście rozpatruje to ze swojej ludzkiej perspektywy – dodał agent 013 z niejakim poczuciem wyższości.

Kocur wiedział, że moje poglądy bardzo się zmieniły, dlatego pozwalał sobie na taki ton. Jednak coś w jego słowach mnie zaniepokoiło... No tak, faktycznie niedobrze, że gobliny z laboratorium się spóźniają. Obiecały przecież surowicę na jutro! Chociaż teraz już mi aż tak bardzo na tym nie zależało. Pamiętam, jak na początku bałam się zamienić w „monstrum”. Teraz, prócz wszystkich innych zmian, paznokcie zaczęły mi się przekształcać w szpony. Dokładnie takie same orle pazury jak u Rudika – a ja nic. Pomalowałam je jaskrawoczerwonym lakierem i przy okazji straszę otoczenie, że to świeża

krewni. Najwyżej mama...

Zerwałam się z miejsca i odprowadzana zdumionym wzrokiem kota wypadłam z pokoju, jakby mnie goniły wszystkie hordy piekieł. Tuż za drzwiami zderzyłam się z jakimś hobbitem, który przyszedł z wizytą. Jeszcze ich nie rozpoznawałam po imieniu, byli do siebie zbyt podobni. Miał dla mnie jakiś prezent, ale kichałam w tym momencie na wszystkie prezenty. Podniosłam się i poleciałam dalej, przewracając kolejnych przechodniów na zakrętach (jeśli byli mniejsi ode mnie) albo przyozdabiając własne czoło kolejnym sińcem (jeśli byli więksi). W końcu dotarłam do celu – pod drzwi, na których wisiała tabliczka: „Wejście tylko dla krzywonosych garbusów”. To nie był do końca żart, w Bazie tym kryteriom odpowiadały tylko gobliny – pracownicy laboratoriów. Zdaje się, że nie mieli kompleksów na tle swojego wyglądu. Niżej widniał dopisek: „Wstęp surowo wzbroniony także osobom powyżej metra wzrostu”.

– Niezbyt zachęcające – warknęłam pod nosem i wparowałam do środka.

W pomieszczeniu przywitano mnie znacznie mniej wyniośle, niż sugerowałaby tabliczka na zewnątrz. Inteligentne stworki w białych chałatach gapiły się na mnie z widocznym przerażeniem. Któryś nawet przywarł do ściany, usiłując wcisnąć głowę w ramiona – z nikłym powodzeniem, gdyż ramiona miał bardzo wąskie, a głowę dość sporą.

– Yyy, szanowna Alina Raszydówna... – zaczął jeden z goblinów, trzęsąc się na całym ciele. – My bardzo dobrze rozumiemy pani sytuację. Dla nas też jest bardzo ważne, żeby jak najszybciej uzyskać potrzebną pani surowicę. Zapewniam panią, Alino Raszydówna, skupiliśmy na tej sprawie wszelkie zasoby laboratorium. Ale pan Orłow ciągle przeszkadza i przerywa nam pracę, bezpodstawnie oskarża nas o niedbalstwo i opieszałość. Nas, najlepszych współczesnych farmaceutów! A niedawno, to znaczy jakieś dziesięć minut temu, prócz szantażu psychologicznego zaczął stosować przemoc fizyczną! Uderzył starszego laboranta tygłem w głowę! To już naprawdę niewybaczalne! My, uczeni, nie przywykliśmy... – W miarę narastania wzburzenia głos garbusa stawał się coraz bardziej piskliwy. Musiałam przerwać te jego niekończące się skargi, gdyż po prostu uszy tego nie wytrzymały.

– Hm... pan jest, zdaje się, kierownikiem tego bajzlu? Przepraszam, tego laboratorium. Panie... hm...

– Fardi – przedstawił się goblin z lekkim ukłonem, co niestety przypomniało mu o jeszcze jednym urazie. Krzyknął nagle rozdzierająco, chwytając się za krzyż. – Tak, to też skutek wtargnięcia pani porywczego przyjaciela – dodał z wyrzutem.

– Z nim sobie porozmawiam osobno, a teraz: czemu lekarstwo jeszcze nie gotowe? – zapytałam lodowato, nie czując ani odrobiny współczucia dla garbatego uczonego.

Fardi zrobił męczeńską minę. Zauważyłam, że pozostałe gobliny gdzieś przepadły, otwarcie zostawiając swojego szefa na pastwę półpotwora. Zapewne doszły do wniosku, że na dziś mają dość przemocy fizycznej i grózb.

– Zapewniam panią, że robimy co w naszej mocy – jęknął goblin, przezornie cofając się pod ścianę. – Niezbędne materiały posiadamy. Sedno w tym, że reakcja jakby się trochę, troszeczkę, troszenieńkę... opóźniła.

– To ją przyspieszcie!

– To nie od nas zależy, sama pani rozumie, szanowna Alino Raszydówna, a od współdziałania różnych składników krwi... Jeszcze tylko trzy, cztery dni i myślę, że surowica będzie gotowa. Niech mnie pani nie zabija...!!!



– To znaczy, że pójdziesz z nami przynajmniej na jeszcze jedną akcję! – zawołał kot, nie ukrywając radości, kiedy wysłuchał moich skarg na laboratoryjne gobliny. – I ani słowa sprzeciwu! To ci pomoże oderwać się od tej sprawy. Po co miałabyś te ostatnie dni włożyć się beczynn timer po Bazie i szarpać sobie nerwy rozmyślaniami: „Ojej, zamieniłam się w potwora i co teraz?”

Profesora ani trochę nie zdziwiło, że moje poglądy w ciągu kwadransa zmieniły się o sto osiemdziesiąt stopni.

– Oczywiście, że jesteś człowiekiem. Wcale bym się nie ucieszył, gdybyś zamieniła się w jakieś okropieństwo z zębami jak u rekina i kolcami na ogonie. Przecież ja... ee... przywiązałam się do ciebie takiej, jaka jesteś. No jasne, szkoda, że nie jesteś kotką, moglibyśmy mieć...

Zakaszlałam znacząco, mierząc kota surowym spojrzeniem.

– Co ja mówię, dobrze, że nie jesteś kotką – poprawił się Mruczek szybko. – My, koty, mamy mnóstwo problemów: pchły, gorąco latem, a tu futra nie

można zdjąć, i jeszcze hydrofobia, więc trzeba się myć językiem. Przecież to po prostu śmieszne: profesor, dwa fakultety, znajomość sześciu języków, a wylizuje sobie... ee... się pod ogonem – zmieszał się. Na pocieszenie poczochnałam go za uchem, znów zatem podjął temat: – Co to ja mówiłem? Aha, jedziesz z nami do Szkocji. Oczywiście możesz odmówić, masz prawo. Do surowicy zdobyliśmy już wszystko co trzeba. Sprawa dotyczy obłąkanej zjawy, tak że nie zapowiada się pasjonująco. Może nawet nikogo tam nie zabijemy...

– Komu ty to mówisz? – Udałam obrażoną. – Czy nie jestem pełnoprawnym agentem do walki z potworami i zwierzołakami?! Myślałeś, że puszczę was tam we dwójkę, a sama będę siedzieć i obgryzać paznokcie z nerwów, od czasu do czasu dla odprężenia urządzając pogromy w laboratorium?

Kot popatrzył na mnie z szacunkiem, powiedział coś w rodzaju: „Nigdy w ciebie nie wątpiłem” i zaproponował, żebyśmy dokończyli przerwana partię szachów.

W ogóle między nami zapanowała pełna idylla, która jednak skończyła się bardzo gwałtownie. Muszę przyznać, że Aleksa jakoś przestałam zauważać, coraz więcej przebywałam w kocim towarzystwie, spędzając z agentem 013 cały wolny czas. Jeśli kończyły nam się tematy do rozmów, mogliśmy godzinami siedzieć w oranżerii przytuleni do siebie i zachwycać się palmami w donicach.

Aleks wyszedł mnie w korytarzu, kiedy czekałam na kota, który wyskoczył na minutkę w ustronne miejsce oznaczone trójkącikiem.

– Posłuchaj, Alina – zaczął, robiąc minę sfinksa. – Widzę, że twoje stosunki z agentem 013 od dłuższego już czasu przekroczyły stadium czysto towarzyskie. I z każdym dniem to idzie coraz dalej...

Kiedy tak stałam z otwartymi ustami porażona jego niesłychaną bezczelnością, Aleks ciągnął tym swoim niby obojętnym, lecz pełnym ukrytego napięcia tonem:

– Oczywiście to nie moja sprawa. Ale jako starszy kolega powinienem cię uprzedzić. Czy wiesz, że agent 013 jest żonaty? Być może to ci nie przeszkadza, ale poza tym ma jeszcze dwanaścioro niepełnoletnich kociąt...

– Co?!

Zmiękły mi kolana i zaczęłam osuwać się po ścianie. Perfidia mojego

ogoniastego zalotnika nie miała po prostu granic. Aleks zniknął równie nagle jak się pojawił. Z tyłu skrzypnęły drzwi i usłyszałam głos uszczęśliwionego kota:

– Pamiętasz, Alinko, jak chciałem ci podarować pierścionek? Oto on! Nie czekałem na zaliczkę, postanowiłem wręczyć ci ten drobiazg trochę wcześniej. Przyjmij go na znak mego głębokiego szacunku i mam nadzieję...

– Kopniak w zadek przerwał mu starannie przygotowane przemówienie. Kot poleciał w jedną stronę, a złoty pierścionek ze sporym kamieniem w drugą. Ostatnim, co zobaczyłam, nim rzuciłam się do ucieczki, z trudem kryjąc dławiące mnie łzy, było zdumienie w łagodnych oczach profesora.

Gdzie zdrajca wylądował, już nie zauważyłam. I mnie to nie obchodziło. Ach, ty mały bydlaku! Sukinkot! Cholerny oficerek! Na oczy mi się więcej nie pokazuj! Jeszcze raz się okazało, że faceci są tacy sami – czy to kot (parszywiec jak wszyscy), czy wilkołak, czy też szarooki paker bez serca.

Cały wieczór pocieszały mnie hobbity, ofiary syndromu mordorskiego, częstując herbatą i karmiąc ciastkami specjalnie dla mnie ukradzionymi ze stołówki.

Teraz z kolei zaczęłam ignorować kota, który chodził z opatrunkiem na głowie i w żaden sposób nie mógł zrozumieć, co takiego zrobił. Rzecz jasna, był okropnie obrażony, ale satysfakcji nie żądał. Co więcej, okazał rozsądek i pierwszy wyciągnął łapę na zgodę. W czasie śniadania podsuwał mi talerz i przyniósł dodatkowy kompot, to znów próbował nawiązać rozmowę na tematy kulinarne. W końcu nie wytrzymałam. Zostaliśmy przy stole tylko we dwoje, Aleks poszedł po dokładkę, co znaczyło, że grubas zwracał się bezpośrednio do mnie.

– Słuchaj, nie życzę sobie z tobą rozmawiać, ty nędzny futrzasty zdrajco! – przerwałam mu stanowczo.

– Nic nie rozumiem. Dlaczego?... A poza tym chciałem zaznaczyć, że mnie nikt nigdy w życiu nie kopnął. Jestem profesorem! – zawołał z oburzeniem.

A cóż to ma do rzeczy? Czy profesorstwo kogokolwiek zabezpiecza przed laniem? Kot splótł łapy na piersiach i odwrócił się, gniewnie strosząc wąsy. W tym momencie po prostu go nienawidziłam!

– Co, znów się kłóćcie? – zagaił dobrotliwym tonem powracający Aleks, jakby zupełnie nie wiedział, o co chodzi.

– A co, nagle objawiona żona i tuzin dzieci to nie jest dostateczny powód?! – wykrzyknęłam z rozdrażnieniem.

– Gdzie?! – Kot osłupiał.

– W Charkowie! – odgadłam tryumfalnie. Teraz ja z kolei złożyłam ręce na piersi, lecz chełpiłam się niedługo.

– To potwarz! Bezczelne, bezwstydne i absolutnie bezpodstawne oskarżenie! Jestem kawalerem i nie mam żadnych dzieci! – zawył kot na całą jadalnię. – Możesz sprawdzić w sekretariacie, niech popatrzą w komputerze. Dwanaścioro dzieci?! Za kogo ty mnie masz, za królika reproduktora?!

Cała stołówka rżała ze śmiechu! Biedny Orłow mało nie udławił się zupą.

– Co wy, chciałem wam tylko zrobić kawał! Alina, ty się kompletnie nie znasz na żartach. Przepraszam, kolego, gdybym wiedział, że to się skończy... eee... tak emocjonalnie... oj, nie mogę! nigdy bym tego nie zrobił – próbował się usprawiedliwiać, chociaż w jego głosie nie było nawet cienia skruchy. Zresztą jak można rozpoznać skruchę poprzez śmiech?

Usiłowałam spopielić Aleksa groźnym spojrzeniem, niczym bazyliżyca, ale kompletnie mi to nie wyszło. Minutę później chichotaliśmy w duecie. Tylko kotu nie było do śmiechu, bo myślał, że śmiejemy się z niego. Wręcz przeciwnie, wyjątkowo śmiałam się z własnej głupoty.

Pogodziwszy się, jeszcze tego samego dnia zasiedliśmy w bibliotece, żeby zapoznać się z dossier morderczego widma z zamku Morris Castle. Profesor, ozdabiając się okularami i ważną miną, zaczął referować:

– Prawie wszyscy, którzy z nim (albo z nimi, do tej pory tego nie wyjaśniono) mieli kontakt, padają rażeni apopleksją. I człowieka, oczywiście bez żadnych śladów przemocy, znajduje się martwego na schodach, w sypialni, na strychu, gdzie popadnie. Wcześniej takie odosobnione przypadki obserwowano w innych zamkach. I były raczej wynikiem fizycznej kondycji ofiary niż pojawieniem się zjawy. To były zgony w wyniku szoku u ludzi z osłabionym sercem albo wyjątkowo bujną wyobraźnią. Teraz jednak umierają osoby doskonale zdrowe.

– Do jakiego stopnia trzeba przerazić człowieka, żeby zmarł na wylew?! – Ogarnęło mnie zdumienie.

Niezależnie od tego, że miałam już za sobą cztery akcje w bardziej niebezpiecznych okolicznościach, przyszła wyprawa wydawała mi się

najniebezpieczniejsza ze wszystkich, może z powodu swojej nieprzewidywalności.

– Widma działają spontanicznie – ciągnął kot. – Są nieuchwytnie. Mogą pojawiać się i znikać kiedy tylko zechcą. Nie zostawiają śladów, jeśli oczywiście nie będziemy uważać za ślad chwytającego się za serce posiniałego człowieka, który bełkoce coś o Przeklętym Hercogu, próbującym podstawić mu nogę na schodach, albo o Chudej Damie, która dała mu po pysku, kiedy w panice usiłował przez nią przebiec.

– I jak podejmiemy do tego problemu? – spytałam od razu moich kolegów.

– Zorientujemy się na miejscu, jak zawsze. – Aleks wzruszył ramionami. – Są oczywiście jakieś domysły, ale wymagają potwierdzenia.

Tego samego dnia spotkałam na korytarzu nasz surowy „zarząd”. Chciałam pospiesznie zrejterować – po jego napomknieniu o świętej pamięci elfach jakoś mi było niewyraźnie – ale nie zdążyłam. Szef już mnie zauważył i szedł naprzeciw, wyciągając rękę.

– Agentka Alina Safina, jak miło panią widzieć!

„Nawzajem” – pomyślałam, robiąc kwaśną minę mającą imitować miły uśmiech.

– Proszę zapomnieć o wczorajszym nieporozumieniu w laboratorium! – Szef beztrąsko machnął ręką. – Nie szukałem pani po to, żeby dać nagane, wręcz przeciwnie. Niemało się nasłuchiwałem o pani problemie, bardzo, bardzo skomplikowanym, jak się okazuje. Proszę się nie martwić! Niezależnie od wszystkiego, nawet jeśli pani z upływem czasu ostatecznie transformuje w potwora, o pracę można się nie trapić. W Bazie zawsze znajdzie się wakat przy obsłudze zmywarki do naczyń albo na stanowisku konserwatorki powierzchni poziomych.

I zachęcająco poklepawszy mnie w talii (dobrze, że dosięgną!), szef oddalił się, uśmiechając się do swoich myśli. Pokazałam język jego plecom i ruszyłam szukać chłopców, żeby przypomnieć im o kolacji.

Ostatni dzień, jak zwykle, spędziliśmy na nedorzecznej krzątaniu wokół przygotowań do naszej szkockiej wyprawy, tak że wyrwaliśmy się z Bazy dopiero wieczorem.

## Rozdział piąty



Znaleźliśmy się na płaskowyżu wśród skalistych gór. Niżej rozciągała się zielona plama uprawnych ziem w dolinie. Dął zimny porywisty wiatr, powietrze było wilgotne jak nad morzem. W oddali od szarej powierzchni wody odbijały się ostatnie promienie zachodzącego słońca. Musiało to być jezioro i to dosyć duże. Spojrzawszy tam gdzie ja, kot poprawił beret i kraciasty szkocki kilt – włożył go, a my z Alekssem nie wspomnieliśmy ani słówkiem, że będzie to wyglądało śmiesznie.

– A propos, to właśnie sławne Loch Ness – zauważył.

– Oooo! – westchnęłam z zachwytem. Muszę wspomnieć, że wszystko mnie tutaj zachwycało: i zielone kobierce wrzosowisk, i szare dostojęstwo skał, i nawet rześki wiatr niosący piasek, który wciskał się do nosa, zmuszając do kichania.

– Apsik! Tak w ogóle, to już dawno marzyłam o tym, żeby sprawdzić, czy Potwór z Loch Ness istnieje rzeczywiście, czy jest tylko chwytem reklamowym tutejszych mieszkańców, żeby przyciągnąć więcej turystów. Ostatnie brzmi bardziej prawdopodobnie, w przeciwnym wypadku... aaaa-psik!... tutejsza ludność musiałaby głodować.

Na skrawkach jałowej ziemi trudno cokolwiek uprawiać, by wykarmić rodzinę. Można się ewentualnie zajmować hodowlą owiec. Dostrzegłam parę smętnych owiec i doszłam do wniosku, że pasterstwo jest tu chyba mało rozwinięte.

– Nic nie wiesz o tutejszych polowaniach. Poczekaj tylko, tam, za skałami, jest kapitalny lasek zapchany zającami, lisami, dzikami i szlachetnymi jeleniami, oczy ci wyjdą na wierzch. Co prawda poluje tam tylko hrabia, nowy właściciel zamku Morris, niejaki MacMillan, który nawiasem mówiąc, zaprosił nas tutaj. Jesteśmy jego ostatnią nadzieją. W walce z duchami nieborak stracił



dwóch braci i babcię, a zamek dostał mu się w spadku, chociaż wcześniej też tu przyjeżdżał.

– To znaczy, że będziemy mieszkać w prawdziwym zamku? – ucieszyłam się. – Super! A co z mieszkańcem jeziora? No tak, wiedziałam, że to wymysł. A tak romantycznie by wyglądało malownicze górskie jezioro ze swoim własnym wężosmokiem.

– Cały czas zapominam, że jesteś u nas nowa. Czy Potwór z Loch Ness istnieje? Odpowiedź zna każdy hobbit w Bazie. Czemu nie ma istnieć? Przecież jest jednym z naszych najlepszych specagentów – odparł kot z dumą.

– Jedną! – poprawiłam go. – O ile pamiętam, Potwór z Loch Ness jest płci żeńskiej i ma na imię Nessie.

– To dla konspiracji... – wyznał kot tajemniczym szeptem. – W Bazie kobiety nie pracują, z rzadkimi wyjątkami, ma się rozumieć...

– Miło słyszeć, że pracuję w jednym szeregu z takimi znakomitościami – powiedziałam ostrożnie, zerkając spod oka na Mruczka. Jakoś mu nie dowierzałam, może sobie ze mnie żartuje? Chociaż, z drugiej strony, poczucie humoru ma raczej słabo rozwinięte. Ciekawe, w jaki sposób ziemnowodna istota może należeć do tak aktywnie działającej organizacji jak nasza i jeszcze się szczególnie wyróżniać? Moja dociekliwość przeważała niedowiarstwo. – Mógłbyś mnie z nim zapoznać? – spytałam, czując, jak mi serce włązi do gardła.

– Czemu nie... A przy okazji, właśnie za jego pośrednictwem gospodarz tego zamku trafił do nas – dodał kot, lecz nie wyjaśnił, jak dokładnie hrabia to zrobił. Ha, pewnie podczas przyjacielskiej nasiadówki przy kominku, pociągając piwo *ale* z kufła, hrabia MacMillan powiedział do siedzącego obok węża, smoka czy też dinozaura: „Coś mi się ostatnio duchy rozbisurmaniły. Ani chwili spokoju... Może co poradzisz, przyjacielu?” – „No jasne, Mac! Oczywiście, że ci pomogę, a raczej moi koledzy – odpowiedział żmij, wlewając sobie do pyska cały kufel piwa naraz i błogo wyciągając łapy do ognia. – Trafiłeś pod dobry adres. Nikt nie poskramia duchów lepiej niż doskonale wyszkoleni agenci z naszej Bazy. Profesjonaliści walczący ze wszelkimi anomaliami rodem z zaświatów”. – „Jak to miło...” – Hrabia pokiwał głową z wdzięcznością. O rety, ależ bredzę...

Schodziliśmy na dół około pół godziny, skacząc po stromiźnie i wybojach.

Cholerne kamienie – całe nogi miałam w sińcach. Miejsce to leży na północnym krańcu Szkocji i teraz nazywa się Highland (nie wiem, jak nazywało się wtedy, nie spytałam kota). Medaliony tłumaczące mieliśmy wszyscy troje. Żadne z nas nie znało gaelickiego, nawet profesor potrafił w tym języku wydukać zaledwie kilka słów. Gdy wyszliśmy z za skały, naszym oczom ukazał się zamek – wielki, niedostępny i mroczny, cały z szarego kamienia, z wąskimi strzelnicami zamiast okien. Bardzo harmonijnie wpisywał się w pejzaż tutejszej przyrody, prawie nie odróżniając się od tła. Miałam nadzieję, że przynajmniej w środku jest urządzone w bardziej nowoczesnym stylu i są tam jakieś podstawowe wygody dla cywilizowanego człowieka. Dwa, trzy dni – dłużej nie wytrzymam, w końcu spodziewaliśmy się zobaczyć na dziedzińcu wiek XIX.

– Chłopaki, a wy jesteście pewni, żeśmy się nie pomylili o jakieś dwa wieki i nie trafili bardziej w przeszłość? – skrzywiłam się nieufnie, patrząc to na zamek, to na spotykanych po drodze ludzi, niedomytych i ubranych jakoś podejrzanie niechlujnie i biednie. Gapili się na nas nieprzyjaźnie, marszcząc gęste brwi. Widząc kota ubranego w kraciastą spódniczkę i berecik, gwałtownie odskakiwali – co w górach jest bardzo niewskazane. Popatrzawszy w ślad za ostatnią ofiarą kociej ekstrawagancji, która właśnie turlała się z urwiska, Orłow powiedział spokojnie:

– Nie, nie ma żadnej pomyłki, trafiliśmy gdzie trzeba.

Przemierzywszy zieloną, choć kamienistą dolinę, nareszcie dotarliśmy do samego zamku otoczonego fosą.

Przerzucony nad nią byle jak sklecony mostek nie wzbudzał zaufania. Weszliśmy na uginające się deski. Kot wyrwał do przodu truchcikiem, warcząc, że nie będzie narażał życia, przechodząc po zgniłym drewnie razem z takimi ciężkimi kłocami jak ja z Alekssem. Śladem kota pod zamkowe sklepienie weszliśmy i my. Przywitał nas rudowłosy chłopak, lat może dwadzieścia pięć – kamerdyner, jeśli wnioskować z czerwonej liberii i szarych (kiedyś chyba białych) rękawiczek. Chłopak przywitał nas z zapałem niepasującym do jego stanowiska. Choć przyznam, że na widok wystrojonego kocura nie okazał najmniejszego zdziwienia poza lekkim drżeniem rąk.

– Hrabia Henry John Edward MacMillan oczekuje państwa w dużym salonie. Proszę za mną. Mało nie zapomniałem... Goście to tutaj taka

rzadkość, że formuła powitalna wylatuje z głowy – usprawiedliwił się, oblewając rumieńcem.

Następnie zmienił ton i uroczyście wytrzeszczając oczy, oznajmił:

– Jestem Large, kamerdyner! Witamy w Morris Castle, *lady and gentleman!*  
– Przy ostatnich słowach mimowolnie zerknął na kota, który słuchał go wsparty pod boki, dumnie unosząc podbródek. – Och, zagadałem się, chodźmy prędzej, bo hrabia jest w złym humorze i jeszcze mi obetnie pensję za opóźnienie. – Popatrzył na nas tak, jakby to była nasza wina. Strasznie gadatliwy typ, zupełnie mi nie pasował do tradycyjnego wyobrażenia dobrze wyszkolonego kamerdynera.

Wchodziliśmy po wąskich kręconych schodach, potem szliśmy korytarzami o wysokich oknach i posadzkach wyłożonych terakotą. W sumie – europejskie średniowiecze. O dziwo, Large nie zląkł się moich pionowych źrenic, chociaż pewnie rozszerzyły się i wyglądały prawie normalnie w panującym tu wszędzie półmroku. Spiczaste (elfickie, według słów szefa) uszy przykryłam włosami. W Bazie zrobiono mi trwałą i teraz w lokach opadały na ramiona. W tych czasach w Szkocji kobiety nosiły proste fryzury, czyli po prostu rozpuszczone włosy, nawet poza domem, i nikomu to nie przeszkadzało. Czepek byłby pewnie lepszy, lecz stanowczo odmówiłam włożenia tego paskudztwa. Nie chciałam upodabniać się znów do prowincjonalnej gęsi, starczy mi Francja i moje „cudne” przebranie w Gevaudan.

Może to już mój ostatni występ w ludzkiej postaci, więc tym bardziej chciałam wyglądać jak najlepiej. W kostiumowni z całej kolekcji strojów z lat dwudziestych i trzydziestych XIX wieku wybrałam suknię z falbankami, wąską talią i gorsetem tak ciasnym, że po zasznurowaniu zrobiło mi się słabo. Za to świetnie podnosił piersi. Jakież ofiary jest w stanie ponieść kobieta, aby tylko jej biust wydawał się choć pół numeru większy! Sukienka jako taka była niczego sobie, z pięknego białego muślinu, w stylu „szczęśliwa panna młoda”.

Na nią narzuciłam ciemnoniebieską aksamitną pelerynę z kapturem. Na nogi włożyłam pończochy i wysokie trzewiki. Wzięłam też na zmianę modne pantofle na obcasie (niesłychany luksus, zwykle obywaliśmy się jednym kompletem odzieży). Do tego jeszcze rękawiczki ukrywające moje pazury. Przed akcją poszłam na manicure, ale i tak nie wyglądały do końca normalnie. Musiałam też pamiętać, żeby uśmiechać się bardzo ostrożnie i raczej

półgębkiem, aby tubylcy nie dostrzegli moich nowych śnieżnobiałych kłów i w swojej ignorancji nie wzięli mnie za wampira. Co za świat, jak kły – to już obowiązkowo wampir! To już mnie zaczynało drażnić, jakby mało było innych istot z takimi zębami prócz wampirów. Tych ostatnich miałam serdecznie dość po ostatniej operacji w upiornej wiosce.

Czyli pamiętajmy, uśmiech jak u Józefiny albo Giocondy – wargi razem. Wypróbowałam od razu na młodym kamerdynerze, który wciąż odwracał się do nas niespokojnie, jakby podejrzewał, że mu zaraz uciekniemy. Mój uśmiech chyba zrobił na nim wrażenie. Large zadrżał i przyspieszył kroku – już się nie odwracał.

– Śliczny chłopak, prawda? – szepnęłam do Aleksa. Młodziak faktycznie był bardzo dekoracyjny: wysoki, postawny, z gęstwą rudych kosmyków, sympatycznie piegowaty, z wypukłymi oczami barwy niezapominajek.

Aleks w odpowiedzi tylko parsknął z niezadowoleniem. Nawet się nie zdziwiłam – ten burak nigdy nie podziela moich gustów. W szkockim kilcie wyglądał na trochę skrępowanego. Nie... nogi ma niezłe jak na faceta, może się po prostu wstydzi?

Tymczasem zostaliśmy wprowadzeni do dużej sali o wysokim sklepieniu. Przede wszystkim rzucał się tam w oczy wielki kominek. Large wszedł pierwszy, anonsując nasze przybycie hrabiemu, który okazał się przystojnym młodym człowiekiem. Miał na sobie białą koszulę z wysokim sztywnym kołnierzykiem, krótką kamizelkę i ciemnobeżowe spodnie. Z uznaniem oceniłam jego wiążące się jasne włosy, bokobrody i długi rasowy nos. Generalnie ciacho, typowy londyński dandys – dokładnie taki, jak sobie takie typy wyobrażałam. I do tego prawdziwy dżentelmen, nie to co Aleks. Hrabia pospieszył nam na spotkanie. Z przyzwyczajenia już chciałam olśnić go uśmiechem, ale w ostatniej chwili opamiętałam się i mocno zacisnęłam wargi.

– Och, nareszcie przyjechaliście, moi drodzy! Lochis wiele mi o was opowiadał.

Pomyślałam, że o mnie raczej nie mógł opowiadać, lecz gospodarz był zbyt podniecony, aby mu teraz to wypominać.

– Siadajcie, proszę, panowie. A pani, milady...

– Alina – przedstawiłam się, czując, że oblewa mnie rumieniec.

– Alina! Cóż za boskie imię w uszach mych rozbrzmiało! – zakrzyknął hrabia

afektowanie, aż podskakując z nadmiaru emocji.

„Czy on przypadkiem nie jest trochę zawiany?” – przemknęło mi przez głowę, natychmiast jednak odpędziłam tę myśl jako nieodpowiednią. Może hrabia po prostu miał taki sposób bycia? Oczy mu błyszczały, kiedy z galanterią ucałował moją dłoń i powiedział: – To dla mnie wielki zaszczyt przyjmować panią w moich skromnych progach. Lochis wiele opowiadał o pani urodzie, ale nie spodziewałem się, iż rzeczywistość okaże się tak oszałamiająca!

– Za pozwoleniem, kochanieńki – przerwał mu profesor z niezadowoleniem. – Powinniśmy chyba coś sobie wyjaśnić...

– O! Mówiący kot! O panu też niemało słyszałem. – MacMillan opuścił wzrok, uśmiechając się do kota uprzejmie. – Bardzo panu do twarzy w tym stroju. Leży po prostu idealnie. Szyty w Londynie na zamówienie?

Parsknęłam w kułak i natychmiast zrobiłam obojętną minę, gdyż agent 013 przewiercił mnie rozwścieżonym spojrzeniem.

– Mamy ważne sprawy! Komplementy i pustosłowie zostawmy sobie na później.

– Chciałby pan, żebym od razu opowiedział o nieszczęściu, jakie dotknęło waszego pokornego sługę? – spytał hrabia kapryśnie, po czym uklonił się Aleksowi, również z czarującym uśmiechem. – Sir Aleks?

Dowódca lekko skłonił głowę, prezentując bogactwo mimiczne porównywalne z wędzoną flądrami. Hm, zwykle przy pierwszym poznaniu stara się uśmiechać. Czyżby był zazdrosny? Ha! Nic więcej mi już nie trzeba.

– Jestem więc gotów rozpocząć smutną historię naszego rodu...

– Nie! Przeciwnie, chcielibyśmy, by nam wskazano nasze pokoje, podano w najbliższym czasie kolację i pozwolono odpocząć po podróży. Zejście z tej góry jest bardzo męczące dla kogoś, kto chodzi bez butów. Z przyjemnością spotkamy się z panem tutaj za dwie godziny i wtedy opowie pan ze szczegółami o swoich widłach czy też widmach.

Pierwszy raz widziałam, żeby agent 013 tak się zachowywał. Nasz mądry, dobry koteczek! Cała ta tyrada wygłoszona została tak wyniosłym tonem, że hrabia nie ośmielił się przeciwstawić. Wezwał Large'a, który w pośpiechu zaprowadził nas do pokoi, gdzie już jakaś pani MacFree ścieliła łóżka. Była to długa, chuda i płaska jak deska kobieta z tragicznym wyrazem twarzy, w

czepeczku i z pękiem kluczy przy pasku – widocznie pełniła w zamku rolę ochmistrzyni. Nie okazała zdziwienia, widząc kota w berecie, i tylko chłodnym szeptem powiadomiła mnie, że MacSorley Gracz ostatnimi dniami zachowuje się fatalnie. Wyskakuje zza węgła i zbija ludzi z nóg tym swoim okropnym kijem do hokeja.

– Proszę uważać na zakrętach, panienko – uprzedziła mnie, nie wiedzieć czemu robiąc uroczystą minę.

– O, to ten McSorley mieszka w zamku? – spytałam, przypominając sobie o słynnym w moich czasach hokeiście z NHL, Martym McSorleyu. – To krewny sir Henry'ego?

– Tak, pradziadek trzeciego stopnia po matce – potwierdziła pani MacFree. – Był swego czasu znanym zawodnikiem, istny król piłki. Kiedyś otrzymał nawet główną nagrodę dla najlepszego gracza.

Już zrozumiałam, że chodziło o ducha.

– O! Musiał być niezwykle utalentowany! – szeroko otworzyłam oczy z zachwytem. Generalnie wolę hokej na lodzie, ale angielski hokej na trawie również wzbudzał moje żywe zainteresowanie.

– Bynajmniej, przyniósłby więcej pożytku, gdyby nie grał w ogóle. Z powodu zapalczywości MacSorley był rekordzistą, jeśli chodzi o karne minuty. Przez niego drużyna wечно wlokła się w ogonie. Nagrodę dostał tylko dlatego, że przyobiegał wygarbować skórę komisji sędziowskiej. Tam, na gobelinie, jest jego portret. – Pani MacFree wskazała za siebie, nie oglądając się.

– I tak wszyscy dali sobą pomiatać?

Oglądałam postać barczystego młodzieńca o twarzy fanatycznego dresiarza, stojącego pośrodku łąki i robiącego zamach kijem hokejowym.

– Był synem właściciela dwóch majątków, sir MacSorleya, który finansował całą drużynę – wyjaśniła kobieta ze skrywaną dumą.

– Jego tatuś też tu straszy? Macie naprawdę wybitne zjawy! – powiedziałam zachęcająco.

– Nie, na szczęście umarł gdzie indziej – odparła pani MacFree. – Dodatkowy duch to dodatkowe problemy.

Skończywszy swoją pracę, wyszła z pokoju. Zostałam sama.

Na co kotu potrzebny był odpoczynek? Zupełnie nie w porę, ja w ogóle nie byłam zmęczona. Potoczyłam wzrokiem po pokoju i ogarnął mnie mimowolny

podziw. Owszem, urządzenie nieco staromodne, lecz wytworne. Na ciemnej drewnianej boazerii kunsztownie wyrzeźbiono kwiatowe ornamenty, sufit podpierają kolumny. Na ścianie na wprost łóżka wisiał wielki gobelin przedstawiający, jak już wspomniałam, miejscowego „bohatera” MacSorleya. A samo łóżko było najbardziej godnym uwagi meblem w pokoju. Na jego czterech kolumnkach snycerz umieścił smoki, jednorożce i lwy. Co prawda te dwa ostatnie trudno było od siebie odróżnić, gdyż mistrz dłuta miał słabe pojęcie o lwach i jednorożcach, za to smoki wyglądały jak żywe, jakby oglądał je w życiu całymi stadami. Z baldachimu zwieszały się aksamitne kotary, a na posłaniu leżały śnieżnobiałe prześcieradła.

Po minucie czy dwóch znudziłam się oglądaniem mebli. Zdjęłam pelerynę, rzuciłam ją niedbale na kapę, zmieniłam buty na pantofelki i wyskoczyłam na korytarz, żeby zapukać do pokoju obok, zajmowanego przez moich kolegów.

W tej sekundzie coś przeleciało obok mnie z hukiem i świstem.

Zobaczyłam przezroczystych, brodatych, półgołych wojowników w skórach, z tarczami i mieczami w postawie bojowej. Z wrzaskiem ganiali się po korytarzu. Boczką przemknęłam do chłopaków. Kot błogo drzemał, zwinięty w kłębuszek na samym środku łoża. Aleks, który otworzył mi drzwi, dźwigał w ręku wielki foliał.

– Widziałam ich, Aleks! – oświadczyłam, robiąc wielkie oczy dla podkreślenia efektu.

– Kogo „ich”? – zapytał z roztargnieniem, przewracając kartkę.

– Co czytasz? Opowieść o Beowulfie? – burknęłam opryskliwie. Medalion dawał nam możliwość rozkoszowania się skarbami literatury światowej w oryginale, gdziekolwiek byśmy się znaleźli. Choć do dzisiejszego dnia jakoś nie mogliśmy znaleźć czasu na lekturę.

– Historia widm Morris Castle. Znalazłem w bibliotece hrabiego.

– Kiedy zdążyłeś?

– Kiedy plotkowałeś ze służbą, a niby kiedy?

Zawstydził się chyba jednak swojego grubiaństwa, bo z miłym uśmiechem poprosił, żebym usiadła. W końcu to dla niego sukces – ostatnio wolałam towarzystwo kota.

– O, popatrz, wszyscy oni mieszkali tutaj w rozmaitych okresach. Chromy Lord Yorkshire, Garbus Edward MacMillan zwany też Garbatym Hrabią,

Karzeł Binky Bezręki – od urodzenia miał ramiona w atrofii. Zginął z ręki zazdrosnej żony i jego duch krąży po zamku już półtora wieku. Ten, w odróżnieniu od wielu innych widmowych mieszkańców zamku, nie lubił intryg i nigdy nie przyłapano go na żadnych złych postępkach, choć w tej książce nazywa się go NAJBARDZIEJ okrutnym i podstępny widmem epoki. Bezręki Karzeł nigdy nie skrzywdził żadnego z lokatorów zamku – zresztą jak miałby to zrobić bez rąk? No i osądź teraz, który z podejrzanych mógł wystraszyć na śmierć babcię i dwóch braci naszego hrabiego, skoro najstraszniejszy z nich w ciągu stu pięćdziesięciu lat nikogo nawet nie tknął palcem – wygłosił Aleks i popatrzył na mnie pytająco.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Byłam w ślepej uliczce. Wzruszając ramionami, mruknęłam niepewnie:

– Widziałam przed chwilą starożytnych Szkotów.

– Aha, Dzicy Wojownicy – rzucił z pogardą, przekartkował księgę i przeczytał: – „Biegają po wszystkich korytarzach, lecz nikomu krzywdy nie czynią, wojownicy są zaiste najspokojniejszymi mieszkańcami zamku...”

– Ładni mi „najspokojniejsi”! Gdybym się nie przycisnęła do drzwi, pewnie by mnie zdeptali, oszalałe dzikusy. Zupełnie jak w „Walecznym Sercu” z Melem Gibsonem.

W tym momencie kot się obudził i zaczął awanturować! Wyjątkowo dziwnie było go oglądać w takim stanie.

Skacząc po łóżku, krzyczał, żądając wyjaśnień, dlaczego nie przyniesiono mu nic do jedzenia, jak przykazał?! Aleks trochę go uspokoił, mówiąc, że widział kamerdynera, który prosił o wybaczenie, ale w tej chwili kuchnia nie ma nic gotowego. Hrabia jednak przekazał, że jeśli nie mamy nic przeciwko temu, możemy zjeść kolację razem, w sali kominkowej, gdzie przekaże nam szczegóły sprawy. Kolację podaje się o godzinie dziewiątej. Jeśli, oczywiście, mówiącemu kotu to nie przeszkadza...

– Mówiący kot! Znów „mówiący kot”! To oburzające – wrzasnął agent 013, zeskakując na podłogę i przyjmując pozę Napoleona. – Jestem profesorem, a nie „mówiącym kotem”, jak nazywają mnie jacyś dyletanci.

No tak, bez argumentu, że on jest profesorem, nie mogło się obejść.

– Co go ugryzło? – szepnęłam do Aleksa.

– Nie wiesz? Przejmuje się tobą. Z każdym dniem więcej, widząc, jak się



zmieniasz – również szeptem odpowiedział mi Aleks, patrząc, jak jego partner, wskoczywszy na parapet, nerwowo myje pyszczek, przecierając go łapą. – Boi się, że gobliny nie zdążą, to przecież już ostatnie dni. Ma zszarpane nerwy, biedak...

To była dla mnie duża niespodzianka. Przecież dosłownie to samo, tylko o Aleksie, mówił mi agent 013!

Równo o dziewiątej wieczorem zjawiliśmy się na miejscu, w sali kominkowej. Poprzedzał nas kamerdyner Large. Po drodze nic szczególnego nie zaszło, jeśli nie liczyć rozczochranego staruszka w białej koszuli nocnej do ziemi, który mignął nam w końcu korytarza. Siwe włosy stały mu dęba i ogólnie strasznie przypominał Einsteina ze słynnej fotografii. Zobaczywszy nas, staruszek poblądł jeszcze bardziej i rzucił się do ucieczki, wyjąc głucho:

– Uhu-hu-hu-u-u! Uhu-hu-u-u! Uuu! – Echo niosło jego wycie po wszystkich korytarzach i komnatach Morris Castle, aż mimowolnie człowieka przechodziły ciarki.

Już chciałam domagać się objaśnień, kiedy kamerdyner pchnął ciężkie drzwi i niemal wyskakując ze spodni z gorliwości, wykrzyknął:

– Miss Alina Safina i mister Aleks Orłow, sir. Przybyli do stołu, sir.

I przepuścił nas z niskim ukłonem. Usłyszałam, jak agent 013 burczy do siebie pod nosem, wchodząc do sali:

– A mnie oczywiście nie trzeba zapowiadać, ja się nie liczę! Kim ja w ogóle jestem? Zaledwie gadającym kotem, nawiasem mówiąc, jedynym w swoim rodzaju.

Tym razem nie włożył beretu, ale został w tej śmiesznej kraciastej spódniczce, spod której sterczał dumnie zadarty ogon.

Hrabia MacMillan powitał nas serdecznie i posadził za długim, bogato nakrytym stołem. Wszystkie sztuce były ze srebra, nie brakowało też eleganckiej porcelany i srebrnych półmisków. W kominku huczał ogień. Dokoła na ścianach wisiały portrety przodków hrabiego. Na moje pytanie, kim był tajemniczy staruszek, sir Henry z lekkim zmieszaniem wyjaśnił, że był to jego poszkodowany na umyśle dziadek, sir Robert.

– Jego choroba, niestety, jest nieuleczalna – dodał hrabia ponuro. – Następstwo spotkania z tym samym widziadłem, które stało się przyczyną śmierci trojga moich najbliższych krewnych.

– Czyli to już cztery ofiary – skonstatował Aleks.

– Tak, i to za ledwie w ciągu półrocza – przytaknął gospodarz, nakładając sobie szynkę na talerz. – Byłem nieobecny mniej więcej sześć miesięcy, wyjechałem do Indii w sprawie swojego banku. Tyle kłopotów, że nie mogłem wyrwać się nawet na pogrzeb babci, choć ją bardzo kochałem. Praktycznie to ona mnie wychowała. Tęsknię za nią bez przerwy, choć od jej odejścia minęły już trzy miesiące i cztery dni. – Otarł skąpą łzę. – Po jej śmierci i niedyspozycji dziadka zamek odziedziczył mój starszy brat James, który niezwłocznie się tu przeprowadził, sprzedawszy swój dom w Edynburgu. Był inwalidą od dzieciństwa i nigdy się nie ożenił. No i proszę, mija miesiąc, jak zamieszkał w zamku, a tu dostaję telegram zawiadamiający o jego śmierci! I znów poważne sprawy nie pozwalają mi jechać na pogrzeb ukochanego brata. Przyczyna śmierci identyczna jak u mojej babci: oboje powaliła apopleksja. Wówczas przyszła mi do głowy myśl, że winowajcą jest nowy duch.

– Nowy?! – odezwaliśmy się z Alekssem równocześnie. – Czy pan go widział?

– Nie, nie, ja go nie widziałem – odrzekł hrabia szybko, kładąc mi na talerzu kawałek pieczonej indyczki. – Możliwe też, że on wcale nie istnieje, ale z drugiej strony, doskonale znamy wszystkie nasze duchy. Zapewniam, że skromniejszych i bardziej nieszkodliwych nie ma w całej Szkocji. Weźmy choćby Bezrękiego Karła; choć jest okrutny i bezlitosny, to jednak nie znam miłszego i zabawniejszego widma. To mój ulubieniec, mam nadzieję, że nie wciągniecie go na listę podejrzanych – powiedział sir Henry, patrząc z jakiegoś powodu na kota, z którego mordki nie schodził srogi wyraz. – Uważałem, że może podczas mojej nieobecności pojawił się nowy duch. Mój drugi brat, Artur, który mieszkał tu razem z Jamesem, również został znaleziony martwy w swojej sypialni. Niewątpliwe przedawkowanie. W Chinach uzależnił się od opium...



– A co mówią służący? – spytał Aleks, smarując chleb masłem.

– Boją się teraz wychodzić nocą na korytarz, sir. Nasz stary kamerdyner wymówił służbę od razu po tym, jak znalazł Jamesa pod wywróconym wózkiem inwalidzkim. Jakieś widmo przeleciało obok, zdmuchnęło mu świecę i wrzasnęło prosto do ucha – to była ostatnia kropla. A że potrzebowałem pilnie lokaja, wziąłem Large'a, który dotąd był stajennym.

Teraz już było wiadomo, dlaczego chłopak jest tak mało podobny do typowego angielskiego kamerdynera.

– Także, proszę państwa, śmierć Artura... Gdyby nie duma familijna, może bym się nie zdecydował na powrót do Morris Castle, sądząc, że grozi mi tutaj realne niebezpieczeństwo. Ale dwa z tych zgonów wyglądały na wypadki, dopiero później, po wypytaniu służby, stwierdziłem, że coś jest nie w porządku. W każdym razie jesteście najlepszymi specjalistami w tej dziedzinie, jak zapewniał mnie mój przyjaciel Lochis.

Coś mi przyszło na myśl i szeptem spytałam kota:

– Przy okazji, jeśli ten Lochis jest agentem, i to podobno wybitnym, dlaczego sam nie rozwiązał tej sprawy?

– Alinko, on się specjalizuje w podwodnych potworach.

– Przecież on sam... – Chciałam powiedzieć: „Przecież on sam jest podwodnym potworem”, lecz ugryzłam się w język. Mruczek jak zawsze czytał w moich myślach.

– Lochis jest niekonfliktowym potworem, już to, że został naszym agentem, mówi samo za siebie. Ma rzadką specjalizację i jest wręcz niezastąpiony pod wodą. Pracowników o jego specjalności można policzyć na pazurach jednej łapy. Dlatego on się ceni i nie traci czasu na naziemne obiekty, uważając, że taką robotę może wykonać każdy. Ma wachty, nie może na długo wychodzić z wody, a do tego nie ma pojęcia o duchach. I to jest główna przyczyna, dla której wezwano nas.

Henry MacMillan w tym czasie dyskutował z Alekssem o wyższości polowania na kaczki nad łowami na niedźwiedzia (zapewne chodziło o względy bezpieczeństwa). Po kolacji hrabia z dumą pokazywał nam portrety rodzinne wiszące na ścianach, wygłaszając kilka zdań o każdej przedstawionej na płótnie osobie.

Największe wrażenie zrobiła na mnie historia młodego hrabiego Seana

MacMillana, żyjącego w siedemnastym stuleciu. Był sympatycznym młodzieńcem, bogatym do tego, wcześniej otrzymał hrabiowski tytuł. Tak wcześniej, że właśnie tytuł odegrał fatalną rolę w jego życiu. Gdyby został hrabią później, powiedzmy w wieku czterdziestu lat, nieborak pożyłby dużo dłużej... Nie poszczęściło mu się, gdyż zamążpójście staruchy Higgs wypadło akurat w okresie jego lordowania. Istniało wówczas jeszcze prawo pierwszej nocy, jednak młody hrabia, będący człowiekiem o niespotykanej jak na owe czasy demokratycznych poglądach, korzystał z tego prawa rzadko i wyłącznie za obopólną zgodą.

Tyle że stara Higgs miała konserwatywne poglądy, zwłaszcza w wyżej wymienionej kwestii, i postanowiła koniecznie wypełnić swoją powinność względem seniora. Staruszka twardo upierała się użyć w razie potrzeby nawet środków bezpośredniego przymusu. To miało szanse powodzenia mimo jej poważnego wieku osiemdziesięciu trzech lat, gdyż nie rozstawała się z laską, a młody hrabia odznaczał się delikatną budową ciała.

Krótko mówiąc, chłopak zginął we własnym łóżku w wyniku szoku, gdy ta stara wiedźma zaczęła się rozbierać.

Kiedy przeszliśmy do portretu „Damy w szaro-buro-malinowym”, na którym była przedstawiona suchotnicza dziewczyna ze szczurzymi oczkami, gospodarz szeptem zdradził nam, że ma ona zwyczaj wychodzić po nocach i rzucać się na kawalerów o miłej powierzchowności. Kot przy tych słowach nadstawił uszu, widocznie biorąc je do siebie.

Była to któraś z dalszych krewniaczek sir Henry'ego, zmarła dwieście lat temu. Los przyznał jej w udziale staropanieństwo i pewnie stąd jej obecne zachowanie.

– Mnie nie rusza – pochwalił się hrabia. – Widocznie uważa, że jesteśmy zbyt blisko spokrewnieni. Natomiast Large'a często zaczepia, więc chłopak stara się jak najrzadziej wychodzić ze swojego pokoju po zapadnięciu nocy.

Sir Henry poradził Aleksowi mieć się na baczności. Podano kawę, którą tutaj tradycyjnie pijało się przy kominku. Rozsiadliśmy się na fotelach przy ogniu. Kot usadowił się na podnóżku, gdyż był to jedyny mebel odpowiedni do jego wzrostu. Na naszą prośbę hrabia opowiedział nam więcej o Bezrękim Karle. Mówił z przyjemnością, choć wiedział o tym duchu i jego doczesnym życiu dość niewiele.

– Co chcielibyście wiedzieć o małym Binkym? – zaczął MacMillan łagodnym tonem. – Po prawdzie, jest niewinny jak dziecko. Choć nie ręczyłbym za niego, gdyby miał ręce. Opowiadała mi o nim moja babcia, która oczywiście nie знаła go za życia, a słyszała tę historię od swojej babki. Podobno za życia hrabia Binky MacMillan często zdradzał żonę, a ta oczywiście wychodziła z siebie. Hrabia Binky, widząc jej cierpienia, publicznie rozpowiadał o swoich licznych amorach. Ubliżał biednej kobiecie, obrzucał ją wstrętnymi epitetami i znajdował w tym przyjemność. Jednego nie przewidział: możliwych konsekwencji. Koniec końców, jego żona miała dość jego wiarołomstwa i pewnego wieczora utopiła go w nocniku! Przy jego wzroście było to w pełni możliwe... Mówi się, że doznała przy tym niewysłowionej rozkoszy, słuchając skomlenia tego domowego potwora. Sama potem opowiadała przyjaciółkom przy herbatce, że niczego podobnego nie doznała w ciągu całego swojego małżeńskiego pożycia.

Historia robiła wrażenie... swoją niewątpliwą komicznością, jednak twarz hrabiego wyrażała przekonanie, że opowiedział nam coś na miarę szekspirowskiej tragedii, postanowiłam więc zachować powagę.

– Po śmierci Bezręki Binky pozostał w zamku i nadal dręczył żonę. A raczej próbował to robić, gdyż hrabina śmiała mu się w twarz i często wraz z przyjaciółkami ganiała nieszczęsne widmo po wszystkich korytarzach. Śmierć żony wybawiła go od ponizeń i teoretycznie dała moralną swobodę. Ale wypełniła go żądza zemsty, znenawidził całą ludzkość. Jego dusza stała się jeszcze czarniejsza i całkiem zamknął się w sobie.

– I co, czy urzeczywistnił swoją zemstę? Czy choćby próbował to zrobić? – zainteresowałam się, domyślając się odpowiedzi. – I czy pan jest absolutnie pewien, że ta przysięga pomsty miała faktycznie miejsce? To bardzo ważne.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział sir Henry nieco stropiony. – O zjawach nigdy nie wiadomo nic konkretnego. Chodzą o nich słuchy, plotki, legendy powtarzane z pokolenia na pokolenie. Bezręki Karzeł pojawia się od czasu do czasu, niestety, nie tak często jak kiedyś. Zwykle turla się przechodniom pod nogi, licząc, że ktoś się o niego potknie i przewróci. A jeśli mu się to powiedzie, zrywa się na nóżki i poskacze ofierze trochę po plecach, a potem ucieka, dziko chichocząc. I to wszystko.

Dowódca chciał wiedzieć, czemu w takim razie Karzeł w kronice został

nazwany „NAJBARDZIEJ okrutnym i podstępny widmem epoki”. Hrabia wyjaśnił, że księgę pisał jego dziadek, który bardzo współczuł nieszczęsnemu przodkowi i aby wzbudzić w potomkach szacunek wobec męczennika Binky ego, dopisał właśnie te słowa.

– Jak pamiętam, dziadunio zawsze miał skłonności do przesady – usprawiedliwił się sir Henry. – Z tego powodu w kronice jest dużo niedokładności. Po napisaniu tej książki oszalał.

Zamilkł na dłuższą chwilę, po czym z szerokim uśmiechem zaproponował grę w tryktraka. Dawał przy tym do zrozumienia, że przede wszystkim zależy mu na moim towarzystwie, lecz Aleks, objąwszy mnie ramieniem, stanowczo skierował ku drzwiom.

– Agent 013, jeśli ma ochotę, zostanie z panem. A my, Alino, powinniśmy jeszcze dzisiaj przepytac służbę. I przestudiować kronikę zjaw. Mimo błędów i nieścisłości na razie to nasze najlepsze źródło informacji. Proszę wybaczyć, sir, czas ucieka. Dobranoc.

Hrabia dał wyraz swemu szczeremu żalowi i rzucił spojrzenie pełne nadziei w stronę kota, który właśnie próbował się oburzać, że Aleks uważa go za osobę zbędną w śledztwie. Potem jednak uległ prośbom hrabiego, niemogącego, jak się okazało, zasnąć bez rozegrania kilku partii swojej ulubionej gry. .

Przechodząc obok „Damy w szaro-buro-malinowym”, Aleks popatrzył na nią badawczo, jakby chciał dobrze zapamiętać, by w razie przypadkowego nocnego spotkania rozpoznać ją już z daleka i w porę uciec. Zachichotałam za jego plecami. Usłyszał to oczywiście i zgromił mnie wzrokiem. W korytarzu podeszliśmy do otwartego okna. Popatrzyłam na cudownie rozgwieżdżone niebo. Rozpoznałam Mleczną Drogę i Wielką Niedźwiedzicę, znalazłam Gwiazdę Polarną... więcej nie umiałam.

– Czy ta noc nie jest po prostu bajeczna, sir Aleks? – odezwałam się romantycznym tonem. Nasze kostiumy, miejsce i epoka sprzyjały romantycznym nastrojom, a do tego znów czułam, że wewnętrzny chochlik, skłonny do psot, trąca mnie paluszkami. – Może byśmy pospacerowali po ogrodzie, sir? – Pociągnęłam go za rękaw.

– Gdzie ty tu widziałaś ogród? – zdziwił się Orłow. Jednak popatrzył dla świętego spokoju w dół.

Dla towarzystwa też przewiesiłam się przez parapet, chociaż doskonale

wiedziałam, że nie zobaczę nic nowego – ten sam ponury landszaft co za dnia, a nawet gorszy, bo w świetle słonecznym przynajmniej było widać zieleni trawy.

Pomyliłam się, było tam coś nowego. Pod ścianą zamku siedziały wilki, co najmniej tuzin. Wyciągnawszy pyski, w milczeniu patrzyły ku górze – mogłabym przysiąc, że przyglądają się właśnie nam.

– Okropny widok – orzekłam.

– Nie bardziej straszny od duchów – odpowiedział Aleks.

„A może jest wśród nich nasz francuski Wilk?” Zaraz jednak odpędziłam tę myśl. Co miałby tu robić? Na pewno siedzi teraz w swoim nowym domu na Riwierze z kielichem wina andegaweńskiego w jednej łapie, a drugą gmera w półmisku ze swoją ukochaną kaczką po meksykańsku. Zresztą jakie to ma znaczenie? Najważniejsze – TAKA NOC! I ramię Aleksa mocno przyciśnięte do mojego w tym wąskim oknie... A on sam już pięć minut nigdzie nie ucieka. Aleks obrócił się i ostrożnie wziął mnie za rękę. To już więcej niż dziwne. Może to wcale nie on, a jakaś zjawa pod jego postacią?!

– Posłuchaj... – Z dreszczem grozy zajrzałam mu w oczy. Zobaczyłam w nich coś jakby czułość, o ile nie pomyliłam się w mroku. Miałam nadzieję, że się pomyliłam, w przeciwnym wypadku to w ogóle nie jest Aleks, tylko jakiś fantom udający z niewiadomych powodów mojego partnera z ekipy. Boże, to gdzie w takim razie jest prawdziwy Aleks?! Jeśli teraz zacznę krzyczeć, ten typ zdąży mnie chwycić za gardło i ani zipnę. r

– Tak...? – powiedział zachęcająco perfidny sobowtór.

Nadal w jego oczach nie było ani śladu irytacji. Aha, rozgryzłam cię, draniu! To naprawdę nie jest Aleks, bo on już dawno by się zdenerwował, że tyle czasu się płaczę, zamiast spytać wprost.

– Słuchaj, chciałam zapytać, czy widmo może przyjąć postać jakiegoś konkretnego człowieka?

– W tym świecie wszystko jest możliwe – odparł zagadkowo i powoli przesunął palcami po moim policzku.

Zamarłam pod hipnotycznym spojrzeniem jego szarych oczu niczym ptak zagrożony przez kobrę. „Zegnaj, Aleks – przemknęło mi przez głowę. – Opróżni mnie z krwi do sucha. Może mu powiedzieć, że mam anemię?”

W tym momencie na korytarzu rozległy się czyjeś kroki. Ufff! To byli Large i



pani MacFree. Z trudem ukryłam radość. Sobowtór Aleksa opuścił rękę, krzywiąc się z niezadowoleniem. No i co, chytrusie, nie udało się?! Pospiesznym krokiem podążyłam na spotkanie z ochmistrzynią i kamerdynerem, szepnąwszy na odchodnym udawanemu Aleksowi, że to dobra okazja, aby ich pociągnąć za języki. Chciałam uprzedzić kota, żeby miał się na baczności, ale mój powrót do sali kominkowej na pewno by wzbudził w fantomie podejrzenia.

– Pani MacFree, jest pani w tej chwili zajęta? Mogłabym prosić o żelazko?

Pani MacFree akurat szła do siebie, by zająć się łataniem skreślonej z inwentarza bielizny pościelowej. Wyjaśniła, że wysłała ją do najbliższego przytułku, dla sierotek. Żelazko było dobrym pretekstem. Usadowiliśmy się w dużym pokoju nazywanym „schowkiem”. Pani MacFree mówiła dużo i chętnie, pozostało mi tylko utrwać w pamięci istotne dla naszej sprawy strzępy informacji, wplecione w opowieści ochmistrzyni o jej rodzinie, licznych ciciach i stryjecznych wujaszkach. A z każdej nowej historii obowiązkowo wyciągała jakiś morał. Który rozsądnie puszczałam mimo uszu, martwiąc się w tym czasie o prawdziwego Aleksa. Los kota mnie nie niepokoił. Umie zadbać o siebie, lecz myśl, że sobowtór porwał i ukrył gdzieś agenta Orłowa, strasznie mnie męczyła.

Pani MacFree niczego nie umiała mi powiedzieć o sobowtórach. Nikt taki nie pojawił się w Morris Castle od początków jego istnienia, czyli od czterystu lat. Zaczęłam się trochę uspokajać. Zdaje się, że to jednak był prawdziwy Aleks, co mnie wcale nie ucieszyło – musiał być ciężko chory, sądząc po nietypowym zachowaniu.

Przy herbacie i keksie, którym poczęstowała mnie poczciwa ochmistrzyni, uspokoiłam się do reszty i zapomniałam o swoich lękach. Pani MacFree była daleką krewną sir Henry'ego, który wraz ze śmiercią swoich starszych braci i ukochanej babci awansował na głowę klanu, dlatego wiedziała o tej rodzinie wszystko. Zaczęłyśmy rozmawiać o zabójstwach.

– Nie mam pojęcia, który z naszych duchów mógłby być zdolny do czegoś takiego... – zadumała się.

– Czy któryś z nich w ciągu ostatniego półrocza zachowywał się jakoś dziwnie? – podsunęłam. – Proszę spróbować sobie przypomnieć, to ważne.

– Co najwyżej biedny Kulawy Lord Yorkshire jakoś przycichł. Tak, teraz

sobie przypominam. Wcześniej głośno stukał swoimi kulami we wszystkie drzwi, kiedy przelatywał korytarzem, budząc nas w środku nocy. To była taka jego drobna rozrywka. I oczywiście był członkiem tutejszego chóru. To widocznie pomaga biednym duchom skrócić wieczność, więc zorganizowali sobie chóralne śpiewy. Ich najlepszym głosem wiodącym jest mały Binky Bezręki; kiedy on wyje, a wilki pod zamkiem mu wtórują, nie śpimy w ogóle – oznajmiła nie bez dumy ochmistrzyni.

Wyjaśniło się, że wilki dzisiaj pod oknami po prostu czekały na koncert. Odnotowałam sobie w pamięci ten fakt, choć nie bardzo wiedziałam po co. W tej chwili bardziej zaciekawiały mnie mocno przekrwione oczy mojej rozmówczyni. Takie miewają tylko wampiry albo osoby całą noc ślęczące nad igłą.

– Tak jak mówię – ciągnęła pani MacFree – Kulawy Lord zamknął się w sobie. Kiedy go widzimy, zdaje się nie zauważać nikogo, tylko mamrocze coś do siebie pod nosem. Dama w szaro-buro-malinowym, która czasami przychodzi do mnie na ploteczki, mówiła, że zaczął stronić od innych duchów i nawet poprosił o wykluczenie z chóru!

– I Dama w szaro-buro-malinowym nie wie niczego o tym morderczym widmie? – zainteresowałam się, dojadając keks.

– Ona twierdzi, że nie – przyznała kobieta, nie kryjąc troski. – Lecz mnie się wydaje, że Dama istotnie nic nie wie. Inne duchy, niestety, rozmawiają z nami mniej chętnie. Ostatnio każdy z mieszkających tutaj ludzi, bojąc się o swoje życie, próbował z nimi nawiązać kontakt, na próżno. Biedny Large nawet został pobity!

– Konkretnie przez kogo? – spytałam ze zdumieniem.

– Przez Dzikich Wojowników, a kogóż by?! Zachciało się półgłówkowi zadawać pytania tym barbarzyńcom! Stłukli go na kwaśne jabłko i powiesili za kołnierz w wielkim salonie, gdzie w zamierzchłych czasach wieszano pojmanych jeńców. Pechowy chłopiec wisiał tam na haku, krzycząc wniebogłosy, póki go nie zdjęto...

Zauważyłam, że Dzicy Wojownicy z jakiegoś powodu zostali w kronice nazwani najspokojniejszymi duchami w Morris Castle. Pani MacFree, otrząsnąwszy się, powiedziała, że autor książki był żartownisiem, nawet kiedy jeszcze nie cierpiał na pomieszanie zmysłów.

Ze złością pomyślałam, że ten stary grzyb na pewno pisał te rzeczy, będąc już zupełnym psycholem.

Nagle gruchnęły kotły! Aż podskoczyłam z zaskoczenia, ale pani MacFree niczym się nie przejęła.

– Nie bój się, duszko, to tylko duchy – pocieszyła mnie. – Stukają na strychu w miedziane miski.

Rumor tymczasem narastał, osiągając poziom ogłuszającego huku. Zasłoniłam uszy rękami, lecz to niewiele pomagało. Do bębnienia w miedziane litaury dołączył przeraźliwy dźwięk – jakby ktoś wodził pilnikiem po zardzewiałej pile.

– O Boże, i wy to znosicie?!

– Trzeba będzie jutro rano posłać kogoś na strych, żeby zabrał stamtąd dudy. No proszę, a zastanawiałam się, kto mógł zabrać z pokoju pamiątek dudy świętej pamięci sir Murdocha! – odkrzyknęła ochmistrzyni poprzez hałas.

– Pewnie to sir Murdoch sam je zabrał, żeby przypomnieć sobie ulubione melodie! – wrzasnęłam z rozdrażnieniem.

– Nie, chwała Bogu, sir Murdoch nie należał do naszego klanu i nie mieszkał w Morris Castle. Zwyczajnie zapomniał swojego instrumentu, kiedy był u nas z wizytą – wszędzie go taszczył ze sobą! Następnego dnia zginął na polowaniu, przypadkiem pomyłono go z jeleniem! Na nieszczęście miał hełm z jelenimi rogami, które zdobiły także jego herb rodowy! A stąd morał: po co wkładać hełm, wybierając się na polowanie?! – zakończyła swoim zwyczajem pani MacFree.

Już od pewnego czasu po zamku rozchodziło się wycie, skowyty i sowie pohukiwanie, od czasu do czasu przerywane dzikim chichotem – prawdopodobnie do zabawy przyłączył się obłąkany dziadek Robert. Za oknem do wtóru wyły wilki. Generalnie, kompletny dom wariatów! Życzyłam pani MacFree dobrej nocy, postanowiwszy zakończyć spotkanie. Na korytarzu gdzieś palily się świece, ale dzięki swoim „nocnym oczom” bez dodatkowego światła rozróżniałam drzwi i zakręty. Z mroku wynurzyła się jakaś postać.

– Aleks, to ty? – upewniłam się drżącym głosem. Nie, to nie był on. Obok mnie przeszedł kulawy starzec w stroju z XVI wieku – płaszczu podbitym

futrem i bufiastych spodniach. Powoli przestawiając kule, przekuśtykał tak blisko, że zaczął mnie wielkim strusim piórem zdobiącym jego beret, kompletnie ignorując moje istnienie. Burczał przy tym coś do siebie niewyraźnie. Mimo lęku przed lekko migocącym widziadłem postanowiłam spróbować szczęścia.

– Przepraszam, czy pan coś mówił? – krzyknęłam mu wprost do ucha.

Kulawy Lord wzdrygnął się zaskoczony. Zgromił mnie morderczym wzrokiem (bijąc przy tym życiowy rekord naszego kota) i próbował przejść wprost przeze mnie. Nieoczekiwanie grzmiące kotły, czy też miednice, ucichły. Twardo postanowiłam doprowadzić rzecz do końca, nawet jeśli przy tym oberwę kulą.

– Proszę wybaczyć, obywatelu Lordzie, mam pytanie: dlaczego porzucił pan wasz znamienity widmowy chór, który uprzyjemnia nocę wszystkim bez wyjątku mieszkańcom zamku, pomagając im przetrwać do rana? Spać tak czy owak nie mogą... Mówi się, że jest pan ostatnio bardzo nieswój...

– Jak śmiesz odzywać się do mnie, zuchwała dziewczko?! – zawył sir duch pozagrobowym głosem.

Trochę zadrżały mi kolana, na szczęście miałam długą sukienkę i nie było tego widać. Jednak skoro nadarzyła się okazja, musiałam przesłuchać tego starego piernika, który był podejrzany na równi ze wszystkimi duchami w zamku.

– Przepraszam, niestety, taką mam pracę, dziadku... o, przepraszam, Lordzie! Jestem już bardzo zmęczona, ale muszę pana zatrzymać, by zdobyć jakiegokolwiek przydatne wiadomości. Z pewnością jest pan zorientowany w sprawie trzech zgonów, jakie zdarzyły się tutaj w ciągu ostatnich sześciu miesięcy?

– Oczywiście – burknął staruszek z irytacją, niecierpliwie postukując kulą w posadzkę.

Na wszelki wypadek cofnęłam się odrobinę i rzeczowo przypomniałam:

– No więc? Dlaczego pan odszedł z chóru?

– Gdyż to strata czasu...

– ...którego ma pan aż nadto. Czym dla pana jest czas? – Chrząknęłam znacząco, zarazem karcąc się w myślach za mędrkowanie.

Duch przeszył mnie ostrym wzrokiem, w głębi jego oczu błysnęły iskierki (w

każdym razie tak mi się zdawało).

– Każdą ilość czasu można wypełnić celowymi działaniami – oświadczył duch filozoficznie, ciągnąc się za ucho.

– Czy pan... a jeśli nie pan, to inne duchy tego zamku, nie macie żadnego współczucia dla tutejszych mieszkańców? Oczywiście mam na myśli tych żywych... Przecież nic złego wam nie robią, w miednicy pozwalają stukać. (Dud na razie nie odebrali, dodałam w myślach). Dlaczego więc ukrywacie mordercę, który zakłóca również wasz spokój? Jesteście przecież spokojnymi duchami, dobrze wychowanymi. Z arystokratycznych rodzin. A to znaczy, że w dzieciństwie mieliście najlepszych nauczycieli, chodziliście do kościoła i nie obracaliście się w złym towarzystwie...

Lord milczał, na jego twarzy malowało się jakieś dziwne roztargnienie, jakby spał z otwartymi oczami. Tak zresztą i było.

– O! Proszę wybaczyć, zdrzemnąłem się chyba – przyznał ani trochę nie zawstydzony, kiedy chrząknęłam mu nad uchem, nie doczekawszy się żadnej reakcji.

Staruszek zawrócił i wolno przekuśtykał wprost przez ścianę. Na pożegnanie nachylił się jeszcze do mnie i dość głośno – gdyż koncert na miednicy i dudy wybuchnął na nowo – oznajmił:

– Sprawy duchów nie podlegają ludzkim sądom. Moje uszanowanie, milady...

Poszłam do siebie. Na dzisiaj miałam już dość. Mam chyba prawo pospać w nocy? Za nadgodziny nam nie płacą. Ziewając, dotarłam do swoich drzwi. Po sekundzie namysłu zajrzałam do pokoju Aleksa i kota – nie było ich. No cóż...

Poszłam do siebie, szybko się rozebrałam i zanurkowałam pod kołdrę. Już spod półprzymkniętych powiek zobaczyłam, jak na gobelinie wiszącym vis-à-vis łoża, wyszywany MacSorley zamachnął się kijem, posyłając piłkę w prawy róg płótna. Następnie sam również zniknął z pola widzenia, biegnąc w tę samą stronę. Możliwe, że śniłam, bo nagle zaczęłam widzieć całe prostokątne zielone boisko zalane księżycowym blaskiem, z graczami, bramkami i kibicami. Rozpoczęła się bójka, której inicjatorem był naturalnie MacSorley. Rozrzuciwszy wokół siebie kilku zawodników (w tym również własnych kolegów próbujących go powstrzymać), dumnie poszedł odbyć karę, przechodząc przy tym beczelnie przez sędziego. Wtedy zrozumiałam, że

wszyscy są duchami: i gracze, i widzowie siedzący na drewnianych ławkach, które paroma rzędami otaczały pole. Okazało się, że jeden z graczy, biorący udział w bójkę, został mocno poturbowany i MacSorley oberwał jeszcze dziesięć minut karnych. Trener nie wytrzymał i ryknął na niego:

„Czy ty naprawdę chcesz, żebyśmy przez ciebie stracili nawet ten nędzny miejscowy czempionat Widm Celtyckich? Już nie mówiąc o tym, jak marne mamy szanse na dostanie się do rozgrywek Pucharu Zaświatów Zjednoczonego Królestwa, i to też dzięki twoim staraniom! Dlaczego rozwiałeś biednego Corrigana?”

MacSorley posępnie milczał, patrząc w bok.

„Lepiej byś przypilnował swojej wnuczki, MacMillan – burknął, nie zwracając uwagi, że z gniewu trener zaczął gęstnieć, z mgły przekształcając się w kisiel. – Rozrabia nawet wśród żywych, męża doprowadziła do obłędu, dwóch twoich praprawnuków zabiła, a tyją wciąż głupio usprawiedliwiasz! Tak ci żal «biednego Corrigana?»” – Przy tym z powodzeniem udał minę trenera rozpaczającego nad kontuzjowanym graczem.

W tym miejscu przebudziłam się i gwałtownie poderwałam z pościeli. MacSorley po staremu brał zamach swoim kijem na gobelinie. Podejrzliwie przyjrzałam się prostackim rysom dalszego krewnego MacMillanów. Naturalnie nawet nie drgnął, patrząc w dal swoimi przeraźliwie czarnymi oczami. A więc to babcia sir Henry'ego?! Ale jak, po co i dlaczego?!

– Dzięki, MacSorley – westchnęłam serdecznie, z trudem odrywając się od gnających mi po głowie myśli. – Pewnie czujesz do mnie sympatię, skoro pomagasz. Może dlatego, że ja też lubię hokej, choć nie na trawie...

Wyskoczyłam pędem na korytarz, gdzie wpadłam na Aleksa i mało nie przewróciłam się, potknąwszy o kota – obaj akurat wchodzili do swojej sypialni. Trochę się zdziwili, że jeszcze nie śpię.

– Trzecia w nocy, Alinko – odezwał się kot z wyrzutem, ale również z czułością w głosie. Troszczył się o mnie teraz dosłownie jak przyszły mąż. – Pora spać.

Najwyraźniej poprawił mu się humor.

– A czemu wy jeszcze nie śpicie? – spytałam, z trudem się powstrzymując, by natychmiast nie wyrzucić z siebie wstrząsających wieści.

– Pytania, wypytywania, przesłuchania... – wymamrotał profesor,

zapraszając mnie gestem do środka. Poczekał, aż usiądę, usadowił się wygodnie obok i zaczął swoją opowieść: – Duchy milczą, ale mało je interesują zgony. Tym bardziej że od śmierci Artura minął ledwo miesiąc. Ludzie wciąż jeszcze noszą żalobę, a duchy jego śmierci chyba nawet nie zauważyły. Dobrze byłoby, gdyby sam się stał duchem i wszystko nam opowiedział, lecz jak widać, bracia nie kwapią się tego robić. Może coś ich do tego zniechęca, na przykład obecność zabójcy. Co się tyczy babci, lady Marii MacMillan, jak ją nazywano, powstały pewne wątpliwości. Bezręki Binky długo głądził o swojej niezrównanej i zawsze ukochanej żonie, aż niechcący wymknęło mu się coś o niejkiej Gorgonie Elizabeth, która w naszym rejestrze nie figuruje. Powiedział, że to nowa zjawia, nie pisał jednak ni słowa więcej. Za to wpadł w swój zwykły stan: zaczął robić miny, koziolkować po podłodze, od czasu do czasu próbując na nas wskakiwać, a w końcu z dzikim chichotem uleciał pod sufit, gdzie się rozplątał. Zdażyliśmy z Alekssem przesłuchać całą kupę duchów i nawet Large'a. Cały czas tylko skarżył się na Dzikich Wojowników. Kiedy spytaliśmy go, czy słyszał o Gorgonie Elizabeth, chłopak zaraz sobie przypomniał, jak Wojownicy na pożegnanie mu powiedzieli, że powinien się cieszyć, bo następnym razem może podpaść Gorgonie Elizabeth.

– Młody hrabia nic nie mówił o swojej babci...

– W tym rzecz! Nie wszyscy umarli stają się duchami. A czegośmy się koniec końców dowiedzieli od sir Henry'ego? Że pełne imię jego babki brzmiało Maria Ester Elizabeth!

Kot tryumfalnie napuszył ogon. Szeptem spytałam Aleksa, czy nie dowiedział się przypadkiem, co takiego rozdrażniło Mruczka wcześniej. Orłowi tylko machnął ręką, mówiąc, że agent 013 miał zwykłą niestrawność. No jasne, cóż by innego? Przypomniałam sobie, że kot faktycznie robi się w takich przypadkach bardzo nerwowy. Ale niestety, już dość odwlekałam moment przekazania kolegom własnej sensacji, więc gorączkowo wyłożyłam im wszystko w nadziei, że mnie chociaż pochwalą. Ostatecznie sami dokopali się do babci, a ja tylko potwierdziłam informację.

– Hm, szczęściara, nie zdążyła się położyć, a już miała proroczy sen – wymamrotał z za uśmiechu Aleks odrobinę powątpiewająco.

– Nie spodobał mi się ten stosunek do mnie.

– A czy mój sen nie potwierdza waszych podejrzeń?

Nie musiałam, w odróżnieniu od was, tyle się wysilać, a rezultaty mam bardziej znaczące – odparłam kwaśno. – Można powiedzieć, że sprawa zamknięta. Zostały do załatwienia tylko drobiazgi: znaleźć motyw zbrodni i unieszkodliwić ducha!

– Taa, faktycznie same drobiazgi – przedrzeźniał Aleks. Nadal się uśmiechał. Z początku wydawało mi się, że jak zwykle naśmiewa się ze mnie, ale ten uśmiech był podejrzanie przyjemny... nawet czuły! A spojrzenie... (No nie, tylko nie to!) Nic, tylko udar sio... księżycowy. Objawy mogą jeszcze potrwać.

Wciąż jednak się dąsałam.

– Dobra, jak tak, to idę do siebie. Może znów coś ciekawego mi się przyśni. Na przykład, jak was dwóch zdegradowali, a mnie zrobili generałem.

– Od razu z podporucznika! – parsknął kot, uśmiechając się pod wąsem.



Nazajutrz rano, a raczej w południe, obudziło mnie stukanie do drzwi. Była to pani MacFree. Przyniosła dzbanek z wodą i ręczniki, mówiąc, że śniadanie jest gotowe, a sir Henry chętnie zje drugie śniadanie w naszym towarzystwie. W takiej głuszy oczywiście wstaje się z zasady wcześniej. Mieszkańcy zamku mieli już pół dnia za sobą.

Za oknem był jasny jesienny dzień, wyszłam ze swojego pokoju, zamierzając zastukać do chłopców. I zastygłam... U wylotu korytarza pojawiło się widmo, które zbliżało się w podskokach, machając rękami i pojękując. Nie może być, w dzień?! Dopiero bliższe przyjrzenie pozwoliło stwierdzić, że to tylko sfiksowany dziadek sir Henry'ego. Na jego twarzy malowało się przerażenie. Staruszek wywracał oczami, targał się za siwe włosy i bełkotał coś niezrozumiałego. Nie widział mnie albo nie chciał widzieć. Kiedy przechodził obok, udało mi się wyłowić oddzielne frazy z jego mamrotania.

– Mario! Nie, nie, nie trzeba, proszę...! Ty megiero... Zła kobieto! Żle... wszystko źle... Dlaczego, dlaczego znów to zrobiłaś?!

– Ee... przepraszam, coś się stało? – zatrzymałam go, chwytając za rękaw.

Staruszek podniósł na mnie błędny wzrok, a potem raptem oczy niemalże wylazły mu na szypułkach, jak krabowi.

– Jeszcze jedna megiera! – krzyknął i rzucił się do ucieczki, zbijając mnie z



nóg.

Byłam oburzona, a równocześnie zaintrygowana. Ten moment oczywiście musieli sobie wybrać moi partnerzy na wyjście z pokoju.

– A to co, odpoczywasz na naszym progu? Chyba nie spałaś tu przez całą noc? – zakpił Aleks, patrząc na mnie z góry. Niezwłocznie się podniosłam.

– Coś się stało! Na pewno znów był atak! – wykrzyknęłam ze wzburzeniem, postanawiając odłożyć obrażanie się na później. Jak znam Aleksa, znajdzie się jeszcze mnóstwo okazji.

W tym momencie na końcu korytarza ukazał się sir MacMillan, machając do nas ręką i wrzeszcząc:

– Szybciej, szybciej! Znów to się stało! – i skrył się za węglem.

Wymieniwszy spojrzenia, rzuciliśmy się za nim. Agent 013 wyrwał do przodu – zauważyłam, że nareszcie pozbył się swojego szkockiego ubranka i jak każdy porządny kot miał na sobie tylko własne futro.

Kiedy dotarliśmy na parter, byliśmy już trochę zadyszani. Za kolejnym zakrętem natknęliśmy się na całą gromadę ludzi stłoczonych w niewielkim przedpokoju. Obok na ścianie wisiało lustro, w którym odbijały się drzwi wiodące do kuchni. Byli tam służący, kilkoro wieśniaków i pani MacFree, blada jak kreda. Na nasz widok wszyscy rozstąpili się na boki. Na podłodze leżał nieruchomy Large, którego dotąd na próżno próbowali ocucić. Chłopak na szczęście żył – widziałam, jak oddycha.

– Chyba trzeba go zanieść do pokoju – powiedział niepewnie hrabia, pytając spoglądając na Aleksa. Z jego twarzy spłynął wszelki kolor, niewątpliwie sir Henry był bardzo poruszony. – Lochis mnie uprzedzał, że duch raczej nie uspokoi się sam i bez wątpienia będą jeszcze ofiary.

– Czy ktokolwiek cokolwiek widział? – głośno zapytał Orłow, zwracając się do wszystkich obecnych.

Do przodu wystąpiła chuda dziewczuszka, zapewne pokojówka, i drżąc, ze łzami w oczach wyznała:

– Ja fidziała sjafa... sthaszna stahucha... sthaszniejsza od nafet seł Łochis, pfefhaszam... Ona hyczała, a on kfyczał! Po phostu sthach... – I rozszlochała się rozdzierająco.

Sądząc po akcencie i grasejowaniu, pochodziła z Francji.

Podniesiony z podłogi Large stopniowo przychodził do siebie. Był blady jak

śmierć, a kiedy otworzył oczy, miały wyraz oszołomienia i zgrozy, jakby nadal oglądał coś potwornego. Gdy niesiono go do sypialni, mamrotał coś nieskładnie, wyraźnie potrzebował czasu, by do reszty otrząsnąć się z szoku.

– Och, przecież państwo jeszcze nie jedli śniadania! – zawołał sir Henry skonfundowany. – Chodźmy, w salonie już nakryto do stołu. Musimy porozmawiać!

Przy śniadaniu opowiedzieliśmy hrabiemu wszystko, czego udało nam się dowiedzieć. MacMillan siedział jak rażony gromem.

– Babcia?! Niemożliwe! Tak ją kochałem... Chociaż w sumie za życia była dość surowa. Tylko do mnie odnosiła się łagodnie, właściwie zastępowała mi matkę, którą straciłem w dzieciństwie. Słyszałem, że była kobietą bardzo despotyczną. Traktowała dziadka jak drugorzędnego lokaja, z pracownikami również obchodziła się szorstko, karała i zwalniała czasem niepotrzebnie. Lecz czym jej zawinili James i Artur?

– Być może wcale nie chciała ich zabijać, jedynie straszyla – wysunął przypuszczenie kot. – Możliwe, że nie od razu się zorientowała, że jej widok może wystraszyć na śmierć. Tym bardziej że gdybyśmy z początku nie skupili się na nadnaturalnych zdolnościach i nie dziwili się, jak zjawy może doprowadzić zdrowych ludzi do apopleksji, to w sumie oba zgony byłyby w pełni wytłumaczalne. Babcie możemy skreślić z listy, więc pozostają dwa wypadki. Pierwszy: James, kaleka, do tego już nie najmłodszy. Jak dowiedzieliśmy się od służby, próbując uciec przed czymś strasznym, rozwinął nadmierną prędkość na swoim wózku inwalidzkim, z wielką siłą zderzył się ze ścianą i wyrzucił, a wózek nakrył go z wierzchu. Potężny wstrząs był bezpośrednią przyczyną wylewu. Z Arturem sprawa jest jeszcze prostsza. Wspominał pan, sir, że znaleziono go we własnym łóżku z oczami szeroko otwartymi od szoku. Jak gdyby zdążył jeszcze ujrzeć przychodzącą po niego śmierć. Przedtem palił opium, z czego można wyciągnąć odpowiednie wnioski. Choć pan, oczywiście wstydząc się nagannej słabości brata, nie zdradzał nam szczegółów, zorientowaliśmy się, że Artur był już w ostatnim stadium nałogu. Majaczył, całymi dniami nie wstawał z łóżka i nie wypuszczał z rąk fajki. Tak więc pojawienie się ducha mogło być tym piórkiem, pod którym ugiął się wielbłąd. Jego organizm był całkowicie wyczerpany. I niechybnie zjawy okazała się bardziej przerażająca od wszystkich opiumowych

halucynacji!

– Ale... ale dlaczego babcia po śmierci stała się taka agresywna? Biedny Large... Za co mu się tak dostało? Przyzwyczailiśmy się żyć z naszymi duchami w dobrych stosunkach, tak było aż do śmierci mojej babci.

– Najprawdopodobniej albo czegoś zaniedbano przy pogrzebie, albo chodzi o niespełnioną obietnicę daną jej za życia. Takie sprawy zwykle wywołują silne niezadowolenie ducha. A może nie spełniono jakiegoś punktu z jej testamentu? Gorgona Elizabeth doprowadziła męża do szaleństwa, dwóch wnuków do śmierci, a teraz wzięła się za straszenie służby. Najwyraźniej jest jej obojętne, kogo dopadnie. Nie uspokoi się, dopóki nie wypełnimy jej woli.

Sir Henry począł usilnie grzebać w pamięci, lecz szybko się poddał.

– Absolutnie nic mi nie przychodzi do głowy. Trzeba przepytąć wszystkich, którzy przygotowywali ją do ostatniej drogi i złożyli w naszym rodzinnym grobowcu. – Hrabia potrząsnął srebrnym dzwonkiem stołowym.

Wszedł służący, wciąż jeszcze trochę roztrzęsiony. Zapytany, odpowiedział, że Large czuje się lepiej, a teraz w jego pokoju zebrało się pół zamku, gdyż kamerdyner opowiada straszne historie o duchach powstających z grobów.

Służący szybko się uwinął, wkrótce zjawiała się cała służba prócz Large'a, do którego przyszedł właśnie miejscowy lekarz wezwany zaraz po zdarzeniu. Okazało się, że niemal cała służba została wymieniona po śmierci starej lady Marii. James MacMillan był kapryśnym człowiekiem i zmieniał służących jak rękawiczki. Z dawnego składu została tylko pani MacFree (niezwalnialna jako krewna MacMillanów) oraz dwie kobiety pracujące w kuchni.

Niczego znaczącego nie mogły sobie przypomnieć i zgodnie twierdziły, że z pogrzebem wszystko zostało zrobione prawidłowo. Same pomagały obmywać ciało i zawijać w całun. Odprawiono także mszę w kościele. Nagle jedna z kobiet wzdrygnęła się.

– O Matko Święta! A ta ruda Louise, co była pokojówką lady MacMillan, czy ona nie mówiła, że przed śmiercią stara pani chciała, żeby włożyć jej do krypty bombonierkę, w której trzymała cukierki? Uwielbiała je ssać nocami, pomagały jej na bezsenność.

– I co?! Oczywiście ją włożyliście? – niecierpliwie zawołał hrabia.

– My... ee... Jakoś zupełnie zapomnieliśmy, sir. Tyle było kłopotu z pogrzebem, całkiem nam to z głowy wyleciało, sir – usprawiedliwiła się

kobieta. – Chociaż, prawdę mówiąc, sir, nawet nie wzięliśmy poważnie życzenia narwanej baby... Ojej! Bardzo przepraszam, sir...!

– Wszystkie rzeczy hrabiny są w schowku – wtrąciła się pani MacFree. – Jeśli pan sobie życzy, sir, mogę poszukać tej bombonierki.

– Będę pani bardzo zobowiązany – rzekł hrabia z ulgą.

Bombonierkę znaleziono, napełniono cukierkami i jeszcze tego samego dnia włożono do trumny hrabiny. Na pół rozłożony trup stanowił okropny widok (nie wspominając o zapachu). Ciekawe, co gorsze: nadgnała nieboszczka czy złowroga zjawa? W sumie nawet nie wiedzieliśmy, jak dokładnie wyglądała. Large nie umiał, a może nie chciał nam jej opisać. Twierdził tylko, że na sam widok można „wyciągnąć kopyta”.

Noc przeszła wyjątkowo spokojnie. Mam na myśli, że nikt nie walił w miednice ani nie torturował dud.

Z radości Henry MacMillan prosił, żebyśmy zostali chociaż tydzień, zwłaszcza że jutro lub pojutrze, po powrocie z trudnej akcji, miał go odwiedzić Lochis.

– Jego „trudna akcja” tym razem polegała na poskromieniu wściekłych kalmarów gdzieś w Morzu Śródziemnym – zakpił wszystkowiedzący kot, lecz zaraz dodał: – Co prawda to były trzymetrowe kalmary.

– A mnie najbardziej interesuje: dlaczego Kulawy Lord Yorkshire odszedł z tutejszego amatorskiego chóru? – mruknęłam do siebie. Szkoda, że to pytanie pozostanie bez odpowiedzi. Zadanie wypełnione, więc czas pakować walizki. Jeszcze ani razu nie zatrzymaliśmy się na miejscu akcji dłużej niż trzeba.

– Nie, tydzień to za długo, sir. Do jutra jednak zostaniemy u pana z przyjemnością – odpowiedział Aleks na zaproszenie hrabiego.

Szczęka mi opadła, a Mruczek miał minę jeszcze głupszą. Kim jest ten facet i gdzieście schowali naszego Aleksa, superwyszkolonego superagenta, który nigdy by sobie nie pozwolił na dodatkowy dzień zwłoki, zamiast wracać do Bazy, żeby zdać raport i natychmiast otrzymać nowe zadanie? Coś tu śmierdzi...

Aleks spojrział na nas pytająco.

– Nie mam nic przeciwko, chociaż to wbrew przepisom. Aczkolwiek, w drodze wyjątku, chyba możemy sobie na to pozwolić... – niewyraźnie mruknął profesor.

– Ja tym bardziej podpisuję się pod tym wszystkimi czterema kończynami! – zawołałam, nie kryjąc radości. Niby co tam w Bazie może się zdarzyć w czasie naszej krótkiej nieobecności? Może gobliny i tak jeszcze nie przygotowały szczepionki, co było całkiem prawdopodobne, bo przecież akcję skończyliśmy w rekordowym czasie.

– Chłopcy, uczcijmy dzisiaj tę sprawę z duchami. Nasz gospodarz ma zapasy *ale* i prawdziwej szkockiej whisky. Nigdy nie próbowałam whisky...



Przez pozostałą część dnia przyjmowaliśmy niekończące się wyrazy wdzięczności od wszystkich w zamku. Pani MacFree podarowała mi nawet z tej okazji piękny wachlarz z białych strusich piór, który został po zmarłej hrabinie. Wachlarz był cudowny, miał nawet pośrodku lusterko. Z początku czułam się niepewnie z powodu jego pochodzenia, ale wkrótce całkiem o tym zapomniałam.

Agent 013 przyglądał mi się z rozczuleniem, kiedy bawiłam się wachlarzem i robiłam miny do lusterka, pozując na wielką damę.

Następnie odbył się uroczysty obiad na naszą cześć. Co prawda uczestniczyliśmy w nim tylko my i hrabia. Aleks przez cały czas był dziwnie spięty, jakby miał do załatwienia jakieś pilne sprawy. Prócz niego wszyscy się dobrze bawili. Hrabia opowiadał anegdoty, a potem profesor rozgadał się na temat jakiejś nadzwyczajnej czarnej koteczki o jedwabistej sierści i ogromnych zielonych oczach, która zostawiła w jego pamięci niezatarte wrażenie.

Sir Henry nie chciał być gorszy i też zaczął się przechwalać swoim powodzeniem u kobiet. Mimo że konwersowali sobie w ten sposób szeptem, doskonale ich słyszałam. Te moje wilkołacze uszy działały jak mikrofon kierunkowy.

*Ale* okazało się niezłym piwem. I mężczyźni na pewno mogli dziś sobie pozwolić na trochę swobody, lecz Aleks nie chciał się bawić. Powiedział, że nie po to został na zamku – chciał poobserwować duchy, a lepszego miejsca do tego nie znajdzie. W tym celu dzisiejszą noc spędzi z Binkym. Wkurzył mnie tą głupią gadaniną, więc w prostych żołnierskich słowach wyjaśniłam mu, co o tym myślę, a potem zaczęłam słuchać kolejnej opowieści sir Henry'ego, tym

razem historycznej, o powstaniu Szkotów przeciw uciskowi Anglików. Według niej oczywiście Szkoci raz-dwa rozprawili się ze swoimi niegrzeszącymi inteligencją przeciwnikami.

Wówczas w drzwiach pojawiła się dziewczyna, z wyglądu pokojówka, choć jej nie widziałam w zamku ani razu. Nikt prócz mnie nie zwrócił na nią uwagi. Ku mojemu zdziwieniu podeszła prosto do mnie i szepnęła na ucho:

– Czy mogłaby panienka pójść ze mną? To bardzo ważne.

Przy tych słowach wzięła mnie delikatnie za rękę i pociągnęła do wyjścia. Chciałam powiedzieć, że zaraz wracam, ale nikt nie patrzył w moją stronę. Kot z hrabią w najlepszej komitywie rozprawiali o kobiecej niewierności. Aleks melancholijnie liczył muchy na suficie.

– Nazywam się Lizzie, panienko – przedstawiła się dziewczuszka, ledwie wyszłyśmy na korytarz. – Chodźmy szybko.

– Gdzie? Po co? – pytałam na próżno.

Lizzie trzymała mnie za rękę i prawie biegiem prowadziła na drugie piętro. Jeszcze tam nie byłam, więc z ciekawości nie sprzeciwiałam się, przeczuwając, że czeka mnie tam jakaś przygoda. Trzy kufle *ale* każdemu dodałyby odwagi, nic nie byłoby w stanie mnie przestraszyć. Nawet zaczajony za węglem MacSorley ze swoim kijem hokejowym! Naturalnie mnie by nie ruszył, ale zawsze...

Szłyśmy, a raczej prawie bieglyśmy korytarzem, który niewiele różnił się od tych na pierwszym piętrze – takie same kamienne ściany, dębowe boazerie, tylko gobeliny były w dużo gorszym stanie. Całe piętro wyglądało na nieużywane, podłogi pokrywała gruba warstwa kurzu nietkniętego stopą ludzką, choć w uchwytych na ścianach płonęły świece, tak że nasza droga była jasno oświetlona. Wolałam nie zastanawiać się nad tym dziwnym faktem, lecz nie myślcie, że niczego nie zauważyłam. Lizzie poprowadziła mnie krętymi schodami wyżej, najwyraźniej do wieży, aż wreszcie zatrzymałyśmy się na ostatniej kondygnacji. Dalej nie było już gdzie iść. Lizzie otworzyła przede mną drzwi. Z pewnym wahaniem weszłam do komnaty... i otworzyłam usta ze zdumienia. Czegoś bardziej romantycznego i cudownego nigdy nawet sobie nie wyobrażałam. Wspaniale urządzonej pokój łączył ascetyzm średniowiecza z przepychem epoki odrodzenia. Trafiłam do szesnastego wieku, prosto do sypialni królowej. Przypomniałam sobie o

Lizzie, obróciłam się do drzwi, ale po dziewczynie nie było śladu, co mnie odrobinę przestraszyło. Już po sekundzie nie myślałam o tym, patrząc z zachwytem na wesoło trzaskający ogień w pięknym kominku z rzeźbionego granitu. Łóżko z mojej sypialni nie umywało się do tutejszego łoża pod srebrzystym baldachimem, zasłanego jedwabną pościelą, w jakiej pewnie sypiali tylko królowie. Kilka rzeźbionych taboretów otaczało stół wytwornie nakryty do kolacji. Na półmiskach widziałam dania ewidentnie nie pochodzące z kuchni sir Henry'ego, wina i owoce, jakich nigdy nie widziałam.

Na śnieżnobiałym obrusie stały dwa srebrne świeczniki – świece zresztą płonęły wszędzie, także na ściennych kinkietach i gzymsie kominka.

Po drugiej stronie łoża zauważyłam zawieszoną na oparciu fotela precudną sukienkę, przy której moje kremowe muśliny wyglądały bardziej niż skromnie. Nie wytrzymałam, obeszłam łóżko i z nabożeństwem podniosłam to dzieło sztuki krawieckiej. Z bliska było widać, że cała suknia jest usiana drobnymi diamentami i ozdobiona złotym haftem. Uszyta została w stylu ni to włoskim, ni to hiszpańskim – z bardzo wysokim stanem podkreślającym biust i z rozszerzającymi się rękawami, częściowo zasnurowanymi złotą tasiemką.

– Podoba się? – zapytał ktoś za moimi plecami. Wzdrygnęłam się z zaskoczenia, choć głos był łagodny i miękki. W fotelu obok kominka siedziała uśmiechnięta kobieta ubrana w bogaty strój dworski. – Jest dla ciebie. – Wstała, wciąż się uśmiechając. – Dzisiejszej nocy spełniają się najskrytsze marzenia.

– Ciekawe jakie? – Zmrużyłam nieufnie oczy, jeszcze raz rozglądając się po komnacie. Zatrzymałam wzrok na łożu i poczułam, że się czerwienię.

– To wszystko jest zaledwie ich odzwierciedleniem – wyjaśniła dama. – Mam nadzieję, że wreszcie znajdziesz szczęście, na jakie zasłużyłaś. Choćby tylko za nawrócenie Wilkołaka z Gevaudan...

– Skąd pani o tym wie? – zaniepokoiłam się.

– Nieważne, nie trać czasu. Ta noc jest twoja. Wykorzystaj ją tak, jak ci serce dyktuje. – Kobieta znów się uśmiechnęła. – A teraz przebierz się prędko, czas jest cenny.

Poszłam za jej radą, już sam dotyk drogocennej tkaniny był oszałamiający. Suknia leżała tak, jakby uszyto ją specjalnie dla mnie, otulała mnie jak miękki

obłok.

Dama poprowadziła mnie do lustra, własnoręcznie rozczesała mi włosy i włożyła na głowę wysadzany brylantami diadem. Czułam się jak Kopciuszek tuż przed balem. I to nie miał być Bal Wampirów...!

– Życzę ci szczęścia! – powiedziała dama, cofając się w głąb komnaty.

– Nawet nie wiem, jak pani na imię...

– Dla ciebie po prostu babcia Elizabeth, moje dziecko.

Zerknęłam jeszcze raz na swoje odbicie w lustrze i przegapiłam moment, kiedy znikła. Usłyszałam za to szmer otwierających się drzwi – stał w nich Aleks. Przez moment patrzyliśmy na siebie nawzajem w niemym zdumieniu. Dowódca miał na sobie ciemnoniebieski aksamitny kaftan ściągnięty w talii pasem. Z rozcięć na rękawach i z przodu wyglądała biała jedwabna koszula. Miałam ochotę parsknąć śmiechem, ale powstrzymałam się, w sumie wcale nie wyglądał śmiesznie.

Aleks szybko rozejrzał się po komnacie i znów skierował wzrok na mnie.

– Yhm... nieźle wyglądasz – wybąkał zmieszany.

– Ty też – odpowiedziałam, rumieniąc się i opuszczając głowę. – Może coś zjemy? – zaproponowałam.

I Aleks, potknąwszy się dwukrotnie, pospieszył odsunąć mi krzesło. Sam usiadł naprzeciwko. Gapiliśmy się w milczeniu na wytworne nakrycia i obfitość dań, jakimi zastawiony był stół.

– Szkoda, że jesteśmy najedzeni – odezwałam się, by przerwać nareszcie to niezręczne milczenie.

– Tak, szkoda, że jesteśmy już po jednym bankiecie – zgodził się ze mną Orłow.

Przez to, że siedział tak blisko, serce mi biło mocniej, zwłaszcza że szalenie romantyczne otoczenie sprzyjało wzruszeniom. Tak, ten nastrój... Wstyd się przyznać, co najchętniej bym zrobiła w tym momencie, ale nie mogłam się jakoś na to zdecydować... W końcu wypiliśmy po kieliszku szampana, żeby tak nie siedzieć jak słupki.

– A co porabia agent 013? – spytałam, próbując nawiązać rozmowę. Ta cisza mnie denerwowała. Wrzuciłam oliwkę do ust i popiłam szampanem, nie odrywając wzroku od Aleksa w oczekiwaniu odpowiedzi.

– Bawi się z hrabią w czecharde<sup>[16]</sup>. A mnie zgarnęła jakaś natrętna



dziewczyna, zabrała do osobnego pokoju i dosłownie zmusiła, żebym się przebrał. Już myślałem, że... a ona po prostu przyprowadziła mnie tutaj. Niczego nie wyjaśniła, mimo to z jakiegoś powodu poszedłem. Głupio to brzmi, ale... no jakoś tak – przyznał się Aleks z nutą usprawiedliwienia w głosie, widząc moje zaszklone oczy.

Zakrztusiłam się oliwką. Długo potem kaszlałam, a dowódca klepał mnie po plecach, próbując pomóc. Purpurowa i zapłakana zdołałam w końcu wykrztusić:

– Nie tak mocno!

– O! Bardzo przepraszam...

Wrócił na swoje miejsce. Znów zapadła cisza. Wszystko jedno, mówmy o czymkolwiek...

– Posłuchaj, już dawno chciałam cię o coś zapytać, a teraz jest chyba najlepszy moment. Wtedy, na Czukotce, kiedy zostawiliście mnie z kotem w śnieżnej jamie... Zdaje się, że powiedziałeś wtedy, że nie jestem ci obojętna? Chociaż ani myślałeś mnie wyciągać z tej dziury, to też pamiętam. Wybacz, jeśli się mylę, ale... yyy... czy to znaczyło, że... ty mnie kochasz? – zebrawszy się na odwagę, wygłosiłam to jednym tchem.

– Tak, oczywiście, że cię Kocham – potwierdził Aleks spokojnym i pewnym tonem, patrząc na mnie smutno.

I z jakiegoś powodu te proste słowa, ich intonacja tak na mnie podziałały, że nagle nie mogłam mówić ani nawet oddychać. Wielki kamień utkwił mi w gardle, poczułam, jak w oczach stają mi łzy. Zrozumiałam, że przez całe życie czekałam na te słowa, a kiedy je nareszcie usłyszałam, serce przeszył mi przeraźliwy ból. Niemalże z nienawiścią patrzyłam na człowieka, który był przyczyną tego cierpienia!

Ręce i nogi odmówiły mi posłuszeństwa, choć najchętniej uciekłabym stąd gdzie oczy poniosą. Im dalej – tym lepiej. Zamknąć się w swoim pokoju, wyskoczyć przez okno albo jeszcze lepiej: wleźć na dach i skoczyć głową w dół. Ale nie miałam władzy nad swoim ciałem, swoimi uczuciami ani myślami. Wszystko zostało podporządkowane jednemu człowiekowi, który właśnie siedział przede mną i patrzył na mnie szarymi oczami – i w tych oczach chciałam utonąć.

To była straszna męka. I Orłow znalazł jedyne wyjście z tej sytuacji.

Po prostu przechylił się nad stołem i pocałował mnie. To był bardzo długi pocałunek – zdążyłam w trakcie całkowicie przyjść do siebie, kończyny znów zaczęły mnie słuchać, wola i rozum także. O tym co się wydarzyło, przypominało mi tylko serce, w którym nadal skakały bolesne szpileczki – podejrzewałam, że zostaną tam na zawsze. Ogarnęło mnie dziwne, słodko dławiące uczucie. Westchnęłam z ulgą, obejmując tego drania za szyję, i z miłością spojrzałam mu w oczy. Uśmiechnęłam się... Nie pozostało mu nic innego, jak uśmiechnąć się także.



Kiedy zeszliśmy na swoje piętro w tych samych wspaniałych przebraniach i dotarliśmy do swoich pokoi, od razu rzuciła się nam w oczy kartka przyczepiona nisko na drzwiach sypialni Aleksa i agenta 013. Aleks zdjął ją i przeczytał głośno:

– „Dzisiaj równocześnie straciłem przyjaciela i ukochaną kobietę. Nie mogę znieść waszej zdrady i nie chcę dłużej żyć. Idę się powiesić. Zegnajcie na wieki”.

I podpis.

„Stalowy Pazur”.

Oboje z Alekssem równocześnie rzuciliśmy się do drzwi, zderzając się przy tym głowami.

Wewnątrz naszym oczom ukazał się następujący obrazek: z mosiężnego kinkietu przytwierdzonego do ściany zwisał postronek z pętlą, niżej stał sekretarzyk (w zasadzie zawsze tam był, kot nie miałby siły przesunąć ciężkiego mebla), a na łóżku, rozczulająco zwinięty w obwarzanek, spał agent 013. Staliśmy tak i patrzyliśmy na niego, jeszcze nie mogąc się otrząsnąć z wrażenia. Mruczek spał niespokojnie, wąsy mu drgały i nerwowo przebierał łapami.

Przekonawszy się, że z profesorem wszystko w porządku, już zamierzałam iść do siebie, kiedy Mruczuś nagle się przebudził i zerwał na równe łapy. Niestety, nie zdążyłam uciec.

– Ja się tu wiem już dwie godziny, a was nie ma i nie ma! Wy niewrażliwi ludzie bez serca...! – wrzasnął kot z oburzeniem.

Odetchnęliśmy z ulgą. Profesor najwyraźniej już wrócił do równowagi,

zachowywał się bowiem jak zwykle.

Kiedy wyszłam, pod drzwiami swojej sypialni zobaczyłam wartującego Lorda Yorkshire. Gdy mnie zobaczył, poprawił kule i zmarszczył brwi.

– Tak, młoda damo, odebraliście mi jedyną radość – odezwał się Kulawy Lord ochryplym głosem, patrząc na mnie z pretensją.

– O czym pan mówi? – zdziwiłam się.

– O mojej biednej Elizabeth, o mojej ostatniej miłości, dla której zostawiłem nawet chór i wszystkich moich widmowych przyjaciół, odgrodziłem się od nich, bo Elizabeth przedkładała samotny tryb życia. A teraz już nigdy nie wróci do zamku... Nieszczęsny mój los inwalidy! To upiorne wieczyste istnienie! Moja kochana Elizabeth! Biedny ja, biedny, biedny...

Zjawa, zwisiwszy ramiona, powlokła się korytarzem, nie przestając się po drodze uskarżać i od czasu do czasu w desperacji waląc kulami w ściany i mijane drzwi.



Następnego dnia wstaliśmy, ledwo zaczęło świtać. Naprędce zjedliśmy śniadanie u siebie w pokojach, zebraliśmy swoje rzeczy i zaczęliśmy się żegnać z Morris Castle i jego gościnnymi mieszkańcami. Kot, wciąż obrażony, nie rozmawiał ze mną i z Alekssem, za to serdecznie pogwarzył sobie z hrabią, który zapraszał go do spędzenia w zamku urlopu. Wszyscy wyszli nas odprowadzić, nawet stuknięty dziadzio. Pewnie z ciekawości chciał sprawdzić, co się stało, że przy bramie zebrał się taki tłumek. Zza węgła wyrzała mały tłuściutki duch z okrągłą twarzą. Nie miał rąk, więc bez trudu rozpoznałam Binky ego, chociaż dotąd nie miałam okazji go spotkać. Przedtem, w sypialni, nie zapomniałam pomachać MacSorleyowi z gobelinu, który tak nam pomógł. Dobrze, że tu przyjechałam. Wspominając minioną noc, stwierdziłam, że była to najbardziej wyjątkowa sprawa ze wszystkich pięciu, w jakich mi przyszło brać udział. Nawet jeśli wziąć pod uwagę próbę samobójczą kota. Aleks chyba uważał tak samo, gdyż teraz uśmiechał się za każdym razem, kiedy nasze spojrzenia się spotykały.



W Bazie nie zdarzyło się nic nowego. Wszystko było jak przedtem, choć

wydawało mi się, że nie byliśmy tu od wieków. Od razu poleciałam do laboratorium. Aleks chciał iść ze mną, lecz uparłam się, że wolę sama. Okropnie się bałam, że nadal nie mają dla mnie lekarstwa. Już sobie wyobrażałam, jak mówią: „Jakże nam przykro, ale nie udało nam się uzyskać potrzebnej surowicy”. Zdecydowanie nie miałam już ochoty przemieniać się w potwora, nawet gdyby to był najładniejszy potwór na świecie. Co prawda w Morris Castle taktownie nikt mnie nie pytał o kocie źrenice, jednak...

Dotarłszy do drzwi ze znajomą tabliczką „Wstęp tylko dla krzywonosych garbusów”, otworzyłam je z rozmachem i wkroczyłam do środka. Natychmiast usłyszałam huk i pod nogi potoczył mi się upuszczony sterylizator. Jakiś przerażony goblin w panice chował się pod stołem laboratoryjnym, dwaj inni tłoczyli się w bocznych drzwiach, szukając drogi ucieczki. Przede mną został tylko kierownik, z którym rozmawiałam poprzednio. Próbował być odważny, choć trząsał się na całym ciele jak galareta, nawet garb mu podrygiwał. Nie zapowiadało to nic dobrego.

– Yyy... Szanowna Alina Raszydowna, dz-dzień dobry... Niestety, nam się nie udało przygotować s-surow-wicy, żeby p-rzywrócić pani po-poprzedni wygląd, ale... NIE! Nie, proszę się uspokoić!

Pewnie mu się wydawało, że zaraz się na niego rzucę, zagryzę go i przerobię na gyros, lecz ja się tylko zachwiałam. Zrobiło mi się literalnie słabo, do żadnych działań nie byłam zdolna.

Popatrzyłam na goblina, czekając, co powie dalej, choć jaki właściwie to miało sens? I tak wszystko było jasne. Chciało mi się płakać. I to właśnie teraz, kiedy ja i Aleks...

– Nie wszystko stracone, naprawdę, jeszcze zdążymy.

– Mówiliście to już ze sto razy.

– Dosłownie pół godziny temu nareszcie doszliśmy, czego brakuje. Błąd tkwił w osoczu: potrzebujemy hybrydowej plazmy ludzkiej i zwierzęcej, to się da zrobić. Możemy pobrać krew choćby od pani partnerów... – Goblin mówił coraz szybciej. W końcu nie wytrzymał nerwowo i zasłonił głowę rękami, piszcząc: – Proszę! Proszę!

Chciałam go tylko ucałować z radości, chyba jednak uznał, że próbuję go zagryźć. Nie tracąc czasu, obróciłam się na pięcie i pobiegłam szukać swoich kolegów. Z Alekssem nie będzie najmniejszego problemu, agent 013 mógłby

się dąsać, ale raczej niedługo. W sumie nie jest złym kotem, choć teraz akurat ma zranione uczucia.

Co tu dużo gadać... Mruczek rzeczywiście z początku nie skrywał urazy, lecz błyskawicznie odtajał i żeby udowodnić swoje gorące uczucia, popędził co sił w łapach do laboratorium, by oddać krew, wyprzedzając nawet Aleksa. Po upływie doby, która ciągnęła się niemiłosiernie, szczepionka była gotowa. Drżąc z niepokoju, przyjąłem zastrzyk. Z początku czułam osobliwe drobne kłucie w całym ciele, szybko się jednak skończyło. Pozostawało już tylko czekać.

Minęło kilka dni, a ja wciąż jeszcze nie mogłam pojechać do domu. Goblini genetycy twierdzili, że trzeba czekać, aż ostatecznie wrócę do normy. Źrenice pookrąglały w ciągu jednego dnia, uszom zajęło to trzy doby, kły natomiast cofały się znacznie wolniej. Na darmo zapewniałam kolegów, że ze mną już wszystko w porządku i mogę odwiedzić rodziców. Nie, ci dwaj nie chcieli o tym słyszeć, uparcie się mną opiekowali w czasie rekonwalescencji, jakby to była Bóg wie jaka rozrywka. Zresztą nie tylko oni. Sinoskóry przekarmił mnie ciastkami i próbował utopić w kompocie. Hobbici odwiedzali mnie ciągle i przynosili prezenty. Szef wezwał do siebie do gabinetu i oświadczył, że dostałam stały etat, gdyż okazałam się cennym nabytkiem dla agencji. Pełna idylla.

3

W końcu także zęby wróciły do normy. Następnego dnia planowałam krótki urlop. Koniecznie musiałam odwiedzić rodziców, nie widziałam ich prawie miesiąc. Siedziałam w swoim pokoju, ciesząc się krótką chwilą samotności (chłopcy jeszcze nie wrócili z obiadu). Wspominałam dzień, w którym po raz pierwszy ich spotkałam, nie mając pojęcia, że zostaną moimi partnerami w zespole. Byłam tamtego wieczoru rozstrojona z powodu zawałonego kolokwium. Teraz wspominałam to z rozbawieniem. Zobaczyłam szarobiałego kota siedzącego na skraju chodnika i nie zwróciłam na niego szczególnej uwagi. Gdyby ktoś mi w tamtej chwili powiedział, że to profesor, agent specjalny i w ogóle kawał twardziela, a nie zwykły dachowiec, wzięłabym to za dobry żart. Potem nieoczekiwanie pojawiła się bestia, zahaczyła mnie pazurem. I gdyby nie Aleks w swoim żydowskim przebraniu –

to było naprawdę śmieszne – nie wiem, czy zostałamby wśród żywych. Potwór na mnie skoczył... cofając się, wpadłam na Orłowa, on strzelił w powietrze... potem trafiłam go prosto w oczy gazem łzawiącym, myśląc, że to kolejna poczwara. Niemal jednocześnie odepchnął mnie i w tym momencie zabił zwierza kilkoma strzałami. Kiedy nareszcie otworzyłam oczy, zobaczyłam martwe cielsko bestii i załamionego Orłowa stojącego obok z opuszczonym pistoletem w ręku.

Tak właśnie wszystko się odbyło. Niespodzianie coś mnie zaniepokoiło, coś się ewidentnie nie zgadzało w tym obrazku. Przewinęłam w myślach taśmę, oglądając jeszcze raz to zdarzenie oczami wyobraźni, potem jeszcze raz i jeszcze...

Potwór nie był jakimś niezdarnym kudłatym debilem, na pewno nie wystraszyłby się huku wystrzału. Co mu przeszkodziło rozerwać w drobne kawałeczki mnie i oślepiętego agenta? Przecież nie Mruczek... A więc kto? Czyżby...? Trudno było w to uwierzyć.

Wszystko szło według scenariusza, scena nadal się nie chciała zmieniać. Byłam świadkiem tej akcji, tyle że nie widziałam wszystkiego. Trójka aktorów tego spektaklu: potwór, Aleks i ja. Ale był jeszcze ktoś czwarty. Musiał być! Już wiedziałam kto. Nie miałam wątpliwości. Dokładnie tak się to odbyło czy też może odbędzie – czas jest dziwną rzeczą.

Uświadomienie sobie tego faktu tak mną wstrząsnęło, że przez długą chwilę siedziałam na łóżku jak skamieniała. Trzeba jednak było działać, i to teraz, zaraz, jeszcze przed wyjazdem – sprawa jest zbyt ważna, by ją odkładać na później. Muszę się pospieszyć.

Ruszyłam na poszukiwania. Na potrzebny mi obiekt natknęłam się szczęśliwym trafem zaraz za zakrętem. Zwykle czatował tu na mnie, kiedy wracałam z jadalni, w nadziei, że będę choć raz sama. Steve zdążył wręczyć mi kolejną aluminiową różę, nim wyjaśniłam, o co mi chodzi. Trochę się zdziwił, wysłuchawszy, co mam do powiedzenia, lecz obiecał pomóc, oczywiście próbując wejść na doczepkę. Odmówiłam.

– Przepraszam, Steve, powinnam załatwić to sama.

I znów na mgnienie przestrzeń wokoło zakółysała się, jak zawsze podczas

przeskoku temporalnego. Znalazłam się w znajomej uliczce, którą tamtego pamiętnego wieczora wracałam z uczelni. Tylko tym razem, mimo zimowego chłodu, miałam na sobie jedynie swój szary mundurek i trzymałam w obu rękach ciężki blaster. Steve pokazał mi, jak się z nim obchodzić. Przyczałam się za węglem, skąd miałam doskonały widok na całą scenę. Akcja już się rozpoczęła – z zamartwym sercem obserwowałam samą siebie. To było bardzo dziwne.

Oto zderzam się z Alekssem i padam na ziemię, w ostatnim momencie Orłow utrzymuje się na nogach, lecz pudłuje. Kota nie ma w pobliżu, a ogromna czarna bestia z wyszczerzoną paszczą już się szykuje do kolejnego ataku, rycząc dziko i wymachując potężnym ogonem. Dopiero teraz mam okazję przyrzeć się jej dokładniej. Pomyliłam się poprzednio, to nie sierść, tylko gładka czarna skóra, przez co kreatura jest trochę podobna do niewielkiego tyranozaura. Alina studentka wrzeszczy jak opętana, bez przerwy, aż jest mi wstyd. Kretynka, histeryczka... Mało mi drzeć się Aleksowi nad uchem, kiedy biedak powinien przede wszystkim skupić się na zadaniu, to jeszcze przyskam mu w twarz gazem.

Ale to mogę teraz naprawić, strzelając do potwora, który już był gotów zabić nas oboje – mnie i Aleksa.

Potem strzelam jeszcze i jeszcze. Szary kot wyskakuje zza rogu, biegnąc na pomoc. Bestia skręca się, wydając przedśmiertny ryk. Aleks jest zdezorientowany: kto strzela? Walcząc z następstwami gazu łzawiącego, wali ze swojej armaty praktycznie na oślep, celując w kierunku, z którego dobiega głos zwierza! Kule gęsto zagłębiają się w poczwarny łeb bestii. Kiedy agent odzyskuje wzrok, widzi już tylko nieruchomą tuszę kilka metrów dalej. Powoli, nie rozumiejąc, co się stało, podchodzi do potwora i oddaje kontrolny strzał...





W tej chwili świat zadrżał, mrugnęłam i otworzyłam oczy już w Bazie. Obok mnie stał Steve z „przechodnikiem” w ręku.

– Jaka perfekcja! Dokładnie tak jak prosiłam, co do sekundy! Dziękuję!

Uśmiechnął się i wtedy dostrzegłam, że nie jesteśmy sami – dokoła kłębił się cały tłum pracowników i zwykłych mieszkańców Bazy. Wszyscy patrzyli na mnie roześmiani i bili brawo. Wśród tłumu zobaczyłam głowę Aleksa, który nie mógł się do mnie przepchnąć. Kot sprytnie przemknął między nogami hobbitów.

– Zawsze w ciebie wierzyłem, Alinko – zamruczał rozrzewniony.

Szef, bezwzględnie pracując łokciami, przepchnął się do przodu i uroczyście oświadczył:

– Alino, potwierdziłaś, że jesteś prawdziwym specagentem! Wszyscy śledziliśmy twoje poczynania. Możesz wrócić do domu, ale będzie nam bardzo ciebie brakować. Przemysł sprawę... i zostań. Teraz jesteś przecież profesjonalnym zwierzołakiem!

Wszyscy rzucili się z gratulacjami. Sinoskóry aż ocierał łzy wzruszenia końcem swojego zwisającego języka, a Rudik uczepił się mojej ręki i potrząsał nią, dopóki go nie odciągnęła do tyłu banda hobbitów. Aleks w końcu do mnie dotarł, przytuliłam się do jego piersi i płakałam ze szczęścia. Poklepał mnie krzepiąco po plecach i powiedział zachęcającym tonem:

– Przy okazji, Alina, dopiero co dostaliśmy z agentem 013 nowe zadanie. Powinno cię zainteresować. Mamy jechać do Norwegii w sprawie dwóch zdziczałych trolli. Na pewno ci się bardzo spodoba. Obiecuję. To co, wchodzisz?



# Przypisy

---

[1] Rodzaj pikantnego sosu, głównie z pomidorów i papryki, używanego na Wschodzie jako dodatek do wielu potraw (ten przypis i następne pochodzą od tłumaczki).

[2] Buty wykonane z impregnowanego, podgumowanego płótna. Były np. powszechnie noszone w armii radzieckiej podczas II wojny światowej.

[3] Red Caps - istoty z mitologii Szkocji i Anglii, żyją tam, gdzie rozlano ludzką krew, głównie na polach bitew; bywają bardzo niebezpieczne.

[4] Szukajcie kobiety.

[5] Przeł. J. Rogoziński.

[6] Namiot eskimoski ze skór, jurta.

[7] Duża kilkuosobowa łódka ze skór.

[8] „Ogień, woda i miedziane trąby” - popularne rosyjskie powiedzenie oznaczające, że bohater musi nie tylko pokonać wszelkie przeciwności, ale także zachować rozsądek, kiedy zdobędzie sławę.

[9] Parandża - zasłona noszona przez kobiety muzułmańskie, okrywająca całe ciało; bałachon - długi luźny płaszcz z kapturem. Obie rzeczy paskudnie workowate i nieseksowne.

[10] Mała, okrągła, haftowana we wzory czapeczka.

[11] Rodzaj ciastek z białym serem.

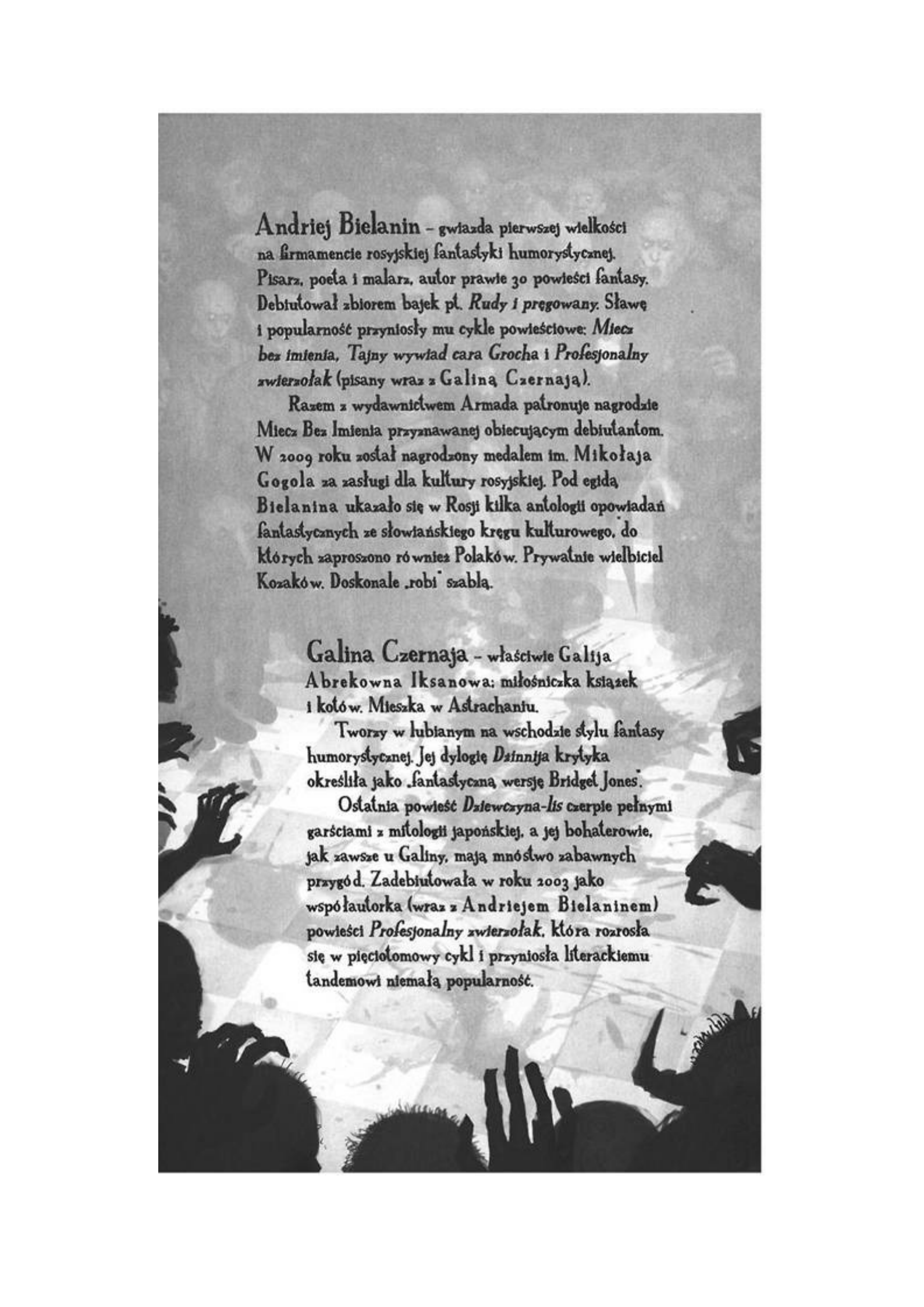
[12] Inaczej bandolet lub bandolier - rzemień przewieszony przez lewe ramię żołnierza, podtrzymujący broń.

[13] Postać z demonologii wschodniosłowiańskiej, ohydny starzec z ciężkimi powiekami zwisającymi aż do ziemi. Jeśli słudzy podniosą powieki Wija, przed jego wzrokiem nie ukryje się nikt i nic. Wuj może zabić samym ukazaniem się.

[14] Rosyjska bluza wojskowa z charakterystyczną stójką zamiast kołnierzyka.

[15] Nazwisko patronimiczne, stwarzane zwyczajowo od imienia ojca; w Rosji używane jako drugie imię. Przykładowo, Nikołaj Wasiliewicz Gogol jest synem Wasilija.

[16] Gra dziecięca polegająca na przeskakiwaniu przez plecy partnera. Nie ma sprecyzowanej polskiej nazwy.



**Andriej Bielanin** – gwiazda pierwszej wielkości na firmamencie rosyjskiej fantastyki humorystycznej. Pisarz, poeta i malarz, autor prawie 30 powieści fantasy. Debiutował zbiorem bajek pt. *Rudy i przegowany*. Sławę i popularność przyniosły mu cykle powieściowe: *Miecz bez imienia*, *Tajny wywiad cara Grocha* i *Profesjonalny zwierzołak* (pisany wraz z Galiną Czernają).

Razem z wydawnictwem Armada patronuje nagrodzie Miecz Bez Imienia przyznawanej obiecującym debiutantom. W 2009 roku został nagrodzony medalem im. Mikołaja Gogola za zasługi dla kultury rosyjskiej. Pod egidą Bielanina ukazało się w Rosji kilka antologii opowiadań fantastycznych ze słowiańskiego kręgu kulturowego, do których zaproszono również Polaków. Prywatnie wielbiciel Kozaków. Doskonale „robi” szablą.

**Galina Czernaja** – właściwie Galtja Abrekowna Iksanowa: miłośniczka książek i kotów. Mieszka w Astrachaniu.

Tworzy w lubianym na wschodzie stylu fantasy humorystycznej. Jej dylogię *Dziwnija* krytyka określiła jako „fantastyczną wersję Bridget Jones”.

Ostatnia powieść *Dziwczynia-lis* czerpie pełnymi garściami z mitologii japońskiej, a jej bohaterowie, jak zawsze u Galiny, mają mnóstwo zabawnych przygód. Zadebiutowała w roku 2003 jako współautorka (wraz z Andriejem Bielaninem) powieści *Profesjonalny zwierzołak*, która rozrosła się w pięciotomowy cykl i przyniosła literackiemu tandemowi niemałą popularność.

# PROFESJONALNY ZWIGRZOKAK

# BIELANIN ANDRIJ & GALINA CZERNAJA

Krwiożerczy rabin, niema gejsza, eskimos-spacerowicz –  
grunt to profesjonalny kamuflaż

Ona, rekin ludojad w oceanie męskiego szowinizmu. Z aparycją rozpalającą nawet zombiaki i wdziękiem, od którego iskrzą cyborgi. Tylko że po kolokwium z kulturoznawstwa dziabnął ją wilkołak.



On, superheros, działa na niewiaśły z siłą bomby atomowej. Niestety mało komunikatywny, rozprawić z nim o miłości to jak całować się z parowozem.

Jest jeszcze Ktoś, Agent 013, kot ze słabością do intelektualnej dominacji, który chodzenie w butach uważa za pretensjonalne.

Ta historia nie wywoła mrówek na plecach –  
one też zemdlały z wrażenia.

fabryka.pl

ISBN 978-83-7574-118-6



9 788375 741186



32,90 zł

\* cena sugerowana

PATRONI MEDIAJNI:

WP.PL SCIENCE FICTION

PARADOKS

ILDIA.PL

POLTERGEIST



# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Przypisy](#)

[O autorach](#)

[Okładka](#)